

Viktoria Holt

Wyjawiony Sekret

(Seven for a secret)

Przełożyła Zofia Dąbrowska

Kwiaty na Wielkanoc

Niedługo po tym, jak zamieszkałam z moją ciotką Zosią, zawarłam znajomość z dwiema dziwnymi kobietami. Były to siostry – Lucy i Flora Lane. Gdy dokonałam u nich pewnego odkrycia, zaczęłam nazywać mały domek, w którym mieszkały, „Domem Siedmiu Srok”.

Niekiedy ze zdumieniem uświadamiałam sobie, że mogłabym nigdy nie zobaczyć tego miejsca, gdyby nie kłopoty, jakie wynikły przy dekorowaniu kościoła na Wielkanoc wiele lat temu. I choć kwiaty nie były podstawową przyczyną, to właśnie one przeważały szalę.

W tych czasach ciocia Zosia rzadko gościła w naszym domu i nigdy nie mówiło się o nieporozumieniach między nią a moją mamą. Ciotka mieszkała w hrabstwie Wiltshire, spory kawałek drogi ód Londynu, skąd dopiero mogłaby dojechać do Middlemore w hrabstwie Surrey. Miałam wrażenie, że wizyta u nas nie wydawała się ciotce warta takiego zachodu, moja matka zaś uznawała podobną podróż za zbyt męczącą, zwłaszcza gdyby jej rezultatem okazało się raczej mało udane spotkanie z siostrą.

W czasach mego dzieciństwa ciotka Zosia pozostawała dla mnie właściwie obcą osobą.

Ona i moja matka, choć siostry, zupełnie nie były do siebie podobne, jak kobiety całkiem ze sobą niespokrewnione.

Mama, wysoka, szczupła i wyjątkowo piękna, rysy twarzy miała delikatne, jakby wyrzeźbione w marmurze. Jej jasnoblękitne oczy potrafiły jednak rzucać czasem lodowaty błysk. Ich ozdobę stanowiły bardzo długie rzęsy i doskonale zarysowane brwi. Włosy nosiła zawsze starannie ułożone. Nieustannie dawała do zrozumienia wszystkim – nawet domownikom, świadomym jej sytuacji – że nie została wychowana do życia, jakie prowadzi, i tylko „okoliczności” ją do tego zmusiły.

Ciotka Zosia była niewiele starsza od mamy, różnica wieku między nimi wynosiła chyba dwa lata. Średniego wzrostu i dość tęga, robiła wrażenie niższej. W jej okrągłej, rumianej twarzy tkwiły bystre czarne oczy, podobne do rodzynek, które – kiedy się śmiała – mrużyła tak, że stawały się niemal zupełnie niewidoczne. Śmiała się głośno, co denerwowało moją mamę.

Nic więc dziwnego, że trzymały się z dala od siebie. Gdy mama o niej mówiła – co zdarzało się rzadko – nieuchronnie powtarzała: „Jakie to zadziwiające, że wychowałyśmy się razem”.

Żyliśmy w stanie zwanym „ubóstwem wyższych sfer” – mama, ja i dwie służące: Meg, pozostałość z owych lepszych dni, oraz Amy, młoda dziewczyna urodzona w Middlemore, pochodząca z jednego z domków po drugiej stronie gminnych błoni.

Mama przeważnie zajęta była zachowywaniem pozorów. Dorastała w „Cedrowym Dworze” i według mnie niefortunnie się złożyło, że owa posiadłość znajdowała się tak blisko, nieustannie w zasięgu jej wzroku.

Rezydencja stała w całej swej okazałości i wydawała się jeszcze wspanialsza w porównaniu z naszą skromną siedzibą, noszącą nazwę „Lawendowej Willi”. „Cedrowy Dwór” był tym właściwym domem w Middlemore. Na okalających go trawnikach świętowano kościelne uroczystości, a jeden z pokoiów stał zawsze przygotowany na parafialne zebrania. W każdą Wigilię Bożego Narodzenia na dziedzińcu zbierał się chór śpiewający kolędy, a jego członków częstowano po występie grzonym winem z korzeniami i babeczkami z kremem. We dworze zatrudniano też wielu służących. Jednym słowem górował nad całym miasteczkiem.

Mama musiała przeżyć dwie tragedie. Nie tylko straciła stary dom, sprzedany po śmierci jej ojca, gdy został ujawniony ogrom jego długów, lecz również musiała przyjąć do wiadomości fakt, że „Cedrowy Dwór” został kupiony przez niejakich Carterów, którzy wzbogacili się na sprzedaży słodczy i wyrobów tytoniowych, prowadzonej w całej Anglii. Nowi właściciele okazali się nie do przyjęcia z dwóch względów – byli wulgarni i bogaci.

Ilekoć mama patrzyła w kierunku „Cedrowego Dworu”, jej twarz nabierała zaciętego wyrazu, a usta się zaciskały. Odczuwany przez nią gniew był aż nadto widoczny. Zdarzało się to oczywiście wtedy, gdy spoglądała przez okno swej sypialni. Wszystkie już dawno przyzwyczailiśmy się do jej codziennych złorzeczeń, naznaczały w tym samym stopniu życie zarówno jej, jak i nasze.

Meg mówiła:

– Byłoby lepiej, gdybyśmy się stąd od razu wyniosły. Z takiego patrzenia na stary dom przez całe dni nic dobrego nie wynika.

Pewnego dnia nawet zapytała moją mamę:

– Dlaczego nie mogłybyśmy się stąd wyprowadzić? Tak aby pani nie musiała patrzeć przez cały czas na to wszystko.

Zobaczyłam wyraz zgrozy na twarzy mamy i mimo swego młodego wieku pomyślałam wtedy: „Ona chce tutaj być. Nie zniosłaby innej sytuacji”. Wówczas nie mogłam tego zrozumieć. Później pojęłam, że lubowała się we własnym nieszczęściu i urazach.

Chciała mieć nadal taką samą pozycję, jak kiedyś, gdy mieszkała w „Cedrowym Dworze”. Pragnęła uczestniczyć w działalności charytatywnej organizowanej w parafii, odgrywać główną rolę przy urządzaniu went dobroczynnych i tego typu imprez. Irytowało ją, że letnie uroczystości nie odbywają się na naszym trawniku.

Meg wyśmiewała się z tego i mówiła do Amy:

– Co? Na tym skrawku trawy? Nie rozśmieszaj mnie!

Ja miałam guwernantkę, mama twierdziła, że nasza pozycja bezwzględnie tego wymaga. Nie stać jej było na wysłanie mnie do szkoły gdzieś daleko, pomysł zaś, bym uczęszczała do miejscowej, stanowczo odrzucała. Pozostawała zatem tylko ta jedna możliwość. Zaczęły więc przybywać guwernantki, lecz nie zagrzewały długo miejsca. Odwoływanie się do minionej świetności nie mogło zastąpić jej braku w „Lawendowej Willi”. Meg powiedziała mi, że przez

lata nazwa brzmiała „Lawendowa Chatka”, aż do chwili kiedy się tu wprowadziłyśmy, a przemalowanie jej na „Wille” niczego poza tym nie zmieniło.

Mama nie była zbyt rozmowna i chociaż słyszałam od niej wiele na temat chwały przeszłości, bardzo mało mówiła o sprawie, która mnie interesowała najbardziej – o moim ojcu.

Kiedy o niego pytałam, zaciskała wargi, przez co wyglądała jeszcze bardziej posągowo niż zwykle – właściwie tak samo, jak wtedy, gdy wspominała Carterów z „Cedrowego Dworu”.

Raz powiedziała:

– Nie masz ojca... obecnie.

Usłyszałam coś znaczącego w słowie „obecnie” i pauzie, która je poprzedziła, więc zaoponowałam:

– Ale kiedyś miałam.

– Nie mów głupstw, Fryderyko. Oczywiście, że każdy kiedyś miał ojca.

Dano mi na imię Fryderyka, gdyż takie właśnie nosiło wiele osób w rodzinie wywodzącej się z „Cedrowego Dworu”. Mama mówiła, że portrety sześciu Fryderyków wiszą tam w galerii obrazów. Dowiedziałam się, że był sir Fryderyk, nobilitowany po bitwie pod Bosworth, kolejny wyróżnił się pod Waterloo, jeszcze inny natomiast zabłysnął po stronie rojalistów w czasie Rewolucji Angielskiej. Gdybym była chłopcem, nazwano by mnie Fryderykiem. A tak, musiałam zostać Fryderyką, co nie brzmiało za dobrze. Usiłowałam skracać to imię i być Fredą, a nawet Fredem (to ostatnie prowadziło przy wielu okazjach do oczywistych pomyłek).

– Czy on umarł? – spytałam.

– Już ci mówiłam. Obecnie nie masz ojca. Na tym koniec dyskusji.

Z takiej odpowiedzi wywnioskowałam, iż mego ojca otacza jakaś tajemnica.

Nie pamiętałam, żebym go kiedykolwiek widziała. W istocie, nie pamiętałam, abym mieszkała gdzie indziej niż w tym domu. Błonia, domki, kościół – wszystko w cieniu „Cedrowego Dworu” – stanowiły cały mój świat w owym czasie.

Wiele godzin spędzałam w kuchni z Meg i Amy. To były najbardziej życzliwe dla mnie osoby. Zabroniono mi przyjaźnić się z ludźmi ze wsi. Jeśli zaś chodzi o mieszkańców „Cedrowego Dworu”, mama odnosiła się do nich z dystansem i chłodną uprzejmością.

Wkrótce zorientowałam się, że czuje się bardzo nieszczęśliwa.

Kiedy podrosłam, Meg dużo ze mną rozmawiała.

– Takie życie – powiedziała kiedyś – to w ogóle nie jest życie. „Lawendowa Willa”, dobre sobie. Każdy wie, że to „Lawendowa Chatka”. Nie zrobi się domu wielkim przez zmianę nazwy. Coś ci powiem, panienko Fredo... – W obecności mamy zawsze byłam panienką Fryderyką, ale gdy rozmawialiśmy sam na sam – Meg i ja – mówiła do mnie po prostu: „panienko Fredo” albo nawet „panienko Freddie”. Dla Meg imię Fryderyka też nie brzmiało swojsko, więc używała go tylko wtedy, gdy to już było konieczne. – Coś ci powiem, panienko Fredo. Trzeba rzeczy nazywać po imieniu, choćby się dla nich wymyśliło nie wiem jaką nazwę. I ja myślę, że lepiej by nam się mieszkało w ładnym, małym domku w Clapham... tam można by żyć bez udawania, że jest się kimś innym, niż się jest, tam można by mieć coś niecoś z życia.

Oczy Meg zwilgotniały z tęsknoty. Wychowała się na East Endzie w Londynie i uważała to za powód do dumy.

– Tam to było używanie – w sobotni wieczór na targowisku! Oświetlone stragany, na nich pyszne sercaki, małże, ślimaki, węgorki w galarecie. Ale smakołyki, no nie? A co my tu mamy? Niech mi panienska powie.

– Świąteczne uroczystości i chór kościelny, to znaczy towarzystwo śpiewacze.

– Niech mnie panienska nie rozśmiesza. Kupa zarozumiałców udających, że są kimś, kim nie są. Nie ma jak Londyn.

Meg lubiła opowiadać o wielkim mieście. Konnym autobusem można się zabrać prosto na West End. Pojechała tam w czasie obchodów jubileuszu jako mały dzieciak, zanim pomieszkało się jej w głowie i poszła do pracy na wsi, jeszcze przed przyjęciem na służbę do „Cedrowego Dworu”. Te uroczystości – to było coś. Widziała królową w karecie. Nie żeby tylko to miała do oglądania, ale co królowa, to królowa... i ona dawała to po sobie poznać.

– Tak, mogłybyśmy tam zamieszkać, zamiast tkwić tutaj. W jakimś ładnym, miłym miejscu. Może w Bromley by Bow albo w Stepney. Tam można by się urządzić. Tanio jak barszcz. Ale nie, my musiałyśmy osiąść tutaj. „Lawendowa Willa”! Ale tu nawet lawenda nie rośnie lepiej niż w naszym ogrodzie w Stepney.

Skoro Meg tak się rozmarzyła na temat życia w Londynie, to może i mnie mogłaby rozjaśnić pewne sprawy z przeszłości.

– Meg, byłaś u mamy bardzo długo, prawda? – spytałam.

– Całe piętnaście lat.

– To znałaś mego ojca.

Kiedy wracała myślą do londyńskich targowisk i węgorki w galarecie w sobotnie wieczory, z trudem udawało się ją odciągnąć od owych rozkosznych obrazów.

– O, z niego to był numer – powiedziała i zaczęła się śmieć.

– Jaki numer, Meg? – dociekałam.

– A, mniejsza z tym. – Kąciki jej ust uniosły się, co świadczyło o rozbawieniu. To musiało mieć związek ze wspomnieniami o mym ojcu. – Mogłam jej przepowiedzieć.

– Co mogłaś przepowiedzieć?

– Że to nie przetrwa. Powiedziałam do kucharki – mieliśmy wtedy kucharkę, była trochę herod-babą, a ja – nic wielkiego, tylko dziewczyną do pomocy w kuchni. Powiedziałam jej: „To nie potrwa długo. On nie z tych, co się ustatkują, a ona nie taka, żeby zbyt wiele cierpliwie znosić”.

– A do kogo miała mieć cierpliwość?

– Do niego, oczywiście. A on musiał mieć cierpliwość do niej. Powiedziałam więc do kucharki: „To się nie uda” i miałam rację.

– Nie pamiętam go.

– Nie miała panienka więcej niż rok, kiedy odszedł.

– Gdzie odszedł?

– Pewnie z nią... z tą drugą.

– Czy nie sądzisz, że już czas, żebym się dowiedziała?

– Pewnie się panienka dowie, jak przyjdzie pora.

Tego dnia rano stosunki między Meg a mamą wyraźnie się oziębily, gdyż mama orzekła, że wołowina była za twarda. Meg odcięła się, że skoro nie kupujemy najlepszej, to musi być twarda, na co mama odparła, że należało trochę dłużej dusić mięso. Meg o mało nie złożyła wymówienia, a to zawsze stanowiło najmocniejszą broń w takich konfliktach. Skąd wzięłybyśmy taką drugą Meg? Dobrze mieć kogoś, kto jest w rodzinie od lat. Co do Meg, to nie przypuszczałam, żeby naprawdę chciała odejść. To była tylko groźba na wypadek kryzysu: żadna z nich do końca nie wiedziała, czy jedna, doprowadzona do ostateczności, nie podejmie rozstrzygającej decyzji, a druga nie znajdzie się w sytuacji, z której bez uszczerbku na godności nie mogłaby się wycofać.

Nieporozumienie zostało zażegnane, lecz Meg czuła się urażona. Łatwiej mogłam wyciągnąć od niej pewne informacje, gdy była w takim nastroju.

– Meg, czy wiesz, że mam prawie trzynaście lat? – spytałam.

– Oczywiście.

– Chyba już jestem wystarczająco dorosła.

– Ma panienka głowę na karku, to muszę przyznać. I nie jest panienka do niej podobna.

Wiedziałam, że Meg żywi do mnie ciepłe uczucia. Słyszałam kiedyś, jak w rozmowie z Amy nazwała mnie „tym biednym maleństwem”.

– Uważam, że powinnam wiedzieć więcej o ojcu – nastawałam.

– Ojcowie... – powiedziała, wracając do własnej przeszłości, jak to miała w zwyczaju – ...potrafią być dziwni. Można trafić na bardzo dobrego, ale są i tacy, co bez zastanowienia chwytają za pasek. Jak mój. Powiesz słowo, które mu się nie spodoba, a już odpina pas i nie ma dla ciebie ratunku. Sobotnie wieczory... Cóż, miał skłonność do kieliszka, a kiedy wtaczał się pijany, należało schodzić mu z drogi. Tacy bywają ojcowie.

– To musiało być okropne. Opowiedz, proszę, o moim.

– Był bardzo przystojny. Stanowili piękną parę. Chodzili na pułkowe bale i wyglądali razem jak z obrazka. Pani nie miała wtedy takiej zgorzkniałej miny, no, w każdym razie nie zawsze. Stawałyśmy przy oknie i patrzyłyśmy, jak wsiadają do powozu, on w tym swoim mundurze... – Z błyszczącymi oczami pokiwała głową.

– Pułkowe bale? – nakłaniałam ją do dalszej opowieści.

– Przecież on służył w wojsku, no nie? Kucharka twierdziła, że miał wysoką rangę... był oficerem, majorem czy kimś takim. O, i przystojnym facetem. Miał – jak to się mówi – powłóczyście spojrzenie.

– Co to takiego?

– O, lubił się rozglądać.

– Za czym?

Szturchnęła mnie lekko i poznałam z jej miny, że nie ma zamiaru ciągnąć dalej tego wątku, toteż pospiesznie spytałam znowu:

– Co się z nim stało? Czy poszedł na wojnę?

– Nic mi o tym nie wiadomo. Przecież nie było wojny, więc nie mógł iść. Przenosiliśmy się z miejsca na miejsce. Tak się dzieje w wojsku. Gdzieś się urządzisz, a tu wszystko rzucasz i znowu dalej. Marsze, orkiestry i takie różne. To było prawdziwe życie.

– A ty jeździłaś z nimi?

– O tak. Służyłam u mamy panienki, jeszcze zanim wyszła za mąż. Wyprawiono wielkie wesele... w „Cedrowym Dworze”. Do dziś mam ją przed oczami, jak wychodzi z kościoła. Wtedy nie było pastora Mathersa. Zaraz, a kto tu był?

– Wszystko jedno. I co dalej?

– Wyjechali w podróż poślubną... a potem mieszkaliśmy na kwaterach, tam gdzie stacjonował pułk. Nie minęły trzy miesiące i zmarł dziadek panienki. Zaczęło się zamieszanie

ze sprzedażą „Cedrowego Dworu”, przyjechali Carterowie. Cóż, ja wiedziałam, że to długo nie potrwa. On nie był materiałem na męża. I jakaś się zjawiała...

– To znaczy, jak już się ożenił? Z mamą?

– Dla niektórych to bez różnicy. Nie mogą się powstrzymać. Chyba.

Coraz bardziej mnie to interesowało i bałam się, że z jakiejś przyczyny Meg przerwie ten potok słów, może nagle sobie uświadomi, że za dużo mówi do dziewczynki w moim wieku.

– Cóż, ty, panienko, byłaś w drodze, a to już różnica. Ona nie mogła robić z tego szumu, no nie?

– A potem?

– Tak to trwało. Urodziłaś się, ale wciąż nie układało się dobrze. Zaczęły krążyć plotki, lecz ona nie chciała nic z tym robić. Zawsze była pierwsza do zachowania pozorów.

– Co to znaczy, Meg?

– No, wiedziała o tej drugiej. Tamta była z tych wesołych, trochę flirciara. A jemu to odpowiadało, no nie? Ale miała męża. Przyłapał ich... na gorącym uczynku można rzec. Zrobił się już klasyczny skandal. Rozwiedli się i on się chyba z tamtą później ożenił. Żyli sobie długo i szczęśliwie, tak myślę. Matka panienki nigdy się z tym nie pogodziła. Gdyby dwór nie został sprzedany, mogłaby tam wrócić i może nie ułożyłoby się tak źle. Ale po sprzedaży domu niewiele zostało, trzeba było spłacić długi. Tę resztę podzielono między nią i pannę Zofię. Panna Zofia kupiła sobie jakiś dom, a panienki matka ten. Coś tam dostała od panienki ojca... ale wiadomo, jak to jest.

– Czy on jeszcze żyje?

– Żyje i bryka, tak myślę. Po tym wszystkim panienki mama nie doszła już do siebie. Nigdy o tym nie rozmawia. Gdyby tylko mogła wrócić do „Cedrowego Dworu”, pewno byłoby lepiej. No ale o tym wszystkim ani słowa. Tyle że panienka pytała o ojca, a każdy ma prawo wiedzieć, kim jest.

– Ciekawe, czy kiedyś go poznam.

Potrząsnęła głową.

– On tu nie przyjedzie, kochanie. Ale coś panience powiem, miłszego dżentelmena nie mogłabyś znaleźć. Tylko że... wiesz, jak to jest z niektórymi ludźmi. Nie pasują do siebie i ich drogi się rozchodzą, i dlatego znalazłyśmy się tutaj, w „Lawendowej Chatce”... Och, bardzo przepraszam, w „Lawendowej Willi”.

Tyle mi już powiedziała, że trudno jej było dalej zbywać mnie milczeniem, więc kiedy tylko mogłam umknąć guwernantce, czyhałam na nowe wiadomości.

Tak naprawdę nic nie miała przeciw temu. Plotkowała z upodobaniem. Dowiedziałam się, że marzyła się jej praca w domu, gdzie zatrudniano by mnóstwo służby. W takim miejscu miała posadę jej siostra, gdzieś w Somerset.

– Jest lokaj, gospodyni, podkuchenne, pokojówki... i inni. Mają powóz, więc są tam stajnie i takie różne. W takim domu wiele się dzieje. A tu... nic z tych rzeczy.

– Zastanawiam się, dlaczego nadal jesteś tutaj, Meg.

– Cóż, bo można się dostać z deszczu pod rynnę.

– To my tu mamy deszcz?

– Można tak powiedzieć.

– Opowiedz mi o moim ojcu.

– Już panience opowiadałam, no nie? Tylko żeby się mama nie dowiedziała, co mówiłam. Ale według mnie miałaś prawo wiedzieć... co nieco. Pewnego dnia sama ci powie... jak to ona widziała oczywiście. Ja jednak uważam, że on musiał swoje odcierpieć, tyle że zawsze są dwie strony. On był raczej takim żartownisiem. Wszystkie służące za nim przepadały. Był dla nich bardzo miły.

– Ty chyba jesteś po jego stronie.

– Na pewne sprawy nie ma rady. Druga kobieta i to wszystko. Chyba został w jakiś sposób sprowokowany... skoro panienki mama była taka, jaka była... a on taki, jaki był...

Kiedyś w czasie takiej rozmowy do kuchni weszła mama. Zdziwiła się, że mnie tam zastała.

– Meg – powiedziała – chcę ustalić z tobą menu na dzisiejszy wieczór.

Meg wzniosła oczy do nieba, a ja się wymknęłam. Wczoraj miałyśmy polędwicę wołową, więc reszta musiała być dzisiaj podana na zimno, ale mama zawsze przychodziła do kuchni omawiać z Meg menu. Chętnie posłałaby po nią, lecz musiałyby to polecieć Amy, gdyż nikogo innego nie miałyśmy, co oznaczało, że trzeba by oderwać ją od jakiegoś zajęcia, a ona i tak była powolna. W „Lawendowej Willi” nie zainstalowano jeszcze dzwonek, gdyż za wiele by to kosztowało. Wyznaczenie stałego czasu spotkań nie wchodziło w grę, ponieważ – jak się wyraziła Meg – ona i tak z pośpiechu gubi kaptcie i nie można jej krępować terminami. Nie było więc innego sposobu i mama musiała przychodzić do kuchni.

Zastanawiałam się, czy nie udałoby się wytłumaczyć mamie, że maniery wielkiej pani na włóściach są dość śmieszne w naszym położeniu. Przypomniały mi się słowa Roberta Burnsa:

I dar mieć taki w każdym czasie, by widzieć siebie tak, jak inni widzą nas.

Co to byłby za dar, w szczególności gdyby posiadała go moja mama. Wtedy może mąż by jej nie opuścił, a ja znalazłbym swego ojca. Wyobrażałam go sobie jako wesołego mężczyznę o iskrzących się oczach, wywołujących pożądaną reakcję u kobiet takich jak Meg.

Już ją widziałam przy innej okazji, z zalotną miną, jaką przybierała, gdy wspominała mego ojca. Miało to miejsce w sklepie rzeźnika z powodu właściciela, pana Burra, który wołał: „Brać, brać, wybierać”, rąbiąc mięso na pieńku. Był wesołym człowiekiem; nosił fartuch w niebieskie i białe pasy i zawadiacko przekrzywiony słomkowy kapelusz. Jego oczy rzucały figlarne błyski, gdy żartował z klientami – w większości kobietami.

Meg twierdziła, że jego dowcipy są na granicy przyzwoitości, niemniej wszyscy się z nich śmiali.

Pewnego razu rzekła do niego:

– Niech pan powściągnie język, młody człowieku, i tak sobie nie pozwala.

Mrugnął do niej i odpowiedział:

– Paniusia uderza dzisiaj w wysoki ton. Jak pani pozwoli sobie pójść ze mną na tyły sklepu, to się pogodzimy.

– Idźże pan, idźże. A to zuchwały, młody czort! – odparła z błyskiem w oku.

Mój ojciec należał do tych mężczyzn, którzy potrafili wywołać u Meg taki sam nastrój, jaki ogarniał ją w towarzystwie pana Burra, rzeźnika.

To było znaczące i dawało do myślenia.

Wyruszyłam na plebanię, gdyż miałam przekazać pastorowi Janowi Mathersowi liścik od mamy. Często porozumiewała się z nim w ten sposób, gdy była z czegoś niezadowolona.

Tym razem chodziło o jakieś nieporozumienie dotyczące przyozdobienia kościoła kwiatami. W zeszłym roku, narzekała mama, kompozycja była całkiem nieudana. Pani Carter i panna Allder nie miały żadnego pomysłu. Ale czego można się spodziewać po nowobogackiej sklepikarce, która dorobiła się na sprzedaży słodczy i wyrobów tytoniowych? Jej propozycja okazała się zwyczajnie wulgarna. Co do panny Allder, to owo niezbyt rozgarnięte stworzenie, zbzikowane na punkcie pastora, pozostawało niewątpliwie marionetką w rękach pani Carter. Powierzenie im dekoracji kościoła było absurdem, skoro mama miała ogromne doświadczenie w tych sprawach z czasów, gdy mieszkała w „Cedrowym Dworze” i gdy ludzie szlachetnie urodzeni mieli jeszcze jakieś wpływy w parafii.

Wiedziałam, że mama będzie strasznie cierpieć z powodu tego, co w istocie nie miało żadnego znaczenia. Odsuwanie jej od takich spraw traktowała jako uchybienie jej godności, a to już miało dla niej znaczenie podstawowe. Napisała kilka wersji liściku do pastora Mathersa, które kolejno darła, złościąc się coraz bardziej. To była jedna z sytuacji, które wprowadzały ją w stan napięcia nieproporcjonalnego do wagi problemu.

Po pierwszych rozmowach z Meg o moim ojcu próbowałam zachęcić ją do dalszych zwierzeń, lecz wiele nowego się nie dowiedziałam, chociaż upewniłam się, że trzymała raczej stronę ojca niż matki.

Był śliczny, wiosenny dzień. Szłam przez błonia koło ławki nad stawem, gdzie siedziało dwóch starszych mężczyzn, których znałam z widzenia, gdyż przesiadywali tam prawie całe dnie. Zapewne pracowali kiedyś na farmie, ale obecnie, jako za starzy na taką robotę, spędzali czas na pogawędkach. Ukłoniłam się im, kiedy przechodziłam.

Skręcałam w dróżkę wiodącą do plebanii. O tej porze roku wieś wyglądała pięknie: kasztanowce stały w kwiatkach, a przy płotach rosły już fiołki i zajęczy szczawik. Co za kontrast między tym widokiem a węgorzami w galarecie na targu, tak czule wspomnianymi przez Meg!

Zaśmiałam się, gdyż rozbawiło mnie to, że mama wzdychała za dawną świetnością, Meg zaś za londyńskimi ulicami. Może ludzie pragną właśnie tego, czego nie mają.

No i znalazłam się przed plebanią – dużym domem z szarego kamienia, z ładnym ogrodem od frontu i cmentarzem rozciągającym się na tyłach budynku. Pastor przyjął mnie w pokoju, którego późnogotyckie okna wychodziły na cmentarz. Panował tam dość duży rozgardiasz, pan Mathers siedział przy biurku zarzuconym papierami.

– O, panna Hammond – przywitał mnie, odsuwając okulary ponad czoło.

Był łagodnym człowiekiem i od razu dostrzegłam wyraz obawy w jego łzawiących szarych oczach. Najbardziej cenił sobie spokój, prawdopodobnie zaś miał podstawy przypuszczać, że powstało zagrożenie owego błogosławionego stanu, gdyż często się tak zdarzało, jeśli chodziło o moją mamę.

Kiedy powiedziałam, że mam liścik od mamy, jego złe przeczucia się potwierdziły.

– Chyba oczekuje odpowiedzi – zasugerowałam cicho, wręczając mu kopertę.

– O tak... tak. – Zsunął okulary na nos i odwrócił się nieco ode mnie, żebym nie mogła zauważyć jego reakcji na zarzuty mamy. – Ojej, ojej – wyjęczał prawie przerażony. – Chodzi o kwiaty na Wielkanoc. Pani Carter je dostarczyła, więc siłą rzeczy...

– Oczywiście – powiedziałam.

– I ona... ee... poprosiła pannę Allder o pomoc przy ich układaniu i chyba panna Allder wyraziła zgodę. Więc jak widać...

– Tak, rozumiem. To oczywiste.

Uśmiechnął się do mnie z wdzięcznością.

– Więc jeżeliby panienka mogła przekazać mamie przeprosiny i wytłumaczyć, że osobiście nic nie mogłem zrobić, to chyba pisemna odpowiedź byłaby niepotrzebna.

Znałam swoją mamę i zrobiło mi się go żal.

– Wytłumaczę jej – obiecałam.

– Dziękuję, panno Hammond. Proszę przekazać wyrazy ubolewania.

– Dobrze – odrzekłam.

Opuściłam plebanię, lecz nie spieszyłam się do domu. Wiedziałam, że wybuchnie burza. Ogarnęła mnie irytacja. Co to ma za znaczenie, kto układa kwiaty? Dlaczego ona tak się tym przejmuje? Tu nie chodziło o kwiaty. Oto ujawnił się i straszyl nieśmiertelny duch przeszłości, kiedy miała jeszcze wpływy, kiedy to ona dostarczała kwiaty. Ona decydowała, jak ozdobić kazalnicę, a jak ołtarz. A przecież wszystko było tak mało ważne. Czułam złość i jednocześnie współczułam mamie.

Marudziłam po drodze, zastanawiając się, jak jej przekazać ową wiadomość.

Czekała już na mnie.

– Długo cię nie było. Więc jak? Masz list z odpowiedzią?

– Nie było potrzeby odpisywać – odrzekłam, po czym powtórzyłam mamie wyjaśnienia pastora: – Pani Carter już dostarczyła kwiaty i poprosiła pannę Allder o pomoc, a ta się zgodziła.

Mama wytrzeszczyła na mnie oczy, jakbym obwieściła jej jakieś nieszczęście.

– Nie! – wykrzyknęła.

– Niestety, tak mi powiedział pan Mathers. Bardzo mu w związku z tym przykro i chyba naprawdę się zmartwił, że będziesz urażona.

– Och, jak śmiał! Jak on śmiał!

– Zrozum, tłumaczył, że nic nie mógł na to poradzić, skoro pani Carter już dostarczyła kwiaty.

– Ta wulgarna kobieta!

– To nie wina pastora.

– Nie jego wina!

Jej zazwyczaj blada twarz oblała się purpurą. Cała się trzęsła, wargi jej drżały.

– Posłuchaj, mamo – powiedziałam – chodzi tylko o kwiaty do kościoła na Wielkanoc. Czy to takie ważne?

Przymknęła oczy. Widziałam puls bijący w żyłce na jej skroni. Z trudem łapała oddech, a potem się zachwiała. Podbiegłam do mamy i ledwie zdołałam ją powstrzymać przed upadkiem. Spostrzegłam, że piana występuje jej na usta.

Chciało mi się krzyknąć: „To absurd! To śmieszne!”, lecz się przeraziłam nagle. To było coś więcej niż zwykły atak wściekłości.

Na szczęście w pobliżu stał fotel, więc ułożyłam w nim mamę i zawołałam Meg.

Z pomocą Meg i Amy zaniiosłyśmy mamę do łóżka. Przyjechał lekarz i Meg zaprowadziła go do pokoju chorej, podczas gdy ja podsłuchiwałam pod drzwiami. Na schody weszła panna Glover, moja guwernantka.

– Co się stało?

– Mama zachorowała.

Panna Glover usiłowała zrobić współczującą minę, lecz nie za bardzo jej się to udało. Była jedną z tych, które się u nas zaczęły do czasu znalezienia lepszej posady.

Zabrała mnie do saloniku, gdzie czekałyśmy na wyjście lekarza.

Słyszałam, jak schodzi po schodach z Meg i mówi:

– Wpadnę jeszcze po południu. Wtedy zobaczymy.

Meg podziękowała mu i weszła do saloniku. Spojrzała na mnie oczami pełnymi niepokoju. Wiedziałam, że raczej boi się o mnie niż o mamę.

– Co się stało? – zapytała panna Glover.

– Powiedział, że to atak apopleksji... wylew.

– Co to znaczy? – nie rozumiałam.

– Jest niedobrze. Ale jeszcze nie wiadomo, co będzie. Musimy poczekać.

– Okropne – rzekła panna Glover. – Czy... czy ona...?

– Nie jest jeszcze pewien. Wróci. Jej stan jest... raczej bardzo zły.

– Czy przyszła do siebie po omdleniu? – spytałam.

– Dał jej jakieś lekarstwo. Według niego nie będzie zdawała sobie sprawy z własnego stanu... na razie. Doktor jeszcze przyjdzie i przywodzi ze sobą doktora Eghama.

– To brzmi strasznie – powiedziałam. – Ona musi być poważnie chora.

– Chyba tak. – Meg spojrzała na mnie posępnie.

Panna Glover podniosła się z krzesła.

– Jeżeli mogłabym się do czegoś przydać... – Z tymi słowami wyszła z pokoju.

Tak naprawdę wcale jej to nie obchodziło. Ranną pocztą otrzymała list zapewne z propozycją objęcia nowej posady, bardziej odpowiadającej jej oczekiwaniom niż udzielanie nauk dziewczynce w wiejskim domku, niezależnie od tego, czy nazywano go willą; zatrudnienia u jakiejś damy z wielkiego świata, która nie musiała różnymi sposobami udowodniać swych pretensji do wysokiej pozycji. Zaczynałam czytać w ludzkich myślach. Byłam zadowolona, że ta kobieta wyszła; Meg natomiast naprawdę się przejęła.

– Co to wszystko znaczy? – zapytałam.

– Tyle wiem, co ty, kochana. Ona jest chyba ciężko chora. Moja ciotka Jane dostała czegoś podobnego i połowę ciała miała unieruchomioną. Nie mogła też mówić... bełkotała. Trwało to cały rok. Była jak dziecko.

– O nie... nie!

– Czasami tacy ludzie już nie dochodzą do siebie. To może się przydarzyć każdemu z nas w każdej chwili. Człowiek zabiega o swoje sprawy, a Bóg w jednej chwili może powalić go chorobą.

Bez przerwy myślałam o mamie, dystygowanej, dumnej ze swego pochodzenia, z gniewem i goryczą znoszącej odmianę losu. Rozumiałam ją jeszcze bardziej niż przedtem i pragnęłam móc jej to powiedzieć.

Ogarnęło mnie przerażenie, że może nigdy nie będę w stanie tego zrobić, później zaś poczułam gniew. Wszystko przez te głupie kwiaty na Wielkanoc! O nie! To w niej narastało – cała ta złość, gniew, rozgoryczenie, urazy. Kwiaty jedynie doprowadziły owe uczucia do szczytu po latach przepelnionych zazdrością i dławionymi pretensjami do losu.

Lekarz wrócił, przyprowadzając ze sobą doktora Eghama. Długo siedzieli u mamy. Była z nimi Meg. Gdy zeszli do saloniku, posłali po mnie.

Doktor Canton patrzył tak dobrotliwym wzrokiem, że zaczęłam się bać najgorszego.

– Twoja mama jest ciężko chora – powiedział. – Istnieje możliwość, że jej stan się poprawi. Ale niestety będzie poważnie upośledzona. Tacy ludzie wymagają opieki. – Spojrzał na mnie niepewnie, po czym zwrócił oczy z wyrazem większej nadziei na Meg.

– Poczekamy parę dni, w tym czasie coś się może wyjaśnić. Są jacyś krewni?

– Mam ciocię – odrzekłam. – Siostrę mamy. Twarz mu pojaśniała.

– Gdzieś daleko?

– Mieszka w Wiltshire.

– Uważam, że niezwłocznie powinnaś ją zawiadomić o tym, co się stało.

Skinęłam głową.

– No tak – mówił dalej. – Poczekamy i zobaczymy... powiedzmy do końca tygodnia. Do tej pory będziemy już wszystko wiedzieli.

Doktor Egham uśmiechnął się łagodnie, jakby chciał mi dodać odwagi, a doktor Canton pocieszająco poklepał mnie po ramieniu. Czułam się zbyt oszołomiona, żeby płakać, lecz łzy już czały pod powiekami.

– Miejmy nadzieję, że wszystko będzie dobrze – rzekł doktor Canton. – A tymczasem zawiadom ciotkę o tym, co się stało. – Obrócił się do Meg. – Niewiele może pani tu pomóc. Gdyby zaszła jakaś zmiana, proszę dać mi znać. Wpadnę jutro.

Kiedy wyszli, patrzyłyśmy się na siebie z Meg w milczeniu.

Zastanawiałyśmy się, co się z nami stanie.

Ciocia Zosia przyjechała pod koniec tygodnia. Gdy tylko ją zobaczyłam, z radości rzuciłam jej się w ramiona. Przytuliła mnie, po czym popatrzyła podobnymi do rodzynek oczami, które ze wzruszenia były trochę zamglone.

– Moje dziecko – powiedziała. – Co się porobiło! Biedna twoja mama. Musimy się zastanowić, jak się z tym wszystkim uporać.

– To jest Meg – przedstawiłam ją ciotce.

– Witaj, Meg. Wiem, że to dla was wielki cios. Cóż, stało się. Jakoś sobie z tym poradzimy.

– Może zechciałaby pani najpierw pójść do swego pokoju, panno Cardingham? – spytała Meg.

– Chyba tak. Trzeba zanieść ten bagaż. Co za podróż!

– A potem zapewne będzie pani chciała zobaczyć się z panią Hammond.

– Oczywiście. Jak się teraz miewa?

– Chyba nie bardzo zdaje sobie sprawę z tego, co się stało. Może pani nie poznać, panno Cardingham.

– No to pójdę i umyję ręce. Chodź ze mną, Fryderyko. Poszłyśmy do przygotowanego dla niej pokoju i Meg zostawiła nas same.

– Dobra kobieta, ta Meg – odezwała się ciocia Zosia, wskazując głową drzwi, za którymi właśnie zniknęła służąca.

– O, tak.

– To musi być dla niej kłopot. Trzeba się zastanowić, jak wszystko ułożyć. Co powiedział lekarz?

– Nie daje wiele nadziei na całkowity powrót mamy do zdrowia. Oni obaj uważają, że ktoś powinien się nią zaopiekować.

Pokiwała głową.

– No, teraz ja tu jestem. – Uśmiechnęła się do mnie ze smutkiem. – Moje biedactwo... Ty musisz mieć... ile właściwie masz lat?

– Trzyście – odrzekłam.

– Hm – mruknęła.

Amy przyniosła gorącą wodę. Ciocia się myła, a ja siedziałam na łóżku i przyglądałam się jej. Wycierając ręce, podeszła do okna i wyjrzała przez nie. Na jej twarzy pojawił się grymas.

– Nasz dawny dom – powiedziała. – Twoja mama miała go przed oczami przez cały czas.

Skinęłam głową.

– Ten widok ją denerwował.

– Wiem. Szkoda, że nie mogła od razu przenieść się stąd gdzieś daleko.

– Nie chciała.

– Znam swoją siostrę. No cóż, teraz i tak za późno. – Obdarzyła mnie czułym uśmiechem. – Trzyście lat. Za młody wiek na dźwiganie takiego ciężaru. Powinnaś cieszyć się życiem. Młodość jest jedna.

Zwróciłam uwagę, że mówi w charakterystyczny sposób – urywanymi zdaniami i przeskakuje z tematu na temat.

– Trudno – ciągnęła. – Już się nie odstanie. Trzeba z tym żyć. Nie bój się, stara ciotka znajdzie jakiś sposób. Meg była u was długo?

– Zawsze – potwierdziłam. Wskazała głową w kierunku okna.

– Była tam z nami. Dobra kobieta. Nie ma takich wiele. Zaprowadziłam ciocię do mamy, ale wiedziałam, że ta jej nie pozna. Widok mamy był dla mnie wprost nie do zniesienia. Patrzyła przed siebie pustym wzrokiem, poruszając wargami. Przypuszczałam, że usiłuje coś powiedzieć, jednak żadna z nas nie mogła zrozumieć mamrotania wydobywającego się z jej ust.

Nie zostałyśmy u niej długo. Nie było sensu.

– Biedna Karolina – powiedziała ciocia Zosia. – Pomyśleć, na co jej przyszło. Mam nadzieję, że nie jest tego świadoma. To by ją bardzo przygnębiło. – Odwróciła się i objęła mnie ramieniem. – Nie martw się, drogie dziecko. Coś wymyślimy.

Od czasu przyjazdu cioci Zosi poczułam się o wiele lepiej.

Kiedy doktor Canton przyszedł z wizytą, był najwyraźniej uradowany, że ciotka już przyjechała. Odbył z nią długą rozmowę po zbadaniu mamy. Po jego wyjściu ciocia Zosia zabrała mnie do swego pokoju i wyjaśniła mi sytuację.

– Jesteś bardzo młoda – powiedziała – ale czasami musimy przyjmować ciosy... bez względu na to, ile mamy lat; takie rzeczy się zdarzają. Będę szczerą: twoja mama jest rzeczywiście poważnie chora i potrzebuje fachowej opieki. Meg to dobra i silna kobieta, ale sama nie da rady. Dużo o tym myślałam. Mogłybyśmy zatrudnić pielęgniarkę, lecz nie byłoby to łatwe. Trzeba by ją utrzymywać i jej usługiwać. Jest także inna możliwość, mama mogłaby iść do domu dla ludzi przewlekle chorych i tam miałyby fachową opiekę. Jest taki niedaleko miejsca, gdzie mieszkam. Mogłybyśmy ją tam umieścić.

– Czy to by dużo kosztowało?

– A, widzę, że masz głowę na karku. – Ciocia zaśmiała się w sposób, który mamie tak działał na nerwy, a dla mnie był kojącą muzyką. Pierwszy raz usłyszałam jej śmiech, odkąd do nas przyjechała. – Tak, moja droga, to będzie kosztowało. Istotnie. Ja nie mam takich kłopotów pieniężnych jak twoja mama. Mieszkam w małym domku i zatrudniam tylko jedną służącą – moją dobrą i wierną Lily. Nie muszę zachowywać pozorów. Dobrze mi tam, mamy duży ogród i same hodujemy warzywa. W porównaniu z twoją mamą, choć dostałyśmy taki sam udział w tym, co zostało po sprzedaży posiadłości naszego biednego ojca, żyję we względnym dobrobycie. Niestety, nie jestem na tyle bogata, żeby utrzymać twą mamę w takim zakładzie, ale mam pewien plan. – Spojrzała na mnie z wielką czułością. – Zawsze miałam do ciebie słabość, Fryderyko. Cóż to za pompatyczne imię! Oczywiście, tylko takie mogła ci wybrać. Ja zawsze myślałam o tobie raczej jako o Freddie.

– To brzmi... sympatycznie – odrzekłam i pomyślałam: Mam nadzieję, że ona nie wyjedzie.

Chciałam kurczowo ją przytrzymać i błagać, żeby została. Natchnęła mnie otuchą, że wszystko nie jest tak beznadziejne, jak się wydaje.

– Więc dobrze, jesteś Freddie. Posłuchaj, masz trzynaście lat. Nie możesz tu zostać sama, to jasne. Chcę ci zaproponować – jeżeli taki pomysł by ci się spodobał – żebyś zamieszkała u mnie. Masz właściwie tylko mnie. Obawiam się, że wybór jest niewielki.

Uśmiechnęłam się do niej słabo.

– Cóż, nie jestem taka zła i mam wrażenie, że dobrze by się nam razem ułożyło.

– A co z... – spytałam.

– Do tego zmierzam. Będzie trochę zamieszania, Meg i ta młoda dziewczyna muszą sobie poszukać innej pracy. Dom trzeba sprzedać, a za uzyskane pieniądze można będzie opłacić

opiekę nad twoją mamą... W ten sposób i z tymi niewielkimi dochodami, jakie ona ma, dałybyśmy sobie jakoś radę. Zamieszkaj ze mną. Szczerze mówiąc, Freddie, nie widzę innego wyjścia. Rozmawiałam z doktorem, uważa, że to dobry pomysł. Nie tylko dobry, lecz jedyny sensowny.

Nie byłam w stanie wydobyć z siebie słowa. Czulałam, że mój dotychczasowy świat się wali. Popatrzyła na mnie uważnie i powiedziała:

– Powinno nam się udać. Lily czasami trochę pokrzykuje, ale to z dobrego serca. To jedna z najlepszych kobiet pod słońcem, a ja też nie jestem taka zła. Zawsze lubiłam młodzież.

W jednej chwili rzuciłam się do niej i mocno objęłam ramionami.

– No, no, już dobrze – powiedziała uspokajającym tonem ciocia.

Meg oświadczyła:

– Nie będzie łatwo po tylu latach, ale ona ma rację, to jedyne wyjście. Sama nie dałabym sobie rady, a nie zniosłabym pielęgniarek w domu. Potrafią mieć swoje grymasy – żądają a to tego, a to owego, nie tylko dla pacjenta, ale i dla siebie. Najgorsze będzie rozstanie z panienką, panno Fredo.

– Będziesz musiała znaleźć sobie inną posadę, Meg.

– Już napisałam do siostry, tej z Somerset. Jest tam jeden wielki dom i mówiła, że właściciele zawsze potrzebują ludzi. Nie wiadomo jak mi tam będzie... ale dobre i to na początek. Zawsze chciałam pracować w takim domu. Przecież zaczynałam w „Cedrowym Dworze”, no nie? Wspomniałam o Amy, że może i dla niej mogłoby się coś znaleźć.

– Och, Meg, będę tęskniła za tobą!

– A ja za tobą, kochana. Ale takie jest życie. Ciągłe zmiany. Myślę, że będzie ci dobrze u panny Zofii. Pamiętam ją z dawnych czasów, niezły był z niej numerek. Czasami rozrabiała, lecz zawsze chciała dobrze, a tylko to się liczy. Będzie ci z nią weselej niż z mamą.

– Mam nadzieję, że wszystko dobrze się ułoży.

– Na pewno. Kiedy się pojawiła, to zaraz rzuciła – jak to się mówi – nowe światło na tę smutną sprawę. Musimy spojrzeć prawdzie w oczy, twoja mama nie ma szans na powrót do zdrowia. Powinna mieć właściwą opiekę i w tym zakładzie będzie taką miała. Możesz ją często odwiedzać. To najlepsze rozwiązanie. Zaufaj pannie Zofii, ona zawsze potrafiła rozwiązywać problemy.

Tak rzeczywiście się stało. Dom został wystawiony na sprzedaż, a ze względu na ładne usytuowanie zgłosili się potencjalni nabywcy. Ciocia Zosia okazała się niezwykle trzeźwo myślącą kobietą. Zdecydowała, że służące pozostaną tak długo, dopóki nie znajdą sobie innej posady. Nie można ich przecież wyrzucić z domu.

I w tym względzie dopisało nam szczęście. Siostra Meg odpisała, że znalazła dla niej posadę. Wprawdzie tylko pokojówki, lecz to już coś i można mieć nadzieję na awans. Amy

chwilowo niczego nie mogła zapewnić, ale w sąsiedztwie było wiele dużych domostw, z których służące przyjaźniły się ze sobą, więc już słyszała, że w jednym z nich szukają pomocy do sprzątania i gotowania. Szepnie za nią słowo i w końcu zostanie zaprotegowana u kogo trzeba.

Wiadomości zatem były optymistyczne, nadzieje nas nie zawiodły.

Wydawało się, że ciocia Zosia zjawiała się u nas niczym dobra wróżka, dokonująca czarów za pomocą magicznej różdżki.

Spytałam ją któregoś dnia:

– A co z moim ojcem?

– O co ci chodzi? – odpowiedziała pytaniem i tonem, jak na nią, dość gorzkim.

– Czy nie powinien się dowiedzieć?

Pomyślała przez chwilę, po czym pokręciła przecząco głową.

– Ale jednak – zauważyłam – on jest jej mężem... i moim ojcem.

– Tak, lecz to już skończone, przecież wiesz. Wzięli rozwód.

– No ale on przecież gdzieś żyje i nadal jest moim ojcem.

– To wszystko było bardzo dawno.

– Pewnie około dwunastu lat temu.

– Do tej pory ułożył sobie nowe życie.

– Z nową rodziną.

– Być może.

– Więc myślisz, ciociu, że ojciec mną się nie interesuje? Uśmiechnęła się i jej rysy złagodniały.

– Lubiałś go, prawda? – zapytałam.

– Jak większość ludzi. Oczywiście nie zawsze zachowywał się... poważnie.

Czekałam, co powie dalej, lecz milczała, więc znowu spytałam:

– Czy nie sądzisz, że powinien wiedzieć? A może uważasz, że nie chciałby, aby mu o nas przypominać?

– To mogłoby być... krępujące. Kiedy ludzie się rozwodzą, czasami stają się wrogami. On należał do tych mężczyzn, którzy nie lubią kłopotów... unikają problemów. Nie, kochanie, zapomnijmy o tym wszystkim. Jedziesz do mnie, do nowego domu.

Zadumałam się nad tym, co mówiła. Położyła swą dłoń na mojej.

– Jest takie powiedzenie: „Nie wywołuj wilka z lasu” – powiedziała.

– Znam je.

– Jak go wywołasz, może być wiele zamieszania, również nieprzyjemnego. Jedziemy do Wiltshire. Zobaczysz, że będzie ci tam dobrze. Pójdiesz do szkoły, trzeba się uczyć. To ważne, chodzi o twoje wykształcenie. Czeka nas obie podjęcie wielu decyzji. Nie chcemy chyba zaprzętać sobie głowy tym, co już minęło. Musimy iść naprzód. Na tym polegał kłopot z twoją mamą, ciągle patrzyła w przeszłość. To nic nie daje, Freddie. Mam przeczucie, że dobrze nam będzie ze sobą.

– O, tak, ciociu Zosiu. Nie wiem, co ci powiedzieć. Przyjechałaś tu po tylu latach i z tobą wszystko stało się o wiele łatwiejsze.

– To rozumiem! Muszę przyznać, że się cieszę, bo będę miała moją siostrzenicę wyłącznie dla siebie.

– Najdroższa cioteczko, jestem taka szczęśliwa, że to ty jesteś moją ciocią.

Po tych słowach objęłyśmy się czule, a ja doznałam cudownego poczucia bezpieczeństwa.

W ciągu następnych kilku tygodni wiele się działo. Ze sprzedaży mebli na licytacji uzyskaliśmy znacznie więcej pieniędzy, niż się spodziewaliśmy, gdyż znajdowało się tam parę cennych rzeczy, które mama zabrała ze sobą z „Cedrowego Dworu”.

Meg i Amy wyjechały do Somerset, a dom oglądali ewentualni nabywcy.

Mamę przewieziono do zakładu w Devizes, leżącego niedaleko domu cioci Zosi, wobec czego mogłyśmy ją odwiedzać przynajmniej raz w tygodniu. Ciocia powiedziała mi, że dysponuje prawie własnym powozem.

– Nic takiego, zwykła dwukółka. Należy do Joego Jobbingsa, który pomaga trochę w naszym ogrodzie. Zabierze nas wszędzie, dokąd będziemy chciały się wybrać.

„Lawendowa Willa” miała być sprzedana. Spojrzałam ostatni raz na „Cedrowy Dwór” bez żalu, gdyż jego bliskość stale przypominała mamie o utraconej pozycji społecznej i lepszych dniach, co stało się w końcu przyczyną obecnego stanu. Wraz z ciocią Zosią wyruszyłam do Wiltshire, gdzie czekał na mnie mój nowy dom.

St. Aubyn's

Miałam szczęście, że po tym tragicznym wstrząsie ciocia Zosia nie tylko została moją opiekunką, lecz także zabrała mnie ze sobą do jednego z najbardziej zachwycających regionów Anglii.

Zaraz po przybyciu wyczułam panującą tam niezwykłą atmosferę. Kiedy wspomniałam o tym cioci Zosi, odpowiedziała:

– Są tu zabytki jeszcze z czasów starożytnych. Muszą przywoływać pamięć ludzi żyjących przed wiekami, w prehistorii, którzy pozostawili po sobie liczne ślady.

Jednym z nich był Biały Koń na stoku wzgórza. Mogłam go wyraźnie dostrzec jedynie z pewnej odległości. Wyglądał bardzo tajemniczo. Przede wszystkim jednak znajdowały się tam głazy, których pochodzenia nikt nie potrafił wytłumaczyć. Uważano, że zostały ustawione na długo przed narodzeniem Chrystusa w miejscu praktyk religijnych.

Samo miasteczko Harper's Green nie wyróżniało się szczególnie spośród innych angielskich miejscowości. Stał tam stary, normański kościół, który nieustannie wymagał odnawiania, rozciągały się wiejskie łąki, rozlewał staw z kaczkami, szereg zaś domów z epoki Tudorów, zwróconych fasadami w jego stronę, położonych było jednocześnie naprzeciwko tutejszego dworu, noszącego nazwę St. Aubyn's Park, wzniesionego mniej więcej w szesnastym wieku.

Dom cioci Zosi nie był zbyt przestronny, lecz niezwykle wygodny. Podczas chłodnych dni we wszystkich pokojach paliło się w kominkach. Lily, pochodząca z Kornwalii, powiedziała mi, że jest niewytrzymała na zimno. Razem z ciocią Zosią gromadziły w ciągu roku tyle drewna, ile tylko się dało, i w szopie był zawsze duży zapas.

Lily pracowała przedtem w „Cedrowym Dworze”. Opuściła swą rodziną Kornwalię w tym samym czasie, kiedy Meg wyjechała z Londynu. Oczywiście dobrze się znały i miło mi było porozmawiać z kimś, kto pozostawał kiedyś w bliskich kontaktach z moją starą przyjaciółką.

– Ona poszła do panny Karoliny – powiedziała. – Mnie się poszczęściło, bo zostałam z panną Zofią.

Pisałam do Meg, lecz jej układanie listów przychodziło raczej z trudnością, więc niewiele się dowiedziałam. Miała nadzieję, że mnie się dobrze wie, tak jak i jej obecnie, bo dom w Somerset był w zasadzie w porządku. Pocieszało mnie to, bo sama także z radością mogłam donieść jej o moim położeniu. Gdyby Meg miała trudności z odczytaniem moich listów, z pewnością znalazłby się tam ktoś, kto mógłby je przeczytać.

W naszym sąsiedztwie wyróżniały się szczególnie dwa domy: jednym był dwór St. Aubyn's, a drugim budynek z czerwonej cegły, bardzo ładny, zwany „Pod Dzwonem”.

– Nazwa się wzięła od dzwonu wiszącego nad gankiem – wyjaśniła ciocia Zosia. – Umieszczony jest wysoko, prawie na dachu. Zawsze tam był. Kiedyś w tym budynku musiał się mieścić zbor, teraz mieszkają tam Dorianowie. Jest też dziewczynka, mnie więcej w twoim wieku... sierota. Straciła oboje rodziców. O ile wiem, córka siostry pani Dorian. No i oczywiście mamy rodzinę zamieszkałą w St. Aubyn's.

– Jacy oni są?

Z rodu St. Aubynów, bo to od nazwiska pochodzi nazwa dworu. Mieszkają tam, odkąd go wybudowano. Możesz sobie wyliczyć, jak długo. Dom został postawiony pod koniec szesnastego wieku. Ten „Pod Dzwonem” jest o przeszło stulecie późniejszy.

– Czy rodzina St. Aubynów jest duża?

– Jest tam dwoje dzieci... powiedzmy, że to dzieci! Paniczowi Kryspinowi nie podobałoby się to określenie, gdyż ma co najmniej dwadzieścia lat. Bardzo wyniosły dżentelmen. Jest też dziewczynka, Tamaryszka. Niezwykle imię – od nazwy krzewu. Osóbka trochę bez głowy. Ma tyle lat co ty. Może zostaniesz zaproszona na podwieczorek.

– Nigdy nie spotykałyśmy się na podwieczorku z ludźmi, którzy kupili „Cedrowy Dwór”.

– To zapewne z powodu twojej mamy, kochanie.

– Nie cierpiała ich, bo zajmowali się handlem.

– Biedna Karolina, zawsze sama na siebie kręciła bicz. Nikogo nie obchodziło, że straciła to, co kiedyś miała... z wyjątkiem jej samej. Tak, St. Aubynowie to licząca się familia. Zaraz po niej idą ci z domu „Pod Dzwonem”. Ja się nigdy nie przejmowałam, że zostałam wychowana w „Cedrowym Dworze”, a teraz mieszkam w chatce „Pod Jarzębinami”.

Tak się nazywał nasz domek, gdyż od frontu po obu stronach ganku rosły jarzębiny.

Uwielbiałam słuchać, jak ciocia Zosia opowiada o miasteczku. O pastorze Hetheringtonie, który już nie bardzo sobie radził, a kazania rozciągał w nieskończoność, i o pannie Matyldzie Hetherington, utrzymującej w ryzach nie tylko całe ich domowe gospodarstwo, ale i trzódkę wiernych.

– Bardzo żywotna dama – stwierdziła ciocia Zosia – i nieoceniona pomoc dla biednego pastora.

Zafascynował mnie ów zespół głązów znajdujących się w odległości kilku mil od naszego domu. Po raz pierwszy zobaczyłam je, kiedy jechałyśmy dwukółką, powożoną przez Joego Jobbingsa, do Salisbury po zakupy, których nie dało się załatwić w Harper's Green.

– Joe, mógłbyś zatrzymać się na chwilę? – poprosiła ciocia Zosia, a on posłusznie wstrzymał konie.

Kiedy tak stałam pośród tych starożytnych pamiątek, czułam otaczającą mnie przeszłość. Był to ekscytujący widok, choć jednocześnie napawał lękiem.

Ciocia opowiedziała mi trochę o tych kamieniach.

– Nie wiadomo na pewno, skąd się wzięły. Niektórzy uważają, że zostały ułożone przez druidów około tysiąca siedmuset lat przed Chrystusem. Niewiele więcej potrafię ci powiedzieć, poza tym, że był to rodzaj świątyni. W tym czasie oni czcili niebiosa. Mówi się, że głazy zostały tak usytuowane, aby uchwycić wschód i zachód słońca.

Ujęłam ją za ramię i mocno przytrzymałam. Dobrze mi było tutaj z nią razem. Kiedy wracałyśmy do domu dwukólką Joego Jobbingsa, zamyśliłam się głęboko.

Tutaj czułam się taka szczęśliwa, zwłaszcza gdy wracałam pamięcią do minionych dni, spędzanych w Middlemore w cieniu „Cedrowego Dworu”.

Regularnie odwiedzałyśmy mamę. Chyba było jej dobrze w zakładzie, ale raczej nie bardzo zdawała sobie sprawę z tego, co jej się przydarzyło i gdzie się znajduje.

Wychodziłam od niej ze smutkiem. A patrząc na ciocię Zosię, nie mogłam pozbyć się wrażenia, że gdyby mama była taka jak ona, czułybyśmy się o wiele szczęśliwsze.

Ciocia Zosia z każdym dniem stawała mi się bliższa.

Teraz należało się zająć kilkoma praktycznymi szczegółami, między innymi kwestią mej edukacji.

Ciocia odgrywała znaczącą rolę we wszystkim, co się działo w Harper's Green. Miała niewyczerpaną energię i lubiła rządzić. Utrzymywała w dyscyplinie chór parafialny, organizowała coroczne uroczystości kościelne oraz wenty dobroczynne, a także wraz z panną Hetherington, choć nie zawsze się ze sobą zgadzały, szukały osób pomocnych w tych poczynaniach, gdyż były na tyle rozsądne, że potrafiły rozpoznać uzdolnienia innych.

To prawda, że ciocia mieszkała w niewielkim domu, niewytrzymującym porównania z rezydencją St. Aubynów czy z tym „Pod Dzwonem”, ale sama wychowała się we dworze i zdawała sobie sprawę, jakie to nakładało na nią zobowiązania i dlatego wiedziała, jak postępować w ważnych dla miasteczka sytuacjach. Uświadomiłam sobie szybko, że choć byłyśmy mniej zamożne, należałyśmy do tej samej grupy co szlachta.

Zanim poznałam ludzi, którzy mieli zaważyć na moim życiu, dowiedziałam się nieco o innych także od cioci. Okazało się, że stary Tom, przesiadujący teraz nad stawem i przypatrujący się kaczkom, był ogrodnikiem u St. Aubynów, dopóki reumatyzm „nie powykręcał mu nóg” i nie położył kresu jego pracy. Nadal mieszkał w niewielkim domku na terenie majątku St. Aubyn's i zwykł mawiać do każdego, kto się do niego przysiadł, że „dostał go na dożywocie”, co brzmiało raczej jak wyrok sądu karnego niż pochwała okazanego mu dobrodziejstwa, z którego czuł się tak dumny. Ostrzeżono mnie, że jeśli nie chcę wysłuchiwać jego wspomnień o dawnych czasach, przy spotkaniu z nim powinnam ograniczyć się jedynie do krótkiego „dzień dobry”.

Był jeszcze biedaczysko stary Charlie, któremu już dawno zabrakło oleju w głowie, o ile w ogóle kiedyś go miał, a także major Cummings, który służył w armii brytyjskiej w Indiach w czasach buntu sipajów, żyjący wspomnieniami owych ważnych wydarzeń.

Ciocia nazywała ich „dziadkami Green”. Zbierali się razem, gdy pozwalała na to pogoda i jak twierdziła ciocia, ich rozmowa stanowiła płataninę wątków snuty przez Toma o domku i reumatyzmie, a przez majora o powstaniu sipajów, podczas gdy biedny Charlie kiwał tylko głową i słuchał z zapartym tchem, jakby objawiano mu absolutne nowiny.

To były jednak postacie drugoplanowe, jak chór w tle. Mnie najbardziej interesowały inne osoby, w szczególności zaś dwie dziewczynki – z St. Aubyn’s i z domu „Pod Dzwonem”.

– We dworze – wyjaśniła ciocia Zosia – mieszka Tamaryszka. Trochę rozpuszczone dziewczę. I nic dziwnego. Jej *mere* i *pere* pochłonięci byli wyłącznie sobą i nie mieli czasu dla swych pociech. Oczywiście zatrudniali guwernantki i niańki... ale dziecko potrzebuje specjalnej troski, płynącej z serca.

Popatrzyła na mnie niemal ze smutkiem. Zdawała sobie sprawę, że mojej mamie, zbyt zaabsorbowanej obsesyjnym rozpamiętywaniem utraconej „światłości lepszych dni”, nie starczało czasu na podjęcie wysiłku stworzenia właśnie takich dni dla mnie.

– Byli wesołą parą – ciągnęła dalej. – Ciągłe przyjęcia... tańce. Nieustannie się bawili. A to w Londynie, a to na kontynencie. Można spytać, co to szkodzi. Przecież zapewniali dzieciom opiekę. Ale Lily mówi, że to wbrew naturze.

– Opowiedz mi o tych dzieciach.

– Jest ich dwoje, Kryspin i Tamaryszka. Ona mniej więcej w twoim wieku, Kryspin sporo starszy, pewno z dziesięć lat. Rodzice mieli już syna i sądę, że nie chcieli mieć więcej dzieci, choć gdyby maleństwa się pojawiły, mogliby je oddać komuś pod opiekę. Ale byłby przecież jeszcze ów czas, zanim ujrzałyby świat, okres trzymający kobietę w domu i ogromnie utrudniający prowadzenie stylu życia, jaki pani St. Aubyn lubiła... Długo się więc wydawało, że Kryspin pozostanie jedynakiem. On im nie przeszkadzał wesoło się bawić. Zapewne ledwie go znali. Możesz sobie wyobrazić, jak się to wszystko odbywało – był przyprawiany na inspekcję od czasu do czasu. Miał niańkę, która świata poza nim nie widziała i nie zapomniał o niej, to trzeba mu przyznać. Stale się opiekuje nimi obiema. Bo tam są dwie siostry. Jedna z nich trochę zdziwaczała. Biedna Flora. Zawsze były razem, nigdy nie wyszły za mąż. Mają mały domek na terenie dworskiego majątku, a Kryspin sam pilnuje, czy im czegoś nie brak. Pamięta o swej niani. Ale ty pytałaś o tę dziewczynkę. Cóż, ojciec zmarł. Ludzie mówili, że z powodu hulaszczego życia. Zawsze tak mówią, prawda? Niedospane noce, za wiele włóczenia się po stolicy i za granicą... za dużo alkoholu. W każdym razie było tego za wiele dla Jonathana St. Aubyna. Po jego śmierci żona całkowicie się załamała. Mówią, że ma pociąg do butelki... ale czego to ludzie nie wymyślą. Całe szczęście, że kiedy ojciec zmarł, Kryspin był już w odpowiednim wieku, by przejąć po nim majątek. Według mnie świetnie się do tego nadaje.

– Dobrze zarządza posiadłością?

– Prawdziwy dziedzic i daje to wyraźnie do zrozumienia. Wielu przyznaje, że takiego właśnie było tu trzeba, ale są i tacy, co dobrego słowa o nim nie powiedzą. Tyle że on się nie

przejmuje, ma wystarczająco dobrą opinię o sobie. Jako potomek tego rodu jest panem na włościach.

– Ale jest jeszcze pani na włościach?

– Masz na myśli jego matkę? Prawie nie wychodzi z domu. Kiedy jej mąż zmarł, ze wszystkiego zrezygnowała i zaczęła chorować. Byli bardzo sobie oddani. A jej nie obchodziło nic więcej tylko szalone życie z mężem. Kryspin był żonaty.

– Był? – spytałam.

– Zostawiła go i uciekła. Ludzie mówili, że ich to nie zdziwiło.

– Więc on nadal ma żonę?

– Nie. Wyjechała do Londynu i wkrótce potem zdarzył się wypadek. Zginęła w katastrofie kolejowej.

– Okropne!

– Są tacy, co uważają, że to kara za jej grzechy. Wielce pobożny, stary Jozjasz Dorian z domu „Pod Dzwonem” nie miał co do tego wątpliwości. Inni, bardziej miłośni, twierdzili, że mogą zrozumieć, dlaczego ta biedna kobieta chciała uciec od męża.

– To naprawdę dramatyczna historia.

– Cóż, kochanie, zależy, jak się na to patrzy. Mamy tu różnych ludzi, jak wszędzie. Miasteczko wygląda na ciche i spokojne, ale jak spojrzysz głębiej, to możesz znaleźć coś, czego się nie spodziewasz. To tak jakby odwrócić kamień i zobaczyć, co jest pod spodem. Robiłaś to kiedyś? Spróbuj pewnego dnia, a zrozumiesz, o czym mówię.

– Więc ten Kryspin jest żonaty... i nie jest.

– O takim mówi się „wdowiec”. Trochę młody jak na ów stan, ale według mnie ta biedna dziewczyna nie mogła z nim wytrzymać. Pewno to przestroga dla innych, żeby nie próbowały. Jednak któraś może się skusić – taka wielka posiadłość jak St. Aubyn’s i on, pan tego wszystkiego.

– Opowiedz mi o Tamaryszce.

– Właśnie do tego zmierzam. Musi być o miesiąc czy coś od ciebie starsza... a może młodsza. Naprawdę nie wiem. Ona jest z tych, które zwą „spóźniony refleks”. Nawet przez moment nie wątpię, że nasza wesoła para nie chciała mieć drugiego dziecka. Pomyśl o beztróskim życiu pani dziedziczki, z którego musiała zrezygnować na parę miesięcy. Ale cóż, Tamaryszka przysłała na świat. Chyba co najmniej dziesięć lat po urodzeniu się Kryspina.

– Musieli być niezadowoleni, że tak się stało.

– No, jak się już urodziła, to pewnie nie, po prostu oddali ją pod opiekę niańkom. Nie mogła im przeszkadzać. Nic dziwnego, że jak mówią, stała się samowolna i kapryśna jak jej

brat. To przez niańki. Praca, do której nikt się nie wtrąca, ma swe dobre strony, więc nie chciały psuć takiego układu. Biedne dzieciaki! Rodzice musieli być dla nich prawie obcymi ludźmi. A może powinnam nazwać biedną panią St. Aubyn. Mąż był całym jej życiem i go straciła. Matylda Hetherington i ja musiałyśmy ją w związku z tym odwiedzić. Nie chciała nas widzieć, a my też nie miałyśmy na to najmniejszej ochoty. Ale Matylda twierdziła, że tak wypada, a jej się trudno sprzeciwić.

– Czy ja ich poznam?

– Do tego zmierzam. Lecz najpierw Dorianów spod „Dzwonu”. Ładny dom. Stoi tyłem do drogi: czerwona cegła, gotyckie okna. Szkoda.

– Czego szkoda?

Że Dorianowie go zajmują. To mógłby być szczęśliwy dom. Chciałabym w nim mieszkać. Pewnie trochę dla mnie za wielki, ale mogłybyśmy dobrze go wykorzystać. Myślę, że stary Jozjasz Dorian nie może zapomnieć, iż kiedyś był to dom modlitwy, najprawdopodobniej kwaków. Nie całkiem kościół, ale coś podobnego, niewielka różnica. Miejsce spotkań ludzi, chyba takich... co sądzą, że śmiech prowadzi prostą drogą do piekła. I tam nadal tak się uważa. Tak zostało, a Jozjasz Dorian nie jest z tych, którzy by chcieli ową atmosferę zmienić.

– I u nich też jest dziewczynka, prawda? Mówiłaś, że w moim wieku... jak Tamaryszka St. Aubyn.

– Tak, mniej więcej. Biedne dziecko, jakiś czas temu straciła rodziców. Szkoda, że oddano ją pod opiekę wuja i ciotki.

– Ja jestem pod opieką ciotki... Ciocia się roześmiała.

– Tylko że ja nie jestem Jozjaszem Dorianem.

– Miałam wiele szczęścia.

– Kochane dziecko, obie miałyśmy. Wzajemnie przyniosłyśmy sobie szczęście. Współczuję biednej Racheli, że musi z nim mieszkać. Każdej niedzieli obowiązkowe zgromadzenie wiernych, wiesz, co mam na myśli. Hilda Dorian odważa cukier, trzyma pod kluczem herbatę... mówią, że na polecenie męża. Jozjasz Dorian to skąpiec. Matka Racheli była siostrą Hildy Dorian. Do czego zmierzam... Tak ci dużo o nich opowiadam, gdyż pragnę, żebyś wiedziała coś o ludziach, z którymi będziesz miała do czynienia. O ile mój plan się uda. Chodzi mi o twoje wykształcenie. Chcę, żebyś poszła do szkoły... do dobrej szkoły.

– Czy to nie będzie za bardzo kosztowne?

– Damy sobie radę, kiedy zajdzie potrzeba, ale jeszcze nie teraz. Powiedzmy w przyszłym roku. Tymczasem jest tak, że Tamaryszka ma w domu nauczycielkę, pannę Lloyd, która uczy także Rachelę. Rachelę codziennie chodzi do dworu St. Aubyn's i razem mają lekcje. Wiesz już, o co mi chodzi?

– Myślisz, że ja...

Ciocia Zosia z ożywieniem pokiwała głową.

– Jeszcze tego nie ustaliłam, ale zamierzam to zrobić.

Nie widzę powodów, dla których nie miałybyś się z nimi uczyć. Nie sędzę, żeby były ku temu jakieś przeszkody. Muszę uzyskać zgodę pani St. Aubyn, ale jej prawie nie obchodzi, co się tam dzieje. Pozostaje jeszcze ten zwariowany Jozjasz Dorian, lecz sędzę, że go przekonam. Zobaczymy. To by na jakiś czas rozwiązało nasz problem. Byłam podekscytowana taką perspektywą.

– Codziennie rano musiałybyś chodzić do St. Aubyn’s. Byłoby ci miło przebywać z koleżankami w twoim wieku.

W trakcie tej rozmowy Lily w pewnym momencie wsunęła głowę przez drzwi.

– Przyszła panna Hetherington – obwieściła.

– Przyrowadź ją tutaj – odrzekła podniecona ciocia Zosia, po czym zwróciła się do mnie: – Będziemy miały spotkanie z córką pastora, jego prawą ręką. Zawsze potrafi dobrze poradzić. To w żelaznych dłoniach Matyldy spoczywa los Harper’s Green.

Gdy tylko weszła do pokoju, od razu pomyślałam, że ciocia dobrze ją opisała. Emanowała z niej siła. Wysoka, potężnie zbudowana, z włosami mocno ściągniętymi do tyłu pod nasadzoną na czubek głowy małym kapeluszem, ozdobionym bukiecikiem niezapominajek. Córka pastora ubrana była w bluzkę, której kołnierzyk ze stójką podchodził prawie do podbródka, co nadawało surowy wygląd. Zza okularów wyglądały piwne, żywe oczy. Miała trochę końskie zęby i z tym wszystkim razem robiła wrażenie osoby o wielkim autorytecie.

Panna Matylda zwróciła na mnie wzrok. Zbliżyłam się ku niej.

– Więc to jest ta siostrzenica – rzekła.

– Tak – potwierdziła ciocia z uśmiechem.

– Witaj, dziecko, w naszym gronie. Będiesz tu szczęśliwa. – Było to raczej polecenie niż przepowiednia.

– Tak, wiem – odrzekłam.

Panna Matylda wyglądała na usatysfakcjonowaną i jeszcze przez parę chwil uważnie mi się przyglądała. Pewno usiłowała ocenić, do jakich pożytecznych zadań mogłabym się nadać.

Ciocia Zosia powiedziała jej, że ma nadzieję, iż będę mogła uczyć się razem z dziewczętami w St. Aubyn’s.

– Oczywiście – stwierdziła panna Hetherington. – To jedyne rozsądne rozwiązanie. Panna Lloyd tak samo dobrze może uczyć trzy dziewczynki jak dwie.

– Będę musiała uzyskać zgodę pani St. Aubyn i Dorianów.

– Bez wątpienia się zgodzą.

Ciekawa bylam, jakie podjęlaby kroki w przeciwnym wypadku, ale bardzo wątpilam, czy ktos ośmieliłby się z nią nie zgodzić.

– A teraz, Zofio, przejdźmy do spraw, które trzeba...

Wymknęlam się z pokoju i zostawiłam je same.

Kilka dni później ciocia Zosia oznajmiła, że sprawa moich lekcji została załatwiona. Miałam uczyć się razem z Tamaryszką i Rachelą w szkolnym pokoju w St. Aubyn's.

Ciocia Zosia, zawsze rozważna, zdawała sobie sprawę, że lepiej byłoby dla mnie, gdybym poznała me przyszłe towarzyski, zanim rozpoczną się lekcje. Zaprosiła więc obie dziewczynki do nas na podwieczorek.

Byłam szalenie podniecana na myśl o spotkaniu z nimi, schodziłam do salonu pełna ciekawości i pewnej obawy.

Pierwsza zjawiła się Rachel Grey. Była drobną, ciemnowłosą dziewczynką o wielkich czarnych oczach. Spoglądałyśmy na siebie z pewną dozą *hauteur*, z powagą ściskając sobie dłonie, na co ciocia patrzyła z uśmiechem.

– Tobie z Rachelą będzie się dobrze układało – powiedziała. – Rachelo, moja siostrzenica dopiero co przyjechała do Harper's Green, jest tu nowa. Wtajemnicz ją w nasze sprawy, dobrze?

Rachela uśmiechnęła się blado i rzekła:

– Oczywiście, o ile potrafię.

– No, już się poznałyście, więc usiądźmy i porozmawiajmy.

– Mieszkasz w domu „Pod Dzwonem” – zaczęłam. – Według mnie jest śliczny.

– Jest ładny – przyznała dziewczynka i zamilkła.

– Prawdziwy zabytek – nie ustępowala ciocia. – Prawie tak stary, jak St. Aubyn's.

– No, nie jest taki wspaniały.

– Ale ma wiele uroku – upierała się ciocia. – Tamaryszka się spóźnia.

– Ona nigdy nie jest punktualna – stwierdziła Rachel.

– Mhm – potwierdziła ciocia Zosia.

– Strasznie chciała cię poznać – Rachel zwróciła się do mnie. – Zaraz tu będzie.

Miała rację.

– O, jesteś, moja droga – powitała ją ciocia. – Trochę po czasie, co?

– Tak, rzeczywiście – odrzekła nowo przybyła. Miała niewątpliwy urok. Bardzo jasne, kręcone włosy, iskrzące się błękitne oczy i niewielki, *retrousse*, nosek stwarzały obraz beztroskiej dziewczynki. Przyglądała mi się z nieskrywaną ciekawością. – Więc to jest pani siostrzenica.

– A ty jesteś Tamaryszka St. Aubyn.

– Z dworu St. Aubyn's – dodała, obrzucając wzrokiem salon cioci, gustownie umeblowany, choć niezbyt przestronny. W jej spojrzeniu można było dostrzec coś na kształt lekceważenia.

– Jak się masz? – spytałam chłodnym tonem.

– Dobrze, a ty?

– Dobrze.

– Będziesz uczyć się ze mną i z Rachelą.

– Tak. Bardzo się cieszę.

Wykrzywiła twarz w grymasie, który w przyszłości miałam tak często widywać, sugerującym, że gdybym poznała nauczycielkę, to może moje słowa nie zabrzmiałyby tak entuzjastycznie. Spojrzała na Rachelę.

– Nasza stara damulka Lallie to prawdziwy nadzorca niewolników, prawda, Rachelo? – spytała.

Ta nie odpowiedziała. W ogóle wyglądała na nieśmiałą, a może także bała się Tamaryszki.

– Stara Lallie? – Nie wiedziałam, kogo ma na myśli.

– Lallie Lloyd. Ma na imię Alicja. Ja mówię o niej Lallie.

– Ale nie w jej obecności – zauważyła cicho Rachelę.

– Mogłabym – odparła Tamaryszka.

– Mam zacząć lekcje w poniedziałek – oświadczyłam.

– Powinnyście się teraz lepiej poznać – uznała ciocia Zosia. – Pójdę zobaczyć, co z herbatą.

I tak zostałam sama z nimi dwiema.

– Podobno przyjechałaś tu na stałe? – odezwała się Tamaryszka.

– Moja mama jest chora, przebywa tu niedaleko, w domu dla przewlekle chorych.

– Rodzice Racheli zmarli, dlatego mieszka teraz z wujkiem i cicią.

– Tak, wiem, w domu „Pod Dzwonem”.

– Nie jest taki przyjemny jak nasz – orzekła Tamaryszka – chociaż całkiem możliwy. – Ponownie obrzuciła salon cici Zosi pogardliwym spojrzeniem.

– Później mamy iść do szkoły – wyjaśniła Rachela. – My obie.

– Ja prawdopodobnie też.

– No to będziemy tam we trójkę – zachichotała Tamaryszka. – Dobrze, że wyjedziemy do szkoły. Szkoda tylko, że ciągle jesteśmy za młode.

– Przecież to się zmieni – odparłam zapewne trochę pouczającym tonem, gdyż wybuchnęła śmiechem.

– Mówisz jak staruszka Lallie – stwierdziła. – Opowiedz nam coś o swym dawnym domu.

Opowiadałam, a one słuchały uważnie, aż przyszła Lily z herbatą. Wróciła też ciocia.

– Zajmij się swymi gośćmi, Freddie – poprosiła. – Tobie to zostawiam. Lepiej się poznacie bez pomocy dorosłych.

Poczułam się bardzo ważna, gdy nalewałam im herbatę i podawałam ciasteczka na tacy.

– Co za śmieszne imię – zauważyła Tamaryszka – prawda, Rachelo? Freddie! Dobrze dla chłopca.

– Tak naprawdę nazywam się Fryderyka.

– Fryderyka! – Znowu przybrała lekceważący wyraz twarzy. – Moje jest znacznie bardziej niezwykle. Biedna, poczciwa Rachela ma takie zwyczajne. Czy imię Rachela nie ma związku z Biblią?

– Tak – odrzekła Rachela – ma.

– Mnie najbardziej podoba się Tamaryszka. Nie chciałabym, żeby do mnie mówiono jak do chłopca.

– Nikt by cię z nim nie pomylił. – Moja odpowiedź wywołała jej kolejny wybuch śmiechu.

Rozmawiałyśmy zupełnie swobodnie i czułam, że mnie zaakceptowały. Opowiedziały mi o dziwactwach „starej Lallie” i o tym, że łatwo ją oszukać, choć trzeba uważać przy takich

próbach; o tym, że dawno temu miała ukochanego, który zmarł młodo na jakąś tajemniczą chorobę i dlatego pozostała panną i musiała zostać nauczycielką takich dziewcząt, jak Tamaryszka, Rachel i ja, zamiast mieć własny dom, kochającego męża i rodzinę.

Kiedy było już po podwieczorku, poczułam, że moje początkowe obawy całkiem się rozproszyły, gdyż potrafiłam zupełnie dobrze porozumieć się z Tamaryszką i nie obawiałam się jej tak jak Rachel.

W następny poniedziałek, przepelniona ostrożnym optymizmem, wyruszyłam do St. Aubyn's Park, żeby stanąć twarzą w twarz z panną Alicją Lloyd.

Dwór St. Aubyn's był bardzo okazałą rezydencją z epoki Tudorów, do której dochodziło się krętym podjazdem, otoczonym z obu stron ukwieconymi krzewami. Przeszliśmy z ciocią Zosią przez imponującą bramę z wartownią i wkroczyliśmy na wybrukowany dziedziniec. Ciocia towarzyszyła mi, żebym – jak to ujęła – „została przez nią wprowadzona do tego domu”.

– Nie daj się zdominować Tamaryszce – przestrzegala mnie. – A będzie próbowała przy każdej nadarzającej się okazji. Pamiętaj, ani o krzytę nie jesteś od niej gorsza.

Przyrzekłam nie zapomnieć o tej przestrodze.

Zostałyśmy wpuszczone do domu przez pokojówkę, która powiedziała:

– Panno Cardingham, panna Lloyd oczekuje młodej damy.

– Dziękuję. Mamy wejść na górę, czy tak?

– Jeśli pani taka łaskawa – padła odpowiedź.

Hol był bardzo wysoki. Stał tam masywny, długi i wąski stół jadalny w stylu elżbietańskim, otoczony kilkoma krzesłami, ze ściany zaś spoglądała z portretu sama królowa Elżbieta, naturalnej wielkości, w siedzącej pozycji, z krezą przy sukni bogato zdobionej klejnotami.

– Królowa Elżbieta kiedyś tu bawiła – wyszeptala ciocia Zosia. – Rodzina jest bardzo z tego dumna.

Doszliśmy schodami do podestu, a potem jeszcze po paru stopniach do obszernej galerii, gdzie stały sofy, krzesła oraz szpinet i harfa. Byłam ciekawa, czy Tamaryszka potrafi grać na tych instrumentach. Potem dalsze schody poprowadziły nas znowu w górę.

– Chyba wszędzie szkolne pokoje znajdują się na najwyższym piętrze – skomentowała ciocia Zosia. – Tak też było w „Cedrowym Dworze”.

Wreszcie przybyliśmy na miejsce. Ciocia zapukała do drzwi i weszliśmy do środka.

Ta szkolna sala miała stać się dla mnie miejscem dobrze znanym. Była duża i wysoka; pośrodku stał stół, przy którym siedziały Tamaryszka z Rachelą. Zauważyłam wielką szafę, za jej uchylonymi drzwiami dostrzegłam półki z książkami i łupkowe tabliczki. Na jednej ze ścian wisiała szkolna tablica. Typowy szkolny pokój.

Na powitanie wyszła ku nam kobieta – oczywiście panna Alicja Lloyd. Wysoka i szczupła, miała pewnie niewiele więcej ponad czterdzieści lat. Na jej twarzy malował się wyraz cierpliwej rezygnacji odbijający zapewne stan ducha w związku z próbami przekazania wiedzy dziewczętom pokroju Tamaryszki St. Aubyn, zarazem pomieszany z jakąś smętną zadumą. Przypomniałam sobie, jak moja koleżanka opowiadała, że nauczycielka nadal żyje przeszłością, wspomnieniem czasów, kiedy miała ukochanego i jeszcze wszystko mogło się zdarzyć, tak jak wyśniła to sobie w marzeniach.

– To jest, panno Lloyd, moja siostrzenica, Freddie... to znaczy Fryderyka.

Panna Lloyd uśmiechnęła się do mnie i ów uśmiech ją przeobraził. Od tej chwili ją polubiłam.

– Witaj, Fryderyko – powiedziała. – Musisz mi opowiedzieć o sobie, żebym wiedziała, na jakim jesteś poziomie wiedzy w porównaniu z moimi dwiema uczennicami.

– Jestem pewna, że dobrze dasz sobie radę, kochanie – zapewniła mnie ciocia Zosia. – Do zobaczenia później.

Pożegnała się z nauczycielką i wyszła z pokoju.

Panna Lloyd poprosiła, żebym usiadła, i zadała mi kilka pytań. Wydawała się zadowolona z moich odpowiedzi i zaczęły się lekcje.

O jedenastej weszła służąca z tacą. Przyniosła nam trzy szklanki mleka i trzy zwykłe biskwity.

– Dla pani zostawiłam w pokoju, panno Lloyd – powiedziała.

– Dziękuję – odrzekła panna Lloyd. – A teraz, dziewczęta, piętnaście minut przerwy, nie więcej.

Gdy wychodziła, Tamaryszka wykrzywiła się za jej plecami. Gorące mleko było pyszne. Każda z nas wzięła po biskwicie.

– Choć przez chwilę wolne – westchnęła Tamaryszka.

– I tak jest codziennie? – spytałam.

Skinęła głową.

– O jedenastej mleko. Od jedenastej piętnaście do dwunastej lekcje. Potem ty i Rachelą idziecie do domu.

Rachela potwierdziła skinieniem głowy.

– Mam nadzieję, że zauważyłaś, jaki wspaniały jest ten dom – zwróciła się do mnie Tamaryszka.

– Nie tak wspaniały jak ten, w którym wychowała się moja mama – odrzekłam, uznając, że szczypta przesady nie zawadzi. – To był „Cedrowy Dwór”. Może o nim słyszałaś.

Tamaryszka potrząsnęła przecząco głową, chcąc najwyraźniej zmienić temat. Ja natomiast nie miałam takiego zamiaru. Zaczęłam opisywać tamten dom, z wyobraźni oczywiście, bo przecież nigdy nie byłam w „Cedrowym Dworze”. Mogłam jedynie improwizować na temat jego wnętrza, upiększając nawet moją opowieść tym, co zobaczyłam w St. Aubyn’s, żeby wywarła odpowiednie wrażenie.

Rachela odchyliła się do tyłu na krześle, coraz głębiej się w nie zapadając.

– Naturalnie Rachela – odezwała się Tamaryszka, rzucając spojrzenie koleżance – nie wie w ogóle, o czym my mówimy.

– Wiem – odrzekła krótko.

– A nie, nie wiesz. Ty mieszkasz tylko w starym domu „Pod Dzwonem”, a przedtem, gdzie mieszkałaś? Nie wiesz nic o takich domach jak te, prawda, Fred?

– Można znać się na pewnych rzeczach, choć się na co dzień z nimi nie styka. A poza tym, przecież Rachela tu bywa, prawda? – powiedziałam.

Spojrzała na mnie z wdzięcznością i od tego momentu postanowiłam jej bronić. Była taka drobna i jak gdyby krucha. Polubiłam Rachelę. Nie wiedziałam jednak, czy mogę to samo powiedzieć o Tamaryszce.

Przechwalałyśmy się swymi domami do chwili, gdy pokoju weszła panna Lloyd ze służącą, która zabrała tacę i ponownie zasiadłyśmy do lekcji.

Pamiętam, że tego pierwszego ranka miałyśmy geografii i gramatykę angielską. Byłam tymi przedmiotami bardzo pochłonięta, ku widocznemu zadowoleniu panny Lloyd.

To przedpołudnie okazało się całkiem udane, aż do momentu kiedy my dwie zaczęłyśmy się szykować do powrotu. Miałam wracać razem z Rachelą, gdyż nasze domy nie stały zbyt daleko od siebie.

Panna Lloyd, życzliwie uśmiechnięta, oznajmiła, że cieszy ją moja obecność na lekcjach i że z pewnością będę dobrą uczennicą.

Pożegnała się z nami i wyszła do niewielkiego, znajdującego się w sąsiedztwie pokoju, który nazywała swym sanktuarium.

Tamaryszka schodziła razem z nami.

– No, no – dała mi lekkiego kuksańca – już widzę, że stajesz się pupilką starej Lallie. Lizusostwo, tak się to nazywa, Fred Hammond. „Jestem pewna, że będziesz dobrą uczennicą” – przedrzeźniała pannę Lloyd. – Nie lubię lizusów – dodała złowieszczo.

– Zachowywałam się normalnie – odparłam. – Lubię pannę Lloyd i jak będę chciała, zostanę dobrą uczennicą. Jest jej potrzebna choć jedna taka. – A spojrzawszy na Rachelę, którą obiecałam sobie ochraniać, dodałam: – albo dwie.

– Kujon! – wykrzyknęła Tamaryszka. – Nie cierpię kujonów.

– Przychodzę tu, żeby się uczyć, i zamierzam to robić. Inaczej jaki to miałyby sens?

– Tylko uważnie słuchaj, co ona mówi – Tamaryszka zwróciła się do Racheli, ta zaś spuściła wzrok.

Bez wątpienia przyzwyczała się już do docinków koleżanki i uważała, że to cena, którą musi płacić za wspólną naukę. Jednak nasze lekcje nie były zasługą panny St. Aubyn. Tak uzgodnili dorośli i ja nie zamierzałam jej się odwdzięczać.

Tamaryszka uznała temat za wyczerpany. Miałam się przekonać, że miewała bardzo zmienne nastroje. W jednej chwili potrafiła kogoś obrazić, a już w chwilę potem robiła wrażenie przyjacielskiej. W głębi serca czułam, że jest zadowolona z mej obecności na lekcjach, a fakt, że jej nie ustępowałam, raczej ją bawił. Przerywało to monotonię potulnego przytakiwania wszystkiemu przez Rachelę. Kiedy schodziłyśmy już do holu szerokimi schodami, zobaczyłam stojącego na dole młodego mężczyznę.

– Halo, Kryspin! – powitała go Tamaryszka.

Kryspin! – pomyślałam. Jej brat. Dziedzic na włościach, który daje wyraźnie do zrozumienia, że jest tu panem.

Był dokładnie taki, jak sobie wyobraziłam, kiedy go ciocia opisywała. Wysoki, szczupły, z jasnoszarymi, zimnymi oczami, wyrażającymi raczej pogardliwy stosunek do świata. Miał na sobie strój do jazdy konnej, najwidoczniej dopiero wszedł do domu.

Skinął głową na powitanie siostry, a potem zaraz przeniósł wzrok na Rachelę i mnie. Minał nas i wszedł na schody.

– To mój brat, Kryspin – oznajmiła Tamaryszka.

– Wiem. Mówiłaś, jak ma na imię.

– To wszystko należy do niego – oznajmiła z dumą, zataczając wkoło rękami.

– Nie za bardzo zwraca na ciebie uwagę.

– To dlatego, że jestem z wami.

Wtedy usłyszałam jego wyraźny, niosący się daleko głos.

– Co to za niezbyt urodziwe dziecko było z nimi dwiema? – zapytał kogoś na górze. – Rozumiem, że to jakaś nowa – dodał.

Tamaryszka z trudem powstrzymywała śmiech. Zarumieniłam się gwałtownie. Wiedziałam, że nie jestem taka piękna jak ona ani taka ładniutka jak Rachela, ale „niezbyt urodziwe dziecko”! Poczułam się okrutnie zraniona i upokorzona.

– No cóż – odezwała się Tamaryszka, która dla cudzych uczuć nie miała zbyt wiele szacunku – chciał się dowiedzieć, kim jesteś. Poza wszystkim, to jego dom, czyż nie? A ty nie wydajesz się zbyt urodziwa.

– Dla mnie to nie ma znaczenia. Panna Lloyd mnie lubi, moja ciocia też. Nie przejmuję się tym, co o mnie myśli twój nieuprzejmy brat.

– Nie był nieuprzejmy. Cóż, taka jest prawda. „Wiara w prawdę musi się ostać, gdy wszystko inne zawodzi...” albo coś takiego. Powinnaś to znać, jesteś taka zdolna. Zostałaś pupilką staruszki Lallie.

Gdy znalazłyśmy się przy drzwiach, powiedziała już przyjaznym tonem:

– Do widzenia. Zobaczymy się jutro.

Ruszyłam wraz z Rachelą podjazdem, myśląc: „Jestem niezbyt urodziwa”.

Nigdy się przedtem nad tym nie zastanawiałam i teraz zostałam postawiona przed nagą prawdą.

Doszłyśmy do domu „Pod Dzwonem”. W promieniach słońca bardzo mi się podobał. Kiedy się zbliżyłyśmy, przy bramie pojawił się mężczyzna w średnim wieku, z kręconymi rzyżymi włosami, siwiejącymi lekko na skroniach, i ze zjeżoną, krótką brodą.

Wsparł się dłonią o bramę i zauważyłam, że jego rękę też pokrywa rude owłosienie. Usta miał wąskie i zacięte, oczy zaś małe, świdrujące.

– Jak się macie! – rzekł, ale spoglądał wyłącznie na mnie. – Ty musisz być tą nową spod „Jarzębin”. Byłaś na lekcjach w St. Aubyn’s.

– To mój wujek – powiedziała cicho Rachela.

– Dzień dobry, panie Dorian – odezwałam się grzecznie. Skinął głową i oblizał wargi. Doznałam nagle uczucia dojmującej niechęci do tego człowieka, której źródła zupełnie nie mogłam zrozumieć. Rachela także stała się jakaś nieswoja, jakby lekko przestraszona, lecz pomyślałam, że po prostu jest już taka bojaźliwa.

– Niech was Bóg błogosławi – powiedział pan Dorian, nie spuszczać ze mnie wzroku.

Pożegnałam się i ruszyłam w stronę domu. Stół był już przygotowany do lunchu, ciocia Zosia i Lily już na mnie czekały.

– No więc – spytała ciocia – jak poszło?

– Bardzo dobrze.

– To świetnie. A nie mówiłam, prawda, Lily? Sądzę, że wyprzedzisz tamte dwie.

– Też tak uważam – dodała służąca.

– Panna Lloyd jest chyba ze mnie zadowolona. Powiedziała, że się cieszy, iż będzie mnie uczyć.

Wymieniły spojrzenia, po czym Lily zauważyła zrzędlwym tonem:

– Nie po to całe rano pocę się nad ogniem, żeby jedzenie było zimne.

Usiadłyśmy do stołu i podała nam posiłek, lecz prawie nie mogłam jeść po tych przeżyciach.

– A zatem – orzekła ciocia Zosia – było to bardzo owocne przedpołudnie.

Czekałam na chwilę, kiedy uda mi się wymknąć do swego pokoju. A tam spojrzalam w lustro. Niezbyt urodziwa! – pomyślałam. Cóż, tak było. Miałam ciemne włosy, wprawdzie gęste, jednak całkiem proste. Tamaryszka miała loki i to w pięknym kolorze, włosy Racheli ślicznie układały się w fale. Przyjrzałam się swym policzkom – gładkie, ale bladawe, oczy – jasnopiwe z długimi, lecz niezbyt ciemnymi rzęsami, nos dość wydatny, pełne usta.

Wpatrywałam się w lustro, kiedy do pokoju weszła ciocia Zosia. Usiadła na łóżku.

– Lepiej będzie, jak mi powiesz – odezwała się. – Co się stało? Nie wszystko poszło dobrze?

– Masz na myśli lekcje?

– Nie tylko. Może Tamaryszka jakoś ci dokuczyła. To by mnie nie zdziwiło.

– Potrafię dać sobie z nią radę.

– Tak mi się wydawało. Ona jest jak nadmuchany balonik. Wypuść powietrze, a oklapnie. Biedna Tamaryszka, nie miała najszcześniejszego dzieciństwa. Więc o co chodzi?

– O jej... brata.

– O Kryspina? A co on ma do rzeczy?

– Był w holu, kiedy wychodziłyśmy.

– Co ci powiedział?

– Nie mnie, tylko... o mnie.

Patrzyła z niedowierzaniem. Opisałam jej owo krótkie spotkanie i dodałam, że usłyszałam, jak pytał: „Co to za niezbyt urodziwe dziecko?”.

-« Ale impertynent! Wcale się nim nie przejmuj.

– Przecież tak jest. Stwierdził, że nie jestem zbyt urodziwa.

– To nieprawda. Nie chcę wysłuchiwać takich bzdur.

– A jednak tak. Nie jestem taka ładna, jak Tamaryszka i Rachela.

– Moje dziecko, ty masz coś więcej niż banalną urodę. Coś, co cię spośród nich wyróżnia – jesteś interesująca. I to się liczy. Cieszę się, że to właśnie ty jesteś moją siostrzenicą. Nie zamieniłabym cię na tamte.

– Naprawdę?

– Z całą pewnością.

– Mam duży nos.

– Dla mnie nos to powinien być nos... a nie jakiś przyklejony kawałek kitu. – Nie mogłam się powstrzymać od śmiechu, a ona ciągnęła dalej: – Duży nos ma charakter. Sama bym chciała taki mieć.

– Ale twój nie jest taki duży, ciociu.

– Jesteś podobna do ojca. On miał niezły nos. Był jednym z najprzystojniejszych mężczyzn, jakich znałam. Masz piękne oczy. Wyraziste, żywe. Można z nich wyczytać twe uczucia. Po to one są – no i oczywiście, żeby widzieć. Przestań się już gryźć, ludzie mówią takie rzeczy bez zastanowienia. On się spieszył i nie przypatrzył ci się dobrze.

– Ledwie rzucił na mnie okiem, to wszystko.

– Więc widzisz. O każdym mógł tak powiedzieć. Jeżeli tobie brakuje urody, to ja jestem Napoleonem Bonaparte. Kropka.

Wybuchnęłam śmiechem. Kochana ciocia Zosia. Kolejny raz przyszła mi z pomocą.

Tak więc od poniedziałku do piątku regularnie bywałam w St. Aubyn's. Spotykałam się zwykle przy bramie domu „Pod Dzwonem” z Rachelą i dalej szłyśmy razem. Zawiązałyśmy koalicję przeciwko Tamaryszce, a w tym porozumieniu stałam się kimś w rodzaju orędowniczki Racheli.

Jednak nie potrafiłam zapomnieć uwagi Kryspina. Nie mogłam pozostać wobec niej obojętna. Nie byłam brzydka – wierzyłam w to, co powiedziała ciocia Zosia. Miałam bardzo ładne włosy. Delikatne, ale gęste. Szczotkowałam je tak długo, aż stawały się lśniące. Często nosiłam je rozpuszczone na ramiona, zamiast spletać dwa poważnie wyglądające warkoczki. Dbałam, żeby moje ubranie nigdy nie było pogniecione. Tamaryszka wydawała się świadoma moich wysiłków, jednak ich nie komentowała, najwyżej kwitowała je konspiracyjnym uśmiechem.

Zachowywała się wobec mnie przyjaźnie. Nieraz wydawało mi się, że usiłuje zabiegać o rozbitcie mego przymierza z Rachelą, co sprawiało mi przyjemność i niewątpliwie pochlebiało.

Kryspina widywała mnie rzadko i zwykle z daleka. Najwyraźniej nie interesował się młodszą siostrą i jej towarzyszkami.

Ciocia Zosia nazwała go impertynentem, a ja utwierdzałam się w tej opinii. Starał się uchodzić za bardzo ważną osobę i dawał to wszystkim do zrozumienia. W stosunku do mnie i ciocie Zosi to mu się nie udało, myślałam.

Pewnego dnia, gdy jak zwykle przyszedłam pod bramę domu „Pod Dzwonem” po Rachelę, nie było jej tam. Ponieważ bramę zastałam otwartą, weszłam do ogrodu i postanowiłam poczekać na ławeczce.

Przypatrywałam się fasadzie budynku. Rzeczywiście można się nim zachwycić, może jeszcze bardziej niż dworem St. Aubyn's. To powinien być szczęśliwy dom, takie przytulne, rodzinne gniazdo, a jednak miałam pewność, że tak nie jest. Tamaryszka mogła być zaniedbywana przez rodziców i wychowywana przez niańki, lecz mimo wszystko nie odbiło się to na niej w taki sposób. W odróżnieniu od Racheli wydawała się beztroską dziewczyną. Rachelę natomiast robiła wrażenie zastraszonej... chyba rzeczywiście czegoś się bała. Czułam, że to musi mieć związek z tym domem.

A może tylko po prostu zgodnie ze swą naturą fantazjowałam, co mi się często zdarzało. Meg mówiła, że jak poniesie mnie wyobraźnia, to zmyślam o różnych ludziach niezwykle historie, a w połowie z nich nie ma nawet *źdźbła* prawdy.

Usłyszałam za sobą głos.

– Jak się masz, moja droga.

To był pan Dorian, wujek Racheli, a ja poczułam, jak ogarnia mnie wręcz nieprzeparłe pragnienie, żeby wstać, uciec stąd co sił w nogach i znaleźć się jak najdalej od niego. Dlaczego? Miał przecież taki miły głos.

– Czekasz na Rachelę?

– Tak. – Wstałam, gdyż miał najwyraźniej zamiar usiąść koło mnie. Ujął mnie za ramię i pociągnął z powrotem na ławkę.

Wpatrywał się we mnie przenikliwie.

– Podobają ci się lekcje z panną Lloyd?

– Tak, dziękuję.

– To dobrze... to bardzo dobrze. Siedział bardzo blisko mnie.

– Musimy już iść – powiedziałam – bo się spóźnimy. Z ulgą zobaczyłam, że z domu wychodzi Rachelę.

- Przepraszam za spóźnienie... – zaczęła mówić i nagle przeniosła wzrok na wujka.
- Fryderyka musiała na ciebie czekać – odezwał się z łagodną naganą w głosie.
- Tak. Przykro mi.
- No to już chodźmy. – Naprawdę gorąco pragnęłam wreszcie stamtąd odejść.
- Bądźcie grzeczne, dziewczęta – rzekł pan Dorian. – Niech was Bóg błogosławi.

Poszłyśmy i miałam wrażenie, że odprowadza nas wzrokiem. Nie wiedziałam dlaczego, ale przeszedł mnie dreszcz.

Rachela nie odzywała się, lecz ona często bywała milcząca. Tym razem jednak wydawało mi się, że w jakiś sposób odkryła, co czuję.

Wspomnienie o panu Dorianie nie opuszczało mnie przez jakiś czas. Było na tyle niemiłe, że usiłowałam o wszystkim zapomnieć, lecz kiedy następnym razem wstąpiłam po Rachelę, nie weszłam do ogrodu, tylko czekałam na zewnątrz.

Bardzo dobrze układało mi się z panną Lloyd i świadomość, że stałam się jej ulubioną uczennicą, sprawiała mi przyjemność. Chwaliła moją sumienność. Łączyła nas miłość do poezji i razem wgłębiałyśmy się w treść wierszy. Podczas takich lekcji Rachela nie mogła się połapać, o czym mówimy, Tamaryszka zaś siedziała wyraźnie znudzona, jakby przedmiot naszej dyskusji okazał się niegodny jej uwagi.

Panna Lloyd zauważyła kiedyś, że byłoby miło, gdyby Tamaryszka zaprosiła mnie i Rachelę na podwieczorek.

- Nie sądzisz, Tamaryszko? – zapytała.
- Mogą przyjść – odparła tamta niezbyt uprzejmie.
- To świetnie. Urządzimy zatem takie małe popołudniowe przyjęcie.

Ciocia Zosia z rozbawieniem wysłuchiwała mojej relacji o zaproszeniu.

– Powinnyście poznać w tym dworze coś więcej niż tylko szkolny pokój – zauważyła. – Dom jest tego wart. Cieszę się, że się zaprzyjaźniłaś z panną Lloyd. To rozsądna kobieta. Uświadomiła sobie, o ile jesteś zdolniejsza od tamtych dwóch dziewcząt.

– Może nie jestem taka ładna, ale znacznie szybciej się uczę.

– Bzdura. To znaczy bzdura co do pierwszego stwierdzenia, a prawda, jeśli chodzi o drugie. Miej poczucie własnej wartości. Myśl o sobie dobrze, a inni też będą podobnie cię traktować.

I tak wybrałam się na podwieczorek. Podano wyborne kanapki i pyszne ciasto z wiśniami, a panna Lloyd powiedziała, że Tamaryszka, jako gospodyni, powinna nas zabawiać.

Tamaryszka zrobiła dobrze mi znany, lekceważący grymas i zachowywała się jak zwykle. Okazało się, że w te dni, kiedy pani St. Aubyn czuje się na tyle dobrze, aby widzieć się z córką, spotykały się o wpół do piątej. Panna Lloyd musiała spytać panią St. Aubyn, czy nie chciałyby poznać dziewcząt, z którymi jej córka odbywa lekcje. Ku zdumieniu panny Lloyd matka Tamaryszki wyraziła zgodę pod warunkiem, że będzie się dobrze czuła i panienki nie zostaną zbyt długo.

Tym sposobem poznałam panią domu, matkę Tamaryszki i Kryspina.

Panna Lloyd zaprowadziła nas do pani St. Aubyn.

Zastaliśmy ją ubraną w peniuar z fiołkoworóżowego szyfonu, przybrany koronkami i wstążkami. Spoczywała na sofie, a obok na stoliku leżała otwarta bombonierka z pomadkami.

Pani St. Aubyn okazała się kobietą dość pulchną, jednak wielkiej urody. Miała złociste włosy, takie same jak Tamaryszka, misternie upięte do góry. Szyję jej zdobił wisiołek z brylantem, takie same kamienie pobłyskiwały na palcach.

Obrzuciła nas omdlewającym spojrzeniem, potem zaś jej wzrok zatrzymał się na mnie.

– Pani St. Aubyn, to jest Fryderyka – dokonała prezentacji panna Lloyd. – Siostrzenica panny Cardingham.

Skinęła, żebym podeszła bliżej.

– Twoja matka jest chora, jak słyszałam – powiedziała.

– Tak.

Pokiwiała głową

– Rozumiem... rozumiem aż nadto dobrze. Podobno przebywa w jakimś zakładzie dla rekonwalescentów?

Potwierdziłam. Westchnęła.

– To smutne, moje biedne dziecko. Musisz mi o tym opowiedzieć. – Byłam już gotowa spełnić jej prośbę, gdy dodała: – Pewnego dnia... kiedy będę czuła się silniejsza.

Panna Lloyd położyła mi dłoń na ramieniu i odsunęła mnie do tyłu, a ja uświadomiłam sobie, że pani St. Aubyn bardziej była zainteresowana chorobą mej matki niż mną.

Zaprzagnęłam wydostać się z tego pokoju, chyba podobnie jak panna Lloyd, gdyż usłyszałam ją mówiącą:

– Nie wolno pani się przemęczać, lady St. Aubyn.

Matka Tamaryszki ze zrezygnowaną miną pokiwała głową.

– To jest Rachel – dodała panna Lloyd. – Bardzo przyjaźni się z Fryderyką.

– Jak miło. Obie są sympatycznymi dziewczętami. Tamaryszko, pożegnaj się z mamą... i wy, dziewczęta.

Uczyniliśmy to z ulgą.

Jaka to dziwna rodzina, pomyślałam. Pani St. Aubyn w niczym nie przypominała ani swej córki, ani syna. Pamiętam, jak ciocia Zosia mówiła, że prowadziła wesołe życie i nic jej nie interesowało poza zabawą. Teraz wszystko tak bardzo się zmieniło. Ale przyszło mi na myśl, że być może sprawia jej przyjemność ta choroba i leżenie na sofie w szyfonach i koronkach.

Ludzie bywają bardzo dziwni. Moje stosunki z Tamaryszką układały się raczej po przyjacielsku, choć stale wojowałyśmy ze sobą. Zawsze starała się być lepsza ode mnie, co mówiąc szczerze, nawet mnie cieszyło. Bardziej liczyła się ze mną niż z Rachelą, a kiedy jej się przeciwstawiałam, co się często zdarzało, bawiły ją te słowne utarczki między nami. Rachelę trochę lekceważyła i udawała, że i ja jej nie imponuję. Sądzę mimo to, iż w pewnym stopniu mnie podziwiała.

Czasami po południu wybierałyśmy się razem na spacer po posiadłości St. Aubyn's, która była bardzo rozległa. Tamaryszka lubiła pokazywać swą wyższość, zwracając nam uwagę na różne miejsca. Właśnie dlatego doszło do mej wizyty u Flory i Lucy Lane.

Mieszkały w domu niedaleko dworu St. Aubyn's i obie kiedyś – jak powiedziała mi Tamaryszka – były niańkami Kryspina.

– Wychowankowie zawsze kochają dawne nianie – ciągnęła swą opowieść – zwłaszcza jeżeli ich matki i ojcowie szczególnie się nimi nie zajmowali. Dobrze wspominam starą nianię Comton, chociaż denerwowała się drobiazgami i ciągle mi mówiła: „Tego ci nie wolno”. Kryspin bardzo ceni Lucy Lane. Flory chyba nie pamięta z tamtych czasów. Najpierw ona się nim opiekowała, ale stała się dziwna, no wiesz. Później nianią została Lucy. Mój brat bardzo się nimi obiema opiekuje. Często sprawdza, czy niczego im nie brak. Nie uwierzyłabyś, że Kryspin tak się może kimś zajmować, prawda?

– Czy ja wiem – odrzekłam. – Właściwie to wcale go nie znam.

Sama usłyszałam chłodną nutę we własnym głosie, która pojawiała się, gdy była o nim mowa, co oczywiście rzadko się zresztą zdarzało. Wracalo wtedy zawsze wspomnienie owego spotkania na schodach, kiedy zapytał: „Kim jest to niezbyt urodziwe dziecko?”.

– W każdym razie obie mieszkają w tym domu. I moją nianią mogłaby być Lucy, ale odeszła od nas, zanim się urodziłam. Musiała zająć się Florą po śmierci ich matki. Flora wymaga opieki. Ona robi różne dziwne rzeczy.

– Jakie rzeczy?

– Nosi ze sobą lalkę i uważa, że to dziecko. Śpiewa jej. Sama słyszałam. Siedzi w ogrodzie na tyłach domu w pobliżu starych morwowych krzewów i coś do niej mówi. Lucy nie lubi, jak ludzie rozmawiają z Florą. Twierdzi, że siostrę to denerwuje. Możemy je odwiedzić, poznałabyś ją.

– A one nie miałyby nic przeciwko temu?

– Cóż to ma za znaczenie? Mieszkają na terenie naszych dóbr, czyż nie?

– Ale to ich dom, twój brat wielkodusznie im go podarował, może więc należałoby uszanować ich prawo do prywatności.

– Coś takiego! – odpowiedziała kpiąco Tamaryszka. – Ja i tak tam pójde.

Nie mogłam się temu oprzeć i poszłam razem z nią.

Dom stał samotnie na uboczu. Od frontu miał mały ogródek. Tamaryszka otworzyła bramę i weszła na prowadzącą do drzwi ścieżkę.

– Jest tu ktoś? – zawołała.

W drzwiach stanęła kobieta. Od razu wiedziałam, że to panna Lucy Lane. Miała siwiejące włosy, a na twarzy wyraz nieustannego niepokoju, który jakby stanowił jej wrodzoną cechę. Była schludnie ubrana w szarą bluzkę i spódnicę tego samego koloru.

– Przyprowadziłam Fryderykę Hammond, żeby ją pani poznała – oznajmiła Tamaryszka.

– O, to miło – odpowiedziała Lucy Lane. – Wejdźcie, proszę.

Weszliśmy do małego holu, a potem do sąsiadującego z nim, równie niewielkiego, ale utrzymanego we wzorowej czystości saloniku.

– Więc to panienka jest tą nową uczennicą we dworze – zwróciła się do mnie Lucy Lane.
– Siostrzenicą panny Cardingham.

– Tak – odrzekłam.

– Uczy się panienka z panną Tamaryszka. To miło.

Usiadliśmy.

– Jak dzisiaj czuje się Flora? – spytała Tamaryszka, rozczarowana, że Lucy na mnie zwróciła uwagę.

– Jest w swoim pokoju. Nie będę jej niepokoić. A jak się panience podoba w Harper's Green?

– Bardzo tu ładnie – powiedziałam uprzejmie.

– A panienki biedna mama... choruje, o ile mi wiadomo. Potwierdziłam i prawie oczekiwałam, że odpowie „to miło”, lecz Lucy nieoczekiwanie zauważyła:

– Och... życie czasem potrafi być okrutne.

Tamaryszka zaczynała się nudzić.

– Tak się zastanawiam, czy nie mogłybyśmy przywitać się z Florą – powiedziała.

Lucy Lane wyglądała na jeszcze bardziej przestraszona. Wydawało mi się, że już miała udzielić odmownej odpowiedzi, gdy tymczasem, ku jej rozczerowaniu a uciechu Tamaryszki, otworzyły się drzwi i w progu stanęła druga kobieta.

Była trochę podobna do Lucy i odgadłam, że to musi być Flora. W odróżnieniu jednak od siostry, której mina wyrażała najwyższą czujność, duże, z lekka nieprzytomne oczy Flory patrzyły w jakąś odległą przestrzeń. W ramionach trzymała lalkę. Widok kobiety w średnim wieku z lalką w ramionach był wstrząsający.

– Jak się masz, Floro – powiedziała Tamaryszka. – Przyszłam cię odwiedzić. A to jest Fred Hammond. Dziewczynka, choć po imieniu byś tego nie poznała. – Zachichotała cicho.

– Nazywam się Fryderyka – odezwałam się. – Fryderyka Hammond.

Flora skinęła głową, przenosząc spojrzenie z Tamaryszki na mnie.

– Fred uczy się z nami – wyjaśniała dalej Tamaryszka.

– Nie chciałabyś wrócić do swego pokoju, Floro? – spytała Lucy niespokojnie.

Ta jednak pokręciła przecząco głową i opuściła wzrok na lalkę.

– On dzisiaj jest nerwowy – powiedziała. – Ząbkuje.

– To chłopczyk, prawda? – spytała Tamaryszka.

Flora usiadła i ułożyła lalkę na kolanach. Patrzyła na nią czułym wzrokiem.

– A czy już nie czas, żeby się przespał? – zapytała Lucy. – Chodź, pójdziemy na górę. Proszę wybaczyć – zwróciła się do nas. Mocno ujęła Florę za ramię i wyprowadziła ją z pokoju.

Tamaryszka popatrzyła na mnie i popukała się w czoło.

– A nie mówiłam? – szepnęła. – Jest stuknięta. Lucy usiłuje udawać, że nie jest z nią tak źle... ale ona naprawdę ma bzika.

– Biedna kobieta – powiedziałam. – To musi być dla nich obu okropne. Chyba powinnyśmy już iść. One nie chcą, żebyśmy tu zostały.

– Dobrze, dobrze – odrzekła Tamaryszka. – Chciałam tylko, żebyś poznała Florę. – Kiedy wracaliśmy stamtąd, zapytała: – No i co o tym sądzisz?

– Okropnie smutne. Ta starsza siostra... bo Lucy jest starsza, prawda? – Tamaryszka skinęła głową – ...naprawdę zadręcza się tą pomyloną. To straszne wierzyć, że lalka jest dzieckiem.

– Ona uważa, że to Kryspin... kiedy był niemowlęciem.

– Ciekawe, dlaczego tak sądzi.

– Nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Minęło już tak wiele lat od tamtych czasów, a kiedy Flora zrobiła się dziwna, Lucy zaczęła się nim opiekować. Był wtedy małym dzieckiem. Został oddany do szkoły, gdy miał dziewięć lat. Zawsze lubił pocziwą Lucy. Jej ojciec pracował u nas jako ogrodnik i dlatego dostał ten dom. Umarł, zanim Lucy tu wróciła. Bo ona najpierw pracowała gdzieś na północy. Ich matka mieszkała w tym domu, gdy zmarł ojciec i wtedy Lucy wróciła. Tak w każdym razie słyszałam, a jak tylko Flora zwariowała, Lucy zaczęła się opiekować Kryspinem.

– To ładnie z jego strony, że pozwolił im zatrzymać dom, choć żadna z nich nie pracuje w majątku St. Aubyn's.

– On lubi Lucy. Mówiłam ci, że była jego nianią, a ludzie mają sentyment do swoich niań.

W drodze powrotnej nie mogłam opędzić się od myśli o tej dziwnej kobiecie i jej lalce, którą traktowała, jakby to było niemowlę, i do tego Kryspin.

Trudno mi przyszło sobie wyobrazić, że ów impertynencki mężczyzna mógł być kiedyś dzieckiem.

W Barrow Wood

Moje koleżanki były już na podwieczorku u cioci Zosi, a my we dworze St. Aubyn's. Wreszcie zostałyśmy zaproszone do domu „Pod Dzwonem”. Tamaryszka znalazła jakąś wymówkę, że nie może przyjść i w rezultacie byłam jedynym gościem.

Gdy weszłam do otaczającego front domu ogrodu, od razu poczułam się niepewnie. Minęłam ławkę, na której czekałam na Rachelę owego dnia, kiedy jej wujek przysiadł się do mnie i ze mną rozmawiał. Miałam nadzieję, że dziś go nie spotkam.

Zadzwoiłam do drzwi. Otworzyła mi pokojówka.

– Panienska przyszła do panny Racheli? Proszę dalej.

Poprowadziła mnie przez hol do pokoju o gotyckich oknach, wychodzących na trawnik. Ciężkie i ciemne zasłony wpuszczały bardzo mało światła. Natychmiast zauważyłam na ścianie obraz przedstawiający Ukrzyżowanie. Został namalowany niezwykle realistycznie. Wyrazisty rysunek każdego gwoźdźcia przebijającego ręce i nogi oraz kropel spływającej z nich krwi wręcz mnie przeraził, nie mogłam na to patrzeć. Drugi obraz przedstawiał jakiegoś świętego, przebitego strzałami, a jeszcze na innym ukazano człowieka przywiązanego do słupa. Słup stał w wodzie i zrozumiałam, że los tego człowieka jest przesądzony – będzie powoli tonął w miarę przyływu. W sumie na wszystkich obrazach głównym tematem było ludzkie okrucieństwo.

Gdy sobie to uświadomiłam, przeszedł mnie dreszcz. Przyszło mi na myśl, że to pan Dorian urządził pokój w taki sposób, żeby stał się mroczny i ponury.

Do pokoju weszła Rachel. Twarz jej rozjaśniła się na mój widok.

– Cieszę się, że Tamaryszka nie przyszła – powiedziała. – Ona ze wszystkiego sobie kpi.

– Nie powinnaś się nią przejmować – pocieszyłam ją.

– Nie powinnam, ale się przejmuję – wyznała. – Zaraz będzie podwieczorek. Moja ciotka chciałaby cię poznać.

Mam nadzieję, że nie wujek, pomyślałam.

I rzeczywiście ciotka Racheli, pani Hilda, przyszła do nas. Była wysoką kobietą, dość szczupłą i kościstą. Włosy miała mocno ściągnięte do tyłu, co powinno nadawać jej surowy wygląd, ale w istocie robiła wrażenie lękliwej i jakiejś bezbronnej. Całkiem inne niż jej mąż, który wydawał się człowiekiem bardzo pewnym siebie, bez skazy, mającym zawsze rację.

– Ciociu Hildo – odezwała się Rachel – to jest Fryderyka.

– Jak się masz – przywitała mnie pani Hilda, ujmując moją rękę w swą chłodną dłoń. – Rachela mówiła mi, że się zaprzyjaźniłyście. Dobrze, że nas odwiedziłaś. Zaraz napijemy się herbaty.

Do podwieczorku usługiwała ta sama pokojówka, która wpuściła mnie do domu. Podała chleb, masło, trójkątne placuszki z jęczmiennej mąki i placek posypany makiem.

– W naszym domu zawsze odmawiamy modlitwę przed każdym posiłkiem – wyjaśniła mi pani Hilda.

Mówiła w taki sposób, jakby recytowała wyuczoną na pamięć lekcję. Modlitwa była długa i wyrażała wdzięczność nieszczęsnych grzeszników za otrzymane dobrodziejstwa.

W czasie gdy pokojówka nalewała herbatę, ciotka Racheli spytała mnie o mamę i o to, czy zadomowiłam się w Harper's Green. W porównaniu z podwieczorkiem w St. Aubyn's wydawało się tu raczej nudno. Żałowałam, że nie ma z nami Tamaryszki, która – choć potrafiła być czasami nieuprzejma – przynajmniej wносиła wszędzie wiele ożywienia.

Niestety, ku memu przerażeniu pod koniec podwieczorku pojawił się też pan Dorian. Przyjrzał się nam z zainteresowaniem i poczułam, że jego oczy zaraz spoczęły na mnie.

– Aaa – odezwał się na powitanie – popołudniowe przyjęcie.

Pomyślałam, że pani Hilda wygląda jak ktoś, kto poczuwa się do jakiejś winy, prawie jakby została złapana na uczestniczeniu w bachanaliach. Ale jej mąż nie robił wrażenia niezadowolonego. Stał, zacierając ręce. Musiały być bardzo suche, gdyż słyszałam szeleszczący odgłos, który przejmował mnie odrazą.

– Domyślam się, że jesteś w wieku mej siostrzenicy – powiedział do mnie.

– Mam trzynaście lat.

– Ciągle jeszcze dziecko. U progu życia. Dowiesz się, moja droga, że jest ono pełne zasadzek. Będziesz musiała strzec się diabła i wszystkich jego sztuczek.

Kiedy wstałyśmy od stołu, usiadłam na sofie. Zajął miejsce koło mnie i przysunął się blisko.

– A czy, moje dziecko, odmawiasz modlitwę codziennie wieczorem? – spytał.

– Ja... eee...

Pogroził mi palcem, którym następnie dotknął lekko mego policzka. Wzdrygnęłam się i odsunęłam głowę, ale wydawało mi się, że nie zwrócił na to uwagi. Ciągnął dalej:

– Klękasz przy łóżku... w nocnej koszulce. – Wysunął nieco koniec języka i dotknął nim górnej wargi. – Prosisz Boga, aby przebaczył ci grzechy popełnione w ciągu dnia. Jesteś młoda, lecz młodzi potrafią być grzeszni. Pamiętaj, że w każdej chwili możesz zostać postawiona przed obliczem swego Stwórcy. „W rozkwicie życia pogrążamy się w śmierci”.

I ty, nawet ty, moje dziecko, możesz być przeniesiona ze wszystkimi obciążającymi cię grzechami przed oblicze Stwórcy.

– Nie myślałam o tym – powiedziałam, usiłując odsunąć się niepostrzeżenie.

– Nie, no właśnie. A więc... każdego wieczoru musisz klęknąć przy łóżku w nocnej koszulce i prosić, aby wszystkie brzydkie uczynki, popełnione przez ciebie za dnia, a nawet i myśli, zostały ci wybaczone.

Dygotałam w środku. Tamaryszka potrafiłaby się śmiać z całej tej przemowy. Uchwyciłabym jej spojrzenie, a ona zrobiłaby jedną ze swych charakterystycznych, kpiących min. Powiedziała by, że ten człowiek jest tak samo stuknięty jak biedna Flora Lane, choć w inny sposób. On po prostu nieustannie myślał o grzechach, Flora zaś tkwiła w przekonaniu, że lalka jest dzieckiem. Jedynie to ich różniło.

Nie marzyłam o niczym innym, tylko o tym, żeby opuścić dom „Pod Dzwonem” i nigdy tu nie wracać. Nie rozumiałam, dlaczego ten człowiek tak bardzo mnie straszy, ale nie miałam wątpliwości, że taki miał cel.

Zwróciłam się do pani Hildy:

– Bardzo dziękuję za zaproszenie. Ciocia na pewno na mnie czeka i chyba już powinnam iść.

Zabrzmiało to mało przekonująco. Ciocia Zosia wiedziała, gdzie jestem, i nie spodziewała się mego powrotu tak wcześnie. Ale ja musiałam wyjść z tego domu.

Wydało mi się, że ciotka Racheli, która podczas przemowy męża wyraźnie czuła się nieswojo, teraz odetchnęła z ulgą.

– No cóż, kochanie, nie możemy cię zatrzymywać – pożegnała mnie. – Miło było cię gościć. Rachelo, odprowadzisz koleżankę do bramy?

Rachela poderwała się ochoczo.

– Do widzenia. – Staralam się nie patrzeć w stronę pana Doriana.

Wreszcie się stamtąd wyrwałam, a chciałam rzucić się do ucieczki. Nagle ogarnął mnie strach, że pan Dorian mógłby pobiec za mną i nadal mówić o mych grzechach, patrząc na mnie tak dziwnie.

Rachela poszła ze mną do bramy.

– Mam nadzieję, że wszystko w porządku, prawda? – spytała.

– O tak... tak – skłamałam.

– Szkoda, że... – Nie dokończyła, ale wiedziałam, co miała na myśli. Gdyby pan Dorian się nie zjawił, posiedziałybyśmy w normalnej, miłej atmosferze przy podwieczorku.

– Czy on zawsze jest taki? – zapytałam. – Opowiada ciągle o grzechach i tym wszystkim?

– No wiesz, jest bardzo religijnym człowiekiem. W niedzielę trzy razy bywa w kościele, choć nie bardzo lubi pastora Hetheringtona. Twierdzi, że on się skłania ku papizmowi.

– Chyba uważa, że wszyscy są strasznymi grzesznikami.

– Taki pogląd mają ludzie moralni.

– Wolałabym mieć do czynienia z kimś mniej moralnym. To musi być przykre.

Zamilkłam, gdyż chyba powiedziałam za dużo. Niezależnie od wszystkiego Rachela musiała przecież żyć z nim pod jednym dachem.

Przy bramie obróciłam się i spojrzałam na dom. Miałam dziwne uczucie, że pan Dorian może mnie obserwować z któregoś okna, i ponownie zapragnęłam uciec jak najszybciej, aby znaleźć się jak najdalej stąd.

– Do widzenia, Rachelo – powiedziałam i ruszyłam przed siebie.

Przyjemny powiew wiatru owiał mi twarz. Pomyślałam: On nigdy nie byłby w stanie biec tak szybko jak ja. Nigdy mnie nie złapie, choćby próbował.

Nie skierowałam się prosto w stronę domu. Ten człowiek wywarł na mnie tak silne wrażenie, że chciałam uwolnić się od niego całkowicie, a nie mogłam. Wspomnienie o nim nie dawało się zatrzeć. Szeleszczący odgłos zacieranych suchych dłoni, oczy przeszywające mnie na wylot, otoczone jasnymi, prawie niedostrzegalnymi rzęsami, sposób, w jaki oblizywał wargi, gdy na mnie spoglądał – to wszystko sprawiało, że ogarnęła mnie panika.

Jak Rachela mogła mieszkać w jednym domu z takim człowiekiem? Ale on był jej wujkiem, musiała. Pomyślałam, jak niezliczoną ilość razy przedtem, o moim szczęśliwym życiu pod opieką cioci Zosi.

Szłam pod wiatr, który rozwiewał me nieprzyjemne, choć nie całkiem określone odczucia. To miasteczko było dziwnym miejscem... skądinąd fascynującym. Coś mi podpowiadało, że mogą się tutaj zdarzyć niesamowite rzeczy. Mieszka tu Flora Lane ze swą lalką i pan Dorian... Nie potrafiłam zrozumieć, na czym polega jego dziwaczność. Wiedziałam jedynie, że kiedy się zbliżał, wzbudzał we mnie nieokreślony lęk i wtedy szczególnie odczuwałam potrzebę rozmowy z cicią i jej opiekuńczej miłości.

Miałam szczęście, że mogłam iść do cioci Zosi. Natomiast biedna, biedna Rachela... Postanowiłam być dla niej jeszcze miłsza w przyszłości i próbować wynagrodzić jej to, że ma takiego wujka jak pan Dorian.

Idąc okreśną drogą, spostrzegłam nagle dom pańien Lane, nie od strony, z której poprzednio do niego wchodziłyśmy, lecz od tyłu. Poszłam w tym kierunku. Ogród był otoczony murkiem. Ponad nim widziałam morwowe krzewy, o których wspominała Tamaryszka, i siedzącą w pobliżu Florę. Obok niej stał wózek dla lalek, a w nim, jak się domyślałam, leżała lalka. Pochyliłam się nad murkiem, żeby się przyjrzeć tej scenie. Flora zobaczyła mnie i powitała:

- Dzień dobry.
- Dzień dobry – odpowiedziałam.
- Przyszłaś zobaczyć się z Lucy? – spytała.
- Nie, po prostu tędy przechodziłam.
- Tam jest furka...

Zabrzmiało to jak zaproszenie, więc pobudzona wrodzoną ciekawością, weszłam do ogrodu i zbliżyłam się do niej.

– Ciii... – Przyłożyła palec do ust. – On teraz śpi. Mógłby zacząć marudzić, gdyby go ktoś obudził.

- Oczywiście – przytaknęłam.

Siedziała na drewnianej ławce. Odsunęła się nieco i zrobiła mi miejsce koło siebie.

- On jest niezwykle – ciągnęła dalej.
- Z pewnością.
- Nie chce iść do nikogo, tylko do mnie.
- A jego matka... – zaczęłam.

– Nie powinna mieć dzieci. Tacy ludzie jak oni... ciągle wyjeżdżają sobie do Londynu. Moim zdaniem, w ogóle nie powinni mieć dzieci.

- No tak – potwierdziłam.

Wskazała głową w kierunku morwowych krzewów.

- Tam nic nie ma.
- Gdzie? – spytałam.

Znowu pokazała głową krzewy.

- Żeby nie wiem, co powiedzieli, nie wolno się denerwować.

– Dlaczego nie? – spytałam, ponieważ usiłowałam zrozumieć, o czym właściwie ona mówi.

Ale to nie było odpowiednie pytanie. Flora odwróciła się do mnie i jej oczy straciły poprzedni spokój.

- Nie – powiedziała. – Nic nie ma. Nie wolno... źle by się stało. Nie należy.

– Dobrze – zapewniłam ją – nie będę o to pytać. Często pani tutaj siedzi?

– On ma się dobrze... mój mały dzidzius. Śpi jak aniołek. Słodkie niewiniątko. – Zaśmiała się cicho. – Trzeba by go usłyszeć, jak ma swój napad złości. O, będzie kiedyś tyranem ten mały brzdąc. Dostanie w życiu to, co będzie chciał.

Lucy musiała mnie zobaczyć z okna domu. Przyszła do nas i nie miałam wątpliwości, iż nie jest zadowolona, że rozmawiałem z jej siostrą.

– Panienska jest siostrzenicą panny Cardinghan, prawda? – spytała.

Potwierdziłam i dodałam, że przechodziłam tędy, Flora mnie zauważyła i zaprosiła do ogrodu.

– O, to miło. Wybrała się panienska gdzieś na spacer?

– Byłam w domu „Pod Dzwonem” i teraz wracałam do nas.

– To miło.

Wszystko wydawało się jej miłe, ale wyczuwałam, że pokrywała w ten sposób pewne zdenerwowanie i chciała, żebym sobie już poszła, więc powiedziałam:

– Ciocia na mnie czeka.

– Wobec tego nie może się panienska spóźnić – odrzekła z wyraźną ulgą.

– To prawda. Do widzenia – pożegnałam się, patrząc na Florę, która uśmiechnęła się do mnie. Nagle jednak spytała:

– Tam nic nie ma, prawda... Lucy?

Ta zmarszczyła brwi, jakby nie była pewna, o co chodzi jej siostrze. Flora chyba często mówiła coś, co nie miało sensu.

Lucy odprowadziła mnie do bramy.

– „Jarzębiny” nie są daleko. Zna panienska drogę.

– Oczywiście. Bardzo dobrze.

– Proszę pozdrowić ode mnie pannę Cardingham.

– Dziękuję.

Ruszyłam biegiem w stronę domu, a wiatr rozwiewał mi włosy.

Co za dziwne popołudnie, myślałam. Tu mieszka tyle tajemniczych osób i dzisiaj spotkałam się z dwoma najbardziej dziwnymi. Teraz czułam nieodpartą potrzebę szybkiego powrotu do drogiej, normalnej cioci Zosi.

Czekała już na mnie.

– Myślałam, że wcześniej wrócisz – powiedziała.

– Zobaczyłam Florę w ogrodzie i zatrzymałam się, żeby z nią porozmawiać.

– Biedna Flora! Jak się udało przyjęcie?

Zawahałam się lekko z odpowiedzią.

– Tak myślałam. Wiem, jak tam jest i żal mi nieszczęsnej Hildy. Dobrzy ludzie, którzy mają zarezerwowane miejsce w niebie, na ziemi muszą nieraz sporo doświadczyć.

– On mnie spytał, czy odmawiam co wieczór modlitwę. Powinnam prosić o wybaczenie grzechów na wypadek, gdybym umarła w nocy.

Ciocia Zosia wybuchnęła śmiechem.

– A zapytałaś go o to samo?

– Sądzę, że on się modli. Oni wszyscy ciągle się modlą. Och, ciociu Zosiu, jaka jestem szczęśliwa, że mieszkam u ciebie.

Chyba sprawiłam jej przyjemność.

– Zrobię, co w mojej mocy, żebyś czuła się szczęśliwa i nawet jeżeli nie będziemy takie rozmodłone, to radości nam nie zabraknie. A co z Florą? Zwariowana jak zwykle?

– Trzyma w małym wózku lalkę. Uważa, że to Kryspin St. Aubyn.

– To dlatego, że ona żyje przeszłością, czasami, kiedy jeszcze była jego niańką. Sądzi, że nadal pracuje we dworze. Biedna Lucy, wiele musi cierpliwie znosić. Ale Kryspin St. Aubyn jest dla niej bardzo dobry. Wiem, że często ją odwiedza. Cóż, była jego nianią, a od rodziców nie zaznał zbyt wiele miłości.

– Coś mówiła o krzewach morwy i o tym, że tam nic nie ma.

– To jakieś dziwactwa. No, jeżeli zaraz nie wyjdę po zakupy, nie będziemy miały nic na kolację. Lily zarządziła, że mam dzisiaj chodzić po sklepach. A może wybierzesz się ze mną?

– Och tak, bardzo chętnie.

Wzięłam ją pod rękę i poszliśmy razem.

Przepełniała mnie radość, gdyż uświadamiałam sobie, jakie przykre chwile przeżywają dzieci, które utraciły rodziców. Na przykład Rachel musiała zamieszkać w domu „Pod Dzwonem” i przebywać tam razem z wujkiem Dorianem. Kryspin i Tamaryszka mieli wprawdzie w dzieciństwie oboje rodziców, ale zważywszy na opiekę, jaką ci nad nimi roztaczali, równie dobrze mogliby być sierotami. Oczywiście, ja sama także miałam ojca gdzieś w świecie

». i mamę, która bardziej przejmowała się utraconą świetnością niż własnym dzieckiem. Ale mnie przyjało szczęście. To ono przywiodło mnie do cioci Zosi.

Bardzo dobrze też dogadywałam się z panną Lloyd, szczególnie że interesowałam się tym, czego nas uczyła, o wiele bardziej niż moje koleżanki. Panna Lloyd zwykła była mawiać: „Dziewczęta, historia sięga niemal progów naszych domów. Nie możemy tego nie wykorzystać. Tylko pomyślcie, dwa tysiące lat temu byli tu ludzie... w tym samym miejscu, które teraz zamieszkujemy”.

Cieszyło ją moje zainteresowanie i być może dlatego pewnego dnia uznała, że zamiast nauki w szkolnym pokoju, powinnyśmy od czasu do czasu wybrać się na – jak to nazwała – edukacyjną wędrowkę.

Pewnego rana wzięła dwukólkę i pojechałyśmy przez Salisbury Plain do Stonehenge. Panna Lloyd uśmiechała się do mnie z uznaniem, gdy ogromnie podniecona oglądałam starożytne głazy.

– A teraz, dziewczęta – zapytała – czy potraficie wczuć się w tajemnicę... w owo cudo łączące nas z przeszłością?

– O, tak – zapewniłam ją.

Rachela chyba nie bardzo wiedziała, o co nauczycielce chodzi, Tamaryszka zaś wydeła pogardliwie usta. Tyle zamieszania z powodu wielkich kamieni, tylko dlatego, że od tak dawna tutaj się znajdowały. Patrząc na nią, czułam, że to właśnie myśli.

– Ich wiek szacuje się na lata między 1800 i 1400 przed Chrystusem. Pomyślcie o tym, dziewczęta. Ich układ zgodnie z kierunkiem od wschodu do zachodu słońca wskazuje, że było to miejsce kultu religijnego. Stańcie przez chwilę spokojnie i zastanówcie się, proszę.

Panna Lloyd przypatrywała mi się z uśmiechem, gdyż wiedziała, że podzielam jej podziw dla niezwykłych zjawisk.

Po tej wycieczce jeszcze bardziej wzrosło me zainteresowanie relikdami przeszłości, które nas otaczały. Panna Lloyd dała mi kilka książek do przeczytania. Ciocia Zosia słuchała z zadowoleniem mojej relacji o fascynującej konstrukcji Stonehenge, gdzie podobno odprawiali obrzędy religijne druidzi.

– Wiesz, ciociu, druidzi byli bardzo uczeni – powiedziałam. – Ale składali ofiary z ludzi. Uważali, że dusza nigdy nie umiera, tylko przechodzi z jednego człowieka do drugiego.

– Nie bardzo mi się to podoba – odrzekła. – A składanie ofiar z ludzi jeszcze mniej.

– Dzikusy, według mego zdania – wtrąciła Lily, która przypadkiem usłyszała naszą rozmowę.

– Umieszczali ludzi w klatkach, na podobieństwo swych bożków i palili ich żywcem – wyjaśniłam mym słuchaczkom.

– Litości! – zawołała Lily. – Myślałam, że chodzisz na lekcje, aby uczyć się czytania, pisania i arytmetyki, a nie dowiadywać się o jakichś chuliganach.

Zaśmiałam się lekko.

– To wszystko nasza historia, Lily.

– W każdym razie dobrze wiedzieć, jacy to byli ludzie – dodała ciocia Zosia. – Można się tylko cieszyć, że żyjemy w innych czasach.

Po oględzinach Stonehenge zaczęłam się rozglądać, czy nie znajdę jakichś śladów po ludziach żyjących tu przed tysiącami lat. Panna Lloyd zachęcała mnie do tego i któregoś dnia zabrała nas do lasu zwanego Barrow Wood. Okazało się, że to całkiem blisko naszego domu, co mnie ogromnie ucieszyło.

– Nazywa się Barrow Wood – wyjaśniła nauczycielka. – Wiecie, dziewczęta, skąd się wzięła ta nazwa i co to jest kurhan? Nie? To taki kopiec kryjący mogiły. Te w Barrow Wood pochodzą prawdopodobnie z epoki brązu. Czy to nie pasjonujące?

– Bardzo – odrzekłam, ale nie potwierdzał tego pusty wzrok Tamaryszki, ani zmarszczone brwi Racheli, która próbowała się skupić.

– Widzicie – mówiła dalej panna Lloyd – z ziemi i kamieni były usypywane kopce. Pod nimi znajdowały się komory grobowe. Ze sposobu urządzenia grobów można wnosić, że chowano w nich ważne osobistości. A potem oczywiście wszystko to porosło drzewami. Tak, to musiało być jakieś szczególne miejsce... relikwiarz. Ludzie tam pogrzebani byli prawdopodobnie najwyższymi kapłanami druidów, ich przywódcami lub kimś takim.

Ogarnęło mnie podniecenie, gdyż mogłam zobaczyć Barrow Wood ze swojego okna.

– Barrow to nazwa, którą nadano tym grobom. Tumulus – mogiła – to jeszcze jedna ich nazwa. Stąd ten las zwie się Barrow Wood.

Później często tam chodziłam. Miałam do lasu tak blisko. Siadywałam w nim i rozmyślałam o grobach. Zdumiewało mnie, że ci ludzie spoczywają w głębi ziemi od czasów przed narodzinami Chrystusa. Latem drzewa zasłaniały cały teren mogił. Zimą można było zauważyć, że leżą blisko drogi.

Pewnego dnia gdy tam byłam, usłyszałam odgłos końskich kopyt, dochodzący od strony drogi. Podeszłam na skraj zagajnika i zobaczyłam przejeżdżającego Kryspina St. Aubyn.

Następnym razem spotkałam tam pana Doriana. Szedł w moją stronę, a ja zmartwiałam z przerażenia. Kiedy mnie zobaczył, na jego twarzy pojawił się dziwny grymas. Przyspieszył kroku. Natychmiast opanowało mnie jedno pragnienie – uciec od niego tak szybko, jak to tylko możliwe. Miałam odczucie, że w tym osobliwym miejscu jeszcze bardziej mi zagraża niż w domu „Pod Dzwonem”.

– Dzień dobry – powiedział z uśmiechem.

– Dzień dobry, panie Dorian.

– Podziwiamy kurhany?

Podchodził coraz bliżej.

– Tak.

– Pogańskie diabelstwa!

– Tak. Muszę już bieć, ciocia na mnie czeka.

I pognałam z sercem dziko bijącym z jakiegoś niepojętego przerażenia.

Dobiegłam do drogi i spojrzałam za siebie. Stał na skraju lasu i odprowadzał mnie wzrokiem. Obserwował mnie.

Wpadłam do domu „Pod Jarzębinami” uniesiona radością, że zdołałam mu się wymknąć.

Dużo myślałam o Florze Lane. Między innymi pewnie ze względu na to jej wyobrażenie, że lalka, którą piastuje, jest Kryspinem St. Aubyn, chociaż naprawdę trudno by sobie wyobrazić, że kiedykolwiek był małym dzidziusiem.

Kryspin często zaprzętał moje myśli. Wydawał się arogancki i nieuprzejmy, jednak łąpałam się na tym, że szukam dla niego usprawiedliwienia. Rodzice nie kochali zarówno jego, jak i Tamaryszki. Brat i siostra byli do siebie bardzo podobni: narzucali własną wolę innym.

Również pan Dorian wkradał się natrętnie w me myśli. Zdarzało się, że mi się śnił. Były to jakieś nieuchwytnie obrazy, bez określonej treści, ale zawsze budziłam się szczęśliwa, że się z nich wyrwałam. Niosły ze sobą niejasne uczucie przerażenia.

Jako osobę z natury ciekawą interesowało mnie życie Harper’s Green. Często kierowałam się w stronę domu sióstr Lane. Odnosiłam wrażenie, że Flora mnie lubi. Kiedy mijałam ich ogród i pozdrawiałam ją, na jej twarzy zawsze pojawiał się wyraz szczerzego zadowolenia. Celowo przechodziłam tamtędy, gdy tylko mogłam, oczywiście po południu, gdyż po lekcjach musiałam iść na obiad przygotowany przez Lily.

Zbliżałam się do domu od tyłu i zaglądałam ponad murkiem. Jeśli Flora siedziała na swym zwykłym miejscu, mówiłam jej „dzień dobry”. Prawie zawsze mi odpowiadała, tylko raz się zdarzyło, że odwróciła głowę, jakby nie chciała mnie widzieć, lecz zwykle dawała do zrozumienia, iż pragnie, abym weszła do ogrodu.

Szybko odkryłam, że Flora nie zachęcała mnie do wejścia, gdy Lucy przebywała w domu. To Lucy nie chciała, żebym rozmawiała z jej siostrą i Flora zdawała sobie z tego sprawę.

W związku z tym wykazywała nawet pewien spryt. Ponieważ miała ochotę na rozmowę ze mną, a obawiała się Lucy, moje wizyty musiały się odbywać pod nieobecność tej ostatniej.

Pewnego popołudnia, gdy przechodziłam, wyraźnie mnie zaprosiła. Usiadłyśmy koło siebie na ławce i Flora uśmiechnęła się niemal konspiracyjnie.

Zaczęła coś do mnie mówić i choć nie całkiem ją rozumiałam, najwyraźniej była zadowolona z mej obecności.

Mówiła głównie o lalce, lecz parę razy kierowała moją uwagę na morwowe krzewy, powtarzając, że niczego tam nie ma.

Nagle powiedziała, że tego popołudnia dziecko jest niespokojne, pewnie z powodu wiatru. Było chłodno i mały trochę pociągał noskiem.

– Lepiej zabiorę go do domu – postanowiła.

Wstała. Podniosłam się także i miałam już zamiar się pożegnać, gdy Flora pokręciła przecząco głową.

– Nie... ty też. – Wskazała na dom.

Zawahałam się lekko. Zastanawiałam się, czy powinnam z nią pójść. Lucy z pewnością nie było. Nie mogłam jednak się oprzeć pokusie – ostatecznie zostałam zaproszona.

Towarzyszyłam Florze, gdy pchała wózek w kierunku kuchennych drzwi.

W domu delikatnie wyjęła lalkę z wózka, pomrukując cicho.

– Już dobrze, dobrze. To tylko ta brzydka pogoda. On chce do łóżeczka. Tak, tam mu będzie dobrze. Niania Flora o to zadba.

Tu, w środku, wszystko to wydawało się jeszcze bardziej niesamowite i tajemnicze, więc z ogromnym zaciekawieniem wchodziłam za nią po schodach na górę.

Dom okazał się dość obszerny. Mieściły się tam dwie sypialnie i pokój dziecienny. Domyśliłam się, że każda z sióstr zajmowała jedną z nich, a pokój dziecienny był przeznaczony oczywiście dla „dziecka”. Weszłyśmy i Flora z czułością ułożyła lalkę w łóżeczku.

Zwróciła się teraz do mnie:

– Będzie mu tu lepiej, małemu aniołeczkowi. Dzieci są rozdrażnione, kiedy im zimno.

Zawsze ze zmieszaniem słuchałam, jak opowiada o lalce, która rzekomo miała być żywym dzieckiem.

– Ładny ten pokój – powiedziałam.

Jej twarz rozjaśniła się z zadowolenia, lecz zaraz przygasła.

– Nie taki, jak kiedyś mieliśmy.

Teraz Flora wyglądała na nieco przestraszona. Domyśliłam się, że musiałam jej przypomnieć o tamtym, we dworze St. Aubyn's, gdzie opiekowała się małym Kryspinem.

Usiłowałam wymyślić jakiś temat rozmowy. Wtedy zobaczyłam wiszący na ścianie obrazek. Przedstawiał siedem ptaków siedzących na murze z kamieni. Wyglądał jakby wycięty z jakiejś książki i oprawiony.

Podeszłam bliżej i przeczytałam podpis.

– „Zatajony sekret”! – zawołałam. – Przecież to jest siedem srok!

Pokiwała z entuzjazmem głową. Już zapomniała, że ten pokój dziecienny nie jest tak ładny jak w St. Aubyn's.

– Podoba ci się? – spytała.

– To na pewno chodzi o tych siedem srok z wierszyka. Kiedyś go się uczyłam. Jak to było? Chyba pamiętam:

Jedna smutek przegna, Dadzą radość dwie, Trzy wezmę sam, Cztery tobie dam, Pięć da srebro, Sześć da złoto, A siedem jest po to...

Flora wpatrywała się w moje usta, gdy recytowałam ten wierszyk i zakończyła go wraz ze mną:

...żeby sekret zatajony nigdy nie był wyjawiony.

– No właśnie – ucieszyłam się. – Nie zapomniałam.

– To Lucy zrobiła – wyjaśniła, gładząc czule ramkę.

– Lucy go oprawiła?

Flora skinęła głową potakująco.

– „Siedem, żeby sekret zatajony nigdy nie był wyjawiony” – powtórzyła. – Nigdy nie może być wyjawiony. – Pokręciła głową. – Nigdy... nigdy... nigdy. To właśnie mówią te ptaszki.

Przyjrzałam się im dokładniej.

– Wyglądają jakby były złe – powiedziałam.

– To z powodu tego sekretu. Ojej! Budzi się. – Podeszła do łóżeczka i wyjęła z niego lalkę.

Cały pokój wypełniała atmosfera niesamowitości. Chętnie dowiedziałabym się czegoś więcej o Florze, a zwłaszcza co się kryje za tymi dziwnymi urojeniami. Zastanawiałam się, czy nie wróciłaby do zdrowia, gdyby została przekonana, że lalka to tylko lalka, a dziecko, które rzekomo przedstawia, jest teraz dorosłym mężczyzną.

Nagle ogarnęło mnie przemożne pragnienie, by opuścić ten pokój i usłyszałam własne słowa:

– Chyba powinnam już iść. Niech mnie pani nie odprowadza.

Znajdowałam się już przy schodach, kiedy usłyszałam dochodzące z dołu głosy. Przeraziłam się. Nie słyszałam, żeby ktoś wchodził do domu.

– Floro! – Rozpoznałam głos Lucy, która ze zdumieniem patrzyła, gdy zaczynałam schodzić ze schodów.

– Byłam z panną Florą na górze – wyjąkałam.

– Oo... zaprosiła panienkę, tak?

Zawahałam się lekko.

– Ona... pokazywała mi dziecinny pokój.

Lucy wyglądała na bardzo niezadowoloną, a tymczasem do holu wszedł mężczyzna. Był to Kryspin St. Aubyn.

– To siostrzenica panny Cardingham – wyjaśniła Lucy. – Flora ją tu zaprosiła.

Skłonił lekko głowę w moim kierunku.

– Już wychodzę – powiedziałam.

Siostra Flory odprowadziła mnie do frontowych drzwi i popędziłam w stronę domu.

Cóż to było za dziwne popołudnie! Nie mogłam przestać myśleć o siedmiu srokach. Miały taki ponury wygląd. Lucy musiała wyciąć ten obrazek z książki i oprawić go dla Flory. Czy miały jej przypominać, że istnieje jakiś sekret, który nie powinien zostać wyjawiony? Umysłowość Flory odpowiadała inteligencji małego dziecka. Może należało jej często przypominać o różnych rzeczach, a może po prostu obrazek pochodził z książki, którą Flora lubiła w dzieciństwie, i dlatego Lucy go dla niej oprawiła.

W każdym razie wszystko to jest bardzo ciekawe, myślałam, biegnąc do cioci Zosi.

Parę dni później odkryłam coś, o co bym cioci zupełnie nie podejrzewała. W domu „Pod Jarzębinami” był niewielki pokój, do którego wchodziło się z sypialni. Kiedyś pewnie służył jako ubieralnia, ale teraz urządzono w nim mały gabinet do pracy.

Chciałam porozmawiać z ciocią o jakiejś mało ważnej sprawie i Lily powiedziała mi, że tam ją znajdzie, gdyż poszła robić porządki w komodzie. Weszłam zatem na górę i zapukałam do jej sypialni. Nie usłyszałam odpowiedzi, więc otworzyłam drzwi i zajrzałam do środka. Drzwi gabinetu były otwarte.

– Ciociu! – zawołałam.

Wyszła stamtąd i stanęła w progu.

Wydawała się bardzo zmieniona. Tak smutnej jej dotąd nie widziałam, na rzęsach jeszcze miała łzy.

– Czy coś się stało? – zapytałam.

Zawahała się chwilę, po czym odpowiedziała:

– Nie... nic. Jestem po prostu starą, zwariowaną babą. Pisałam do kogoś, kogo znałam dawno temu.

– Przepraszam, że przeszkodziłam. Lily sądziła, że ciocia robi porządki w komodzie.

– Istotnie, tak jej powiedziałam. Wejdz, kochanie. Nadszedł czas, żebyś się dowiedziała.

Weszłam do gabinetu.

– Usiądź. Pisałam do twego ojca – oznajmiła ciocia.

– Do mego ojca?

– Pisuję do niego od czasu do czasu. Widzisz, dawno temu dobrze się znaliśmy... kiedy byłam młodsza.

– Gdzie on jest?

– W Egipcie. Kiedyś służył w armii, ale odszedł z wojska. Przez wiele lat do niego pisywałam. To długa historia. – Patrzyła na mnie tak, jakby nie była czegoś całkiem pewna, ale wreszcie się zdecydowała. Zaczęła mi opowiadać: – Ja pierwsza poznałam twego ojca, jeszcze przedtem, nim spotkał twą mamę, u kogoś na przyjęciu. Od samego początku bardzo się zaprzyjaźniliśmy. Został zaproszony do „Cedrowego Dworu”. To się wydarzyło wtedy, kiedy twoja mama ukończyła szkołę. Miała osiemnaście lat i była prawdziwą pięknoscią. Cóż, zakochał się w niej.

– Przecież ją zostawił.

– To się stało później. Ten związek się nie udał. Twój ojciec nie potrafił się ustatkować, był bardzo wesołym człowiekiem, uwielbiał życie towarzyskie. Trochę pił... nie za dużo, ale chyba zbliżał się do pewnej granicy... Lubił hazard i kobiety. Nie podchodził do życia zbyt poważnie. Cóż, rozstali się mniej więcej po roku od twych narodzin. Wzięli rozwód, jak wiesz. W grę wchodziła inna kobieta. Ożenił się z nią, ale i to małżeństwo okazało się nieszczęśliwe.

– Wydaje mi się, że on nie jest zbyt odpowiedzialnym człowiekiem.

– Za to ma wiele czaru.

– Rozumiem. I ty do niego pisujesz.

– Tak. Zawsze byliśmy dobrymi przyjaciółmi.

– Czy uważasz, że powinien był ożenić się z tobą, a nie z mamą?

Uśmiechnęła się smutno.

– Najwyraźniej wolał ożenić się z nią.

– Mogłabyś być moją mamą – zauważyłam.

– Gdyby się tak zdarzyło, ty nie byłabyś tą samą dziewczyną. A nie chciałybyśmy zmieniać tego, co jest, prawda?

Żartowała ze mnie... znowu stała się sobą.

– Sama nie wiem. Może okazałabym się bardziej urodziwa.

– Co za bzdura! Twoja mama była piękną kobietą, a ja tą brzydszą siostrą.

– Nigdy w to nie uwierzę.

– Dajmy spokój z tą urodą. Chciałam, żebyś się dowiedziała, że twój ojciec pisuje do mnie listy i zawsze oczekuje wiadomości o tobie. Wie, że mieszkasz teraz u mnie i jest z tego bardzo zadowolony. Ma zamiar pomóc w finansowaniu twojej edukacji. Nauka w szkole – do której, jak mam nadzieję, pójdziesz za parę miesięcy z Tamaryszką i Rachelą – może być trochę kosztowna.

– Cieszę się, że tak postanowił.

– I tak jakoś dałabym sobie radę, ale przyda się jego pomoc i ładnie z jego strony, że wystąpił z taką propozycją.

– No cóż, jest moim ojcem.

– Nie widział cię, odkąd wyjechał, ale, Freddie, spotykałby się z tobą, gdyby mama mu pozwoliła. Być może teraz...

– Gdyby wrócił do kraju? To masz na myśli?

– Nie wydaje mi się, żeby na razie cokolwiek to zapowiadało. Ale, oczywiście, może się tak stać.

– Czy pisanie do niego przyprawia cię o smutek?

– Ludzie czasami bywają sentymentalni. Przypominam sobie dni młodości.

– Musiałaś być bardzo nieszczęśliwa, kiedy zamiast z tobą, ożenił się z mamą.

Nie odpowiedziała, a ja objęłam ją ramieniem.

– Tak mi przykro – odezwałam się żarliwie. – Żałuję, że nie ożenił się z tobą. Wtedy bylibyśmy razem, on i my.

Pokręciła głową.

– On nie był z tych, którzy siedzą na jednym miejscu. I tak by wyjechał. – Na jej wargach pojawił się czuły uśmiech, gdy mówiła dalej. – A teraz jesteś moja, prawda?.. Tak jakbym była twoją matką. Moja siostrzenica... jego córka. W taki sposób chcę o tym myśleć.

– Czujesz się teraz lepiej, gdy mi powiedziałaś?

– O wiele lepiej – zapewniła mnie. – Jestem zadowolona, że już wiesz... A teraz cieszymy się dobrymi stronami tej sytuacji.

Zdawałam sobie sprawę, że mam z czego się cieszyć, zwłaszcza kiedy porównywałam los swój i Racheli. Często to robiłam, gdyż wszystko, co nas spotkało, było bardzo podobne. Ja mieszkałam u cioci, ona zaś u wujostwa. Zawsze miałam świadomość, że moje położenie było wynikiem szczęśliwego trafu, lecz nie w pełni zdawałam sobie z tego sprawę, dopóki nie dowiedziałam się czegoś o mojej koleżance.

Od początku czułam, że żyje w jakimś strachu. Nigdy nic na ten temat wyraźnie nie wspomniała, gdyż rzadko rozmawialiśmy o jej życiu w domu „Pod Dzwonem”, ale przeczuwałam, że miałyby wiele do opowiedzenia.

Byłyśmy ze sobą bardziej zaprzyjaźnione niż każda z nas z Tamaryszką. Staralam się ochraniać Rachelę i sądzę, że uważała mnie za swą szczerą przyjaciółkę.

Często do nas przychodziła, siadałyśmy w ogrodzie i rozmawialiśmy. Od pewnego czasu miałam wrażenie, że chce mi się zwierzyć, ale trudno jej to przychodzi. Czasem w trakcie wesołej rozmowy i śmiechów, gdy doszło do jakiejś wzmianki o domu „Pod Dzwonem”, zauważałam, że zachodziła w niej wyraźna zmiana. Nie mogłam nie dostrzec, jak niechętnie Rachelę mnie opuszcza, kiedy nadchodził czas powrotu do wujostwa.

Pewnego dnia, gdy byłyśmy w ogrodzie, spytałam ją:

– Jak właściwie jest w domu „Pod Dzwonem”? Mam na myśli to, jak naprawdę ci się tam żyje?

Rachela zeszywniała i przez długą chwilę w ogóle się nie odzywała. Potem wybuchnęła:

– Och, Freddie, ja się boję!

– Czego? – spytałam.

– Tak właściwie... sama nie wiem. Ale żyję w strachu.

– Chodzi o twego wujka?

– Widzisz, on jest głęboko moralnym człowiekiem. Zawsze opowiada o Bogu... i zwraca się do Niego... jak Abraham albo jakaś inna z tych postaci z Biblii. Mówi o tym, jak wiele rzeczy jest grzesznych... rzeczy, o których ludzie nie chcą myśleć. Pewnie dlatego, że sam jest taki dobry.

– Dobroć polega chyba na tym, że należy troszczyć się o innych, a nie ich straszyć.

– Kiedy ciotka Hilda kupiła sobie grzebień do wpinania we włosy, uznał, że to grzeszne. Grzebień był niezwykle gustowny i gdy go wpięła, wyglądała bardzo ładnie. Siedzieliśmy przy stole i jedliśmy obiad, a on powiedział: „Marność nad marnościami i wszystko marność. Wyglądasz jak rozpustnica babilońska”. Biedna ciotka Hilda zrobiła się biała jak ściana i strasznie się zdenerwowała. Wyjął jej grzebień z włosów, które rozsypały się na ramiona. Wuj wyglądał wtedy jak gniewny prorok z Biblii... niczym Mojżesz, kiedy Żydzi ustawili złotego cielca. On nie jest zwykłym człowiekiem... jednym z nas.

– Moja ciocia Zosia jest czuła i kochająca. Sądzę, że to ważniejsze niż cytowanie Biblii i naśladowanie Abrahama. Przecież on gotów był zabić własnego syna w ofierze, kiedy Bóg tego zażądał. Ciocia Zosia nigdy by tak nie postąpiła po to, żeby dobrze wyglądać w oczach Boga.

Masz szczęście, twoja ciocia Zosia jest kochana, chciałabym mieć taką. Ale mój wujek to naprawdę głęboko moralny człowiek. Codziennie się modlimy, i to bardzo długo, aż mi cierpną kolana. Musimy prosić o wybaczenie, a ponieważ on sam jest taki dobry, sądzi, że wszyscy jesteśmy bardzo źli i pójdziemy do piekła, więc to chyba i tak bezcelowe.

– A on oczywiście pójdzie do nieba?

– Cóż, zawsze zwraca się do Boga. Ale nie o to chodzi...

– A o co?

– Jak on na mnie patrzy, jak mnie dotyka. Raz powiedział, że jestem kusicielką. Nie wiem, co to miało znaczyć. A ty wiesz?

Pokręciłam przecząco głową.

– Staram się nie być z nim... sama.

– Wiem, co masz na myśli.

– Kiedyś... no, raz przyszedł do mego pokoju w nocy, kiedy spałam w łóżku. Obudziłam się, a on stał i patrzył na mnie.

Przeszedł mnie nagle zimny dreszcz. Wiedziałam dokładnie, co czuła.

– Spytał mnie: „Odmówiłaś modlitwę? Odpowiedziałam: „Tak, wujku”. „Mówisz prawdę?” – on na to. „Wyjdź z łóżka i zmów ją jeszcze raz”. Zmusił mnie, żebym uklękła i cały czas na mnie patrzył. A potem sam zaczął się modlić, jakoś tak dziwnie. Prosił Boga, żeby go wyzwolił z pokus szatana. „Walczę, o Panie”, mówił. „Ty wiesz, jak walczę, żeby przewyciężyć grzech, który szatan zaszczepił we mnie”, coś w tym rodzaju. A potem wyciągnął rękę i mnie dotknął. Myślałam, że ma zamiar ściągnąć ze mnie koszulę. Potwornie się bałam, zerwałam się i wybiegłam z pokoju. Właśnie przy drzwiach stanęła ciotka Hilda, więc się do niej przytuliłam, a ona powtarzała: „Już dobrze, nic się nie stało”.

– A co zrobił twój wujek?

– Nie widziałam, ukryłam twarz. Musiał wyjść wtedy z pokoju. Gdy uniosłam wzrok, już go nie było.

– Co się potem działo?

Ciotka Hilda ciągle powtarzała, że nic się nie stało. Zaprowadziła mnie z powrotem do mego pokoju, ale nie chciałam tam zostać. Położyła się ze mną do łóżka i przyrzekła, że mnie samej nie zostawi. Byłyśmy razem przez całą noc. Rano mi wyjaśniła, że to był tylko senny koszmar. Wujkowi zdarza się chodzić we śnie. „Ale lepiej o tym nie wspominać”, upomniała mnie. „Nie byłby zadowolony”. Więc nigdy o tym nie mówiłam... aż do tej chwili. Potem powiedziała, żebym zawsze zamykała drzwi na klucz, na wypadek gdyby znowu przydarzyła mu się przechadzka w lunatycznym śnie. „Będziesz lepiej spać”, dodała. „Nikt już tu nie wejdzie”. – Rachelę wyjęła klucz z kieszeni i pokazała mi. – Zawsze mam go przy sobie i co wieczór sprawdzam, czy dobrze zamknęłam drzwi.

– Szkoda, że nie możesz zamieszkać z nami.

– O, to byłoby wspaniale. Pewnego razu... on tam stał... za drzwiami. Próbował przekręcić gałkę. Wskoczyłam z łóżka i stałam cicho, nasłuchując. Zaczął się modlić. Przeklinał diabły, które dręczą go tak jak świętych. Powiedział, że wie, iż to Bóg go wystawia na pokuszenie, a diabły przybierają postać młodych dziewcząt. Prawie płakał, mówiąc, że powinien się wychłostać, oczyścić ze zła. Potem odszedł, ale ja nie mogłam zasnąć, choć drzwi były zamknięte.

– Och, Rachelo – westchnęłam – dobrze, że mi się zwierzyłaś. Odniosłam wrażenie, że coś się dzieje.

– Mnie też jest lepiej, gdy ci to opowiedziałam. – Spojrzała na klucz i schowała go do kieszeni. – Na szczęście mam to – dodała.

Przez jakiś czas siedziałyśmy w milczeniu, a ja dokładnie wiedziałam, co czuła, gdy wuj wszedł do jej pokoju.

Zaczął się dużo mówić o konieczności wysłania nas do szkoły. Ciocia Zosia zdecydowała się w związku z tym złożyć wizytę pani St. Aubyn. Ciotka Racheli, Hilda, wybrała się tam razem z nią.

Każda z nich była zupełnie inną kobietą. Ciotka Hilda – potulna, starała się każdemu przypodobać, pani St. Aubyn zaś udawała zainteresowanie sprawą, która w istocie wcale jej nie obchodziła. Tylko ciocia Zosia zabrała się energicznie do dzieła, zebrała informacje o kilku szkołach, które odwiedziła. Wybór padł na tę pod wezwaniem świętego Stefana. Była niedaleko, a ciocia знаła dyrektorkę i uważała ją za rozsądną kobietę. Cioci podobała się panująca tam atmosfera i czuła, że będzie to właściwe miejsce. Żadna z pań nie wyraziła sprzeciwu.

Był maj i należało się pospieszyć z przygotowaniami, żeby zdążyć na początek nauki we wrześniu. Ciocia Zosia zabrała nas do Salisbury, gdzie kupiliśmy mundurki. Pod koniec czerwca wszystko było przygotowane.

Podniecała nas ta perspektywa – nawet Tamaryszkę – i godzinami snułyśmy rozważania, jak to się właściwie ułoży. Miałyśmy pewne obawy, ale wszystkie czułyśmy się zadowolone, że będziemy się razem uczyć.

Aż nadszedł dzień, którego z pewnością nie zapomnę do końca życia.

Był lipiec, a powietrze zrobiło się gorące i parne. Rachelę i mnie zaproszono na podwieczorek do St. Aubyn's. Spędziłyśmy tam bardzo miło przeszło godzinę, oczywiście bezustannie rozprawiając o szkole. Możliwość wyjazdu z domu najbardziej odpowiadała Racheli, choć i Tamaryszka zawsze była nastawiona przychylnie do nowej przygody.

Pożegnałam się z Rachelą przy domu „Pod Dzwonem”, ale nie chciałam od razu wracać do domu. Ciocia Zosia miała wyjść po zakupy, więc zdecydowałam się na dłuższą drogę obok Barrow Wood.

Nie mogłam jednak oprzeć się pokusie i weszłam do lasu. Skierowałam się w stronę grobów, a potem stałam tam zamyślona przez parę chwil. Uwielbiałam ten zapach ziemi i drzew. Było zupełnie cicho – poza lekkim szmerem wiatru w liściach.

Pomyślałam, że kiedy wyjadę do szkoły, będzie mi brakowało Barrow Wood. Nie powinnam jednak zostawać tu zbyt długo. Ciocia Zosia zapewne przyszła już ze sklepu.

Zawróciłam dość gwałtownie i potknęłam się o kamień wystający z ziemi na kilka centymetrów. Usiłowałam zachować równowagę, by nie upaść, ale mi się nie udało i runęłam na ziemię. Wygięła mi się przy tym prawa stopa i przeszył mnie ból. Gramoliłam się z ziemi, żeby stanąć na nogach, lecz ponownie na nią opadałam. Poczułam przerażenie. Powinnam była bardziej uważać. Wiedziałam, że w Barrow Wood wystają z ziemi jakieś dziwne kamienie. Jednak wyrzucanie sobie nieuwagi teraz miało się z celem. Najważniejsze było pytanie: jak w takiej sytuacji mam się dostać do domu?

Dotknęłam kostki i skrzywiłam się z bólu. Szybko puchła i bolała coraz bardziej.

Siedziałam, zastanawiając się, co robić. I wtedy się stało. On tu był. Szedł w moim kierunku. Wzrok miał utkwiony we mnie, a to spojrzenie doprowadzało mnie do panicznego strachu.

– Biedny, mały kwiatusek – wymruczał. – Zrobiłaś sobie krzywdę, malutka.

– Panie Dorian, upadłam i coś mi się stało w kostkę. Może mógłby pan pójść i zawiadomić moją ciocię.

On jednak nadal stał, wytrzeszczając na mnie oczy. Po chwili powiedział:

– Zostałem do tego przywiedzony. To przeznaczenie... Przynął się jeszcze bliżej i wtedy poznałam strach, o jakim do tej pory nie miałam pojęcia. Instykt mówił mi, że ten człowiek chce mnie skrzywdzić w sposób, którego nie rozumiałam.

– Proszę odejść! Proszę odejść! – zawołałam. – Proszę sprowadzić moją ciocię. Niech się pan nie zbliża!

Zaśmiał się cicho.

– Biedny, mały, złamany kwiatusek. Tym razem nie może uciec. To przeznaczenie. To musi być przeznaczenie.

Zaczęłam krzyczeć jeszcze głośniej:

– Proszę mnie nie dotykać! Niech pan się nie zbliża. Proszę odejść i zawiadomić ciocię. Proszę... proszę... odejść.

Lecz on nie odchodził. Jego wargi poruszały się; choć nie mogłam tego usłyszeć, wiedziałam, że zwraca się do Boga. Byłam wprost sparaliżowana strachem.

– Ratunku! Ratunku! – wołałam z łkaniem, a potem przeraźliwie krzyknęłam.

Pan Dorian podchodził coraz bliżej. Znalazł się na ziemi tuż obok i patrzył tym swoim straszliwym wzrokiem. Chwycił mnie.

– Nie... nie... nie! – krzyczałam. – Proszę odejść! Ratunku! Pomocy!

I nagle zamieniłam się w słuch. Od strony drogi dochodził odgłos końskich kopyt. Zaczęłam krzyczeć z całych sił:

– Ratunku! Ratunku! Jestem w lesie. Proszę, błagam, pomocy! Pomocy!

Potwornie się bałam, że ów ktoś jadący na koniu może mnie nie usłyszeć albo się nie przejmie moim wołaniem. Nie słyszałam już żadnych odgłosów z drogi. Byłam sama w Barrow Wood z tym potwornym człowiekiem.

Wtedy usłyszałam czyjeś kroki i okrzyk: „O Boże!”.

To był Kryspin St. Aubyn.

Szedł ku mnie.

– Ty łotrze! – wrzasnął.

Poderwał z ziemi pana Doriana, jakby to była kukła, uniósł pięść i wymierzył mu cios w twarz. Usłyszałam trzask łamanych kości, kiedy rzucił nim o ziemię.

Pan Dorian leżał rozciągnięty jak długi, całkiem nieruchomy.

Oczy Kryspina płonęły gniewem. Nie poświęcając więcej uwagi tamtemu człowiekowi, zwrócił się do mnie.

– Coś sobie zrobiłaś, prawda? Szlochałam, więc mogłam tylko skinąć głową.

– Nie płacz – powiedział. – Już wszystko dobrze. Pochylił się i podniósł mnie z ziemi.

– On... – zaczęłam, patrząc na pana Doriana, który w ogóle się nie poruszał.

– Dostał to, na co zasłużył.

– Pan... pan go zabił.

– Niewielka strata. Boli cię stopa, tak?

– Kostka.

Nie odezwał się więcej.

Spojrzałam przez ramię na pana Doriana, który nadal leżał na ziemi, i zadrżałam na widok krwi zalewającej mu twarz. Kryspin wziął mnie na rękę, wsadził na konia, po czym sam go dosiadł.

Zawiózł mnie do domu „Pod Jarzębinami”. Ciocia Zosia właśnie wróciła ze sklepu.

– Coś jej się stało w kostkę – wyjaśnił pan St. Aubyn.

Ciocia Zosia krzyknęła z przerażenia, a Kryspin zaniósł mnie na górę i położył na łóżku.

– Chyba powinniśmy wezwać lekarza! – zawołała.

Wyszli z pokoju i słyszałam, jak Kryspin opowiada jej coś na dole. Usłyszałam tylko początek, kiedy schodzili po schodach: „Muszę z panią porozmawiać o...” i niczego więcej nie zrozumiałam.

Ciocia Zosia zaraz wróciła, blada i zdenerwowana. Wiedziałam, że Kryspin wyjaśnił jej, w jakiej sytuacji mnie znalazł. Usiadła na skraju łóżka i spytała:

– Jak się teraz czujesz? Boli cię kostka?

– Tak.

– Podłożymy coś, żebyś ją trzymała wyżej. Sądzę, że to zwichnięcie. Mam nadzieję, że niczego nie złamałaś. Kto by przypuszczał...?

– Och, ciociu – jęknęłam – to było straszne!

– Zabiłabym go, gdyby się tu zjawił. Nie jest wart, by żyć.

W tej chwili stałam się dorosła. Zrozumiałam, co mogłoby się stać, gdyby nie Kryspin St. Aubyn. To dziwne, że właśnie jemu powinnam być wdzięczna. Ciągłe miałam przed oczami scenę, kiedy podniósł wuja Racheli i nim potrząsnął. Nigdy nie zapomnę wyrazu twarzy pana Doriana – malowało się na niej niewysłowione przerażenie i rozpacz. Pomyślałam, że nigdy nie widziałam takiego udręczenia na czyimś obliczu. Kryspin z wściekłością odrzucił pana Doriana ode mnie tak, jakby miał do czynienia z odrażającym śmieciem. Nie obchodziło go, czy zabił tego człowieka. Zastanawiałam się z przerażeniem, czy tak się stało.

To byłoby morderstwo, pomyślałam, ale Racheli nie miałyby więcej powodu do obaw. Przyszedł lekarz.

– Jak tam, młoda damo – zapytał – co sobie uszkodziłaś?

Zbadał kostkę i poprosił, bym spróbowała stanąć.

Orzekł, że nastąpiło fatalne skręcenie kostki, poważna sprawa.

– Minie trochę czasu, zanim będziesz mogła normalnie stanąć na tej nodze. Gdzie to się stało?

– W Barrow Wood. Pokręcił głową.

Następnym razem uważaj, dokąd się wybierasz. Zalecił gorące i zimne kompresy, a gdy tylko wyszedł, ciocia Zosia zaraz przystąpiła do przygotowania okładów. Patrzyła na mnie wzrokiem pełnym niepokoju. Wiedziałam, o czym myśli. To, co mi się przydarzyło, było czymś więcej niż zwichnięciem kostki, i miałam ogromne szczęście, że nie poniosłam większej szkody.

Z ciocią można było porozmawiać o wszystkim. Zdecydowałam, iż lepiej o tym mówić, niż robić sekret z mej fatalnej przygody.

Więc opowiedziałam jej o wszystkim – o upadku, o nagłym pojawieniu się pana Doriana. Wyznałam, że już od dłuższego czasu mnie niepokoił; wspomniałam też o tym, jak mi kazał odmawiać modlitwę w nocnej koszulce.

– Powinnaś była mi powiedzieć – odezwała się łagodnym głosem.

– Nie myślałam, że to ważne – tłumaczyłam. I jeszcze opowiedziałam jej o Racheli.

– Dorian jest szaleńcem – stwierdziła ciocia. – Zamknięty w sobie, wszędzie widzi grzech. To się nazywa mania religijna. Żal mi jego biednej żony.

– Myślę, że Kryspin St. Aubyn go zabił. Zamordował.

Nie sędzę. Po prostu go pobit. Tego właśnie było mu trzeba. Może to będzie dla niego nauczką. – Nagle przytuliła mnie mocno do siebie. – Cieszę się, że jesteś już bezpieczna i że nie stało się nic gorszego. Gdyby coś ci się przydarzyło, nigdy bym sobie tego nie darowała.

– Ciociu, to nie twoja wina.

– Oskarżałabym siebie, że niedostatecznie cię pilnowałam. Powinnam była wiedzieć, z jakim człowiekiem mamy do czynienia.

– Skąd mogłabyś wiedzieć?

– Nie wiem, ale powinnam była się zorientować.

Przeniosła moje łóżko do swego pokoju.

– Tylko na trochę, dopóki nie dojdiesz całkiem do siebie – oświadczyła. – Mogłabyś się obudzić w nocy... chciałabym być wtedy blisko ciebie.

I rzeczywiście obudziłam się w nocy spocona od przerażającego koszmaru. Leżałam w Barrow Wood, a on szedł ku mnie. Potem był na ziemi, tuż obok. Wołałam Kryspina. Poczułam obejmujące mnie ramiona... ramiona cioci Zosi.

– Już wszystko dobrze. Leżysz tutaj, w swoim łóżku. Stara ciotka jest z tobą.

Łzy same popłynęły mi z oczu i nie rozumiałam dlaczego. Czułam się szczęśliwa, gdyż nie zagrażało mi już niebezpieczeństwo, a moja najdroższa ciocia Zosia była tutaj, żeby nade mną czuwać.

Z początku całe Harper's Green milczało zszokowane, potem zaś wszyscy zaczęli rozprawiać o strasliwym wydarzeniu w domu „Pod Dzwonem”. Byliśmy społecznością bardzo zżytą ze sobą i fakt, że coś takiego mogło stać się udziałem jednego z jej członków, przeraził miasteczko. Podobne rzeczy się zdarzają innym ludziom, czyta się o tym w gazetach, lecz trudno uwierzyć, że miały miejsce w Harper's Green.

Pierwsze wieści przyniósł nam Tom Wilson, listonosz roznoszący południową pocztę. Leżałam w łóżku, gdzie zostałam uwięziona na kilka następnych dni, lecz ciocia Zosia przypadkiem znajdowała się właśnie w ogrodzie, kiedy nadszedł.

Gdy przyszła do mnie na górę, przez parę chwil patrzyła z powagą, po czym powiedziała:

– Wydarzyło się coś strasznego.

Myślam nadal byłam w lesie, na nowo przeżywając ów koszmar.

– Chodzi o pana Dorianą? – spytałam. – Czy on... nie żyje?

Powoli pokiwała głową, a ja od razu pomyślałam: Kryspin go zabił. To morderstwo, a morderców się wiesza. On to zrobił... dla mnie.

Ciocia chyba odgadła, o czym myślałam, gdyż wyjaśniła szybko:

– Biedna pani Dorian znalazła go dzisiaj wczesnym rankiem w stajni. Sam się zabił.

– W stajni...? – wyjąkałam.

– Powiesił się na jednej z krokwi, tak przynajmniej twierdzi Tom Wilson. Mówił, że pan Dorian wrócił wczoraj do domu z twarzą ociekającą krwią. Oświadczył, że upadł w lesie... Był całkowicie wytracony z równowagi. Zamknął się w swoim pokoju. Żona poszła do niego, ale powiedział, że się modli i żeby mu nie przeszkadzać. Podobno według żony modlił się przez kilka godzin. Tej nocy w ogóle go nie widziała, a rano zorientowała się, iż nie ma go w domu. Przypadkiem zauważyła, że drzwi do stajni są niedomknięte. Weszła tam... i go znalazła. – Ciocia przysiadła na łóżku i objęła mnie ramieniem. – Nie wiem, czy ci powiedzieć... czy tak będzie lepiej, ale i tak niedługo o tym usłyszysz. Jesteś bardzo młoda, kochanie, a twoim udziałem stała się taka przykra sprawa. Przede wszystkim chciałabym cię chronić przed tego typu doświadczeniami, ale powinnaś o czymś wiedzieć, skoro zostałam w to wmieszana. Widzisz... ten mężczyzna chciał być dobry. Chciał być święty, ale miał pewne skłonności. Ojej, chyba płaczę się w tych wyjaśnieniach.

– W porządku, ciociu Zosiu – odrzekłam – wydaje mi się, że rozumiem.

– No cóż, nie udało mu się, został przyłapany i zdemaskowany. Dzięki Bogu Kryspin St. Aubyn znalazł się tam we właściwym momencie. Ale ów człowiek nie mógł znieść tego, że zdarto mu maskę... więc się zabił.

Przez chwilę milczała, a ja rozpamiętywałam wszystko na nowo. Sądziłam, że nigdy się od tego nie uwolnię, że nigdy nie zapomnę tamtych chwil strachu i grozy.

– Została ta biedna kobieta, pani Dorian... i Rachela. To będzie dla nich okropne. I ty tam chodziłaś... och, nie mogę znieść tej myśli. Taka młodziutka...

– Ciociu, już wcale nie czuję się młodziutka.

– Tak. Podobne wydarzenia sprawiają, że człowiek dojrzewa. Nie wiem, co ostatecznie wyjdzie na jaw, ale nie chcę, żebyś została w to zamieszana. Mam zamiar porozmawiać z Kryspinem St. Aubyn. Chyba złożę mu wizytę.

Nie musiała, gdyż to on zjawił się u nas po południu. Ciocia Zosia była u mnie, kiedy Lily przysłała na górę z wiadomością o przybyciu młodego dziedzica.

Ciocia pospiesznie zeszła na dół. Zostawiła otwarte drzwi, więc mogłam wyraźnie słyszeć jego głos – dźwięczny i donośny.

– Przyszedłem zapytać o zdrowie dziecka. Jak ona się miewa? Mam nadzieję, że lepiej.

Dziecka! – pomyślałam z oburzeniem. Nie byłam dzieckiem... zwłaszcza po tym wszystkim.

Mój wybawca długo rozmawiał z ciocią, która w końcu przyprowadziła go do mego pokoju.

Popatrzył na mnie i spytał:

– Lepiej się już czujesz?

– Owszem, dziękuję.

– Zwichnięcie, tak? Niedługo znowu zaczniesz biegać.

Rozmawiałam z panem Kryspinem St. Aubyn o tym, co się stało – odezwała się ciocia Zosia – i doszliśmy do wniosku, że dla wszystkich będzie lepiej, jeżeli nikomu nie powiemy, co ten człowiek usiłował ci zrobić. Przyjmujemy wersję, że nieszczęśliwie upadł i wrócił do domu w opłakanym stanie. Zamknął się w pokoju. Pani Dorian była zaniepokojona, gdyż nie widziała go przez resztę dnia. Rano uświadomiła sobie, że musiał wyjść z domu. Zauważyła otwarte drzwi stajni i weszła do środka. Tam go znalazła. To jasne...

Kryspin wpadł jej w słowo.

– Nie potrafił stawić czoła świadomości, że ludzie dowiedzieli się, jakim człowiekiem jest naprawdę. Zniszczył swój fałszywy wizerunek świętego. Nie umiał spojrzeć prawdzie w oczy i dlatego odebrał sobie życie.

– Tak – przyznała ciocia. – Będzie przeprowadzone dochodzenie w sprawie przyczyny zgonu i zapadnie werdykt, że to samobójstwo, tak jak to było w rzeczywistości. Razem z panem St. Aubynem zdecydowaliśmy, że ze względu na dobro wszystkich zainteresowanych najmądrzej będzie nie mówić nic o tym, co stało się w lesie. Ty potknęłaś się o kamień i zwichnięłaś nogę. Pan Dorian też miał wypadek. Nic nie mów o spotkaniu z nim. Nie cierpię zatajania prawdy, ale zdarza się, że to konieczne.

– Wobec powyższego – rzekł Kryspin tonem wskazującym, że kończy wizytę – sprawa jest uzgodniona.

Robił wrażenie jakby bardzo się spieszył. Zwrócił się do mnie:

– Teraz wszystko będzie dobrze. Nie trzeba się bać. On nie sprawi ci już więcej kłopotów.

Skinał mi głową na pożegnanie i ciocia Zosia odprowadziła go na dół. Leżałam, wsłuchując się w odgłos końskich kopyt, cichnący w miarę jak się oddalał.

Dochodzenie trwało krótko, werdykt koronera brzmiał: „Samobójstwo na tle zaburzenia umysłowego”. Zrozumiałam, że decyzja, jaką podjęli ciocia Zosia z Kryspinem, była najszluszniejsza. Poznanie prawdy wiązałoby się z trudnym do zniesienia szokiem dla pani Dorian i Racheli, a poza tym, jak podkreślała ciocia, stanowiło najlepsze rozwiązanie dla mnie. Cała sprawa została zatem szybko zakończona.

Zastanawiałam się, jak teraz jest w domu „Pod Dzwonem”. Nie mogłam go sobie wyobrazić bez przytłaczającej obecności pana Doriana. Atmosfera tego miejsca z pewnością całkowicie się zmieni.

Do pani Dorian przyjechała krewna, żeby jej pomóc, więc ciocia Zosia zaproponowała Racheli gościnę u nas. Mogłaby zostać do czasu, aż wszystko się ułoży.

– Wstawimy łóżko do twego pokoju – powiedziała – i będziecie spać razem. Przygotujecie się w ten sposób do wspólnych sypialni w szkole.

Rachela była zachwycona. Wyraźnie się zmieniła, nie miała się teraz czego bać. Często długo rozmawialiśmy w nocy, zanim wreszcie zmorzył nas sen. Obu nam przydarzyło się wzbudzające potworny strach doświadczenie z jej wujkiem i początkowo w ogóle nie byliśmy w stanie o tym mówić. Pamiętałam ostrzeżenie, że nie wolno mi nikomu wspominać o tym, co się stało, ale pamięci o owym zdarzeniu nie zdołałam wymazać.

Pewnej nocy Rachela powiedziała:

– Freddie... ja chyba muszę być bardzo grzeszna.

– Dlaczego? – spytałam.

– Cieszę się, że on nie żyje.

– Cóż, sam się zabił.

– Sądziłam, że był przekonany, iż wszystko najlepiej wie.

– Widocznie tak nie było. Musiał sobie uświadomić, że nie jest taki doskonały, za jakiego się uważał.

– Przypuszczasz, że z tej przyczyny się zabił?

– Tak, na pewno. A radość nie jest grzechem. Ja też się cieszę.

Świadomość, że obie uniknęłyśmy niebezpieczeństwa, grożącego nam ze strony tego człowieka, łączyła mnie z Rachelą.

To było najlepsze, co mogło nas spotkać. Dla Racheli i mnie szkoła stała się mostem, który trzeba przekroczyć, aby rozstać się z przeszłością trapiącą nas wspomnieniami obaw i cieni, i wejść w całkiem nowe życie.

Wszystkie podtrzymałyśmy się na duchu w nowym otoczeniu. Tamaryszka niezmiennie pozostawała opanowana i wyniosła. Przypomina brata, myślałam sobie. Rachela stała się zupełnie inną dziewczyną, zniknął z jej oczu wyraz bojaźni. Doskonale rozumiałam, skąd się brał. Nadal przyjaźniłyśmy się ze sobą, sypiałyśmy we wspólnej sypialni, chodziłyśmy do tej samej klasy. Powoli też zarówno mnie, jak i Rachelę – czego byłam pewna – przestał nawiedzać ów senny koszmar, który o mało nie stał się dla nas obu rzeczywistością.

Podczas pierwszego roku szkolnego zmarła moja mama. W połowie semestru przyjechałam na krótko do domu, żeby wziąć udział w pogrzebie.

– To było dla niej najlepsze – orzekła ciocia Zosia. – Nigdy nie powróciłaby do zdrowia, a co to za życie.

Spytałam, czy mój ojciec przyjedzie na pogrzeb. Pokręciła głową.

– O nie. Jest daleko stąd, a rozwód położył kres ich stosunkom. Jeśli ludzie rozstają się tak jak oni, to już na zawsze.

– Zawiadomiłaś go?

– Tak – odparła krótko.

Dostrzegłam w jej oczach pełne zadumy spojrzenie, które zawsze widziałam, gdy mówiła o pisanych do niego listach.

Uroniłam parę łez, gdy grudki ziemi posypały się na trumnę. Jakie to smutne, myślałam, że mama tak się unieszczęśliwiła, marnując życie na nieustanne powracanie do tego, czego nie mogła mieć.

Po pogrzebie przyszło do nas parę osób. Poczęstowałyśmy je winem i kanapkami. Byłam zadowolona, gdy już wszyscy wyszli i zostałyśmy same.

– I tak – powiedziała ciocia Zosia – teraz jesteś moja bez reszty.

Mnie to również ucieszyło.

Wróciłam do szkoły i życie potoczyło się jak przedtem.

Kiedy przyjechałam do domu na ferie, poszłam z wizytą do sióstr Lane. Usiadłam w ogrodzie z Florą, która jak zwykle ustawiła koło siebie wózek z lalką. Zachowywała się tak samo jak zawsze. Dom też się nie zmienił, nadal rosły za nim morwowe krzewy, a w dziecinnym pokoju wisiał obrazek siedmiu srok. Zastanawiałam się, czy Florze nie przychodzi na myśl, że dziecko mogłoby rosnąć. Ale chyba miała tę samą lalkę od lat i dla niej był to zawsze maleńki Kryspin.

Natomiast bardzo się zmieniło w domu „Pod Dzwonem”. Odwiedziłam Rachełę i początkowo sądziłam, iż różnica polega na tym, że nie trzeba już uważać, czy gdzieś nie skrada się znienacka pan Dorian. Jednak nie tylko o to chodziło. W oknach wisiały nowe zasłony, lekkie, w kwiecisty wzór. W holu na stole stały kwiaty.

Największa zmiana jednak zaszła w samej pani Dorian.

Nosiła teraz włosy uczesane do góry, spięte hiszpańskim grzebieniem, suknie w jaskrawych kolorach, z dość głębokim dekoltem i sznur pereł na szyi. Była kolejną osobą, która nie pogrążyła się w żalu po śmierci pana Dorian.

Jak na takiego cnotliwego człowieka, sporo ludzi unieszczęśliwił.

Wprawdzie już nie obawiałam się tego domu, jednak wchodząc tam i z niego wychodząc, unikałam spoglądania w stronę stajni.

Tak więc życie w Harper's Green wracało do normy. Byłam teraz sierotą, a właściwie półsierotą. Moja mama nie żyła, lecz przecież w ciągu ostatnich lat i tak stała się dla mnie mglistą postacią. Traciłam ją, ale zyskiwałam ciocię Zosię.

Powróciłam do szkolnego życia, a tam było ważne, które dziewczęta znajdują się w drużynie hokejowej, co dostaniemy na obiad i kto się z kim przyjaźni – różne małe sukcesy i porażki gimnazjalnych uczennic.

Bal we dworze St. Aubyn's

„Tak więc dorastałyśmy. Minęły dwa lata i w maju miałam obchodzić szesnaste urodziny.

Ciocia Zosia oznajmiła:

– Mniej więcej za rok skończysz szkołę. Zastanawiam się, co powinniśmy zdecydować w twojej sprawie. Musisz zacząć trochę bywać. Kiedy ja byłam w twoim wieku, tak zwany debiut towarzyski był ważną sprawą dla młodej panny. Tamaryszce z pewnością zaczną urządzać przyjęcia. Co do Racheli, tego nie wiem. Może jej ciotka ma już jakieś pomysły w związku z przyszłością siostrzenicy. Będę musiała kiedyś z nią porozmawiać.

Uwielbiałam przyjeżdżać do Harper's Green na wakacje. Ciocia Zosia zawsze czekała na mnie na stacji. Ponieważ nikt nie przychodził po Tamaryszkę ani Rachelę, ciocia wzięła na siebie rolę opiekunki wszystkich trzech i to od pierwszego roku szkolnego. Tamaryszka i Rachelę przyjęły to nawet z zadowoleniem, ja zaś byłam dumna i szczęśliwa, że właśnie moja ciocia zajmuje się nimi tak troskliwie.

Najpierw odwoziłyśmy po kolei Tamaryszkę i Rachelę, a potem wracałyśmy do domu na podwieczorek lub lunch, zależnie od pory dnia, i opowiadałam o szkolnym życiu. Ciocia Zosia słuchała z wielkim zainteresowaniem, a i Lily zaglądała do nas, żeby coś usłyszeć. Nawet ciekawe było, że w moich relacjach różne wydarzenia wydawały się śmieszniejsze niż wtedy, gdy się działy.

– Coś mi się wydaje, że nieźle się bawisz w tej szkole – stwierdziła Lily.

Pewnego dnia dotarły do mnie najświeższe nowiny. Ciocia Zosia je ujawniła.

– Krażą pogłoski, zaznaczam, tylko pogłoski, że być może w St. Aubyn's odbędzie się wesele.

– Tak? Tamaryszka nic o tym nie mówiła.

– Przecież dopiero co wróciłyście do domu, prawda? Taka plotka powstała zaledwie w zeszłym miesiącu. Chodzi o lady Fionę Charrington, córkę hrabiego, ni mniej, ni więcej. Bardzo stosowna partia dla St. Aubynów. Podobno nawet pani St. Aubyn się ożywiła. No cóż, najwyższy czas, żeby Kryspin ułożył sobie na nowo życie po tym pierwszym niepowodzeniu.

– Czy to znaczy, że ma się ożenić z lady Fioną Charrington?

– To jeszcze nic oficjalnego. W każdym razie zniżyła się, żeby ze swą mamą złożyć dłuższą wizytę w St. Aubyn's, a podobno i Kryspin odwiedzał ją w ich rodowym zamku. Więc wygląda to obiecująco, chociaż jeszcze niczego konkretnego nie ustalono. Może i on podchodzi do tego ostrożnie po poprzednim związku...

– Ponieważ już kiedyś był żonaty?

– Podobno okazało się to całkowitą klęską. Chyba takie przeżycia uczą człowieka przeczności. Swoją drogą, on też nie jest mężczyzną najłatwiejszym w pożyciu. Żona zostawiła go i zanim mogła nacieszyć się życiem, jakie sobie wybrała, zginęła w katastrofie kolejowej.

– Widziałaś tę lady Fionę?

Tak, raz. Jechała z nim konno. Nie zostałam jej właściwie przedstawiona, tylko wymieniliśmy tak *en passant* uwagi w rodzaju: „Co za uroczy poranek”, „Życzę miłego dnia”. Dobrze trzyma się na koniu. Nie jest piękną, lecz pochodzenie z arystokratycznego rodu to wynagrodzi.

– Tamaryszka będzie coś na ten temat wiedziała.

– Wszyscy sąsiedzi bardzo się ekscytują.

– Ludzie są strasznie wścibscy.

– Bóg z nimi. Tak się tu mało dzieje. Przynajmniej mogą się trochę ożywić dzięki innym.

Po tej rozmowie zaczęłam wracać myślą do Kryspina, a w szczególności do owej chwili, kiedy wyniósł mnie na rękach z lasu, gdzie przeżyłam taki ogrom lęku. Jego osoba wzbudziła we mnie szczególne zainteresowanie po tym incydencie, choć... i przedtem moje myśli krążyły wokół niego w związku z niefortunną uwagą, która tak mocno zraniła mą dziecięcą dumę. Miałam ochotę wypytać Tamaryszkę o brata, ale nigdy tego nie uczyniłam. Wobec Tamaryszki należało się mieć na baczności.

Jedną z pierwszych wizyt po powrocie ze szkoły złożyłam Florze Lane w domu, który nazywałam romantycznie w myślach „Domem Siedmiu Srok”.

Wydawało mi się, że Lucy raczej nie lubi, jak je odwiedzam, w odróżnieniu od Flory, która z mych odwiedzin była zadowolona, więc wybierałam porę, kiedy starsza siostra wychodziła na zakupy. Mogłam wtedy bez jej wiedzy zobaczyć się z Florą, a potem cichaczem się wymknąć.

I tym razem Flora siedziała w ogrodzie nieopodal morwowych krzewów, a obok niej stał wózek z lalką. Kiedy mnie zobaczyła, jej twarz pojaśniała z zadowolenia. Zawsze zachowywała się tak, jakby mnie widziała nie dalej jak wczoraj.

– Czekałam na ciebie – powiedziała.

– Naprawdę? Dopiero co przyjechałam ze szkoły. – Nie zareagowała na moje słowa, więc spytałam: – Proszę powiedzieć, co tu się działo podczas mej nieobecności?

– Przechodził dyfteryt i było z nim naprawdę źle. W pewnej chwili myślałam, że go stracę. Kiedy zaczyna się kaszel, choroba staje się groźna dla życia.

– Już wydobrzył?

– Zdrow jak rybka. Mamy to za sobą, jednak wierz mi, sytuacja była krytyczna. Ale jest bardzo dzielny, nic go nie zmoże!

– Cieszę się, że tak się to skończyło.

Pokiwała głową i dalej nieskładnie opisywała symptomy choroby. Nagle powiedziała:

– Zabiorę go teraz na górę. Czuje się wilgoć w powietrzu.

Poprowadziła wózek do tylnych drzwi domu. Nie mogłam oprzeć się pokusie, żeby nie podążyć za nią. Chciałam znowu zobaczyć sroki. Czy tylko fantazja podpowiadała mi, że są związane z czymś złym? Z pewnością. To było do mnie podobne.

Flora, trzymając troskliwie lalkę w ramionach, wchodziła schodami na górę, a ja w ślad za nią. Usiadła na krześle z wyrazem ogromnej czułości na twarzy.

Podeszłam bliżej do obrazka ze srokami.

– „Jedna smutek przegna...” – zaczęłam.

– „Dadzą radość dwie” – dodała. – No, mów dalej.

Recytowałam wierszyk, lecz zanim doszłam do dwóch ostatnich linijek, Flora stanęła przede mną.

– „A siedem jest po to, żeby sekret zatajony”... – pokręciła głową – „...nigdy nie był wyjawiony”. – Miała bardzo uroczystą minę i mocniej przycisnęła lalkę do siebie.

W jej zachowaniu było coś niesamowitego. Te słowa musiały mieć dla niej jakieś wyjątkowe znaczenie. Co za sekret? – zastanawiałam się. Bredziła, to oczywiste. Nikt, kto uważał, że lalka jest prawdziwym dzieckiem, nie myślał logicznie.

Nagle zwróciło mą uwagę coś, co się działo na dole. Ktoś tam był.

– Pani siostra musiała już wrócić – odezwałam się. Nie odpowiedziała, tylko nadal wpatrywała się w lalkę. Usłyszałam odgłos kroków na schodach, raczej ciężkich, z pewnością nie panny Lane, i męski głos zapytał:

– Lucy, gdzie jesteś?

To był Kryspin. Drzwi się otworzyły i stanął w nich, spoglądając to na mnie, to na Florę. Potem skierował spojrzenie na obrazek ze srokami.

I wtedy to się stało. Flora gwałtownie wstała, lalka wypadła jej z rąk i potłukła się na kawałki. Przez kilka chwil wszyscy wpatrywaliśmy się w rozbitą porcelanową główkę. Flora wydała jęk rozpacz. Uklękła przy lalce, przycisnęła do piersi splecione dłonie i zawołała ze łzami:

– Nie... nie! Tak nie jest. Tak nie jest. To nie ja. To sekret... nigdy nie będzie wyjawiony.

Kryspin schylił się i podniósł ją z kolan. Flora dalej płakała:

– Ja nie chciałam... nie chciałam...

Wziął ją na ręce bez wysiłku, tak jak kiedyś mnie, zaniósł do sypialni i położył na łóżku. Pokazał mi ruchem głowy, że mam zebrać szczątki lalki i je usunąć. Posłusznie zbiegłam na dół z uszkodzoną lalką w ramionach, położyłam ją na stole w kuchni i wróciłam do Flory.

Nadal leżała we łzach. Kryspina nie było w pokoju, jednak niebawem znowu się pojawił, mieszając jakiś płyn w szklance.

Podał go Florze, która potulnie wszystko wypila.

– Zaraz będzie lepiej – powiedział, bardziej do mnie niż do niej.

Pomyślałam sobie: jakie to dziwne, że tak szybko znalazł coś, co miało uśmierzyć jej zdenerwowanie. Odezwał się opanowanym głosem:

– Już w porządku. Uspokoiła się i niedługo zaśnie.

Na nowo uderzyło mnie, z jaką znajomością rzeczy zajmował się chorą. Staliśmy przy łóżku i obserwowaliśmy Florę. Nie minęło pięć minut, gdy przestała lamentować.

– Już o tym zapomniała. Poczekajmy jeszcze trochę.

To była naprawdę niezwykła sytuacja. Ja, w tym pokoju, Flora zasypiająca w łóżku i Kryspin przy mnie. Musiał dobrze znać dom i jego mieszkanki. Poszedł przecież prosto tam, gdzie Lucy trzymała lekarstwa, które od czasu do czasu trzeba było podawać siostrze. Zachowywał się tak, jak pan tego domu. Ale taką postawę przyjmował wszędzie.

Flora zasnęła. Kryspin spojrzał na mnie, dając do zrozumienia, że mam zejść z nim na dół.

W kuchni zapytał:

– Co tu robiłaś?

– Odwiedziłam Florę. Często do niej przychodzę. Poszła na górę, więc jej towarzyszyłam.

– Panny Lucy nie ma w domu.

– Nie. Chyba wybrała się po zakupy.

Skinął głową.

– A teraz musimy się tego pozbyć. – Wskazał wzrokiem leżącą na stole rozbity lalkę. – Trzeba od razu zastąpić ją nową. Pojadę do miasta i kupię najbardziej podobną, jaką uda mi się znaleźć. Ona będzie spała do wieczora, a zanim się przebudzi, przywiozę lalkę. Musi ją znaleźć leżącą w łóżeczku.

– Ale przecież będzie wiedziała...

– Powie jej się, że miała zły sen. Panna Lucy wie, jak z nią postępować. Tylko konieczna jest nowa lalka, w takim samym stroju. Jest taki sklep z zabawkami... ale nie w Harper's Green... będziemy musieli pojechać dalej. Napiszę bilecik do panny Lucy o tym, co się stało i że mniej więcej za godzinę wrócimy.

– My...? – zaczęłam.

– Chciałbym, żebyś ze mną pojechała i pomogła mi wybrać lalkę. Weźmiemy ze sobą tę potłuczoną, chyba lepiej na tym się znasz niż ja.

– Najpierw muszę zawiadomić ciocię, żeby się nie martwiła.

Spojrzał na mnie uważnie.

– Wrócę do domu i wezmę dwukólkę, a ty idź zaraz do cioci. Powiedz, co się stało, i że jedziesz ze mną. Widziałaś w życiu wiele lalek, ja zaś raczej nie zwracałem na nie uwagi, więc potrzebuję pomocy.

To zaczynało mi się bardzo podobać. Czekala mnie przygoda.

– Dobrze, dobrze – powiedziałam pospiesznie.

– Weź lalkę, zaraz po ciebie przyjadę.

Pobiegłam do domu. Na szczęście zastałam ciocię Zosię. Zdyszana, zdałam jej relację z tego, co się zdarzyło. Patrzyła na mnie ze zdumieniem.

– Coś podobnego! Co go tam sprowadziło? Rozbiła lalkę. Wielkie nieba! To ją może zabić.

– Kryspin się o nią boi.

– Ojej, ale się porobiło!

– Chciałabym z nim pojechać. Nie mogę myśleć, że coś złego mogłoby się stać Florze.

– Tak, musicie zastąpić tę lalkę nową i to szybko. Jego propozycja to jedyne rozsądne rozwiązanie.

Rozmawiałam jeszcze z ciocią, kiedy podjechał. Wybiegłam z lalką i usadowiłam się koło niego. Powozik był zaprzężony w dwa konie i jechał bardzo szybko. Jaka to radość,

myślałam, pędzić tak na złamanie karku, żeby ocalić czyjeś życie. Już drugi raz oboje byliśmy wmieszani w sytuację wymagającą natychmiastowego działania. Silne wrażenie wywarło na mnie zaangażowanie Kryspina i jego umiejętność podjęcia błyskawicznej decyzji.

Niewiele mówił po drodze i mniej więcej po pół godzinie byliśmy w mieście. Wjechał na podwórze gospody. Chyba wszyscy tam znali dziedzica St. Aubyn i zauważyłam, że odnosili się do niego z wielkim szacunkiem.

Pomógł mi zsiąść z dwukółki i poszliśmy do sklepu. Tam położył stłuczoną lalkę na kontuarze.

– Szukamy lalki – oznajmił. – Musi być podobna do tej.

– Od wielu lat już się takich nie wyrabia, sir.

– Wobec tego najbardziej zbliżona. Musicie jakąś taką mieć.

Zaczęliśmy oglądać lalki. Czułam się bardzo dumna, gdy zasięgał mojej opinii.

– Nie może wyglądać jak dziewczynka – przypomniałam. – Ta stłuczona miała krótkie włoski, jak bobasek. I ubranko musi pasować.

Zabrało nam trochę czasu, żeby wyszukać wystarczająco podobną, choć sama nie byłam pewna, czy Flora nie dostrzeże różnicy. Ubraliśmy ją w te same rzeczy, które nosiła stłuczona lalka, i wyszliśmy ze sklepu.

– A teraz szybko z powrotem – powiedział Kryspin.

Ruszyliśmy w stronę Harper's Green.

– Włosy mają podobny kolor – zauważyłam – ale będziemy musieli je przyciąć, gdyż jednak za bardzo przypomina dziewczynkę.

– Możesz to zrobić ty albo panna Lucy.

Bardzo chciałam, żeby owo zadanie mnie przypadło w udziale. Pragnęłam uczestniczyć w tym przedsięwzięciu najdłużej jak się da. Kiedy dojechaliliśmy do domu siostr Lane, Lucy wyszła nam na spotkanie. Wyglądała na bardzo zgnębioną.

– Wszystko w porządku – uspokoił ją Kryspin. – Znaleźliśmy odpowiednią na zamianę. – Poglaskał Lucy po ramieniu. – Uda się – mówił dalej – jeżeli lalka będzie na swoim miejscu, kiedy Flora się obudzi. Nie zauważy różnicy.

– Położę ją do łóżeczka – powiedziała Lucy.

Poprosili mnie, żebym przycięła włosy lalce – po tym zabiegu jeszcze bardziej przypominała tę starą.

Lucy zaniósła ją na górę, a Kryspin i ja zostaliśmy sami w kuchni. Baczenie mi się przysłuchiwał i zastanawiałam się, czy nadal uważa, że nie jestem zbyt urodziwa.

– Ogromnie mi pomogłaś – odezwał się.

Pokraśniałam z dumy.

– Panna Flora jest chora psychicznie – mówił dalej. – Musimy bardzo delikatnie z nią się obchodzić. Według niej lalka to dziecko.

– Tak, wiem. Uważa, że to pan... w niemowlęctwie. Jego twarz zmarszczyła się w uśmiechu. Trudno było sobie wyobrazić kogoś mniej podobnego do tej lalki.

– Po tym wydarzeniu trzeba będzie ostrożnie z nią postępować. Miejmy nadzieję, że nie zapamiętała tego, co się stało. To by ją bardzo rozstroiło. Lucy zeszała na dół.

– Teraz śpi spokojnie – powiedziała. – Popilnuję jej. Muszę być przy niej, kiedy się obudzi.

– Bardzo dobrze – odparł Kryspin.

Uśmiech, którym ją obdarzył, można by określić dosłownie jako czuły. Ogromnie się zdziwiłam, gdyż nigdy nie widziałam u niego podobnego wyrazu twarzy. Ciągłe mnie zaskakiwał.

Teraz przeniósł spojrzenie na mnie.

– Zapewne ciocia czeka już na ciebie – powiedział.

– Tak, z pewnością – przyznałam niechętnie.

– Wobec tego do widzenia. Jeszcze raz dziękuję za wszystko.

Dał mi raczej jednoznacznie do zrozumienia, że powinnam już sobie iść, lecz mimo to biegłam do domu z miłymi uczuciami.

Nie mogłam oprzeć się pragnieniu złożenia wizyty w „Domu Siedmiu Srok”. Wybrałam się tam dwa dni później. Flora siedziała na swym zwykłym miejscu w ogrodzie z wózkiem u boku. Gdy pozdrowiłam ją zza murka, powitała mnie uśmiechem.

– Jak... on... się dziś czuje? – spytałam niepewnie.

– Słodko śpi. Mały szkrab obudził mnie o piątej nad ranem. Zaczął gaworzyć, chichotać... jak mnie już zbudził, oczywiście.

Weszłam do ogrodu i spojrzałam do wózka na lalkę. To samo ubranko i przycięte włosy istotnie bardzo pomogły, ale mimo to byłam zdumiona, że Flora nie miała nawet najmniejszej wątpliwości.

– Wygląda tak zdrowo jak zawsze – powiedziałam ostrożnie. Jakby cień zasnuł jej twarz.

– To był tylko zły sen – odrzekła drżącymi wargami.

– Zły sen – potwierdziłam. – Nie ma o czym mówić. Najlepiej o tym zapomnieć.

Tak. – Spojrzała na mnie błagalnie. – To nie ja zrobiłam, prawda? Trzymałam go mocno, prawda? Nie pozwoliłabym zrobić memu dzidziusiowi najmniejszej krzywdy... za żadne skarby świata.

– Nie, oczywiście że nie – uspokoiłam ją. – Musiała pani tylko spojrzeć na niego... – Umilkłam, gdyż wyczułam, że powiedziałam coś niewłaściwego.

Flora wpatrywała się w morwowe krzewy.

– To tylko senny koszmar, prawda? – pytała nadal błagalnym tonem. – Nic więcej.

– Oczywiście – zapewniłam ją. – Wszystkim nam się zdarza mieć koszarne sny.

Pomyślałam o prześladowających mnie w nocy tych strasznych chwilach, które przeżyłam w lesie, zanim nadszedł Kryspin... i potem.

– Tobie też? – zapytała. – Ale ciebie tam nie było.

Nie bardzo rozumiałam, co Flora mówi. Przecież stałam obok niej, gdy upuściła lalkę, lecz uznałam, że lepiej z nią nie dyskutować.

– Wszystko w porządku – zapewniłam ją. – Proszę tylko popatrzeć na niego. Nic mu nie jest.

– Tak, nic – wyszeptała. – Nic złego. Jest tutaj... przez cały czas. – Przymknęła oczy na moment, a kiedy je otworzyła, były duże i przerażone. – Spojrzałam na niego... – powiedziała. – Zobaczyłam go... jego małe ciało...

Niewątpliwie miała zamęt w głowie, upuszczenie lalki musiało ją ogromnie zdenerwować.

Odezwałam się uspokajająco:

– Ale już wszystko jest w porządku.

Uśmiechnęła się i pokiwała głową.

Jeszcze trochę z nią porozmawiałam, aż uznałam, że zbliża się czas powrotu Lucy. Pożegnałam Florę i obiecałam, że niedługo znów ją odwiedzę.

Po wyjściu z ogrodu zobaczyłam Kryspina St. Aubyn. Zrobiłam jeszcze parę kroków i znalazł się przy mnie.

– A więc byłeś u nich – stwierdził. – Chyba nasz mały podstęp się udał.

– Obawiam się, że nie całkiem zapomniała o tym incydencie.

- Dlaczego tak sądzisz?
- Robiła wrażenie zdenerwowanej.
- W jakim sensie?
- To trudno określić. Ale tak dziwnie mówiła.
- Co powiedziała?
- Coś takiego, że jego nie było tam, że jest tutaj.
- Pomieszało jej się w głowie. Nie można traktować poważnie tego, co wygaduje Flora.
- No tak. Jednakże w tym wszystkim pojawia się jakiś sens.
- Co masz na myśli?
- To, o czym mówi jednego dnia, można powiązać z tym, co powie następnego.
- Jesteś bardzo bystrą młodą damą.

Młoda dama! To mi się podobało. Skończył z tym „dzieckiem”. Czułam, że teraz Kryspin będzie miał dla mnie więcej szacunku.

- Cóż, często bywam w „Domu Siedmiu Srok”.
- Gdzie?
- W domu panien Lane.
- Dlaczego go tak nazwałaś?
- W pokoju dzieciennym jest taki obrazek...
- Nazwałaś dom od obrazka?
- Według mnie on ma jakieś wyjątkowe znaczenie dla Flory.
- Jak go nazwałaś?

– „Domem Siedmiu Srok”. Musiał pan być w tym pokoju. Musiał pan go widzieć. Siedem srok siedzących na murku.

- A co w nim jest niezwykłego?

Dotyczy pewnego wierszyka. Flora powiedziała mi, że Lucy wycięła ten obrazek z książki i oprawiła go dla niej. Może pan zna ten wierszyk. „Jedna smutek przegna, dadzą radość dwie...” i tak dalej. „...A siedem jest po to, żeby sekret zatajony nigdy nie był wyjawiony”. Flora go zna. Nieraz mi go recytowała.

Kryspin milczał przez chwilę, po czym spytał chłodnym tonem:

– I uważasz, że ten wierszyk ma jakieś szczególne znaczenie?

– Tak sędzę. Kiedy mi go mówiła, miała dziwny wyraz twarzy.

– I dlatego tak cię to ciekawi?

– Częściowo dlatego... Ale przede wszystkim bardzo mi żal Flory. Uważam, że coś ją gnębi.

– I chciałabyś się dowiedzieć co?

– Lubię rozwiązywać zagadki.

– Tak, chyba rzeczywiście. Czasami jednak... – przerwał, lecz widząc, że oczekuję, aby skończył, dodał: – Czasami taka ciekawość może przysporzyć kłopotów.

Byłam zdumiona.

– Nie rozumiem...

– Często nie widzi się nadciągającego kłopotu, póki na nas nie spadnie.

– Czy to życiowa prawda, czy też tak się tylko mówi ciekawskim?

– Myślę, że w pewnych okolicznościach jest to prawda. Znaleźliśmy się koło mojego domu

– Do widzenia – powiedział Kryspin.

Weszłam do środka, ale nie przestawałam o nim myśleć. Przez całe wakacje miałam nadzieję, że znowu go spotkam, że on sam postara się mnie znaleźć, że będziemy dalej rozmawiali. Ale tak się nie stało. Tamaryszka powiedziała mi, że wyjechał za granicę. Nieuchronnie nasuwało się pytanie, czy lady Fiona też tam się wybrała.

Wkrótce potem wróciłyśmy do szkoły i zaczął się ostatni semestr. Od czasu do czasu rozmyślałam nad tym, jak potoczą się nasze losy po ukończeniu nauki. W maju skończyłam siedemnaście lat.

Tamaryszka stwierdziła, że to odpowiedni wiek do zamążpójścia. Zakładała, że w St. Aubyn's będą wydawane bale i urządzone zabawy, a wszystko to dla zaprezentowania jej światu. Rachel nie była tak optymistycznie nastrojona. Jednak w domu „Pod Dzwonem” już organizowano sporo towarzyskich spotkań i atmosfera tego miejsca uległa całkowitej zmianie. Według mnie, jak powiedziałam cioci Zosi, pani Dorian starała się zmienić wszystko, co tylko możliwe, żeby zapomnieć o mężu.

Ciocia zgodziła się z tą oceną.

I nagle na Harper's Green spadła zdumiewająca wiadomość o ślubie. Nie chodziło wcale o małżeństwo Kryspina z lady Fioną, gdyż choć się tego spodziewano, do ślubu nie doszło. To pani Dorian znalazła sobie drugiego męża.

Był nim Archibald Grindle, mniej więcej pięćdziesięcioletni wdowiec, który od wielu lat gospodarował w okolicy na własnej farmie.

Przekazał teraz tę farmę swym dwóm synom i zamieszkał w domu „Pod Dzwonem” z nowo poślubioną żoną.

Odznaczał się tęgą posturą, ogorzałą twarzą i tubalnym śmiechem. Różnił się od pana Doriania w tym samym stopniu, co ciotka Racheli, Hilda, od swego poprzedniego wizerunku. Zmianie chyba nie uległa jedynie stajnia, ale tam nikt nie lubił zachodzić ze względu na ponure wspomnienia.

Pani Hilda nadal ubierała się w stroje w jaskrawych kolorach i nosiła wpięty we włosy grzebień. Często się śmiała. A Racheli polubiła pana Archibalda, więc obecna sytuacja stanowiła zdecydowany kontrast w porównaniu z przeszłością.

Mnie jednak wspomnienie o panu Dorianie jeszcze do końca nie opuściło i zastanawiałam się, co by pomyślał, gdyby wiedział, co się dzieje w jego starym domu. Nie mogłam o tym człowieku zapomnieć całkowicie, gdyż odegrałam znaczącą rolę w jego tragedii.

Ciocia Zosia była ową zmianą rozbawiona i zadowolona, gdyż – jak powiedziała – Hilda zasługiwała na trochę prawdziwego życia po tym, co przeszła, i nic dziwnego, że teraz czerpie z niego pełnymi garściami.

Ten ślub bardzo poruszył wszystkich w sąsiedztwie.

– Jeden pociąga za sobą następny – wieszczyla Lily.

Lecz jak dotąd nie było żadnych wieści o zaręczynach Kryspina z lady Fioną.

Skończyłyśmy szkołę i przed osobami, które miały nad nami pieczę, pojawił się nowy problem do rozwiązania. Pani St. Aubyn jednak nie zaprzętała sobie zbyt głowę sprawą wprowadzenia córki w świat, ciotka Racheli nie bardzo wiedziała, jak to zrobić, a ciocia Zosia, wychowana w młodości w „Cedrowym Dworze”, miała wprawdzie w tym względzie doświadczenie, jednak brakowało jej środków finansowych. Urządziła więc spotkanie: trzeba zrobić to, na co pozwalają okoliczności.

Rozmowy trwały i widywałam Kryspina od czasu do czasu. Zauważał mnie i uśmiechał się jakby konspiracyjnie. Faktem bowiem było, że poznaliśmy się w dramatycznych okolicznościach, choć nigdy o nich nie wspomniał, a ponadto łączyła nas sprawa zamiany lalek.

Nadal odwiedzałam Florę Lane. Lucy dalej nie wyglądała na zachwyconą moimi wizytami, więc wybierałam taką porę, żeby się z nią nie spotkać. Dla mnie było najważniejsze, że Flora, do której przychodziłam, zawsze witała mnie z zadowoleniem.

Wreszcie zdecydowano, że odbędzie się bal. Ciocia Zosia miała pomagać przy jego zorganizowaniu. Oczywiście najodpowiedniejszym miejscem mógł być tylko dwór St. Aubyn's, w którym znajdowała się jedyna w okolicy sala balowa.

Zainteresowała się tym wszystkim nawet pani St. Aubyn. Byłoby jak za dawnych, dobrych czasów, które ciocia Zosia nazywała hulaszczymi. Wszystkie czułyśmy się ogromnie podniecone. Przypuszczałam, że Kryspin pojawi się także. Powinien przyjść na bal wydany dla własnej siostry, choć właściwie miał to być debiut całej naszej trójki.

Od pewnego czasu nie wymieniano już nazwiska lady Fiony i chyba w ogóle o niej zapomniano. Chwilowo wystarczającą sensację stanowił ślub ciotki Racheli i Archibalda Grindle'a.

Teraz często bywałam w domu „Pod Dzwonem”. Stał się przyjaznym, uroczym miejscem, tylko owa nieszczęsna stajnia przywodziła fatalne wspomnienia. Chyba jednak nikt poza mną tak bardzo o tym nie myślał. Stajni nigdy nie używano, gdyż mieszkańcy domu „Pod Dzwonem” nie trzymali koni. Raz tam zaszłam. Drzwi się za mną zamknęły, a ja stałam przez parę chwil ze wzrokiem utkwionym w krokwiach. To okropne. Wydawało mi się, że on wciąż tu się znajduje. Jego zwisające ciało było bezwładne, ale wbite we mnie spojrzenie przerażało tak samo jak wtedy, gdy bezbronna leżałam na ziemi w Barrow Wood.

Uciekłam stamtąd czym prędzej. On nie mógł mi już zrobić krzywdy. Nie żył, zabił się, gdyż został zdemaskowany i nie potrafił z tym żyć.

Cała dygocząca pobiegłam do domu i przyrzekłam sobie, że nigdy więcej nie wejdę do tamtej stajni. Wydarzenie w lesie należało do przeszłości i powinnam starać się o nim zapomnieć. Kryspin mnie ocalił i zostaliśmy przyjaciółmi... w pewnej mierze. Oczywiście przyczyniła się do tego sprawa lalki Flory. W każdym razie wydawało mi się, że on nie czuje do mnie niechęci.

Tamaryszka powiedziała swego czasu, że ludzie lubią tych, którym się przysłużyli, gdyż kiedy na nich patrzą, utrzymują się w przekonaniu, jacy to są dobrzy. Cóż, Kryspin uratował mnie przed czymś strasznym, więc pewnie Tamaryszka miała rację – na mój widok przypominał sobie, co dla mnie uczynił.

Nasza trójka nie rozmawiała teraz prawie o niczym innym, tylko o balu. Ciocia Zosia zabrała nas do Salisbury, żeby kupić materiały na suknie. Wybrałam błękitno-fioletowy, Tamaryszka płomienną czerwień, a Rachelę chabrowy. Ciocia nieco się przy tej okazji melancholijnie zadumała, bez wątpienia myśląc o dworskiej krawcowej, która szykowała jej własną suknię na towarzyski debiut. Wiele na ten temat słyszałam od mojej mamy. Ale my musiałyśmy nasze suknie powierzyć miejscowej mistrzyni igły, Marii Tucker.

– Ona się zna na swej robocie i powinno jej się udać – orzekła ciocia. – Oby...

Coraz częściej bywałam w domu „Pod Dzwonem”. Archibald Grindle okazał się bardzo wesołym człowiekiem, a pani Hilda niewątpliwie czuła się szczęśliwa. Chodziła po domu, podśpiewując, i widać było, że rozkoszuje się nowo nabytymi, ślicznymi strojami. Ciągłe nie mogłam nadziwić się tej zmianie.

Równie częstym gościem stał się tam Daniel Grindle, najstarszy syn Archibalda, ten, który wraz z bratem Janem przejął po ojcu farmę.

Daniel, wysoki i trochę niezgrabny, sprawiał wrażenie, że nigdy nie wie, co robić z rękami. Lubiłam go i nazwałam „Łagodnym Olbrzymem”, gdyż był silny i potężnie zbudowany. Mówił niewiele, a jego ojciec powiedział nam, że Dan, jak nikt inny, potrafi porozumiewać się ze zwierzętami.

– Dziadek miał taki dar – stwierdził Jan Grindle. – Dan odziedziczył go po nim.

Jan był niższy, objawiał już skłonności do tycia jak jego ojciec i podobnie jak on miał zawsze mnóstwo do powiedzenia. Obaj robili wrażenie mężczyzn potrafiących cieszyć się życiem.

To właśnie za sprawą Jana został wprowadzony do naszego towarzystwa Gaston Marchmont.

Jego osoba narobiła sporo zamieszania i zarówno Tamaryszka, jak i Rachel nieustannie o nim mówiły. Był wysoki, szczupły – niemal smukły – i bardzo przystojny. Jak to określiła Tamaryszka, wyglądał na światowca. Miał bardzo ciemne, prawie czarne włosy i równie czarne oczy. Ubierał się elegancko, aż do przesady.

Jan poznał go w Europie, razem podróżowali przez kanał La Manche, a ponieważ Gaston Marchmont zamierzał zatrzymać się na jakiś czas w hotelu, Jan zaproponował mu na parę dni gościnę na farmie.

Janowi chyba wydawało się, że Marchmont, przyjmując jego propozycję, wyświadcza mu wielką łaskę, choć Gaston wcale nie dawał tego do zrozumienia. Wręcz przeciwnie, w uroczy sposób okazywał swą wdzięczność. Ja jednak mogłam zrozumieć, dlaczego Grindle’owie – choć zamożni, lecz przecież skromni ludzie – uważali, że taka ważna osobistość, jak Gaston Marchmont, zaszczyca ich swą obecnością na farmie.

Jan, nie tracąc czasu, przedstawił tego fascynującego dżentelmena lokalnemu towarzystwu. Dowiedzieliśmy się, że matką Gastona była Francuzka – stąd jego imię. W zasadzie prowadził interesy we Francji, jednak teraz zajmował się rodzinną posiadłością, położoną w Szkocji, którą odziedziczył po niedawno zmarłym ojcu. Styl jego odzienia wskazywał na dobry gust i wrodzoną elegancję. Ubrania nosił skrojone według mody najwyższej klasy, proponowanej tradycyjnie przez krawców z ulicy Savile Row w Londynie, jak mi wyjaśniła Tamaryszka, a w stroju do konnej jazdy wyglądał niczym młody bóg. Był uosobieniem wdzięku. Pani St. Aubyn momentalnie obdarzyła go niewymowną sympatią. Żartobliwie go kokietowała, a i on ją emablował. Stale powtarzał, że powinien już wybrać się do Szkocji, lecz wszyscy – łącznie z Janem Grindle – namawiali, żeby jeszcze trochę został.

– Kusicie mnie – odpowiadał – a moją cechą jest brak zdecydowania.

Tamaryszka oświadczyła, że upragniony gość przynajmniej musi zostać do balu, gdyż w przeciwnym wypadku nigdy mu tego nie wybaczy.

– Moja miła panienko – odparł – nie potrafię odmówić prośbie tych przepięknych oczu. Zatem – do balu.

Tamaryszka z Rachelą nieustannie o nim rozmawiały, w przeciwieństwie do mnie. Chyba byłam trochę urażona, gdyż wprawdzie mnie nie ignorował, ale też nie obdarzał komplementami. Włączał moją osobę do naszej trójki, kiedy określał nas mianem Trzech Gracji, ale chyba tylko z grzeczności. Zauważyłam, że jego oczy bardzo rzadko na mnie spoczywały. To Tamaryszka i Rachelą były adresatkami większości jego uśmiechów.

Okazał się istotnie niezwykle atrakcyjnym mężczyzną. Przy nim Kryspin wydawał się człowiekiem oziębłym, synowie Grindle'a zaś wiejskimi prostakami. Taką ocenę uznałabym jednak za niesprawiedliwą. Obaj młodzi Grindle'owie byli naprawdę bardzo miłymi ludźmi i do mnie przemawiał o wiele bardziej łagodny i życzliwy uśmiech Daniela niż urok Gastona Marchmonta.

Maria Tucker ślezczała nad naszymi sukniemi w szwalni dworu St. Aubyn's i pewnego dnia, gdy przyszyliśmy tam do miary, a Tamaryszka i Rachelą jak zwykle rozmawiały wyłącznie o Gastonie Marchmoncie, powiedziałam:

– Uważam, że połowy z tego, co mówi, nie bierze na serio.

– Po części bierze – odparła Tamaryszka. – Jesteś po prostu zazdrosna, bo nie zwraca na ciebie zbyt wielkiej uwagi.

Rozważałam jej słowa. Czy rzeczywiście miała rację?

Racheli jako pierwszej spośród nas trafił się prawdziwy wielbiciel. Był nim Daniel Grindle. Bardzo ładna Rachelą reprezentowała typ bezbronnej kobietki, Daniel zaś, według mego mniemania, należał do kategorii opiekuńczych mężczyzn.

Zauważyłam jego marzycielskie spojrzenie, kiedy wpatrywał się w mą przyjaciółkę. Tamaryszka też na to zwróciła uwagę, z tym że nie mogła zrozumieć, jak jakiś młody mężczyzna mógłby interesować się kimś innym poza nią. A Daniel patrzył czule na Rachelę. Kiedyś przyszedłam do niego na farmę, gdy podobnym spojrzeniem ogarniał trzymane w ramionach nowo narodzone jagniątko.

– No cóż – powiedziała Tamaryszka. – On przecież jest tylko farmerem.

– Nic w tym złego – Rachelą stanęła żarliwie w jego obronie. – To uczciwy człowiek. Ciotka Hilda jest bardzo zadowolona, że wyszła za mąż za jego ojca.

– Podoba ci się? – spytała Tamaryszka.

– Jest dobry – odrzekła Rachelą.

– Wyjdiesz za niego za mąż?

– Co za pytanie! – wykrzyknęła zakłopotana.

– Wyjdiesz! Wyjdiesz! Cóż, może on jest dobry akurat dla ciebie.

Rachelą już się nie odezwała, była zbyt zmieszana.

Domyślałam się, że Tamaryszka porównuje Daniela z Marchmontem.

Znowu wróciła do jego osoby. Była taka zadowolona, że Gaston zostaje i zjawi się na balu.

– Powiedziała, że nigdy bym mu nie wybaczyła, gdyby wcześniej wyjechał, a on na to: „Postawiła mnie pani w sytuacji bez wyjścia”. Czyż to nie urocza odpowiedź?

– Potrafi mówić miłe rzeczy – przyznała Rachel.

– Jest wspaniałym jeźdźcem – ciągnęła temat Tamaryszka. – Jakby stąpił się z koniem w jedno... wygląda wtedy jak starodawne bóstwo.

– Wygląda na skrzyżowanie rozbójnika z rojalistą, stronnikiem Karola I – odezwałam się. – Mogę sobie wyobrazić, jak mówi: „Pieniądze albo życie” lub jak na koniu walczy w bitwie przeciwko Cromwellowi.

– Nigdy nie cierpiałam Cromwella – oświadczyła Tamaryszka. – Okropny, stary tetryk. Zamykanie teatrów i takie różne rzeczy... nienawidzę ludzi psujących innym zabawę.

– Do tej kategorii trudno byłoby zaliczyć Gastona Marchmonta – przyznałam.

– W żadnym razie! – Tamaryszka uśmiechnęła się tajemniczo.

Dalej nie zmieniała tematu. Gaston to arystokrata, nie ma co do tego wątpliwości.

Rachel uśmiechnęła się marzycielsko, a ja wtrąciłam:

– Skoro jest taki cudowny, to byłoby dziwne, gdyby tu, u nas, zatrzymał się na dłużej.

– Być może – odrzekła Tamaryszka zagadkowo – ma swoje powody.

Do balu pozostało zaledwie parę dni. Nasze suknie były już gotowe. Tamaryszka oznajmiła, że sala balowa zostanie udekorowana kwiatami z cieplarni, a w sali jadalnej urządzi się bufet – stoły z różnymi daniami i napojami – i goście będą się sami obsługiwać. Zamówiono już orkiestrę. Jej mama codziennie wychodzi do ogrodu na krótkie spacerki, żeby nabrać sił do udziału w balu. Uszyła sobie specjalnie suknię na tę okazję. Zaproszenia zostały wysłane. To pierwszy bal od śmierci żony Kryspina.

– Teraz wszystko się zmieni – oświadczyła Tamaryszka. – Jestem już pełnoletnia. Nawet Kryspin będzie musiał przyjąć to do wiadomości.

Poszłam odwiedzić Flore. Usiadłam z nią w ogrodzie koło krzewów morwowych i opowiadałam jej o balu. Podejrzywałam, że raczej nie rozumie, o czym mówię, ale lubiła słuchać mego głosu. Od czasu do czasu przerywała mi i wtrącała uwagę typu: „Ostatniej nocy był trochę niespokojny. To chyba te ząbki”. Nie miało to znaczenia – ja mówiłam dalej, a Flora uśmiechała się i widać było, że cieszy się z mojej obecności.

Po wyjściu od niej spotkałam Kryspina. Pewnie miał złożyć siostrze Lane zwyczajową wizytę. Wiedziałam, że zaglądał do nich od czasu do czasu, a gdy coś nie było w porządku, natychmiast się tym zajmował.

Zawsze z ogromnym uznaniem wspominałam jego zaangażowanie w sprawę stłuczonej lalki Flory. To naprawdę ładnie z jego strony, że tak dba o swe dawne niańki.

– Witam – powiedział. – Chyba domyślam się, gdzie pani była.

– Wydaje mi się, że Flora lubi, jak do niej wpadam.

– Pod nieobecność panny Lucy?

Zarumieniłam się lekko.

– No cóż – powtórzyłam trochę zakłopotana – chyba Flora lubi, jak do niej przychodzę.

– Czy ona się pani zwierza?

– Zwierza? Nie, właściwie to nie.

– To znaczy, że jednak w jakimś stopniu tak?

– Przeważnie opowiada o lalce, jakby to było prawdziwe dziecko.

– I to wszystko?

– Tak, chyba tak.

– Wynika z tego, że nie jest pani pewna.

– Cóż, ona czasem mówi dziwne rzeczy.

– Jakiego rodzaju?

– No, na przykład o morwowych krzewach. Ciągłe powtarza, że tam niczego nie ma.

– Że tam niczego nie ma?

– Tak. Stale spogląda w tamtym kierunku. Robi wrażenie, jakby coś ją w związku z nimi martwiło.

– Rozumiem. To miłe, że pani ją odwiedza, mimo zaabsorbowania balem, którym chyba wszyscy są pochłonięci.

– Wszyscy oczekują go z niecierpliwością.

– A pani także? Skinęłam głową.

– Mam nadzieję na dobrą zabawę.

- Słyszałem, że pewien przebojowy amant obiecał też się pojawić.
- Ma pan na myśli...?
- Wie pani kogo. Czy to z jego powodu zabawa ma być dla pani szczególnie atrakcyjna?
- Sądzę, że wszyscy będą zadowoleni z jego obecności.
- Wszyscy? Łącznie z panią?
- Tak, oczywiście.
- Rozumiem. Przepraszam, nie zatrzymuję pani.

Uśmiechnął się, uniósł kapelusz i skłonił się lekko, po czym ruszył ku domowi sióstr Lane.

Bal miał się odbyć nazajutrz. Poszłam do domu „Pod Dzwonem” zobaczyć się z Rachelą.

Robiła wrażenie zmienionej, jakby opromieniał ją jakiś blask. Myślałam, że mi się z czegoś zwierzy, lecz najwidoczniej nie mogła się zdecydować. Pamiętałam, jak przy innych okazjach, gdy się czegoś obawiała, zwracała się do mnie. Była pod tym względem zupełnie niepodobna do Tamaryszki. Teraz, jakby onieśmielona, zamknęła się w sobie i nie zdradziła mi sekretu.

Jeszcze raz obejrzałam jej sukienkę. Swoją oglądałam już ze sto razy.

– Zniszczysz ją od samego patrzenia – zauważyła Lily ironicznie. – Zaufaj mi, kochanie, będziesz w niej wyglądała wspaniale.

Mnie jednak nie opuszczały obawy. Czy ktoś w ogóle zechce ze mną zatańczyć? Ćwiczyłyśmy w kółko taneczne kroki i doskonale już nam wychodziły, ja jednak ciągle z niepokojem myślałam o partnerach. Tamaryszka będzie miała ich mnóstwo, nie tylko ze względu na swój wdzięk i urodę, lecz również dlatego, że bal odbywał się u niej, jej matka była panią domu, więc mężczyźni z pewnością poczują się w obowiązku zatańczyć z córką. Rachelą także nie powinna mieć z tym kłopotu. Do panów przemawiała krucha i bezradna kobiecość. Ale ja? Może poprosi mnie Jan Grindle albo Daniel. Kryspin? Nie mogłam go sobie wyobrazić w tańcu.

Nagle moje rozmyślenia przerwała Rachelą.

– Daniel poprosił mnie o rękę.

Spojrzałam na nią zdumiona. Od razu uderzyła mnie pewna myśl: Rachelą pierwsza z nas otrzymała propozycję małżeństwa. Tamaryszce nie będzie się to podobało. Według niej to ona powinna pierwsza wyjść za mąż.

– Ależ to nadzwyczajna wiadomość! – zawołałam.

– Czy ja wiem. To nie takie proste.

– Jest bardzo miły i dobry. Byłoby ci z nim wspaniale. Przyjął go?

Potrząsnęła przecząco głową.

– Dlaczego? Daniel ci się nie podoba? Nie lubisz go?

– Owszem, lubię. Nawet bardzo. Zawsze byliśmy przyjaciółmi, jeszcze przed ślubem mojej ciotki z jego ojcem, a od tego czasu oczywiście bardzo często się widzimy.

Niedawno... – Zamilkła z zafrasowaną miną. – Ja... bardzo go lubię – zakończyła.

– Rozumiem – odrzekłam. – To się stało za wcześnie. Dopiero co skończyłyśmy szkołę. Oczywiście niektórzy ludzie pobierają się bardzo młodo, a wy już długo się znacie.

– Tak, ale nie o to chodzi...

– Co mu odpowiedziałas?

– Wyznałam mu, że nie mogę, z ogromną przykrością, bo on zachowuje się wobec mnie, no wiesz, tak sympatycznie. Zawsze był dla mnie dobry. Czułam się przy nim bezpieczna... po tym...

Dokładnie rozumiałam, co ma na myśli. Wyobrażałam ją sobie tam, w jej sypialni, jak słyszy najpierw zbliżające się kroki... które zatrzymują się przy drzwiach – na szczęście tym razem zamkniętych – a potem ciężki oddech. Po tym wszystkim chciała czuć się bezpieczna, tak jak ja po owych straszliwych przeżyciach w lesie.

– Widzisz – mówiła dalej Rachel – on uważa, że byłoby nam ze sobą dobrze. Staliśmy się bliskimi przyjaciółmi.

– I tak będzie. Tylko to przyszło za wcześnie, nie jesteś jeszcze gotowa.

Pustym wzrokiem zapatrzyła się w przestrzeń.

– Nie wiem, czy kiedykolwiek będę mogła...

– Przecież bardzo go lubisz.

– Tak, to prawda, ale...

– Po prostu potrzeba ci więcej czasu – stwierdziłam i pomyślałam, że dokładnie tak by to skomentowała ciocia Zosia. – Poczekaj, niech to usłyszysz Tamaryszka!

– Nie powiem jej. Proszę, Freddie, nie mów o tym nikomu.

– Oczywiście, dobrze. Ale chciałabym zobaczyć jej minę. Zawsze lubi być pierwsza.

Uśmiechnęłam się. Byłam przekonana, że Rachelę poślubi Daniela. To taki ślub w rodzinie – wyjść za męża za pasierba ciotki. Nie miałam wątpliwości, że wiodłaby podobnie szczęśliwe życie jak pani Hilda i w ten wspaniały sposób zakończyłyby się ich cierpienia w domu „Pod Dzwonem”, jakie musiały znosić pod rządami pana Doriana.

Sala balowa w St. Aubyn's wyglądała imponująco. Z cieplarni przyniesiono nie tylko kwiaty, lecz także palmy i krzewy w donicach i porozstawiano je z istic artystycznym smakiem. Kamienna posadzka została wygładzona talkiem. W jednym końcu sali znajdowało się podium dla orkiestry. Muzycy występowali w blad różowych koszulkach i czarnych smokingach. Wszystko to wydawało się nadzwyczajne i wzbudzało podziw.

Pani St. Aubyn, która na tę okazję cudownie odzyskała zdrowie, witała gości. Jedyną aluzją do jej poprzedniego stanu był fakt, że siedziała w królewskiej pozie na ozdobnym fotelu i wszyscy podchodzili tam do niej z wielkim uszanowaniem.

Nasze ciotki, Zosia i Hilda, krążyły wokół niej, jakby chciały przypomnieć gościom, że ich protegowane są równie ważne, jak Tamaryszka. Jednak oczywiście był to dwór St. Aubyn's i panią St. Aubyn traktowano jak główną gospodynię balu. Mnie i Rachelę przypadł w udziale jedynie zaszczyt uczestniczenia w nim.

Usiadłyśmy po obu stronach Tamaryszki, ciocia Zosia siedziała koło mnie, a pani Hilda obok Racheli. Teraz czułam się znacznie mniej pewna siebie niż we własnej sypialni, gdzie ciocia Zosia i Lily zapewniały, że wyglądam przepięknie.

– Będziesz królową balu, ja ci to mówię – powiedziała ciocia, a Lily dodała:

– O, moja panienko, nigdy nie myślałam, że suknia tak może zmienić dziewczynę. Wyglądasz jak istne чудо!

A jednak przy Tamaryszce, ogromnie pociągającej w sukni z płomiennego szyfonu i Racheli w błękitnym krepdeszynie, uświadomiłam sobie, że daleko mi do królowej balu i to, co mogło uchodzić za istne чудо w mej sypialni, tu, w eleganckiej sali balowej, robiło mniej zachwycające wrażenie.

Kiedy tylko zaczęła grać muzyka, stanął przed nami Gaston Marchmont. Wzniósłszy z podziwem w górę oczy, powiedział coś o trzech czarodziejkach i zaraz poprosił do tańca Tamaryszkę. Ona, jako najważniejsza tu panna St. Aubyn, właśnie tego oczekiwała. Łaskawie dała się poprowadzić, gdy właśnie podchodzili do nas bracia Grindle'owie. Daniel poprosił Rachelę, a ja tańczyłam z Janem.

Jan dobrze tańczył. Od czasu do czasu rzucał jakieś uwagi dotyczące idealnego stanu posadzki i rozmiarów sali balowej. Wyrzucił też nadzieję, że teraz, kiedy Tamaryszka jest już dorosłą panną, takich przyjęć pewnie będzie więcej. Prowadziliśmy lekką, banalną konwersację.

Do następnego tańca Gaston Marchmont wybrał Rachelę, Daniel Tamaryszkę, ja zaś zatańczyłam z pewnym panem w średnim wieku, przyjacielem St. Aubynów, którego już kiedyś poznałam.

Domyślałam się, że następny taniec Gaston przeznaczy dla mnie. Pewnie uznał, że poprosi każdą z nas i ta myśl zezłościła mnie trochę. Nie chciałam być wybrana na partnerkę z racji protokołu towarzyskiego czy obowiązku. Czułam, że tak naprawdę to pan Marchmont wcale nie chce ze mną tańczyć.

Kiedy partner odprowadził mnie na miejsce, ze zdumieniem zobaczyłam Kryspina rozmawiającego z ciocią Zosią i panią Hildą.

Powstał na mój widok, właśnie w chwili gdy Gaston Marchmont odprowadzał Rachelę. Miała lekkie rumieńce i wyglądała na uszczęśliwioną.

– Było mi bardzo miło – odezwał się Gaston. – Muszę pogratulować pani, panno Rachelo, świetnie pani tańczy.

Moja przyjaciółka wymruczała coś w odpowiedzi; orkiestra znowu zaczęła grać. Zobaczyłam, że Gaston kieruje wzrok w moją stronę, lecz nim zdążył się odezwać, Kryspin ujął mnie za ramię i powiedział stanowczo:

– Ten został mnie obiecany.

Ruszyliśmy razem na środek sali. Zauważyłam, że Gaston rzucił nam zaskoczone spojrzenie.

– Chyba nie jest pani bardzo rozczarowana – odezwał się Kryspin – że wyrwałam panią z ramion tego fascynującego kawalera?

Zaśmiałam się. W istocie byłam bardzo zadowolona i podekscytowana.

– Och, nie – odparłam. – Miał zamiar mnie poprosić, gdyż uważał, że powinien.

– Jest pani pewna, że Marchmont zawsze robi to, czego się od niego oczekuje?

– Pod tym względem na pewno tak.

– Trochę brzmi to zagadkowo. Czy zatem uważa pani, że w innych kwestiach mógłby nie być tak chętny do wywiązywania się ze swych obowiązków?

– W ogóle o tym nie myślałam. Po prostu uważam, że chce uchodzić za młodzieńca o nienaganych manierach.

– Wnoszę z tego, że nie zrobił na pani tak szalonego wrażenia jak na innych. Cieszy mnie to. Niestety, nie potrafię tak dobrze tańczyć jak on. Jest w tej dziedzinie prawdziwym ekspertem. Obawiam się, że ja z kolei mogę się pani wydać raczej niezbyt zręcznym tancerzem. Może usiądziemy? Oszczędzę pani kłopotu.

Nie czekając na odpowiedź, poprowadził mnie do dwóch krzeseł ustawionych między palmami.

Usiedliśmy i przez parę chwil przyglądaliśmy się w milczeniu mijającym nas parom. Zauważyłam, że Gaston tańczył teraz z jedną z zaproszonych panien.

Kryspin odprowadził go wzrokiem i rzekł:

– Tak, to ekspert. Proszę powiedzieć, czy panie Florze podoba się ta nowa lalka, którą dla niej wyszukaliśmy? Czy pani sądzi, że ją zaakceptowała?

– Czasami wydaje mi się, że tak. Ale niekiedy... sama nie wiem. Wydaje mi się, że nieraz patrzy na nią tak, jakby wiedziała, że to tylko lalka. Jakoś tak marszczy brwi.

– No i co?

– Tylko to zauważyłam.

– A poprzednio nie robiła takiej miny? Nie marszczyła brwi?

– Nie jestem pewna. Może tak.

– Biedna Flora! – Milczał przez chwilę, po czym spytał:

– A pani nadal czasem ją odwiedza?

– Tak.

– W tym hałasie trudno jest rozmawiać. Zjemy razem kolację. Przyjdę po panią. Ma pani karnet czy coś takiego?

Wziął mój notesik i wpisał swe inicjały w miejscu przeznaczonym na taniec przed kolacją.

– Proszę – rzekł, oddając mi karnecik. – Będzie pani miała sporo okazji do tańca z tymi, którzy wiedzą, jak to robić. Ale ten jeden jest mój.

Poczułam się rozczarowana, że Kryspin poprosił mnie tylko o jeden, a poza tym jego sposób bycia wydał mi się dość apodyktyczny. Właściwie wcale nie pytał, tylko z góry zakładał, że wyrażę zgodę. To była jego cecha charakterystyczna i w tym przypominał mi Tamaryszkę.

Nie mogłam się oprzeć i zapytałam:

– Czy zawsze mówi pan ludziom, co mają robić? Popatrzył na mnie trochę rozbawiony i zarazem zdziwiony.

– To najszybsza droga osiągnięcia tego, co się chce. – I zawsze skuteczna?

– Niestety, nie.

– A gdybym już obiecała komuś taniec przed kolacją?

– Ale nie obiecała pani, prawda? Nie zostało to odnotowane w pani karneciku.

– Cóż, zabawa dopiero się zaczęła i...

– Więc wszystko w porządku, prawda? Pomyślałem, że zjemy razem kolację. Chcę z panią porozmawiać.

Muszę przyznać, że byłam zadowolona z takiego obrotu rzeczy, i zwróciłam uwagę, że gdy odprowadzał mnie na miejsce, kilka osób przyglądało się nam z ciekawością.

Kryspin zaraz sobie poszedł. Pomyślałam, że nie ma ochoty więcej tańczyć, bez wątpienia w ogóle nie lubił tańców, gdyż nie miał w nich wprawy. Po jego odejściu zaraz pojawił się koło mnie Gaston. Raz z nim zatańczyłam. Był na tyle dobrym tancerzem, że przy nim sama czułam się zręczniejsza.

Dojrzałam przelotnie Kryspina. Najpierw rozmawiał z człowiekiem, który według mnie był jednym z zarządców posiadłości, a potem z jakimś starszym panem, który, jak słyszałam, miał także majątek niedaleko St. Aubyn's i został zaproszony na bal wraz z żoną i córką.

Gaston prawil mi komplementy, że wyglądam uroczo, a barwa mej sukni jest jego ulubioną. Podejrzewałam, że kiedy tańczył z Tamaryszką, jego ulubionym kolorem okazał się płomiennoczerwony, Rachelę zaś niewątpliwie zapewniał, że niebieski. Może nie było to szczerze, ale próbował być miły, czego nie można by powiedzieć o Kryspinie.

W pewnym momencie skierował rozmowę na temat St. Aubyn's Park i Kryspina.

– To bardzo duża posiadłość, prawda? Prawdopodobnie największa w całym hrabstwie Wiltshire. Tamaryszką mówiła mi, że pani się interesuje tymi dwiema dziwnymi kobietami, zamieszkującymi dom w obrębie majątku St. Aubynów.

– Ma pan na myśli panny Lucy i Florę Lane?

– Aaa, tak się nazywają? A co to za historia o lalce, którą jedna z nich stale wozi ze sobą, gdyż uważa, że to dziecko?

– Prawdziwa.

– Ale to dziwne, nieprawdaż?

– Tak już trwa od długiego czasu.

– Ona myśli, że to pan tych dworskich dóbr?

– Opiekowała się nim, gdy był maleńki.

– A on teraz otacza obie siostry szczególną opieką?

– Swego czasu obie były jego niańkami. Ludzie czują sentyment do swych starych niań. To bardzo ładnie z jego strony, że tak o nie dba.

– Zaiste wyjątkowa szczodrość. Tamaryszką twierdzi, że pani jest w dobrych stosunkach z tą pomyloną i w ogóle szczególnie się nią interesuje.

– Żal mi ich.

– Ma pani, jak widzę, dobre serce. Podobno często pani u nich bywa, Tamaryszka mówi, że właśnie wtedy, gdy tej drugiej – nie owej wariatki – nie ma w domu, bo spodziewa się pani odkryć, co doprowadziło biedaczkę do takiego stanu.

– Tamaryszka tak powiedziała?!

– A czy tak nie jest?

– No cóż...

– Oczywiście – zgodził się – wszyscy lubimy dojść do sedna sprawy. Coś musiało się zdarzyć, co odebrało jej rozum, nie uważa pani?

– Nie wiem.

– Być może dzięki swym dociekaniom odkryje pani przyczynę.

Taniec dobiegł końca.

– Musimy jeszcze raz zatańczyć – oświadczył. – Było naprawdę wspaniale. Z pewnością już wszystkie tańce ma pani zajęte.

– Jeden czy dwa – odrzekłam, a Gaston odprowadził mnie na miejsce.

Potem tańczyłam z kilkoma młodymi ludźmi i zastanawiałam się, dlaczego Marchmont był tak zainteresowany siostrami Lane. Przypuszczałam, że Tamaryszka przedstawiła mu całą historię, jak to zwykle ona, bardzo dramatycznie. Zawsze przesadzała, choć oczywiście przypadek Flory i jej lalki istotnie był niezwykły. Bardzo szybko przestałam jednak myśleć o Gastonie i teraz z niecierpliwością oczekiwałam na taniec przed kolacją. Obawiałam się, że Kryspin może zapomnieć o przyrzeczeniu, lecz gdy tylko taniec został ogłoszony, mój partner się zjawił. Wziął mnie pod rękę i skierował w stronę ustawiających się już par. Przetanńczyliśmy raz dookoła sali, po czym rzekł:

– Teraz pójdziemy i wybierzemy sobie stolik, który będzie odpowiedni dla dwóch osób. W przeciwnym razie musielibyśmy jeszcze z kimś siedzieć.

Poprowadził mnie do owych dwóch krzeseł, gdzie już poprzednio siedzieliśmy. Przed nimi znajdował się nakryty stolik, zastawiony kieliszkami i sztucami.

– Tu nam będzie dobrze – powiedział Kryspin. – Proszę położyć swój karnet, żeby inni wiedzieli, że stolik jest zajęty, a my pójdziemy wybrać sobie coś do jedzenia.

W jadalni na kozłach ustawiono długi stół, tu i ówdzie ozdobiony świecami, a na nim ogromne ilości wszelkiego rodzaju smakołyków – kurczęta na zimno, łosoś, różne mięsa i sałatki. Widok ów zachwycał i kusił. Przybyliśmy tam pierwsi. Kryspin prowadził mnie wzdłuż stołu i nakładaliśmy sobie wybrane dania. Po powrocie na stoliku czekał już na nas szampan w wiaderku z lodem.

Orkiestra przestała grać i goście zaczęli przechodzić gromadą do jadalni.

– Co za przenikliwość – odezwałam się. – Obsłużyliśmy się przed wszystkimi.

– No właśnie. Uniknęliśmy tłumu, a na naszym stoliku mamy już wszystko, czego nam trzeba.

Usiadł naprzeciwko mnie. Jeden ze służących podszedł i nalał nam szampana.

Kryspin spojrział na mnie badawczo i uniósł swój kieliszek.

– Za Fryderykę! – rzekł. – Za jej debiut towarzyski. Jest pani zadowolona, mając już za sobą dzieciństwo?

– Chyba tak.

– Co pani teraz zamierza zrobić?

– Właściwie jeszcze o tym nie myślałam.

– Większość dziewcząt chce wyjść za mąż. To chyba podstawowy cel. Pani też?

– O tym w ogóle nie myślałam.

– No nie. Wszystkie dziewczęta o tym myślą.

– Być może pan nie zna wszystkich dziewcząt, tylko niektóre.

– I być może ma pani rację. W każdym razie jest pani u progu nowego życia. Na swym pierwszym balu. Dobrze się pani bawi?

– Bardzo.

– To zabrzmiało jakby była pani zdziwiona.

– Nigdy nie wiadomo, jak coś się potoczy. A gdyby któraś z dziewcząt nie została poproszona do tańca?

– To by była niezręczna sytuacja. Przysiągłbym, że nie jest pani z tych, które lubią czekać, aż się je wybierze. Pani bardziej by odpowiadało, gdyby sama mogła wybierać.

– Z pewnością wszyscy by woleli.

– Wobec tego mogłaby pani poprosić Gastona Marchmonta do tańca.

– Tego bym nie zrobiła.

– Och, zapomniałem, że pani nie jest tak podatna na wpływy jak inne. Jest pani bardzo krytyczna.

– Trochę... mam nadzieję.

– A ja tak nastawałem, żeby pani przeznaczyła dla mnie ten taniec przed kolacją. – Patrzył na mnie uważnie. – Spotykaliśmy się już oboje w niezwykłych okolicznościach, prawda? Pamięta pani, jak pojechaliśmy kupić lalkę? A jeszcze... tamta sprawa w Barrow Wood.

Zadrzałam. Czy pamiętam? To było coś, czego nigdy nie zapomnę. Świadomość owego przeżycia potrafiła powrócić bez ostrzeżenia. Zawsze była gotowa dać znać o sobie i postawić mnie w obliczu tego wspomnienia.

Wyciągnął dłoń i krótko uściśnął moją.

– Przepraszam – powiedział. – Nie powinienem o tym mówić.

– Nie szkodzi – odrzekłam. – Ale to jest coś, o czym nie mogę zapomnieć.

– To było straszliwe doświadczenie. Dzięki Bogu, że przypadkiem tamtędy przejeżdżałam!

– On nie żyje... także z tego powodu – dodałam. – O tym również wołałabym nie pamiętać, ale nie potrafię.

– To najlepsza rzecz, jaka mu się mogła przydarzyć. Nie miał odwagi stawić czoła prawdzie, gdy okazało się, jakim naprawdę jest człowiekiem pod noszoną stale maską świętości.

– Musiał być doprowadzony do skrajnej rozpacz, skoro poszedł do stajni i tam odebrał sobie życie.

– Proszę w ten sposób nie myśleć. Trzeba się cieszyć, że znalazłem się w odpowiednim miejscu w odpowiedniej chwili. Ja nie jestem w stanie go żałować.

– A czy nigdy nie miał pan uczucia, że on się zabił, bo wiedział, że pan nim gardzi? Tam, w lesie, myślałam, że pan go zabił. Zostawił go pan. Czy to pana nie dręczy?

– Nie. Był tchórzem... i hipokrytą, który ustawił się w roli świętego, a w rzeczywistości zachował się jak najprymitywniejsze zwierzę. Mogę się jedynie cieszyć, że wtedy nadjechałem i z tego, co w konsekwencji się stało. Najlepsza rzecz, którą mogłem zrobić, to uwolnić świat od swej wstrętnej osoby i, moja droga Fryderyko, pani dobro było znacznie ważniejsze niż jego nędzne życie. Proszę na to spojrzeć w ten sposób i przestać z taką wyrozumiałością myśleć o tej nikczemnej kreaturze. Bez niego świat jest lepszy. Czułbym się usprawiedliwiony, gdybym go zabił, choć oczywiście o wiele lepiej się stało, że sam to uczynił.

Na twarzy Kryspina nie dostrzegłam cienia współczucia, ale nie mogłam się powstrzymać od refleksji na swój własny użytek, że mimo wszystko, kończąc tak ze sobą, pan Dorian pragnął być dobrym człowiekiem.

Mój towarzysz mówił dalej.

– Proszę mi wybaczyć, nie powinienem był poruszać tego tematu. Chciałem mieć jednak pewność, że pani o tym nie rozmyśla. Nie wolno do tego wracać. Życie miewa swe szpetne strony i musi pani to zrozumieć. Pamiętać trzeba tylko o przyjemnych, a resztę wyrzucić z myśli.

Uśmiechnął się do mnie bardzo życzliwie, a ja przypominałam sobie słowa Tamaryszki, która powiedziała kiedyś, że ten, kto ratuje kogoś z jakiejś strasznej opresji, czuje do uratowanego sympatię, gdyż owa osoba przypomina mu, jaki sam jest dobry i szlachetny.

– Może zje pani jeszcze trochę łososia?

– Nie, dziękuję.

– No to proszę teraz powiedzieć mi, co pani myśli o pannie Florze. Ona z panią rozmawia, prawda?

– Trochę. Ale jak panu mówiłam, niewiele w tym sensu.

– A czy według pani ona czasami sobie uświadamia, że lalka została zamieniona?

– Ta nowa nie jest zbyt podobna do poprzedniej, prawda? Tamtą miała od dawna, a nowe są teraz w innym stylu.

– Ale nic konkretnego nie powiedziała?

– Nie. Patrzy nieraz, jakby się zastanawiała... lecz i przedtem podobnie czasem wyglądała.

– Jakby usiłowała sobie coś przypomnieć?

– Coś takiego. A może raczej jakby nie chciała sobie czegoś przypomnieć.

– Jakby próbowała pani coś powiedzieć?

Zawahałam się, a on nie spuszczał ze mnie baczego spojrzenia.

– Tak? – nastawał na mą odpowiedź. – Jakby próbowała pani o czymś powiedzieć?

– Na ścianie w jej pokoju wisi obrazek – powiedziałam. – Zawsze się w niego wpatruje i wtedy porusza bezgłośnie wargami. Ale z ruchu warg można wyczytać, że mówi do siebie: „Żeby sekret zatajony nigdy nie był wyjawiony”.

– Więc chodzi o ten obrazek...

– Nie wiem. Chyba on ma to oznaczać. – Przypominałam sobie rozmowę z Gastonem Marchmontem wcześniej tego wieczoru i mówiłam dalej: – Coś musiało się jej przydarzyć, co spowodowało, że postradała zmysły... Coś bardzo dramatycznego. Być może właśnie to wydarzenie owym jest sekretem, który nigdy nie może być wyjawiony.

Kryspin nie odpowiedział i tylko w milczeniu wpatrywał się w talerz, gdy kontynuowałam swą myśl.

– Według mnie to się wydarzyło bardzo dawno temu, kiedy pan był niemowlęciem. Coś ją tak przeraziło, że nie potrafiła przyjąć tego do wiadomości. Może stało się to z jej winy i dlatego nieświadomie stwarza pozory, jakby w ogóle nie miało miejsca... pragnie tkwić w czasie, zanim owo wydarzenie nastąpiło. Dlatego chce, żeby pan nadal był niemowlęciem.

– Ciekawa teoria – przyznał z ociąganiem.

– Wydaje się jednak, że gdyby taka straszna rzecz się wydarzyła, ludzie by o niej wiedzieli. Chyba że chodzi o coś, o czym wie jedynie Flora. To wszystko jest dość tajemnicze. Słyszałam raz czy dwa, jak wymieniała czyjeś imię i nazwisko. Geny Westlake.

– Gerry Westlake?

– Chyba dobrze zapamiętałam.

– Co o nim mówiła?

– Nic poza tym.

– Tu w sąsiedztwie mieszkają jacyś Westlake'owie, para małżeńska w średnim wieku, z córką, która jest gdzieś na służbie. Mieli też syna, ale wyjechał za granicę. Chyba do Australii albo Nowej Zelandii. Niewiele o nich wiem.

– Tylko raz czy dwa słyszałam, jak szeptała jego imię.

– Ona chyba panią lubi.

– Z pewnością lubi, jak ją odwiedzam.

– Kiedy Lucy nie ma w domu.

– Odnoszę wrażenie, że panna Lucy w ogóle nie lubi gości. Może sądzi, że ich wizyty denerwują Florę.

– Ale to pani nie powstrzymuje.

– Lubię rozmawiać z Florą i wiem, że i ona lubi do mnie mówić. Nie widzę w tym nic złego.

– A pani z natury jest ciekawa.

– Pewnie tak.

– Intryguje panią sekret tych siedmiu srok i zastanawia się pani, czy to nie on spowodował chorobę umysłową biednej panny Flory.

– Pomyślałam, że mogło się tak stać w następstwie jakiegoś straszliwego wstrząsu. Takie rzeczy się zdarzają.

– A panna Fryderyka Hammond występuje dorywczo w roli detektywa i jest zdecydowana rozwiązać tę zagadkę.

– To już przesada. Kryspin się roześmiał.

– Ale jest w tym ziarnko prawdy?

– Cóż, każdemu ta sprawa wydawałaby się intrygująca.

– Lecz w szczególności niektórym. – Uniósł w górę kieliszek. – Pozostaje mi życzyć pani powodzenia w jej wysiłkach.

– Jeżeli poznamy przyczynę jakiegoś stanu rzeczy, mamy więcej szans na jego poprawę.

– Ale czy owa odkryta prawda nie okaże się nazbyt przerażająca? Wtedy wszystko by się jeszcze bardziej pogmatwało.

– Istnieje taka możliwość.

– Rozmawiamy wyłącznie o innych. Proszę mi teraz opowiedzieć o sobie. Co pani robi, kiedy nie odwiedza panny Flory?

– Dopiero niedawno opuściłam szkołę, więc jeszcze do niczego się tak naprawdę nie zabrałam.

– Na pewno będą odbywały się kolejne przyjęcia, takie jak to dzisiejsze. Te sprawy zajmują sporo czasu. Spodziewam się, że dla mojej siostry już zaplanowano wiele podobnych imprez i z pewnością zarówno pani, jak i Rachela weźmiecie w nich udział.

– Odkąd tu przyjechałam, trzymałyśmy się we trzy zawsze razem.

– Czuje się pani szczęśliwa w Harper's Green?

– Bardzo. Moja ciocia Zosia to wspaniała kobieta i ogromnie dla mnie dobra.

– Z przykrością przyjąłem wiadomość o pani matce.

– To było tym smutniejsze, że nigdy nie cieszyła się życiem. Ojciec nas opuścił, a ona chciała wrócić do swego rodzinnego domu, który został sprzedany. Była nieszczęśliwa, gdyż musiała mieszkać w małym domku, z którego przez cały czas widziała ten dawny.

– Zatem Harper's Green okazało się szczęśliwym miejscem?

– Los był dla mnie łaskawy, że zesłał mi ciocię Zosię.

– A pani ojciec...?

– Nigdy go nie widziałam. On i mama rozeszli się dawno temu.

Kryspin pokiwał głową.

– Takie rzeczy się zdarzają.

Zastanawiałam się, czy miał na myśli własną żonę, która go porzuciła.

– Mam nadzieję, że kiedy wyjdzie pani za mąż, będzie równie szczęśliwa, jak obecnie w domu „Pod Jarzębinami”.

– Dziękuję. Spodziewam się, że i pan będzie szczęśliwy.

– Wie pani, co się wydarzyło. Są jeszcze inne sekrety w życiu mieszkańców Harper’s Green niż ten, którym się pani tak interesuje. Moja żona mnie opuściła i może niektórzy ludzie nie ją by o to obwiniali. – Mówił z goryczą w głosie i czułam, że powinnam zmienić temat, ale ponieważ nic nie przychodziło mi do głowy, trwaliśmy w milczeniu.

W pewnym momencie wskazałam ręką salę i powiedziałam:

– Ileż wysiłku musiało kosztować przygotowanie tego wszystkiego.

– Zatrudniamy bardzo dobrą gospodynię i lokaja. Mają wprawę w tego typu przedsięwzięciach i byli zadowoleni, że mogą się popisać umiejętnościami. – Po chwili dodał:
– Zostawiła mnie dla kogoś innego, a potem zginęła w katastrofie kolejowej.

– To musiało być dla pana strasznym wstrząsem.

– Co? Jej ucieczka czy śmierć?

– Jedno i drugie.

Nie odpowiedział, więc ja się odezwałam, pewno niezbyt taktownie:

– Być może znajdzie pan sobie kogoś innego.

Miałam na myśli lady Fionę, o której mówiono, że byłaby odpowiednią partią. Jednocześnie uświadomiłam sobie, że nasza rozmowa przybiera zupełnie nieoczekiwany obrót, co nas oboje wprawia w zakłopotanie.

– O, tak – odrzekł. – Myślała pani o kimś konkretnym? Musiałam brnąć dalej.

– Niektórzy coś mówili o lady Fionie. Kryspin zaśmiał się znowu.

– Ludzie uwielbiają rozpuszczać bajki, czyż nie? Jesteśmy dobrymi przyjaciółmi. Nigdy nie padła nawet żadna sugestia dotycząca małżeństwa. A tak przy okazji, Fiona właśnie niedawno wyszła za mąż. Byłem na jej ślubie. Jej mąż jest moim przyjacielem.

– Więc to tylko plotki.

– Zawsze są i będą, musimy się z tym pogodzić. Jeżeli ludzie sądzą, że mężczyzna powinien założyć rodzinę, będą próbowali znaleźć mu żonę.

Sama zauważyłam ze zdumieniem, że jego wyjaśnienia przyjmuję z dużą ulgą. Goście zaczęli odchodzić od stolików, zegar wybił północ.

– Niestety – rzekł Kryspin – nasze przyjemne interludium dobiega końca. Dziękuję za tę rozmowę.

– Było mi bardzo miło.

– Nie ma pani do mnie żalu, że tak uporczywie nalegałem?

– To najprzyjemniejsza część tego wieczoru – odpowiedziałam szczerze.

Podniósł się z uśmiechem i odprowadził mnie do grupy, która już tworzyła koło pośrodku sali. Orkiestra zaczęła grać bardzo popularną pieśń – „Dawne, dobre czasy” – i wszyscy podjęliśmy śpiew klaszcząc w ręce, a potem wymieniliśmy serdeczne uściski dłoni na pożegnanie.

Państwo Grindle z Rachelą odwieźli mnie i ciocię Zosię do domu.

Lily jeszcze nie spała, czekała na nas.

– Przygotowałam dla was gorące mleko – powiedziała. – No i jak udał się bal?

– Nad wyraz dobrze – stwierdziła ciocia. – A gorące mleko świetnie nam zrobi, pomoże usnąć po tych podniecających wrażeniach. Gdzie je postawiłaś?

– W kuchni – odrzekła Lily. – Chodźcie, jest w sam raz do picia.

Usiadłyśmy przy kuchennym stole i popijając mleko, odpowiadałyśmy na pytania Lily.

– Jestem przekonana, że wszyscy bili się o tańce z tobą – podjęła temat.

– Może to lekka przesada – ciocia uśmiechnęła się – ale miała sporo partnerów. A co o tym powiesz? Prawie zagarnął ją na wyłączność pan na włościach.

– Nie do wiary! – wykrzyknęła Lily.

– Naprawdę. Niewiele tańczył, lecz zamówił sobie u naszej młodej damy taniec przed kolacją i to zawczasu, żeby mieć pewność. Czy nie tak było, Freddie?

– Rzeczywiście tak.

– No, niech mnie kule biją! – zawołała Lily.

– A potem częstował ją szampanem.

– Coś takiego! Szampan! Potrafi uderzyć do głowy.

– Wszystko było naprawdę wspaniałe, mówię ci. Pamiętam bale w „Cedrowym Dworze”. Swego czasu mnie przerażały. Zawsze się bałam, że będę podpierać ściany. Aż do chwili kiedy powiedziałam sobie: nic mnie to nie obchodzi, jeśli ci młodzi panowie nie raczą ze mną tańczyć, to ja także nie chcę mieć z nimi do czynienia.

– To rozumiem – rzekła Lily. – Głuptasy, nie wiedzieli, co tracą. Ale to się naszej panie nie przydarzyło.

– W żadnym razie. A o czym Kryspin St. Aubyn z tobą rozmawiał, Freddie?

– Głównie o siostrach Lane – odrzekłam. – Bardzo się nimi interesuje i chciał wiedzieć, co myślę o Florze.

– Jest dla nich nadzwyczaj dobry – przyznała ciocia Zosia.

Dalej popijała mleko i pewnie wracała myślą do owych dni w „Cedrowym Dworze”, kiedy kawalerowie przychodzili do mojej mamy, a nie do niej.

Całkowicie zgadzałam się z opinią Lily, że można ich nazwać głuptasami.

A moją ciocię Zosię kochałam coraz bardziej.

Ucieczka

Następnego dnia po balu Tamaryszka i ja zostałyśmy zaproszone do domu „Pod Dzwonem”. Ilekroć wkraczałam w jego progi, nie mogłam się nadziwić zmianom, jakie tam zaszły. Miałam wrażenie, że chodzi o pozbycie się wszelkich śladów po jego poprzednim właścicielu. Mnie przypominały go jedynie złowieszcze drzwi stajni. Zauważyłam, że stale są zamknięte, więc zastanawiałam się, czy ktokolwiek teraz tam wchodzi.

Zostałam zaraz wciągnięta do rozmowy. Tamaryszka opowiadała nam o swych triumfach. Bal okazał się wielkim sukcesem. Pani St. Aubyn, zachwycona, powiedziała, że przypomniał jej dawne dni i że muszą wydać następny.

Tamaryszka tańczyła sześć razy z Gastonem Marchmontem. Czy to nie wielka szkoda, że właśnie tego dnia wyjeżdża do Szkocji, żeby zająć się swymi tamtejszymi dobrami?

– Ciekawe, czy on jeszcze kiedyś tu wróci? – zastanawiałam się głośno.

Tamaryszka i Racheli spojrzały na mnie zdumione.

– Oczywiście, że wróci! – wykrzyknęła Tamaryszka.

– Musi – dodała Racheli.

Podczas naszego podwieczorku zjawił się Daniel. Usiadł koło Racheli i zapytałam go, czy dobrze bawił się na balu.

– Chyba zabawa bardzo się udała – odpowiedział wymijająco. – Raczej wszyscy tak uważają.

– To olbrzymi sukces – zapewniła go Tamaryszka.

Przyszła do nas pani Hilda, a ja nieustannie przypominałam sobie, jak wyglądała przedtem – z wiecznym wyrazem obawy na twarzy, w nieciekawych sukniach, bez ozdobnego grzebienia we włosach. Jak bardzo pan Grindle musi się różnić od pana Doriana. Kryspin miał rację, nie może być złe to, co tylu ludziom przyniosło tak wiele dobra.

Zauważyłam, jak chłodno Tamaryszka odnosi się do Daniela. Nie mogła mu wybaczyć, że więcej uwagi poświęcał Racheli niż jej.

Przyłączył się do nas także Jan Grindle. Powiedział nam, że zawiózł Gastona Marchmonta na stację i odprowadził do pociągu jadącego do Londynu.

– Jedźcie prosto do Szkocji – oznajmił. – Ma tam jakieś sprawy, którymi musi się zająć.

– Wróci – wtrąciła Tamaryszka z pełnym przekonaniem.

– Chyba jest bardzo zapracowanym człowiekiem. Mówił, że jeszcze tu do nas przyjedzie na trochę. Naprawdę był zadowolony z dotychczasowego pobytu – ciągnął dalej Jan. – I trochę nas rozruszał.

– Rzeczywiście – odrzekła Tamaryszka z uśmiechem. Zastanawiałam się, czy ona nie wie więcej o planach Gastona Marchmonta niż reszta z nas.

Może tak i było, gdyż trzy tygodnie później Gaston Marchmont istotnie wrócił. Zjawił się na farmie Grindle'ów i spytał, czy mógłby zatrzymać się u nich przez jakiś czas. Gdyby to im nie odpowiadało, zamieszkałby w hotelu, ale ponieważ poprzednio spędził u nich tak miło czas, więc może i tym razem zechcą go przyjąć.

Jan oświadczył, że będą zachwyceni, udzielając mu gościny, musi zatrzymać się u nich, w przeciwnym razie bowiem poczuliby się bardzo urażeni.

Minęło pięć dni od przyjazdu Gastona Marchmonta. W tym czasie bardzo rzadko go widywałam. Pomagałam właśnie cioci Zosi przy pracach w ogrodzie, gdy usłyszałam odgłos końskich kopyt i za chwilę do ogrodu przybiegła Lily.

– Jest pan St. Aubyn – rzekła. – Pragnie się zobaczyć z panną Fredą.

A Kryspin już wchodził do ogrodu.

– Tamaryszka zniknęła – powiedział. – Czy nie wie pani, gdzie ona się podziewa?

– Zniknęła? – zawołała ciocia. – Gdzieś wyjechała?

– Tego właśnie chciałbym się dowiedzieć. – Patrzył na mnie. – Nie wie pani, gdzie ona może być?

– Ja? Nie wiem.

– Pomyślałem, że może pani powiedziała.

– Nic mi nie mówiła.

– Cóż, w domu jej nie ma. Musiała wyjść późnym wieczorem. Łóżko było zasłane, nie spała w nim tej nocy.

Pokręciłam przecząco głową.

– Widziałam ją wczoraj i... tak, wydawała mi się czymś podniecona.

– Spytała ją pani o przyczynę?

– Nie. Jeżeli coś się dzieje, zwykle sama o tym mówi, a skoro nic nie mówiła, to się nad tym nie zastanawiałam.

Najwyraźniej był bardzo zaniepokojony i widząc, że nie potrafię mu pomóc, odjechał.

Rozmawialiśmy o tym przez cały rano.

– To bardzo dziwna sprawa – orzekła ciocia Zosia. – Ciekawe, co się stało. Ona chyba coś kombinuje.

Rozważaliśmy, gdzie mogłaby wyjechać, ale nie doszliśmy do żadnych sensownych wniosków. Oczekiwałam, że niedługo się pojawi. Mogła wybiec z domu pod wpływem nagłego porwy złości. Może pokłóciła się z matką.

Później jednak Jan Grindle doniósł, że zniknął również Gaston Marchmont, choć nie w tak tajemniczy sposób jak Tamaryszka. Zostawił bowiem wiadomość, że wezwano go w jakimś bardzo pilnym interesie i wyjaśni to po powrocie, co – ma nadzieję – szybko nastąpi.

Ludzie od razu połączyli zniknięcie ich obojga i zaczęło się roić od domysłów.

Poszłam do domu „Pod Dzwonem” zobaczyć się z Rachelą. Pani Hilda powiedziała mi, że znajdzie ją w sadzie. Ich ogród miał pewnie około hektara powierzchni. Znajdował się tu obszerny trawnik, który w rzadkich wypadkach, gdy jakieś imprezy parafialne lub inne uroczystości nie mogły się odbyć w St. Aubyn’s, wykorzystywano do tego celu w zastępstwie. Część ogrodu była dziko zarośnięta drzewami, zwłaszcza w pobliżu sadu, stanowiącego, o czym wiedziałam, ulubione schronienie Racheli.

Tam ją znalazłam i zbliżając się, zawołałam:

– Słyszałaś już najświeższe nowiny?

– Nowiny? Jakie nowiny?

– Tamaryszka i Gaston zniknęli. Musieli razem gdzieś wyjechać.

– Och, nie! – wykrzyknęła.

– To byłby raczej dziwny zbieg okoliczności, gdyby oboje w tym samym czasie tak sobie wyjechali.

– Oni nie mogą być razem!

– Dlaczego?

– On by nie...

– Na balu tańczył z nią częściej niż z innymi.

– Bo musiał, przecież ten bal wydano w St. Aubyn’s. Czuł się w obowiązku z nią tańczyć.

– Ja uważam, że są razem.

– Dowiemy się, kiedy Gaston wróci. Jestem pewna, że wróci.

– Ale oboje zniknęli. Razem!

– Musi być jakieś wyjaśnienie.

Zapatrzyła się w płynący między drzewami mały strumyk. Na jej twarzy malował się wyraz jakiejś dręczącej obawy albo bolesnego rozczarowania.

Miała rację. Gaston wrócił z Tamaryszka, która promieniała szczęściem. Na palcu jej lewej ręki błyszczała złota obrączka. Była panią Gastonową Marchmont. Ona i Gaston uciekli, żeby wziąć ślub, tam gdzie można to zrobić bez zwykłych formalności. Właśnie takiego ślubu pragnęli oboje. Nie mieli zamiaru czekać na przygotowania niezbędne do urzędnictwa tradycyjnej uroczystości. Chcieli być razem bez jakiegokolwiek zwłoki.

Harper's Green ogarnęło niebywale podniecenie. Było to wydarzenie, które najbardziej poruszyło opinię publiczną od czasu, kiedy pan Dorian powiesił się w stajni domu „Pod Dzwonem”.

– Żeby coś takiego zdarzyło się tutaj! – skomentowała Lily. – Ciekawe, do czego to doprowadzi.

Ciocia Zosia uznała całą sprawę za dziwną.

– Dlaczego musieli uciekać? Jeżeli on jest tym, za kogo się podaje, nie byłoby żadnego sprzeciwu. Panią St. Aubyn bardzo by podniosło na duchu, gdyby mogła wyprawić wspaniałe wesele, i nie uwierzę, że Tamaryszka by takiego nie chciała. Dla mnie kryje się za tym coś podejrzanego, jak gdyby ów dżentelmen nie chciał, by za bardzo wnिकano w jego sprawy.

Gaston Marchmont zamieszkał w St. Aubyn's z młodą żoną. Miało tak być do czasu, gdy uporządkuje własne interesy; potem przeprowadzą się do własnego domu.

Dzień po ich powrocie spotkałam Kryspina wracającego z Devizes. Na mój widok zatrzymał się i zsiadł z konia.

– Jest pani pewna – zapytał – że nie wiedziała o planach Tamaryszki?

– Całkowicie pewna.

– Nie napomykała o czymś, co mogło dać pani do zrozumienia, że ma wyjść za mąż?

– Oczywiście, że nie.

Wyglądał na ogromnie zagniewanego.

– Chyba jest szczęśliwa – próbowałam go ułagodzić. – Tego właśnie pragnęła.

Zapatrzył się w przestrzeń z ponurym wyrazem twarzy.

– Ona absolutnie nic nie wie o życiu – powiedział. – Zrobiła to pod wpływem impulsu, który może zrujnować jej przyszłość. Dopiero co skończyła szkołę.

Poczułam, że wzbiera we mnie oburzenie. Kryspin właśnie w ten sam sposób myśli o mnie. Jako o dziecku, które dopiero co skończyło szkołę.

– Ale oni się kochają! – odparłam.

– Kochają! – powtórzył ze wzgardą.

– Może pan nie wierzyć, jednak niektórzy ludzie ulegają temu uczuciu.

Spoglądał na mnie zniecierpliwiony.

– Gdyby choć zdradziła się przed panią z jakąś aluzją do tego, co jej chodzi po głowie, mogłaby pani ostrzec mnie albo kogoś.

– Powtarzam, że nic takiego mi nie mówiła, a gdyby nawet powiedziała, dlaczego ja miałabym panu o tym donosić. Pan by próbował zniszczyć ich szczęście.

Odeszłam od niego bardzo zdenerwowana. Ten człowiek nie przejmował się uczuciami innych. W pewnym momencie zaczynałam sądzić, że się mną interesuje – choć raczej umiarkowanie – ale teraz doszłam do wniosku, że było to związane jedynie z faktem, iż odwiedzałam Lucy i Florę Lane. Nadal był tym samym mężczyzną, który, nie przejmując się, że go usłyszę, zapytał: „Kim jest to niezbyt urodzive dziecko?”

Nie widziałam Racheli od powrotu Tamaryszki i pewnego dnia wybrałam się do domu „Pod Dzwonem”.

Tak jak się spodziewałam, znalazłam ją w sadzie przy strumyku. Robiła wrażenie tak przygnębionej, że aż się przeraziłam. Usiadłam koło niej i spytałam:

– Rachelo, co się stało?

– Słyszałaś, że Tamaryszka i Gaston się pobrali?

– Wszyscy o tym mówią.

– Freddie, ja po prostu nie mogę w to uwierzyć. Kiedy razem wyjechali...

Można się było spodziewać czegoś podobnego. – Nie odezwała się, a ja spytałam: – Rachelo, ty się w nim zakochałaś? – Objęłam ją ramieniem i poczułam, że drży. Mówiłam dalej jakby w nagłym olśnieniu: – A on ci dawał do zrozumienia, że on także... Skinęła głową.

– Nigdy nie wierzyłam w jego szczerość – powiedziałam. – Rozmawiał dość niepoważnie ze wszystkimi dziewczętami, a nawet z ciotką Zosią i panią St. Aubyn. Widać było, że wygłasza jakieś frazesy, które tak naprawdę nie miały żadnego znaczenia.

- Dla nas miały – odrzekła Rachel.
- Co przez to rozumiesz?
- Mówił, że mnie kocha, a przez cały czas chodziło mu wyłącznie o Tamaryszkę.
- Na balu najczęściej z nią tańczył, jedli razem kolację.
- Myślałam, że to dlatego, że...
- Nie zdawałaś sobie sprawy, że te wszystkie pochlebstwa i komplementy nic nie znaczą?
- To nie tak, Freddie, nie z nami. Rzecz była o wiele poważniejsza. A potem wyjechał i ożenił się z Tamaryszką.
- Biedna Rachel. Niczego nie zrozumiałaś. To nic nie znaczyło.
- Znaczyło! Znaczyło! Wiem na pewno.
- Wobec tego dlaczego... dlaczego ożenił się z Tamaryszką?
- Chyba dlatego, że ona jest, kim jest – bogatą dziewczyną, czyż nie? W każdym razie będzie, pochodzi przecież z rodziny St. Aubyn.
- Jeżeli tak się sprawy mają, to dobrze, że go się pozbyłaś. To nie Daniel, który kocha cię naprawdę, a nie ze względu na to, co mogłabyś mu wnieść w posagu.
- Freddie, mówisz jak stara ciotka. Nic nie rozumiesz.
- Rozumiem, że cię zwiódł, bo dał ci podstawę, abyś sądziła, iż jest w tobie zakochany, a wyjechał i poślubił Tamaryszkę.
- Tak – odrzekła z rozpaczą w głosie – tak właśnie się zachował.
- Wobec tego dobrze się stało, że się od niego uwolniłaś. To Tamaryszce należałoby współczuć.
- Dałabym wszystko, żeby się znaleźć na jej miejscu.
- Pomyśl rozsądnie, Daniel cię kocha, ty go lubisz. Będzie dobrym mężem, gdyż jest dobrym człowiekiem. Wiem, on nie tańczy tak dobrze, nie podróżuje po świecie i nie obraca się swobodnie w najwyższych sferach. Ale to się niewiele liczy. Chodzi o dobroć... wierność.
- Nie przemawiaj do mnie w ten sposób, Freddie. Zupełnie jakbym słyszała kazanie. Nie mogę tego słuchać.
- Niech ci będzie – odpowiedziałam. – Lecz ja jestem zadowolona, że on się z tobą nie ożenił. W dodatku uważam, że Tamaryszka popełniła wielki błąd. Tego samego zdania jest Kryspin St. Aubyn.

Siedziałyśmy jeszcze długo nad strumieniem w milczeniu.

Bardzo mnie zaniepokoił stan ducha Racheli.

Pani St. Aubyn ogromnie się ożywiła. Pogodziła się z potajemnym ślubem, lecz miała nadzieję, że teraz odbędzie się uroczysta ceremonia w kościele.

Zarówno Tamaryszka, jak i Gaston wyrazili na to zgodę, wobec czego rozpoczęto przygotowania.

Zdrowie pani St. Aubyn w cudowny sposób się poprawiło. Poprzednio zamierzała wydać jeszcze kilka balów, wprowadzających Tamaryszkę w świat, lecz córka uprzedziła wypadki i plany upadły.

Ślub w kościele nie mógł być wprawdzie taki, o jakim marzyła jej matka, gdyby miała na przygotowania więcej czasu, lecz przede wszystkim chodziło o to, aby odbył się jak najszybciej, gdyż mogły podnieść się głosy, że tamten, potajemny, nie jest ważny.

W kościele ogłoszono zawarcie małżeństwa. Ja byłam druhną, całą zaś ceremonię prowadził pastor Hetherington. Tamaryszka miała suknię z jedwabiu i koronek, tę samą, którą w dniu zaślubin nosiła jej matka. Pani St. Aubyn nie czuła się na siłach, aby uczestniczyć w uroczystości kościelnej, ale podejmowała gości na weselu.

Teraz już nikt nie żywił wątpliwości, że Tamaryszka i Gaston zostali w sposób właściwy zaślubieni.

Racheli nie było w kościele. Mówiono, że nie czuje się dobrze. My dwie pozostawałyśmy w o wiele bliższej zażyłości ze sobą niż z Tamaryszką i niepokoiłam się o nią. Ciągle wracał w mej pamięci jej obraz, gdy siedziała przy strumyku z wyrazem skrajnej rozpaczki w oczach. Ten widok prześladował mnie przez cały czas weselnego przyjęcia.

Wróciłyśmy z ciotką Zosią do domu, a ja nadal myślałam o Racheli. Ogarnęło mnie przecucie, że może wydarzyć się coś strasznego.

Zapadał już zmierzch i wiedziałam, że nie zaznam spokoju, dopóki jej nie zobaczę. Wyślizgnęłam się z domu i pobiegłam do mojej przyjaciółki.

Musiałam przejść koło stajni i gdy się tam zbliżyłam, serce zabiło mi z niepokoju. Drzwi, zwykle zamknięte, teraz były uchylone. Zatrzymałam się i zajrzałam przez szparę. Doznałam szoku. To miejsce napawało mnie przerażeniem. Wydawało mi się, że jeżeli otworzę drzwi szeroko i wejdę do środka, ujrzę wiszącego pana Doriana. Zobaczę te okropne oczy i poczuje na sobie oskarżycielskie spojrzenie. Jakby mówił do mnie: „To przez ciebie wszystko się stało”.

Co za głupota. Nie byłam niczemu winna, przecież Kryspin mi to jasno wytłumaczył. Nie powinnam tak myśleć.

Stałam niezdecydowana, gdy nagły podmuch wiatru poruszył drzwiami, które uchyliły się szerzej z lekkim skrzypieniem. Dlaczego ktoś teraz miałby otwierać te drzwi? Skąd się wziął u mnie impuls, żeby iść do domu „Pod Dzwonem”?

Miałam przeczucie, że Rachela jest w niebezpieczeństwie i potrzebuje mojej pomocy.

Uzbroiwszy się w odwagę, pchnęłam drzwi i weszłam do środka.

– Rachelo! – krzyknęłam.

Siedziała na podłodze ze sznurem w dłoniach.

– Co ty robisz? – zawołałam.

– Raczej co ty tu robisz? – odparła z wyraźną niechęcią.

– Musiałam się z tobą zobaczyć. Czułam, że mnie wołasz. I spostrzegłam uchylone drzwi stajni.

– Idź sobie.

– Nie, nie pójdę. Co robisz w tym strasznym miejscu? Spojrzała na sznur i nic nie odpowiedziała.

– Rachelo! – powtórzyłam.

– On to zrobił – powiedziała. – Uznał, że to jedyny sposób.

– O czym ty mówisz?

– Freddie, już mam tego dosyć. Nie mogę dalej żyć. To zbyt okropne.

– Co ty wygadujesz?

– Nie potrafię tego znieść. Nie zniosę tego, co mi się przydarzy.

– To jakieś głupstwa. Ludzie muszą żyć bez względu na to, co ich czeka. Chodzi o Tamaryszkę i Gastona, prawda? Uwierzyłaś mu, że wybrał ciebie. Według mnie szczęśliwie się stało, że z nim się nie związałaś. Pomyśl o tym.

– Nie wiesz, o czym mówisz.

– Nie wolno ci tak myśleć – ciągnęłam dalej. – To miejsce budzi przerażenie. Nie mogę wytrzymać tej atmosfery. Wyjdźmy stąd. Chodź ze mną. Pójdźmy do sadu i porozmawiajmy.

– Nie ma o czym rozmawiać. Nic już niczego nie zmieni.

– Może potrafimy coś wymyślić.

Potrząsnęła przecząco głową.

– Chodź, spróbujemy – nalegałam. – Ale nie tutaj. Nie mogę znieść tego miejsca. Chodź ze mną, wyjdźmy stąd.

Wyjęłam jej z rąk sznur i rzuciłam go do kąta. Podniosłam ją za ramiona z ziemi.

– Masz klucz od stajni? – spytałam.

Wyjęła go z kieszeni sukni i podała mi. Poprowadziłam ją do wyjścia. Rzuciłam za siebie ukradkowe spojrzenie na te krokwie, prawie oczekując, że go zobaczę, jak złośliwie łypie na mnie okiem. Zatrzasnęłam dokładnie drzwi i zamknęłam je na klucz, który wsunęłam do własnej kieszeni.

– A teraz – powiedziałam – pójdziemy do sadu i porozmawiamy.

Usiadłyśmy tam obie. Rachelę drżała, a ja usiłowałam nie myśleć o jej ciele, zwisającym bezwładnie na sznurze przywiązany do krokwi. Czy mogłaby to zrobić? Była w strasznym stanie psychicznym, tak przepełniona bólem, że nie chciała już dalej żyć. Zjawiłam się we właściwym momencie. Wiedziałam, że muszę do niej iść. Wiązał nas szczególny rodzaj przyjaźni, byłam wszak tą, która miała się nią opiekować.

– Opowiedz mi wszystko – powiedziałam stanowczo.

– Jest gorzej, niż myślisz. Uważasz, że ja po prostu zostałam oszukana.

– Obiecywał, że się z tobą ożeni?

– Niezupełnie...

– Dawał ci do zrozumienia, że cię poślubi? – spytałam.

Skinęła głową.

– Myślałam, że się pobierzemy. I dlatego... to wszystko wydawało się naturalne. Bo widzisz, Freddie, chodzi nie tylko o to, że Gaston się ożenił z Tamaryszką. Ja... ja będę miała dziecko.

Oniemiałam. Wpatrywałam się w strumień z przerażeniem. Nie śmiałam spojrzeć na Rachelę w obawie, że szok, jaki przeżyłam, będzie zbyt widoczny.

– Co... co masz zamiar zrobić? – wyjąkałam.

– Widziałaś, co zamierzałam zrobić. To chyba jedyne wyjście z sytuacji.

– O, nie. To nie jest żadne wyjście.

– A jakie jest?

– Kobiety miewają dzieci.

– Zakładając, że są zamężne. Wtedy to byłoby cudowne. Ale jeżeli się nie ma męża... to potworne. Jesteś zhańbiona na zawsze.

– Wcale nie. Czasami wszystko się dobrze kończy. Czy Tamaryszka wie?

– Oczywiście, że nie. Nikt nie wie poza mną... i teraz tobą.

– A on? Też nie wie? – Nie.

– On jest... nikczemnym człowiekiem.

– Nie trzeba tak mówić, to nie pomoże.

– Ale to prawda. Teraz zaś jest mężem Tamaryszki. Och, Rachelo, co możemy zrobić?

– Nie widzę żadnego wyjścia, Freddie. To dlatego...

– Nie wolno ci tego zrobić. Wtedy wszyscy by się dowiedzieli.

– Ale tym już bym się nie przejmowała, bo mnie by nie było.

– Musi być jakiś sposób.

– Jaki? Nie znam żadnego.

– Przypuśćmy, że mu powiesz.

– I co dobrego z tego wyniknie?

– Och, moja biedna, biedna Rachelo. Ale coś wymyślimy. Szkoda, że to nie jest dziecko Daniela.

– Daniela?!

– To taki dobry człowiek. Nigdy by się nie zachował tak jak Gaston Marchmont. Tak bez serca. Nie wiem, jak Gaston może się komuś podobać.

– Ma wiele uroku... jest inny niż wszyscy.

– Nie słuchałam jej, gdyż nagle wpadłam na pewien pomysł. Nie chciałam go wyjawić, póki dobrze wszystkiego nie przemyślę.

– Nie widzę dla siebie ratunku – powiedziała Rachelo. – Och, Freddie, nie potrafię stawić temu czoła. Już sobie wyobrażam tę wrzawę... taki skandal... wszyscy w Harper's Green o niczym innym by nie mówili.

– Chwilowo nie podejmuj żadnej decyzji i nikomu nic nie mów. Przrzekniesz mi to? Nie rób nic do spotkania ze mną jutro. Obiecujesz?

– Co zamierzasz?

– Może znajdzie się rozwiązanie.

– Co masz na myśli?

– Jeszcze nie wiem na pewno. Tylko przyrzeknij mi jedno, nie podejmiesz żadnych kroków, dopóki nie dostaniesz ode mnie wiadomości.

– Kiedy dostanę tę wiadomość?

– Niedługo.

– Jutro?

– Tak, jutro. To jest nasza tajemnica. Proszę, nie mów nic nikomu. Według mnie to może być wyjście.

– Nie zamierzasz spotkać się z Gastonem?

– Ależ skąd. Nie. Już w ogóle nigdy nie chcę go widzieć na oczy. Proszę, Rachelo, zaufaj mi.

– Naprawdę, Freddie, ja nie widzę...

– Posłuchaj, dlaczego właśnie w tym momencie weszłam do stajni? Dlatego że coś mi kazało. Wiedziałam, że powinnam, bo to bardzo ważne. Nas łączy jakaś szczególna więź. Mam pomysł, który może się udać. Proszę, zrób tak, jak mówię. Zaufaj mi, Rachelo.

Skinęła głową.

– Wobec tego do jutra.

Zostawiłam ją w sadzie. Biegając na farmę Grindle'ów, czułam w kieszeni klucz od stajni. Przez cały czas modliłam się: niech Daniel tam będzie. Boże, błagam, błagam, spraw, żeby tam był.

Moje prośby zostały wysłuchane. Kiedy dotarłam do ich domu, był pierwszą osobą, którą zobaczyłam.

– Och, Danielu! – zawołałam, z trudem łapiąc powietrze. – Tak się cieszę, że cię widzę. Muszę z tobą porozmawiać. To bardzo ważne.

– Moja droga Freddie... – zaczął.

– Chodzi o Rachelę – wyjaśniłam. – Bardzo, ale to bardzo się o nią martwię. Gdzie możemy porozmawiać?

Gdy o niej wspomniałam, wyraźnie się zaniepokoił.

– Chodź do mego warsztatu – powiedział. – O, to tutaj.

Poszłam za nim. W pomieszczeniu znajdowały się dwa stołki i stół stolarski, zarzucony narzędziami.

– No więc – zwrócił się ku mnie – o co chodzi?

– Ona chce odebrać sobie życie.

– Co takiego?

– Danielu, boję się, że to zrobi. Jest okropnie nieszczęśliwa. Wiem, że ją kochasz. Ja też. To moja najlepsza przyjaciółka. Nie mogę nawet znieść myśli, że mogłaby...

– Ale o co tu chodzi?

– O Gastona Marchmonta.

Zbladł i zobaczyłam, że zaciska pięści.

– Co on zrobił?

– Ożenił się z Tamaryszką.

– A Rachelą?

– Sądziła, że to ją poślubi.

– Mój Boże! – westchnął cicho.

– Tak, on jest kobieciarzem, uwodzicielem. Zalecał się do niej.

Zawahałam się. Zaczęłam znowu modlić się w duchu. Boże, proszę, spraw, żebym umiała to wszystko dobrze przedstawić. Muszę mu to wyjaśnić... ze względu na Rachelę. Spraw, żebym umiała to zrobić dobrze, i żeby Daniel zrozumiał. To jedyny sposób. Jeżeli on nie pomoże, Rachelą się zabije. Na nowo zebrałam w sobie siły.

– Ona... ona spodziewa się dziecka. Znalazłam ją w stajni, tam gdzie pan Dorian się powiesił. Coś mnie do niej zaprowadziło. Danielu, jesteśmy serdecznymi przyjaciółkami i dla Racheli zrobiłabym wszystko, co tylko możliwe. Myślę, że i ty mógłbyś tak samo.

Wpatrywał się we mnie z niedowierzaniem. On jest wstrząśnięty, pomyślałam, jest przerażony. Nie kocha jej tak, jak sądziłam.

– Danielu, ona nie potrafi stawić czoła tej sytuacji... sama.

– W stajni – wyszeptał. – Tam, gdzie ten staruch...

– Na pewno właśnie dlatego o tym pomyślała. Ona jest zdecydowana, Danielu. Gdybym tam nie weszła...

– Rachelą... – szepnął.

– Jest taka nieszczęśliwa. Och, jak ja nienawidzę tego łotra.

Wydawało mi się, że jego milczenie trwa bardzo długo. Przerwałam je.

– Gdyby tylko nigdy tu nie przyjechał... Myślałam, że ty ją dostatecznie mocno kochasz. Prosiłeś ją o rękę.

– Nie przyjęła mnie. Z jego powodu.

– Ludzie popełniają omyłki, Danielu. Jeżeli naprawdę ją kochałeś... Sądziłam, że tak, dlatego przyszedłam. Teraz żałuję. Uważałam, że jeżeli naprawdę wciąż kochasz Rachelę, to mógłbyś się z nią ożenić i wtedy wszystko dobrze by się skończyło dla niej i dziecka.

Posunęłam się za daleko. Już opuściło mnie poczucie, że mam w tej sprawie do odegrania ważną rolę, że zostałam do niej wybrana. Usiłowałam ułożyć innym życie. To była z mej strony arogancja, wścibstwo. Ale stawką w tej grze stało się życie Racheli.

Uświadomiłam sobie, że mówię do Daniela:

– Pewno uważasz, że nie powinnam się wtrącać, ale ona jest moją przyjaciółką. Bardzo mi na niej zależy. Po prostu nie mogę pozwolić, żeby odebrała sobie życie, jeżeli jest jakieś wyjście z sytuacji.

– Dobra z ciebie dziewczyna – odezwał się Daniel. – Słusznie postąpiłaś, że przyszałaś do mnie.

– Och, Danielu, naprawdę? Chcesz pomóc? Och, dziękuję, ogromnie ci dziękuję.

– Pójdę z nią porozmawiać – odrzekł.

– Trzeba się spieszyć. Bałam się zostawić ją samą. Danielu... pojedziesz teraz?

– Tak. Zaraz pojedę.

Posadził mnie przed sobą na koniu i ruszyliśmy do domu „Pod Dzwonem”.

Kiedy tam przybyliśmy, powiedział:

– Idź do domu, Freddie. Ja pójdę do Racheli. Wstąpię do ciebie w drodze powrotnej na farmę.

– Och, Danielu... dziękuję ci, dziękuję.

Wargi mi drżały. Nadal modliłam się w duchu, żeby zrobił to, czego od niego oczekiwałam. Popatrzył na mnie przez kilka sekund i zauważyłam, że był bardzo wzruszony. Potem lekko pocałował mnie w czoło i powtórzył:

– Jesteś dobrą dziewczyną.

Odszedł, a ja pobiegłam do domu i prosto do swego pokoju. Nie powiedziałam nikomu, co się wydarzyło, nawet cioci Zosi.

Miesiąc później Rachela i Daniel się pobrali. To był cichy ślub, jakby chodziło jedynie o to, żeby ich związek został ogłoszony w kościele. Zdawałam sobie sprawę, że z biegiem czasu ludzie zaczną kiwać głowami i szeptać na temat przyczyny owego pośpiechu.

Daniel był szczęśliwy, a ja bardzo zadowolona. Czułam się dumna, że wymyśliłam takie rozwiązanie i niewymownie wdzięczna, iż udało się je zrealizować. Byłam na tyle dojrzała i mądra, aby właściwie ocenić Daniela. I co za szczęście, że człowiek, który pomógł rozwiązać problem, znalazł się pod ręką. Byłam świadkiem rzadkiego zjawiska, przykładu nieegoistycznej miłości. Pomyślałam, że Racheli jednak się poszczęściło, skoro zdołała wzbudzić takie uczucie do siebie.

Usiłowałam podzielić się tymi myślami z Rachelą, która się ze mną całkowicie zgodziła. Powiedziała, że nigdy nie zapomni Danielowi tego, co dla niej zrobił, i to bez najmniejszej wymówki. Powzięła postanowienie, że będzie się mu za to odwdzięczać do końca życia.

A Tamaryszka? Jak miało się potoczyć jej życie?

Oboje nadal mieszkali w St. Aubyn's. Gaston okazywał szczególne względy pani St. Aubyn, która bardzo go polubiła.

Natomiast stosunki Kryspina ze szwagrem były chłodne. Kryspin, według mnie z natury raczej nieufny, być może zastanawiał się, dlaczego Marchmontowi tak zależało na szybkim ślubie.

Ciekawa byłam, jak by zareagował, gdyby się dowiedział, że dziecko, które ma urodzić Rachela, zostało spłodzone przez Gastona.

Przykre doświadczenie z Barrow Wood przed laty brutalnie uzmysłowiło mi istnienie ciemnych stron życia. Teraz moja wiedza w tym zakresie jeszcze się poszerzyła.

Rachela wyszła za mąż w niezwyklej okolicznościach, lecz co z Tamaryszką? Mogła być teraz zadowolona, ale jakie życie czekało ją u boku takiego człowieka jak Gaston?

Często wracałam myślą do nas, tamtych trzech dziewcząt z balu, marzących o towarzyskim debiucie i zalotach młodych ludzi, o małżeństwie i ostatecznym celu – szczęśliwym życiu po ślubie.

Jak często taki cel się osiąga? Rozmyślałam nad tym długo.

Na przykład Rachela ze swym nienarodzonym jeszcze dzieckiem. Nie będzie mogła wymazać z pamięci pewnych wspomnień. A Daniel, dobry Daniel, przy całym swym oddaniu, kiedy dziecko przyjdzie na świat, na pewno czasem pomyśli o Racheli i Gastonie jako o parze kochanków.

A Tamaryszką? Musi dzielić życie z człowiekiem, który przysięgając jej dożywotnią miłość, romansował jednocześnie z inną.

Zachowanie Kryspina wobec szwagra było przepełnione takim chłodem, że zaczynałam się zastanawiać, czy czegoś nie odkrył. Przyszło mi też na myśl, że Gaston wydaje się człowiekiem zdolnym do każdego oszustwa. Co z owymi wielkimi dobrami ziemskimi we Francji i w Szkocji? Czy rzeczywiście istniały? Czy nie pragnął zdobyć Tamaryszki dla jej majątku, zanim się okaże, że wcale nie jest tym, za kogo się podaje?

Wydawało mi się to wielce prawdopodobne.

Poszłam odwiedzić Tamaryszkę. Zmieniła się trochę i jakby utraciła coś ze swej naturalności. Dużo się śmiała i była, ogólnie biorąc, wesoła, jednak zastanawiałam się, czy nie jest to tylko poza. Utrzymywała stanowczo, że życie ma wspaniałe, lecz czy nie zapewniała mnie o tym z jakimś nadmiernym zapalem?

Spytałam ją, czy zamierzają z Gastonem mieszkać w St. Aubyn's.

– Och, nie – odpowiedziała. – Rozważamy tę sprawę. To nas tak bawi! Nie wiemy jeszcze dokładnie, gdzie będziemy chcieli zamieszkać. St. Aubyn's całkiem nam wystarcza, do czasu kiedy się na coś zdecydujemy.

– Nie wątpię, że wam wystarcza – odparłam. – Nie przeprowadzisz się za granicę, na przykład do tych dóbr we Francji?

– O, nie masz najnowszych wiadomości. Gaston je sprzedał. Być może kupimy inne.

– A te w Szkocji? – pytałam dalej.

– Są właśnie w trakcie sprzedaży. Chwilowo tu zostaniemy. Mama jest z tego powodu bardzo zadowolona. Uwielbia Gastona!

– A Kryspin?

– Och, znasz go przecież. Poza swym ukochanym St. Aubyn's niczego i nikogo nie darzy uwielbieniem.

Czy rzeczywiście czuła się taka szczęśliwa, czy usiłowała zamaskować jakiś cień niepewności?

Co do mojej przyszłości nic nie było wiadomo. Ciocia Zosia liczyła na kolejne bale w St. Aubyn's, na które będą zapraszani różni młodzi ludzie. Małżeństwo Tamaryszki położyło jednak kres tym nadziejom.

Kiedyś na ulicy dogoniła mnie panna Hetherington. Powiedziała, że nie wolno mi szczędzić wysiłków w działaniu dla dobra społeczności Harper's Green. Co oznaczało, że powinnam dołączyć do kółka krawieckiego, gdzie szły się ubrania dla ubogich, mieszkających w odległych zakątkach Afryki, że muszę pomagać w przygotowywaniu went dobroczynnych i różnych kościelnych uroczystości. Oczekiwała, iż włączę się

w organizowanie konkursów na najlepsze wypieki cukiernicze i będę uczęszczała na kursy układania kwiatów.

Ciocia Zosia początkowo śmiała się z jej propozycji, lecz potem sama zaczęła się nad nimi zastanawiać. Jednak to nie były zajęcia, o jakich dla mnie marzyła.

– Sama czuję, że powinnam coś zacząć robić – powiedziałam. – Najlepiej znaleźć jakąś posadę. Poza wszystkim jestem trochę dla ciebie ciężarem.

– Ciężarem! Nigdy nie słyszałam niczego głupszego.

– Nie może ci się powodzić tak dobrze, jak wówczas, zanim mnie do siebie przyjąłeś, więc muszę być pewnym obciążeniem.

– Nic podobnego. Jesteś skarbem.

– A ty jesteś bardzo kochana – odparłam. – Mimo to chciałabym zacząć jakoś działać. Najlepiej, gdybym mogła zarobić trochę pieniędzy. Tak wiele mi dałaś.

– Ja też wiele od ciebie dostałam, ale cię rozumiem. Nie chcesz wkładać energii w takie nieefektywne poczynania, nie chcesz stać się męczennicą, składającą z siebie ofiarę na rzecz naszej lokalnej społeczności, taką drugą Matyldą Hetherington.

– Zastanawiałam się nad tym, co mogłabym robić. Może przyjąłabym pracę guwernantki albo panny do towarzystwa.

Ciocia Zosia była najwyraźniej przerażona.

– Wiem, że niewiele jest zajęć, których młoda, dobrze wychowana panna mogłaby się podjąć, ale zupełnie ciebie nie widzę w roli guwernantki jakichś niesfornych dzieci czy panny do towarzystwa kłótlivej, starej damy.

– To mogłoby być nawet ciekawe jako tymczasowa praca. Nie jestem jak inne dziewczęta w przymusowej sytuacji. Gdyby mi się takie zajęcie nie podobało, mogłabym z niego zrezygnować. Przecież mam trochę własnych pieniędzy.

– Wybij sobie te posady z głowy. Za bardzo bym za tobą tęskniła. Jakoś się to rozwiąże.

Tymczasem Rachel na dniach miała rodzić. Wybrałam się do niej z wizytą.

– Trudno byłoby nie cieszyć się z narodzin dziecka – powiedziała. – Bardzo je kocham, Freddie. To dziwne, jeśli się pomyśli...

– Wcale nie dziwne, tylko zupełnie naturalne. To twoje dziecko, a jak się urodzi, będzie też Daniela. Tylko my troje znamy prawdę i nikomu nic nie powiemy.

– To sekret – rzekła cicho – który nigdy nie będzie wyjawiony.

Moje myśli niezwłocznie podążyły do dzieciennego pokoju u siostr Lane i do siedmiu srok na obrazku.

– Jak w tym starym wierszyku – zauważyłam.

– Właśnie – odpowiedziała Rachel. – Zawsze się zastanawiałam, o jaki sekret chodziło. Jak sądzisz, co autor miał na myśli?

– Chyba każdy sekret.

Pokiwała głową w zamyśleniu.

To mi przypomniało, że powinnam odwiedzić Florę. Biedaczka. Dla niej upływ czasu nie miał znaczenia, stale żyła w przeszłości.

– Usiłuję to wszystko traktować jako zamkniętą kartę mego życia – mówiła dalej Rachel. – Jaka byłam głupia, że mu wierzyłam. Teraz jasno to widzę. Sądzę, że on ożenił się z Tamaryszką dla pieniędzy.

– Biedna Tamaryszką – stwierdziłam.

– Też tak uważam.

– A ty, Rachelo, masz kogoś, kto cię prawdziwie kocha.

Skinęła głową. Wiedziałam, że jej szczęście nie było zupełne, ale odbyła długą drogę, od chwili gdy jako bezradną dziewczynę znalazłam ją w stajni ze sznurem w rękach.

Wkrótce potem znowu odwiedziłam Tamaryszkę.

– A co ty, Freddie, porabiasz? – zapytała.

– Właśnie zrezygnowałam z udziału w pracach kółka krawieckiego.

Skrzywiła się tylko.

– O, to musiało być ekscytujące – zauważyła ironicznym tonem. – Biedaczka. Musiałas mieć niezłą przeprawę z Matyldą Hetherington.

– Jest prawdziwym tyranem, gdy chodzi o pracę.

– Jak długo dasz jej sobą rządzić?

– Niedługo. Zastanawiam się nad znalezieniem sobie posady.

– Jakiej posady?

– Jeszcze nie zdecydowałam. Czym zajmują się młode panny, dobrze wykształcone, natomiast prawie bez pieniędzy? Nie wiesz? No to ci powiem. Zostają guwernantkami albo pannami do towarzystwa. To bardzo upokarzająca pozycja, ale niestety, tylko na to można liczyć.

– Och, przestań! – zawołała Tamaryszka. – O, patrz, idzie Kryspin!

Wszedł do pokoju i zwrócił się do mnie:

– Dzień dobry. Widziałem panią i domyśliłem się, że chce pani odwiedzić Tamaryszkę.

– Właśnie mi mówi, że myśli o przyjęciu posady guwernantki albo panny do towarzystwa.

– Aby doglądać cudzych dzieci albo posługiwać jakiejś staruszce?

– Uczenie dzieci może przynieść pożytek.

– Być może dzieciom, które na tym skorzystają, ale pani? Kiedy guwernantka staje się niepotrzebna, to się ją zwalnia.

– Taka zasada ma zastosowanie do każdego rodzaju zatrudnienia, czyż nie?

– Okres przydatności guwernantki jest z natury rzeczy ograniczony. Nie polecałbym wyboru takiej kariery.

– Wybór mam raczej niewielki. Wydaje się, że są jedynie dwie możliwości: guwernantka lub panna do towarzystwa.

– Ta druga praca byłaby jeszcze gorsza od pierwszej. Ludzie, którzy potrzebują kogoś do towarzystwa, są najczęściej kłótlivi i nadmiernie wymagający.

– Ale można spotkać także miłe osoby.

– Gdybym ja był młodą kobietą, szukającą pracy, takiej bym nie wybrał.

– Ale nie jest pan młodą kobietą.

Tamaryszka wybuchnęła śmiechem, on zaś wzruszył ramionami i zaczęliśmy rozmawiać o innych sprawach.

Wkrótce nas opuścił, a ja wróciłam do domu. Usiadłam przy oknie i zapatrzyłam się w Barrow Wood.

Kiedy zesłam do saloniku, ciocia Zosia piła herbatę. Wróciłam właśnie z kościoła, gdzie pomagałam w pracy nad kompozycjami z kwiatów, ozdabiającymi wnętrza. Robiłam to pod nadzorem Mildred Clavier, której przodkowie po stronie męskiej pochodzili z Francji, więc uważano ją za wyrocznień dobrego gustu.

Byłam zmęczona, nie z powodu fizycznego wyczerpania, lecz ze względu na poczucie znikomego znaczenia mego zajęcia. Znowu rozmyślałam, już któryś raz z rzędu, dokąd mnie to zaprowadzi.

Zdziwiłam się, widząc, że ciocia ma gościa i jest nim Kryspin.

– Oto i Fryderyka – powiedziała. Była wyraźnie w dobrym humorze. – Pan St. Aubyn przyszedł do mnie na rozmowę. Ma pewien pomysł.

– Przepraszam, że przeszkodziłam. Nie wiedziałam, że masz gościa.

– Ta sprawa dotyczy ciebie – wyjaśniła. – Chodź i siadaj z nami. Na pewno masz ochotę na filiżankę herbaty.

Nalała mi ją i podała, po czym z uśmiechem spojrzała na Kryspina.

– Pomyślałam, że może panią zainteresuje pomysł, który przyszedł mi do głowy – oznajmił. – Pewnie słyszała pani o Merretach. On był jednym z dwóch zastępców zarządcy naszego majątku, a pani Merret bardzo pomagała mu w pracy. W końcu przyszłego tygodnia wyjeżdżają do Australii. Brat Merreta ma tam farmę i od dawna namawiał go, żeby razem na niej pracowali. W końcu się zdecydował.

– Coś o nich słyszałam – odrzekłam.

– Porządny chłop, ten Merret. Ktoś przejmuje po nim obowiązki i nie to jest ważne. Chodzi o panią Merret. Bardzo czynnie włączała się do pracy męża, a tym samym i dla nas stanowiła nieocenioną pomoc.

– Żony często pełnią taką funkcję – zauważyła ciocia Zosia – tylko rzadko podkreśla się” ich rolę, chyba dopiero wtedy, gdy ich zabraknie.

Uśmiechnął się dość kwaśno.

– Cóż, można tak powiedzieć. Merret był świetnym pracownikiem, ale pani Merret miała swoje sposoby. Można to nazwać kobiecą intuicją i delikatnością, za to on potrafił być czasami gburowaty. Był człowiekiem małomównym, a jeżeli już coś mówił, to prosto z mostu. Pani Merret wiedziała natomiast, jak postępować z ludźmi. Zdawała sobie też sprawę z tego, jak należy utrzymywać w odpowiednim stanie te stare domki... jeszcze elżbietańskie, stojące na obrzeżach naszych terenów. Pilnowała, żeby nie zatraciły swego charakteru, podczas gdy Merret po prostu zrobiłby tańszym kosztem coś, co nie byłoby dobre dla zachowania ich właściwego stylu. To dzięki jego żonie dzierżawcy czuli się dumni ze swych siedzib. Rozumie pani, o co mi chodzi?

Ciocia Zosia siedziała wyprostowana na krześle z życzliwym wyrazem twarzy, a ja zastanawiałam się, do czego to wszystko prowadzi.

– Rzecz w tym – mówił dalej Kryspin – że kiedy usłyszałam, iż rozważa pani przyjęcie posady guwernantki lub osoby do towarzystwa, pomyślałam, że to byłoby dla pani odpowiedniejsze.

– Odpowiedniejsze? Nie bardzo rozumiem.

– Pomyślałem, że może mogłaby pani przejąć obowiązki pani Merret. To wymagałoby pewnej wiedzy o tutejszych domostwach, ale też, co ważniejsze, o mieszkających w nich ludziach. Trzeba z nimi postępować z wyczuciem. Jakub Perrin zastąpi Merreta, a pani pracowałaby razem z nim. Co pani o tym myśli?

– Jestem po prostu zaskoczona. Nie bardzo wiem, czego by ode mnie oczekiwano, i czy umiałabym temu sprostać.

– Słuchaj, kochanie – odezwała się ciocia Zosia – zawsze interesowałaś się starymi budowlami i dobrze układałaś sobie stosunki z ludźmi.

– Proszę spróbować – zaproponował Kryspin. – Gdyby pani to nie odpowiadało, może pani po prostu zrezygnować. Sprawę wynagrodzenia omówiłaby pani z Tomem Massonem, który zajmuje się takimi rzeczami. Dlaczego nie podjąć próby wykorzystania nadarzającej się sposobności? Według mnie powinno się to pani bardziej podobać niż nieznośne dzieci lub zrzędlive, starsze damy.

– Chyba powinnam się czegoś więcej o tym wszystkim dowiedzieć – zauważyłam. – Nie jestem pewna, czy mam właściwe kwalifikacje.

– To się wkrótce okaże. Według mnie ta praca mogłaby być dla pani naprawdę ciekawa. Niektóre budynki w naszym majątku pochodzą z bardzo dawnych czasów. Chcemy, żeby ich mieszkańcom żyło się w nich wygodnie, ale też by obiekty te nie zatraciły swego dawnego charakteru. Teraz ludzie zaczynają doceniać wartość takich starych domów. Są solidnie zbudowane, bo wtedy wiedziano, jak budować. Dotrwały do naszych czasów.

– Nie bardzo mogę sobie wyobrazić, co właściwie miałabym robić.

– To proste. Najpierw poznałaby pani ludzi. Jako osoba oficjalnie upoważniona objeżdżałaby pani gospodarstwa i rozmawiała z mieszkańcami. Trzeba ich wysłuchiwać ze zrozumieniem, a my musimy utrzymywać te domy w dobrym stanie. Ludzie proszą o różne rzeczy. Będzie im pani wyjaśniać, dlaczego tego czy owego nie można zrobić. Przekona się pani, na czym to polega. W każdym razie dopóki pani nie spróbuje, nie będziemy wiedzieli, czy pani to odpowiada, prawda?

– Moim zdaniem to bardzo interesująca propozycja – stwierdziła ciocia Zosia.

– Kiedy miałabym zacząć?

– Im szybciej, tym lepiej. A może spotka się pani z Tomem Massonem i Jakubem Perrinem? Wprowadzą panią we wszelkie szczegóły.

– Dziękuję panu – powiedziałam. – Miło, że pan o mnie pomyślał.

– To oczywiście, że pomyślałem o pani – odrzekł. – Potrzebny jest ktoś na miejsce pani Merret.

Kiedy wyszedł, siedzieliśmy przez chwilę w milczeniu, aż odgłos końskich kopyt ucichł na drodze, po czym ciocia Zosia się roześmiała.

– No i co ty na to? – spytała.

– Aż trudno mi uwierzyć.

– Wydaje się, że to będzie właściwie synekura.

– Zadziwiające. Skąd ja mam coś wiedzieć na temat budynków?

– A dlaczego nie miałabyś się tego nauczyć? Nazwałabym go dość tajemniczym człowiekiem.

– Co przez to rozumiesz?

– Nie można powiedzieć, do czego zmierza. Mnie się wydaje, że w większości wypadków za jego poczynaniami kryje się coś jeszcze.

– A co za tym się kryje?

Spojrzała na mnie chytrze.

– Moim zdaniem on się tobą interesuje. Nie spodobała mu się perspektywa, że wyjedziesz stąd gdzieś daleko. Wpadł na ten pomysł, kiedy usłyszał, że rozmyślasz nad szukaniem posady guwernantki.

– Uważasz, że pan St. Aubyn wymyślił to zajęcie, żeby mnie tu zatrzymać? Trochę zbyt fantastyczny pomysł, nawet jak na ciebie, ciociu.

– Na pewno ma swoje powody. Niewątpliwie uważa, że musi mieć cię na oku. Chyba to wiąże się z przeszłością...

– Masz na myśli Barrow Wood?

– Nikt z nas nie zapomniałby czegoś takiego, więc i Kryspin także. Powiedzmy sobie wyraźnie, że interesuje się tobą szczególnie ze względu na to, co się wówczas stało, i według niego nie byłoby dla ciebie dobrze, gdybyś chciała realizować taki ekstrawagancki pomysł.

– Ekstrawagancki pomysł? Posada guwernantki?

– On tak uważa, a pamiętaj, że cię uratował. Często po takim wypadku wybawcy nadal bardzo się interesują tymi, których uratowali.

– Trudno sobie wyobrazić, aby Kryspin bardzo interesował się czymkolwiek poza sprawami swych dóbr.

– On właśnie ma na uwadze te dobra. Te jego drogocenne, elżbietańskie domy i nie tylko.

Zapadło na chwilę milczenie.

- Muszę przyznać, że ta propozycja mnie zaintrygowała – odezwałam się w końcu.
- Mnie także – przytaknęła ciocia Zosia.

Następnego dnia udałam się do biura zarządcy majątku St. Aubyn's, żeby zobaczyć się z Tomem Massonem. Był wysokim mężczyzną w średnim wieku, robił wrażenie energicznego człowieka.

– Pan St. Aubyn uprzedził mnie, że pani przyjdzie – powiedział. – Cenił panią Merret za to, że tak pomagała mężowi w pracy. Będzie nam jej bardzo brakowało. Pani byłaby pomocnicą Jakuba Perrina. Pani Merret niedługo tu się zjawi. Czy zechciałaby pani z nią porozmawiać o swych obowiązkach?

– Tak byłoby najlepiej – odrzekłam – bo w tej chwili nie bardzo się orientuję, jakie są wobec mnie oczekiwania.

– Sądzę, że swych zadań nie uzna pani za zbyt uciążliwe. W związku z działalnością pani Merret wszystkie sprawy toczyły się tu gładko. Zwróci się pani bezpośrednio do niej, a tymczasem ustalimy inne szczegóły.

Przedstawił mi zasady zarządzania majątkiem. Nie miałabym stałych godzin pracy – ktoś mógłby chcieć zobaczyć się ze mną o dowolnej porze dnia, a poza tym musiałabym być zawsze gotowa na wypadek jakichś niespodziewanych zdarzeń. Miałabym do swej dyspozycji konia, a w razie potrzeby kucyka i dwukólkę. Potem rozmawialiśmy o moim wynagrodzeniu, a na koniec pan Masson spytał mnie, czy mam jeszcze jakieś pytania. Nie miałam. Wiele okaże się dopiero w praktyce.

Do biura przyszła pani Merret.

– O, dzień dobry, panno Hammond – przywitała mnie. – Słyszałam, że ma pani przejąć moje' obowiązki.

– Tak i bardzo chciałabym się dowiedzieć czegoś więcej o mej pracy. W tej chwili nie jestem zbyt dobrze zorientowana.

Miała ogromnie sympatyczną twarz i ujmujący sposób bycia. Tymi cechami niewątpliwie zyskiwała sobie ludzi.

– Może zacznę od podstaw – powiedziała. – Na początku mej współpracy z mężem okazało się, że nie wszystkie sprawy z dzierżawcami układają się dobrze. Musiałam wniknąć w nie dokładniej. Tu, w majątku, znajduje się wiele zabytkowych domów i musimy mieć pewność, że są właściwie utrzymywane. Chyba niektórzy mieszkańcy uważają, że to ich przejściowe siedziby tylko na czas trwania pracy, więc zbyt mało się nimi nie przejmują. Będzie musiała pani sprawdzać, czy ludzie zgłaszają, gdy coś wymaga naprawy, żeby stan domostw się nie pogarszał. Będzie pani oczywiście przyjmowała skargi – uzasadnione i całkiem bezzasadne. Naturalnie trzeba umieć je rozróżniać. Należy poznać tych ludzi... są tacy, którzy mają istotne powody do skarg i tacy, którzy po prostu lubią narzekać. Zawsze się starałam, żeby ostatecznie czuli się zadowoleni. Tak działałam, aby byli dumni ze swych siedzib, to

bardzo istotne. Do moich zadań należało sprawdzanie, czy ci ludzie są dobrze zaopatrzeni na zimę. Kiedyś widziałam u jednej z rodzin kredens kuchenny, załadowany kocami, które gromadzili rok po roku, na wypadek gdyby miało im zabraknąć węgla na opał. Ludzie mają swoją dumę, przynajmniej część z nich. Oczywiście są tacy, co mają naturę żebraków. Trzeba pomagać tym, którzy są tego warci, a zarazem zbyt dumni, żeby prosić. Czy teraz lepiej rozumie pani te problemy?

– O, tak, znacznie.

– Nauczy się pani z czasem wszystkiego. Naszym celem jest zapewnienie ludziom szczęśliwszej egzystencji. To najlepszy sposób na sprawne działanie w każdej dziedzinie. Dam pani mój notes z zapiskami o tutejszych mieszkańcach.

– Dziękuję.

– Nie ma obaw, będzie miała pani sporo roboty, już pan Perrin się o to postara. Dla mnie wynajdywał pracę mój mąż. Naprawdę potrzebował mojej pomocy, a jestem pewna, że i pani będzie stale zajęta.

– Z tego, co pani mówi, wnoszę, że to dość niezwykły rodzaj działalności.

– Jak dla kobiety, to pani ma na myśli? Niektórzy mężczyźni uważają, że się do tego nie nadajemy. Pan St. Aubyn do nich nie należy. Mówił, że rozumiem ludzi i to się wiąże właśnie z kobiecym instynktem. Pani też się uda, jestem tego pewna.

Wręczyła mi notes. Przejrzałam go i zobaczyłam, że jest tam notatka na temat „Domku Wśród Morw”, gdzie mieszkała Flora.

– Jest wzmianka o domu panien Lane.

– Biedna Flora. Nie miałam z nimi wiele do czynienia, bo pan St. Aubyn sam się nimi opiekuje. Tak postanowił.

– Wiem, że bardzo się o nie troszczy.

– Panna Lucy była kiedyś jego niańką, a jeszcze przedtem Flora. To ogromnie smutna sprawa.

– Musi je pani znać od dawna.

– Odkąd po zamążpójściu tu się sprowadziłam.

– I Flora zawsze była w takim stanie?

– Tak. To się stało, kiedy pan St. Aubyn był jeszcze niemowlęciem.

– Często się zastanawiam, czy nie można by czegoś zrobić dla panny Flory.

– A co pani zdaniem można by zrobić?

– Może jakoś dałoby się ją przekonać, że ta lalka, której strzeże jak skarbu, nie jest dzieckiem, tylko właśnie lalką.

– Nie wiem. Niewątpliwie zrobiłaby to jej siostra, gdyby uważała, że to pomoże. Bardzo dobrze się nią opiekuje.

Spytałam panią Merret, co myśli o swoim wyjeździe za granicę.

– Jadę tam z mieszanymi uczuciami. Mój mąż jest pełen entuzjazmu. Uważa, że tam są wielkie możliwości. Jego brat wyemigrował i teraz bardzo dobrze mu się powodzi. Ziemia jest tania i jak się ciężko pracuje, można do czegoś dojść.

– To wielkie wyzwanie, prawda?

Potwierdziła.

Potem zjawił się pan Perrin i przeprowadziłam z nim długą rozmowę.

Był to młody człowiek, uznałam, że ma chyba nie więcej niż dwadzieścia pięć lat. Uśmiechał się przyjaźnie i beztrąsko i od razu wiedziałam, że w naszej współpracy nie powinny wystąpić żadne zgrzyty.

– Mogłaby też pani pomagać w rachunkowości. Nie znajdzie pani wprawdzie tego zbyt wiele, ale od czasu do czasu z jakimiś rachunkami mamy do czynienia, a to nie jest moja mocna strona. No i trzeba pisać listy. Merret twierdzi, że będzie mnóstwo roboty i każda pomoc się przyda.

– Obawiam się, że brak mi doświadczenia.

– No, razem jakoś damy sobie radę, jestem pewny.

Wróciłam do domu, gdzie ciocia Zosia z niecierpliwością oczekiwała na wynik owych rozmów. Powiedziałam jej, że to całkiem konkretna praca, a pomysł, jakoby Kryspin chciał mnie tu zatrzymać, to kolejny wybryk jej fantazji.

– Nie chodzi tu o żadną synekurę – stwierdziłam stanowczo. – Wygląda na to, że będę bardzo zajęta.

– Mogę się tylko cieszyć – odrzekła. – Przede wszystkim nie chciałam, żebyś wyjeżdżała. A poza tym nie sądzę, aby odpowiadała ci rola guwernantki.

Daniela

Tak więc zaczęłam pracować w majątku St. Aubyn's. W pierwszym miesiącu Jakub Perrin bardzo mi pomagał. Dał mi do przeczytania różne dokumenty i księgi rachunkowe do przejrzania. Musiałam napisać pod jego kierunkiem parę listów. Pokazał mi mapę dóbr, które okazały się większe, niż sądziłam.

– A może przejechałabyś się do kilku domów? – zasugerował. – Wiesz, tych z epoki Tudorów, które stoją w rzędzie na skraju majątku. Możesz powiedzieć, że przejęłaś obowiązki pani Merret. Oni wszyscy ogromnie ją lubili. Była pełna współczucia dla ludzi, a widzę, że i ty masz tę cechę. Na pewno właśnie dlatego pan St. Aubyn wybrał ciebie do tej pracy. Coś ci powiem: pojedę z tobą i przedstawię cię wszystkim.

Uznałam, że to znakomity pomysł.

– Jakiego rodzaju konie lubisz? – zapytał, gdy zmierzaliśmy w stronę stajni.

– Niezbyt rączę. Od czasu przybycia do Harper's Green tylko raz jeździłam konno, a mieszkam tu już pięć lat.

– Rozumiem, znajdziemy ci spokojnego wierzchowca. Szybko się do ciebie przyzwyczai. Porozmawiam ze stajennymi, możesz im zaufać, będą wiedzieli, który najlepiej się nada.

Tak się też stało i wkrótce już oboje objeżdżaliśmy konno posiadłość St. Aubyn's. Jakub pokazał mi kilka miejsc, o których powinnam wiedzieć.

– Włożono w te obiekty wiele pracy – powiedział. – Dawno tu nie byłem, ale widać, że pan St. Aubyn sam się nimi dobrze zajmował w odróżnieniu od swego ojca, który nie przejmował się takimi sprawami.

– Słyszałam o tym.

– Dobrze się stało, że pod tym względem nie jest podobny do ojca. Większość domów w majątku stanowi własność St. Aubynów. Ale ojciec pana Kryspina sprzedał kilka farm, na przykład Grindle'om, którzy wykupili swoją. Arenie Grindle również bardzo dobrze ją utrzymuje.

– Ostatnio ożenił się z ciotką mej przyjaciółki – zauważyłam.

– Tak. Teraz mieszka w domu „Pod Dzwonem”, ale jego synowie także dobrze sobie radzą. Zbliżamy się już do elżbietańskich domków, którymi zajmiemy się na początek.

Domy wyglądały pięknie w promieniach porannego słońca – zbudowano je ze starej czerwonej cegły, z witrażowymi oknami w romby i wystającymi szczytami dachów.

Domyślałam się, że wnętrza mają dość mroczne. Domów było sześć, każdy otoczony niewielkim terenem. Widziałam je wiele razy. Mówiło się o nich Starodawne Domy.

– Są przepiękne – zauważyłam.

– W tamtych czasach wiedziano, jak budować. Pomyśl tylko, jak dobrze trzymają się mimo upływu czasu. Są cudowne. Oczywiście niektórzy narzekają, że jest w nich za ciemno.

– W każdym razie absolutnie nie ma mowy o zmianie tych okien.

– To byłaby zbrodnia, zgodzisz się?

– Oczywiście. Na pewno przyjemnie jest mieć w domu dużo światła, lecz w takich miejscach pewna niewygoda musi ustąpić przed pięknem.

Zaraz poznasz mieszkańców. Panu St. Aubyn zależy na tym, żeby byli zadowoleni. Twierdzi, że wtedy chce im się dobrze pracować. Wielu z nich uprawia wydzierżawione farmy, a w większości wypadków wiąże się to z mieszkaniem... z wyjątkiem starych, wiernych służących, którzy mają zapewniony dach nad głową do śmierci. Najpierw odwiedzimy panią Penn, którą na pewno zastaniemy. Jej mąż pracuje w majątku, a ona jest przykuta do łóżka, wcale nie wychodzi z domu i tylko czeka, żeby ją ktoś odwiedził. Drzwi za dnia są zamykane jedynie na haczyk, jej synowa wpada zwykle około południa z ciepłym posiłkiem. Starowina trochę utyskuje, lecz każdy robiłby to na jej miejscu.

Odczepił haczyk, otworzył drzwi i zawołał:

– Pani Penn, przyszedł Jakub Perrin z panną Hammond. Możemy wejść?

– Chyba już weszliście – odezwał się dość piskliwy głos. Jakub uśmiechnął się szeroko.

– Czekamy na zaproszenie.

– Wejdźcie – zawołała – i zamknijcie drzwi!

Łóżko stało blisko okna, więc chora mogła przez nie wyglądać. Była stara i pomarszczona, a zupełnie siwe włosy miała zaplecione w dwa warkocze. Siedziała podparta poduszkami.

– Więc pani Merret wyjeżdża do Australii – powiedziała. – Barbarzyński ląd. Nazywało się go zawsze Botany Bay. Wysyłali tam skazańców.

– Tak było kiedyś, pani Penn – zauważył pogodnie Jakub Perrin. – Teraz jest tam całkiem inaczej. To kraj wysoce cywilizowany, a przecież i my swego czasu mieszkaliśmy w jaskiniach... niewiele nas różniło od małp.

– Idź ty ze swą mądrością – fuknęła i przeniosła wzrok na mnie. – Lubiłam panią Merret – dodała. – Potrafiła słuchać tego, co ma się do powiedzenia.

– Obiecuję, że również będę słuchała – przyrzekłam.

– Szkoda, że wyjeżdża.

– Obecnie zajmę jej miejsce. Teraz ja będę panią odwiedzać.

Jakub przyniósł dwa krzesła z głębi pokoju i oboje usiedliśmy.

– No a teraz niech się pani wyżali przed panną Hammond.

– Proszę powiedzieć tej pani Potter, że nie lubię placków posypanych makiem. Moje ulubione to przekładance z dżemem... tylko żeby dżem był bez pesteczek, bo wchodzi między zęby.

Zapisałam tę informację w notatniku, który wzięłam ze sobą specjalnie w tym celu.

– A co tu słyhać w okolicy, pani Penn? – spytał Jakub i zwrócił się do mnie: – Pani Penn jest kopalnią wiedzy. Ludzie przychodzą i rozmawiają z nią, prawda, pani Penn?

– Tak jest. Lubię wiedzieć, co się dzieje. Zeszłej soboty wynikł pewien kłopot. Ta Celia...

– O, Celia? – Jakub ponownie zwrócił się do mnie z wyjaśnieniem. – To Celia Gentry, z ostatniego domu, to znaczy z końca rzędu, po prawej. Pani Gentry zmarła przed dziewięcioma miesiącami mniej więcej i Harry Gentry nadal nie może przyjść do siebie.

– Bardzo martwi się o Celię – dodała pani Penn. – I powiadam wam, że ma po temu powód. Ta dziewczyna jest trochę narwana, a nie ma jeszcze piętnastu lat. Według mnie będzie miał z nią nie lada kłopot pewnego dnia... i to raczej niezadługo.

– Biedny Harry Gentry – rzekł Jakub. – Jest jednym ze stajennych. Kwatery dla nich przeznaczone są zajęte i dlatego mieszka w jednym z tych domów. Wstąpimy tam, ale wątpię, czy go zastaniemy. No cóż, pani Penn, poznała pani naszą młodą damę.

– Ona jest trochę za młoda – oświadczyła pani Penn, jakby nie było mnie w pokoju.

– Jej młodość nie będzie miała wpływu na właściwe wykonywanie obowiązków, pani Penn.

Staruszka coś zamruczała, po czym powiedziała:

– No to dobrze. Pamiętaj, moja droga, że niedługo będą moje urodziny i jak zwykle ze dworu przyślą mi placek. Powtórz im, żadnego maku. Przekładaniec z dżemem, a dżem bez pesteczek.

– Powiem – obiecałam.

Otworzyły się drzwi i do domu weszła jakaś kobieta.

– Jak się pani miewa, pani Grace? – spytał Jakub.

– Dziękuję, dobrze, sir. Nie chciałabym przeszkadzać.

– Wszystko w porządku. Właśnie wychodzimy, mamy jeszcze sporo pracy.

Podeszła do mnie i została mi przedstawiona.

– Pani jest żoną głównego ogrodnika i synową pani Penn.

– A pani jest siostrzenicą panny Cardingham. Pamiętam, jak pani tu przyjechała.

– Nie miałam wtedy jeszcze skończonych trzynastu lat.

– Teraz jest pani jedną z nas.

– Właśnie tak się czuję.

– Musimy już iść – powiedział Jakub, więc uścisnęłam rękę pani Grace i wyszliśmy.

– Biedna staruszka – zauważyłam. – To musi być okropne zostać przykutym do łóżka.

– Jej synowa się nią opiekuje i chyba robi to z przyjemnością. A oto dom Wilburów. Dick wykonuje usługi stolarskie, a Maria pracuje w kuchni, więc pewnie nie będzie ich w domu. Zapukamy i wszystko się okaże.

Miał rację. Nie było ich.

– A to dom starego Jana Grega. Przypuszczam, że znajdziemy go w ogrodzie. Pracował w dworskich ogrodach jeszcze parę lat temu. Teraz cały czas spędza we własnym ogródku.

Był tam rzeczywiście. Pokazał nam swe róże i warzywa nagrodzone na konkursach. Obdarował nas oboje kapustą, a mnie powiedział, że stary dąb rosnący w ogrodzie zacienia uprawiane przez niego zioła. Chciałby go przyciąć, ale trzeba by wejść na drabinę, a jemu nie pozwala na to reumatyzm.

Zapisałam wszystko i obiecałam, że poproszę któregoś z ogrodników, żeby się tym zajął.

I tak szliśmy dalej.

Najbardziej zapamiętałam jedną wizytę, u Celi Gentry. Jej ojciec był w pracy, więc została sama w domu. Celia okazała się bardzo ładną dziewczyną, o ciemnych, kręconych włosach i rzucających figlarne błyski oczach. Robiła wrażenie osóбки, która marzy o jakiejś przygodzie.

– Mam nadzieję, że znajdę jej pracę we dworze – powiedział Jakub. – Jej matka tam pracowała, kiedy potrzebowali fachowej pomocy. Podobno najlepiej robiła pasztety.

Celia wpuściła nas do środka i wyjaśniła, że ojciec jest w pracy. Zauważyłam, iż bardzo dokładnie mi się przyjrzała. Powiedziała, że rzuciła szkołę i prowadzi ojcu dom, lecz nie zamierza tego robić do końca życia.

Gdy wyszliśmy, Jakub rzekł:

– Rozumiesz teraz, jak Harry Gentry musi jej pilnować.

Przyznałam mu rację.

Kiedy oddaliliśmy się nieco, spytałam:

– A co z domem panien Lane?

– W tym przypadku to nie nasza sprawa. Wiesz, co jest z Florą?

– O tak. Często u niej bywam. Może byśmy do mej wstąpili?

– Czemu nie.

– Jeżeli nawet nie zastaniemy Lucy, to Flora będzie na pewno.

– Pan St. Aubyn sam się nimi opiekuje. Ma po temu szczególny powód, gdyż – jak pewno wiesz – obie go niańczyły, gdy był maleńki.

– Tak, wiem.

Weszliśmy od strony ogrodu, Flora właśnie tam siedziała. Widząc nas razem, jakby się trochę zaniepokoiła.

– Dzisiaj przyszedłam prawie oficjalnie – Z jej miny wywnioskowałam, że mnie nie zrozumiała.

W tej samej chwili z domu wyszła Lucy.

– Słyszałam, że ma pani pracę – powiedziała. – Nami nie musi się pani zajmować.

– Wiem, że pan St. Aubyn bardzo się o panie troszczy – odezwał się Jakub.

– Chciałam tylko zawiadomić, że przejęłam obowiązki pani Merret – wyjaśniłam.

– To miło z pani strony – stwierdziła Lucy. – Ona zawsze była ogromnie sympatyczna... pozbawiona wścibstwa... jeżeli pani wie, co mam na myśli.

Oczywiście, że wiedziałam. Ja wykazywałam zbytnią ciekawość. Muszę pamiętać, pomyślałam, żeby odwiedzać Florę tylko wtedy, kiedy Lucy nie ma w domu... tak jak przedtem.

W ciągu tych pierwszych dni Jakub okazał mi wiele pomocy. Dzięki niemu czułam, że jestem użyteczna, gdyby nie on, mogłabym uznać, tak jak na samym początku, iż zupełnie nie nadaję się do tego zajęcia.

Mój przełożony miał małe mieszkanie, znajdujące się nad biurem zarządu majątku. Składało się z trzech pokoi, kuchni i niezbędnych wygod. Dom Merretów właśnie odnawiano – był przeznaczony dla pewnego małżeństwa, czekającego już, aby w nim zamieszkać.

Wkrótce bardzo wciągnęła mnie praca w majątku, w którą wprowadził mnie Jakub. Teraz rozumiałam dobrze, dlaczego St. Aubyn's tak pochłania Kryspina. Wracałam do domu i opowiadałam cioci Zosi co ciekawsze szczegóły, a ona uważnie się wszystkiemu przysłuchiwała.

– Tylu ludzi tam pracuje – powiedziała kiedyś. – Tylko pomyśl: im wszystkim trzeba zapewnić utrzymanie i warunki do życia. A przecież są i tacy, jak stara pani Penn, którzy w tych domach będą jedynie dożywać końca swych dni. O nich też troszczy się „dwór”, co w gruncie rzeczy oznacza pana Kryspina, który jest ich wielkim dobroczyńcą.

– O tak, on pilnuje, żeby wszystkie prace przebiegały sprawnie. Można sobie wyobrazić, jak tu było, zanim przejął posiadłość. Jego ojciec bardzo ją zaniedbywał i tym wszystkim ludziom groziła utrata środków do życia.

– Ma zwyczaj pojawiać się we właściwym miejscu we właściwej porze – zauważyła rzeczowo ciocia Zosia.

Pewnego dnia do biura zarządu zaszedł Kryspin i zobaczył mnie siedzącą przy biurku koło Jakuba, który pokazywał mi jedną z ksiąg rachunkowych.

– Dzień dobry – powitał nas od progu, po czym spojrzał na mnie. – Wszystko idzie dobrze?

– Nawet bardzo – odparł Jakub.

– Pan Perrin ogromnie mi pomaga – powiedziałam.

– To świetnie – stwierdził Kryspin i zaraz wyszedł.

Następnego dnia wraz z Jakubem jechałam konno na jedną z farm.

– Mają problem z dachem – tłumaczył mi mój przełożony. – Mogłabyś tam ze mną wstąpić, poznałabyś panią Jennings. Powinnaś mieć dobre stosunki z żonami farmerów.

Po drodze znowu spotkaliśmy Kryspina.

– Jedziemy na farmę Jenningsów – wyjaśnił mój towarzysz. – Musimy się przyjrzeć, co z dachem.

– Rozumiem – odparł Kryspin. – Życzę miłego dnia. – I odjechał.

Kolejnego dnia udałam się do jednego z domów, żeby zobaczyć się z Marią Wilbur, gdyż podczas pracy w dworskiej kuchni poparzyła sobie rękę.

Z naprzeciwka nadjechał Kryspin.

– Dzień dobry. Jak się miewa pani Wilbur?

– Trochę zszokowana – odrzekłam. – To był jednak dość poważny wypadek.

– Zjrzałem do biura i Perrin powiedział mi, że pani wyjechała.

Oczekiwałam, że odjedzie w swoją stronę, ale tak się nie stało. Znowu się odezwał:

– Chciałbym się dowiedzieć, jak pani sobie daje radę. Tak pomyślałem, czy może nie wybralibyśmy się razem na lunch... gdzieś, gdzie moglibyśmy swobodnie porozmawiać. Nie miałyby pani nic przeciwko temu?

Zwykle brałam ze sobą kanapkę i zjadałam ją w pracy. Zawsze mogłam zrobić sobie herbatę czy kawę w kuchni Jakuba. On najczęściej pracował poza biurem, jednak kiedy znaleźliśmy się tam razem o tej porze, jedliśmy posiłek wspólnie.

– Byłoby mi bardzo miło – wyraziłam zgodę.

– Znam takie jedno miejsce przy drodze do Devizes. Pojedźmy tam. Będzie mi pani mogła opowiedzieć, jak się sprawy przedstawiają.

Doznałam niemalże uniesienia. Niekiedy dopuszczałam myśl, zgodnie z pierwszą reakcją cioci Zosi, że zaproponował mi tę pracę w majątku, gdyż nie chciał, żebym wyjeżdżała. Zainteresowanie, które czasem okazywał mojej skromnej osobie, sprawiało mi przyjemność. Kiedy indziej jednak wydawało mi się, że chodziło mu tylko o wykonywanie przeze mnie niezbędnej pracy i właściwie poza tym jestem mu całkowicie obojętna. Zaproszenie na lunch znowu wzbudziło we mnie nadzieję, że może w słowach cioci było ziarno prawdy.

Droga wiodła wzdłuż Barrow Wood, miejsca, obok którego nie mogłam przejechać obojętnie. Oboje milczeliśmy. Drzewa wyglądały ponuro, gdzieś pomiędzy nimi mignął mi w przelocie jeden z grobów. Nigdy nie zapomnę, pomyślałam. To wycisnęło w mej pamięci ślad nie do zmazania i już tak będzie zawsze.

– Gospoda, o której myślę – odezwał się Kryspin – nazywa się „Pod Małą Lisicą”. Widziała ją pani? Stoi tam drogowskaz z wymalowaną uroczą lisiczką.

– Chyba wiem, gdzie to jest. Budynek trochę cofnięty od drogi.

– Można tam zrobić popas koniom, a posiłki gotują proste, ale zdrowe.

Miał rację. Wszystko było zdrowe i smaczne. Zamówiliśmy szynkę na ciepło.

– Sami ją marynują – rzekł Kryspin. – Prowadzą małą farmę i to bardzo dobrze, nawet hodują własne warzywa.

Do mięsa podano nam sałatę, pomidory i ziemniaki pieczone w mundurkach.

Spytał, czy chciałabym napić się wina albo jabłecznika, na co odrzekłam, że po winie mogę stać się trochę senna, a muszę przecież wracać do pracy.

Uśmiechnął się i powiedział:

– To jesteśmy podobni pod tym względem. Napijmy się wobec tego jabłecznika.

Kiedy podano nam jedzenie, zwrócił się do mnie:

– A teraz proszę mi powiedzieć, jak naprawdę czuje się pani w tej pracy.

– Dziękuję, bardzo dobrze. Pan Perrin jest ogromnie miły i pomocny.

– Zauważyłem, że dobrze się wam razem pracuje. Popatrzyłam na niego poważnym wzrokiem.

– Tak, a mimo to czasami wydaje mi się...

– Co się pani wydaje? – zapytał.

– Pani Merret pomagała swemu mężowi jak wiele innych żon. Można powiedzieć, że to właściwie nie była jej własna praca. Była tylko takim... dodatkiem.

Zdziwiony Kryspin uniósł brwi.

– Wątpię, czy pochlebiałoby jej to określenie, gdyby je usłyszała.

– Wiem, że była bardzo lubiana i wszystko szło bez zakłóceń, ale czasami zastanawiam się, czy moje zajęcie nie jest tak naprawdę wymyślone tylko po to... żebym miała coś do roboty.

– Pani uważa, że ta praca zajmuje zbyt mało czasu?

– Mam dość pracy, ale czasami myślę, że pewne sprawy są sztucznie tworzone. No bo na przykład, czy rzeczywiście chce pan zatrudnić kogoś, kto będzie objeżdżał pańskie dobra, żeby się dowiedzieć, że pani Penn woli przekładance z dżemem zamiast placka posypanego makiem?

– To właśnie pani odkryła?

– To jedna z takich rzeczy.

Zaczął się śmiać.

– Może to jest zabawne – pospieszyłam z wyjaśnieniem – ale proszę mi szczerze powiedzieć, czy to, co robię, w ogóle ma sens... czy nie zatrudnił mnie pan z litości. Wiedział pan przecież, że zamierzałam robić coś innego.

– Ciotka nie chciała pani puścić gdzieś w świat.

– To prawda. A ja nie chciałam być dla niej ciężarem.

– Ciężarem? Zawsze sądziłem, że jest pani dla niej ogromną radością.

- Jej się nie przelewa.
- Nie wiedziałem, że ma jakieś kłopoty finansowe.
- Nie ma. Żyje we względnym dobrobycie.
- Wobec tego czemu mówi pani o ciężarze?
- Chodzi o...
- O pani dumę? – spytał.
- Można tak powiedzieć. Sama mam bardzo niewielki kapitał. To, co uzyskano ze sprzedaży domu mamy, zostało przeznaczone na chesne w szkole, ale ponieważ opłacał je ojciec, pieniądze zostały ulokowane i przynoszą mały dochód.
- Więc w sumie jest pani niezależna – zauważył. – Tylko małomiasteczkowe życie jest dla pani zbyt nudne.
- Chodzi o to, żeby robić coś ważnego. Pan ma swoje dobra ziemskie, które całkowicie pana pochłaniają. Czy potrafi pan zrozumieć, że pragnę czegoś więcej, niż układać kwiaty w kościele czy szyc ubrania dla ubogich?
- W pełni to rozumiem.
- Proszę określić rodzaj pracy, którą teraz wykonuję.
- Jest dla pani o wiele bardziej odpowiednia niż posada guwernantki jakiegoś rozwrzeszczanego bachora.
- Dobrze wychowywanych dzieci nie nazwałabym bachorami, i do tego rozwrzeszczanymi.
- To pozycja niegodna dumnej, młodej kobiety, więc mając możliwość przyjścia z pomocą, nie mogłem pozwolić, żeby znalazła się pani w takiej sytuacji.
- Pan mi nie mógł pozwolić?
- Miałem na względzie konsekwencje tego zajęcia dla pani. Proszę mi wierzyć, bardzo niekorzystne.
- Skąd taki wniosek?
- Może pani przypisywać to życiowemu doświadczeniu. Zawsze uważałem, że guwernantki i damy do towarzystwa mają smutne życie, gdyż są uzależnione od humorów dzieci i nadmiernie wymagających, starszych pań. Nie, powiedziałem sobie, to nie jest życie dla Fryderyki Hammond.
- Zatem stworzył pan dla niej zajęcie?

– To praca warta zachodu. Udowodniła to pani Merret, a skoro jej zabrakło, przyszło mi na myśl, że pani, ku swemu zadowoleniu, mogłaby podążyć jej śladem. Nie musiałem stwarzać tej roboty: czekała i szczęśliwym zrządzeniem losu pani mogła ją podjąć.

Widząc, że wpatruję się w niego badawczo, Kryspin uśmiechnął się łagodnie. Nagle ponad blatem stołu sięgnął po moją dłoń i delikatnie ją poklepał.

– Przyjmijmy założenie – powiedział – że szczególnie się panią interesuję.

– To ma związek z Barrow Wood?

– Być może – odparł. Cofnął dłoń, jakby dopiero teraz spostrzegł z zakłopotaniem, co uczynił. – Czy nadal to panią dręczy?

– Czasami owo wspomnienie wraca.

– Na przykład dzisiejszego ranka, kiedy tamtędy przejeżdżaliśmy?

– Owszem.

– Pewnego dnia wybierzemy się tam oboje. Staniemy w miejscu, gdzie to się stało, i przepędzimy diabła z pamięci. Musi pani o wszystkim zapomnieć.

– Chyba nigdy mi się to całkowicie nie uda.

– Cóż, przecież do nieszczęścia nie doszło, prawda?

– On się zabił – powiedziałam.

– Był rozchwiany umysłowo. Nie można osądzać ludzi tego typu według zwykłych zasad. Stało się to, co mogło się zdarzyć najlepszemu. Proszę pomyśleć o zmianach, jakie zaszły w domu „Pod Dzwonem”. Pani Archibaldowa Grindle jest teraz wreszcie szczęśliwą mężatką, podobnie Rachel. Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Niech pani w ten sposób spojrzy na całą sprawę.

– Pewnie ma pan rację.

Zamierzam sprawić, żeby pani o wszystkim zapomniała i przestała się martwić. Zapewniam panią, że ta praca w naszej posiadłości jest potrzebna. Jako człowiek interesu nie uznaję podejmowania nieefektywnych wysiłków.

Teraz robił wrażenie zupełnie innego człowieka, którego dotąd nie znałam. Nagle poczułam się szczęśliwa. Nadal sądziłam, że wymyślił dla mnie owo zajęcie. Co mógł tak naprawdę wiedzieć o pracy guwernantki czy panny do towarzystwa? Z pewnością bardzo niewiele. Wpadł na taki pomysł, gdyż pragnął zatrzymać mnie przy sobie.

– Mają tu imbirowy pudding z kremem, a także placek z jabłkami i jeżynami oraz bitą śmietaną. Ja opowiadam się za plackiem.

– Ja też.

Kiedy podano nam deser, powiedział:

– Jest jeszcze coś, o czym chciałbym z panią porozmawiać. Chodzi o Tamaryszkę. Nieczęsto ją pani widuje, prawda?

– Pracuję, a ona ma męża.

– Oczywiście. Trochę się o nią niepokoję. Cóż, może nawet więcej niż trochę.

– Dlaczego?

– Podejrzewam, że nie wszystko układa się dobrze.

– W jakim sensie?

Twarz mu się zachmurzyła.

– Sądzę, że jej mąż nie jest człowiekiem, za jakiego się podaje.

– O czym pan myśli?

– Może nie powinienem o tym mówić, ale sądzą, że mogłaby pani pomóc.

– W czym?

– W uzyskaniu pewnych wyjaśnień. Może udałoby się pani nakłonić moją siostrę do zwierzeń. Byłyście w szkole bliskimi koleżankami.

– Kiedyś bardzo dużo o sobie mówiła, ale ostatnio...

– Mam nadzieję, że znowu zacznie. Proszę ją odwiedzić i jakoś się dowiedzieć, w jakim naprawdę jest nastroju.

Obawiam się, że nie wszystko układa się tak, jak się spodziewaliśmy. A właściwie to wiem... – Oczekiwałam, że skończy zdanie, ale po chwili powiedział: – Poprzednio rozmawialiśmy o pewnym doświadczeniu, przez które wspólnie przeszliśmy. Czy mam rację, uważając, że wytworzyło między nami szczególną więź?

– To chyba możliwe.

– Jestem o tym przekonany. Tak niewiele osób o całej tej sprawie wie, jedynie pani ciotka, pani i ja. Słusznie utrzymaliśmy to w tajemnicy. Nigdy nie należy wyjawiać pewnych rzeczy, jeżeli można w ten sposób zapobiec złu. A tych, którzy są owym sekretem związani, łączy wyjątkowa więź.

– Tak?

– Panią i mnie... – Uśmiechnął się ciepło, niemal wzruszająco.

– Może mieć pan do mnie całkowite zaufanie – odparłam szybko.

– To dobrze. Jak powiedziałem, małżeństwo Tamaryszki napawa mnie niepokojem. Od początku nie podobał mi się ten pomysł i nie widziałem powodu do takiego pośpiechu. Uznałem, że to po prostu romantyczna głupota. Wymyślił sobie, że ucieczka i cała reszta wywrą na niej wrażenie. Teraz widzę wszystko, co zaszło, jeszcze z innej strony. Prawdę mówiąc, przeprowadziłem coś w rodzaju dochodzenia. Nie istnieją żadne dobra ziemskie Gastona Marchmonta ani we Francji, ani w Szkocji. Wątpię nawet, czy on się rzeczywiście tak nazywa. Jeszcze wszystkiego dokładnie nie sprawdziłem, lecz mam podstawy, żeby przypuszczać, że ów człowiek to Jerzy Marsh. Oszust i awanturnik.

– Biedna Tamaryszka. Taka była z niego dumna.

– Jest głupiutką dziewczyną i łatwo ją oszukać. Cóż, została jego żoną, a ten kłamca i aferzysta jest niestety jej mężem. Zdawał sobie sprawę, że potrafię zebrać o nim informacje, więc zorganizował ową ucieczkę, zanim mogłem odkryć prawdę. Cóż, stało się, Tamaryszka go poślubiła i musimy to zaakceptować. Oczywiście, może się zdarzyć, że Gaston się ustatkuje, trzeba dać mu szansę. Jeżeli moja siostra jest z nim szczęśliwa... – Wzruszył ramionami. – I to właśnie bardzo chciałbym wiedzieć. Mnie się wydaje, że nie całkiem. Być może uświadomiła sobie, że nie ma za męża wytwornego dżentelmena, za jakiego się sprytnie podawał. Gdyby jednak był gotów rozpocząć nowe życie, opamiętać się...

– ...znalazłby mu pan pracę w swym majątku?

– Mogłoby do tego dojść. Ale muszę być bardzo ostrożny, najpierw trzeba się pozbyć wątpliwości co do jego intencji. Jak się pani domyśla, w moich oczach jest on nad wyraz podejrzanym osobnikiem. To trudna sprawa, dlatego proszę, żeby pani wysondowała Tamaryszkę, odkryła, co ona czuje, czy naprawdę go kocha. Musimy znaleźć rozsądne wyjście z tej nieszczęsnej sytuacji.

Zastanawiałam się, co by było, gdyby się dowiedział, że Gaston Marchmont jest ojcem dziecka, które wkrótce ma urodzić Rachel. Nie mogłabym mu tego wyjawić. To była tajemnica Racheli i nie do mnie należało jej ujawnienie.

– Wątpię, czy Tamaryszka mi się zwierzy – powiedziałam.

– Może pani w każdym razie spróbować. Według mnie koniecznie trzeba się przekonać, jak się sprawy mają. Bardzo się boję, że mogą czekać nas duże przykrości.

– Zrobię, co będę mogła – przyrzekłam.

– Dziękuję. – Kryspin wyprostował się na krześle i znowu przesłał mi ciepły uśmiech. – To było z pewnością dobrze wykorzystane przedpołudnie – dodał.

Następnego dnia odwiedziłam Tamaryszkę.

– Jak się miewasz? – spytałam.

– Wspaniale – odrzekła. – Wszystko układa się doskonale.

– A Gaston?

Cudowny, jak zwykle. – Rzuciła to ze śmiechem i zastanawiałam się, czy mówi prawdę. – A ty pracujesz – podjęła dalszą rozmowę. – To jest coś, co można określić jako kontakty z dzierżawcami. Brzmi bardzo poważnie. A jak ci się układa z Jakubem Perrinem?

– Kto ci powiedział, że coś ma mi się z nim układać?

– Nie rób takiej spłoszonej miny. Wiesz sama, jak szybko roznoszą się wieści w takiej miejscowości jak ta. Różni ludzie widują was często razem i mówią mi o tym.

– Razem pracujemy.

– Robisz wrażenie bardzo zadowolonej.

– Bo jestem. Ale opowiedz mi o sobie, podoba ci się małżeńskie życie?

Nie uszła mej uwagi prawie niedostrzegalna chwila namysłu, po której Tamaryszka odpowiedziała:

– To wręcz błogi stan.

Zorientowałam się już, że nie mogę oczekiwać od niej żadnych zwierzeń. Jeżeli nawet coś jest nie w porządku, nie potrafiła jeszcze do tego się przyznać.

– Pewnie już wkrótce będziecie urządzić swój własny dom – powiedziałam.

– Tak, oczywiście, lecz chwilowo dobrze nam tutaj. Mama uwielbia Gastona. On wie, jak się jej przypodobać, a mama okropnie się denerwuje, kiedy wspominamy o przeprowadzce.

– A jak już zapadnie decyzja, to gdzie chcecie zamieszkać?

– Zastanawiamy się jeszcze. Być może najpierw udamy się w daleką podróż. Gaston chce mi pokazać Europę: Paryż, Wenecję, Rzym, Florencję i inne miasta.

– To byłoby wspaniale. Więc życie małżeńskie to prawdziwa sielanka?

– Już ci mówiłam, jest cudowne. Dlaczego wciąż wracasz do tego pytania?

– Przepraszam. Pragnęłam jedynie się upewnić.

– A może sama zamyślasz wstąpić w związek małżeński? – spytała z figlarnym uśmiechem.

– Nawet mi taka myśl nie przeszła przez głowę i to z oczywistych powodów – odpowiedziałam krótko.

Wysłałam od niej przygnębiona. Tamaryszka się zmieniła. Nie zachowywała się naturalnie i instynktownie wyczułam, że nie jest już tamtą dawną beztroską dziewczyną, przekonaną, iż w życiu wszystko układa się według jej życzenia.

Wiedziałam, że Gaston Marchmont to flirciarz. Kompletnie otumaniał zarówno Tamaryszkę, jak i Rachelę. Był obłudnie przymilnym oszustem. Kryspin już wiedział, z kim ma do czynienia, ale niestety odkrył to za późno. Biedna Tamaryszka! Przynajmniej Rachelę miała za męża człowieka, który ją kochał, lecz obawiałam się, że i ona nie czuje się w pełni szczęśliwa.

Wracałam do biura zarządu drogą, przy której stały stare domy. Cały czas miałam głowę zaprzątniętą Tamaryszką i obawami, do których przyznał się Kryspin.

Nagle ku swemu zdumieniu ujrzałam Gastona we własnej osobie. Stał koło bramy domu rodziny Gentrych i rozmawiał z Celią.

– Witam – odezwał się beztróskim tonem.

– Dzień dobry – odpowiedziałam. – Właśnie byłam u Tamaryszki.

– To dobrze, na pewno się ucieszyła. A co u pani? Jak słyszałam, bardzo pani zapracowana. Ale to pani służy. Wygląda pani kwitnąco.

– Dziękuję – odrzekłam chłodno.

– Mogę się przejść z panią?

– Właśnie wracam do biura.

– Zrobiła sobie pani wagary, co?

– W żadnym razie. Nie mam sztywnych godzin pracy.

– Tak jest najwygodniej. Przechodziłem tędy i zauważyłem tę dziewczynę. Chyba tu mieszka. Pytałem o jej ojca.

– O, czyżby był chory?

– To właśnie słyszałem, ale chyba chodziło o kogoś innego. Czułam się nieswojo w towarzystwie Gastona Marchmonta. Zbyt dużo o nim wiedziałam, aby swobodnie rozmawiać. Byłam zadowolona, gdy dotarłam do biura.

W okresie oczekiwania na poród Racheli często u niej bywałam. Poprzednio robiła na mnie wrażenie pogodnej i spokojnej, tak jak inne kobiety w ciąży, które znałam. Myślała wyłącznie o dziecku i z radością oczekiwała jego przyjścia na świat.

W miarę jednak zbliżania się terminu rozwiązania zauważyłam, że stała się jakby trochę zdenerwowana. Nasza więź umocniła się od czasu małżeństwa Racheli. Wiedziałam, że ona i Daniel uważają mnie za swą najserdeczniejszą przyjaciółkę.

Pewnego razu powiedziała:

– Czy zdajesz sobie sprawę, jaką rolę odegrałaś w naszym życiu? Załóżmy, że nie odszukałabyś mnie wtedy. Załóżmy, że ja...

– Podobne sytuacje zawsze się w życiu zdarzają, czyż nie? Coś się dzieje dlatego, że ktoś znalazł się we właściwym miejscu we właściwym czasie.

– Ale to, co zrobiłaś, było wspaniałe.

– Podjęłam pewne ryzyko. Nie wahałam się długo, gdyż coś mi mówiło, że Daniel kocha cię wystarczająco mocno. Rachelo, jesteś szczęśliwa, że masz takiego męża. To on wiele dla ciebie zrobił, nie ja.

– Daniel podziela moją opinię o tobie.

– Cieszę się. Właściwy rezultat jest wynagrodzeniem podjętego ryzyka.

– Mieliśmy szczęście, ale gdyby nie ty... – Zadrżała.

– Ty możesz czuć się w dwójnasób szczęśliwa, gdyż teraz potrafisz docenić własne szczęście. Wielu osobom nie zostało to dane.

– Niedługo będę rodzić. I, Freddie, jest jedna sprawa...

– O co chodzi?

– O dziecko. Gdyby było jego, stałaby się rzecz najwspanialsza na świecie. Lecz Daniel nie jest jego ojcem, nic tego nie zmieni... bez względu na to, czy jest taki dobry... czy tak dobrze udaje...

– Co udaje?

– Miłość do dziecka. Przecież on pamięta. Boję się, że może je znienawidzić. Nie, nie znienawidzić, nie byłby zdolny do takiego uczucia w stosunku do nikogo, nie mówiąc już o niewinnym dziecku, ale może na nie patrzeć i ciągle pamiętać. Nie umiałabym tego znieść. Ja już kocham moje dziecko i jest dla mnie bez znaczenia, że nie miało prawa być poczęte. To moje dziecko i nie zniosłabym, gdyby Daniel go nie pokochał.

– Daniel jest dobrym człowiekiem – jednym z najlepszych.

– Będzie próbował je zaakceptować, ale... Za każdym razem, kiedy na nie spojrzy, powróci świadomość prawdy. Nie może być inaczej.

– Od początku to wiedział.

– Powstanie inna sytuacja. Pragnę dla mego dziecka wszystkiego, co najlepsze. Chyba kocham je bardziej, gdyż potrzebuje wyjątkowej czułości i troski z mojej strony. Czekam na nie z utęsknieniem, a jednocześnie boję się spojrzeć Danielowi w twarz. On nie umie dobrze ukrywać swych uczuć. Freddie, jesteś moją najbliższą przyjaciółką. Nikt nie wie o Gastonie i mnie... poza tobą. Wszyscy sądzą, że dziecko jest Daniela i dlatego musieliśmy się tak szybko pobrać. Szeptano na ten temat, a niektórzy nawet robili miny, bo byli zszokowani, lecz uznali, że w ostatniej chwili mój honor został uratowany. Ty jedna znasz prawdę, Freddie. Wiesz, co mam na myśli. Możemy rozmawiać otwarcie.

– Musisz zapomnieć o Gastonie. To już zamknięty rozdział. Teraz masz myśleć o szczęściu, jakie ci przypadło. Wyszłaś za męża za Daniela i to była najlepsza rzecz ze wszystkich możliwych... dla was obojga. Rachelo, trzeba pamiętać tylko o dobrych stronach tej sprawy.

Wiem, ale o coś muszę cię zapytać. Czy przyjdiesz tu, gdy będę rodzić? Chciałabym, żebyś tutaj była, razem z Danielem, abyś mu powiedziała, że go bardzo kocham. Uświadom mu, że byłam młoda, głupia i podatna na pochlebstwa. Teraz widzę to wyraźnie. Daniel to człowiek skromny i uważa, że Gaston jest o wiele atrakcyjniejszym mężczyzną od niego. Ja Gastona teraz już tak nie oceniam, przejrzałam go. Chcę, aby Daniel to wiedział, ale boję się, że on nie zdaje sobie sprawy z moich uczuć. Pragnę, żebyś przy nim była, kiedy urodzi się dziecko. Proszę cię, powiedz mu wszystko, co teraz ode mnie usłyszałaś. Może uda ci się sprawić, że mnie zrozumie.

– Będę tutaj, Rachelo – obiecałam. – I zrobię, co w mojej mocy.

Nachyliła się i pocałowała mnie w policzek.

Kilka dni później, gdy siedziałyśmy przy śniadaniu, zjawił się u nas jakiś mężczyzna pracujący na farmie Grindle'ów z wiadomością, że jest już tam pani Godber, gdyż pani Danielowa zaczęła rodzić.

Poszłam do biura wyjaśnić Jakubowi, co się dzieje, i że gdyby ktoś chciał porozumieć się ze mną w jakiejś sprawie niecierpiącej zwłoki, to będę na farmie Grindle'ów.

Niezwłocznie udałam się do Racheli.

Leżała w łóżku blada i trochę przestraszona.

– Och, Freddie – zawołała – tak się cieszę, że jesteś! Wiedziałam, że przyjdiesz.

– Jak się czujesz?

– Dobrze. Czy Daniel jest w domu?

– Tak. Będziemy czekać razem.

Jej twarz wykrzywił nagle ból i pani Godber zaraz znalazła się przy łóżku.

– Lepiej niech już pani wyjdzie, panno Hammond – poleciła. – Posłaliśmy po lekarza. Chyba słyszę, że nadjeżdża.

Pożegnałam Rachelę uśmiechem i opuściłam pokój. Na schodach spotkałam Daniela.

– Prosiła, żebym tu przyszła – wyjaśniłam.

– Wiem – odrzekł. – Czy wszystko w porządku?

– Oczywiście. To dobrze, że macie panią Godber. Cieszy się świetną opinią, a doktor już przyjechał. Gdzie poczekamy?

– Może w moim biurze. Tam sobie posiedzimy. Jak długo to potrwa?

– O ile wiem, nie ma żadnego określonego czasu w takich sprawach. Musimy uzbroić się w cierpliwość.

– To nie takie łatwe.

Zaprowadził mnie do małego pokoju na pierwszym piętrze. Półki przy ścianach zapelnione były księgami rachunkowymi i różnymi publikacjami na tematy związane z prowadzeniem gospodarstw rolnych, hodowlą zwierząt i uprawą roli. Przy biurku pokrytym różnymi notatkami stało kilka krzesel.

– Nie czułbym się teraz zbyt dobrze w towarzystwie innych osób – wyznał. – Ciotka Racheli niedługo przyjedzie. Jest dobrą kobietą, ale robi dużo zamieszania, co mnie denerwuje.

– A nie masz nic przeciwko mojej obecności?

– Nie... nie.

– Rachela prosiła, żebym posiedziała tu z tobą. Ona się o ciebie boi.

– O mnie?

– Niektórzy mówią, że mężowie przeżywają takie sytuacje nie mniej niż żony.

– Mam nadzieję, że nic jej się nie stanie.

– To pewne. Jest młoda, silna i nie zauważono dotąd żadnych komplikacji. Kobiety rodzą dzieci codziennie, jak wiesz.

– Tak... ale tym razem chodzi o Rachelę.

– Nic jej nie będzie.

– Modłę się o to.

– Danielu, ona jest teraz bardzo szczęśliwa i to ty sprawiłeś.

– Czasami się nad tym zastanawiam. Widzę w jej oczach jakiś smutek. Nieraz sobie myślę, czy nie wraca wspomnieniami do przeszłości... z żalem.

– Jeżeli tak jest, to, Danielu, znasz przyczynę. Wraca do przeszłości i żałuje tego, co się wówczas stało. Ponad wszystko pragnęłaby, by to dziecko było twoje.

– Ja też.

- Rachela się martwi. To dziecko, Danielu, jest częścią niej.
- A ja nade wszystko pragnę, żeby była szczęśliwa – odrzekł z przejęciem.
- Będzie, i ty także... to zależy tylko od was samych.
- Ale ona zawsze będzie wracać pamięcią do przeszłości, a ja...

– Ty masz patrzeć w przyszłość, Danielu. Tyle zrobiłeś dla Racheli. Pokazałeś jej, jak głęboko ją kochasz. Nikt bardziej od niej nie zdaje sobie z tego sprawy. Nadal powinieneś być taki. Musisz zapomnieć o tym, co kiedyś zaszło, musisz przyjąć to dziecko jak swoje własne. Ona nie ma pewności, czy tak się stanie, i bardzo się boi. Myśli, że nie puścisz w niepamięć przeszłości, a to stworzy barierę między tobą a dzieckiem i zrujnuje szczęście, które razem budujecie.

- Nie potrafię zapomnieć, kim jest ojciec dziecka.
- Od chwili narodzenia będzie ono wyłącznie twoje. Tak na to musisz patrzeć.
- Nie mogę. A ty mogłabyś na moim miejscu?
- Próbowałabym. Próbowałabym z całych sił, inaczej szczęście tu nie zagości.
- Wiem, że masz rację – powiedział. – A co ze szczęściem Racheli?

– To już zależy od ciebie, Danielu. Nietrudno pokochać malutkie dziecko. A ono jest Racheli, pamiętaj o tym. Zjawia się tutaj, ponieważ ty ją tak gorąco kochasz.

- Tyle dobrego dla nas zrobiłaś. Nigdy nie zapomnę, jak wiele.
- Uważam, że będziecie ogromnie szczęśliwi – zapewniłam go.

Siedzieliśmy w milczeniu, świadomi odgłosu tykania zegara odmierzającego sekundy. Rozmyślał, podobnie jak ja, czy długo jeszcze przyjdzie nam czekać. Dziecko urodziło się dopiero pod wieczór. Do biura Daniela przyszedł lekarz.

Wystarczyło jedno spojrzenie na jego minę i już wiedzieliśmy, że wszystko poszło dobrze, gdyż wręcz promieniał.

– Ma pan małą dziewczynkę, panie Grindle – oznajmił. – Zdrową, małą dziewczynkę.

– A moja żona?

– Zmęczona, lecz radosna. Będzie się pan mógł z nią zobaczyć za parę minut. Przede wszystkim musi trochę odpocząć.

Poszliśmy do sypialni. Rachela ciągle była blada, lecz – jak powiedział lekarz – radosna. Dziecko, otulone w szal, trzymała na rękach pani Godber, widzieliśmy tylko czerwoną i pomarszczoną twarzyczkę.

Złożyła zawiniątko w ramiona Daniela.

Oczekiwałam na jego reakcję z drżeniem serca. Tak wiele od tego zależało. Rachela nie spuszczała zeń czujnego spojrzenia.

– Jest przepiękna – rzekł Daniel. – Nasza córeczka.

Tak właśnie powinno być. Czułam, że moje oczy napełniają się łzami.

Rachela przeniosła na mnie wzrok.

– Freddie, więc przyszedłeś do mnie.

– Oczywiście, że przyszedłam. Chciałam zobaczyć dziecko. Danielu, nie możesz jej całkowicie zawłaszczyć.

Wzięłam dziecko w ramiona – to małe stworzonko, które miało tak wielki wpływ na ich życie. I cały czas powtarzałam sobie w duchu: wszystko będzie dobrze, wszystko będzie dobrze.

Owo wydarzenie wywołało w Harper's Green zrozumiałe emocje. Narodziny i śmierć to najistotniejsze elementy, z których składa się życie. Wszyscy byli ciekawi nowego dziecka Grindle'ów. W kościele miał się odbyć chrzest. Nowa mieszkanka miasteczka została serdecznie powitana w naszej społeczności, mimo nieco przyspieszonego przybycia.

Dużo czasu spędzałam z Rachelą. Przychodziłam do niej w godzinach przerwy na lunch i razem zjadałyśmy posiłek. Niemowlę świetnie się rozwijało.

– Daniel naprawdę ją kocha – powiedziała mi kiedyś. – Jak mógłby się jej oprzeć? To najdoskonalsze dziecko na świecie.

Przyznałam jej rację. Malutka robiła teraz zupełnie inne wrażenie niż wtedy, kiedy zobaczyłam ją po raz pierwszy. Wyglądała jak prawdziwe niemowlę, a nie pomarszczony, dziewięćdziesięcioletni staruszek. Miała błękitne oczy, ciemne włosy i na szczęście zupełnie nie była podobna do Gastona Marchmonta.

Wiele dyskusji poświęcono kwestii imienia.

– Gdyby była chłopcem – powiedziała Rachela – nazwałabym go Daniel. W ten sposób miałby jeszcze większe poczucie więzi z dzieckiem.

– To byłby dobry pomysł. Na pewno spodobałby się Danielowi.

– Mam wrażenie, że on już na nią patrzy jak na własną córkę. Freddie, chyba powinnam jej dać twoje imię.

– Fryderyka! O nie! Fred... Freddie... tylko pomyśl! Nawet własnego dziecka nie nazwałabym tym imieniem.

– Przez cały czas byłaś z nami tak blisko.

– To jeszcze nie powód, żeby biedne dziecko obarczać takim imieniem. Mam rozwiązanie! Przecież jest żeńska odmiana imienia Daniel – Daniela, nazywałyby się niemal tak samo. Głosuję za Daniellą!

– Daniela! – zawołała ucieszona Rachel. – To prawie jak Daniel. Ale uważam, że jednak powinna zostać Fryderyką.

– Nie, nie. Nic dobrego by z tego nie wynikło. W jakiejś mierze jej imię mogłoby przywoływać wspomnienia, a chcemy całkowicie zerwać z przeszłością. Ona jest twoja i Daniela... w tym cała rzecz. Musi zostać Daniela.

– Rozumiem, co masz na myśli – odpowiedziała.

I tak we właściwym czasie pastor Hetherington ochrzcił dziecko Racheli. Większość mieszkańców Harper's Green zjawiała się na uroczystości, a po jej zakończeniu Daniel, z dumą należną prawowitemu posiadaczowi, zawiózł Daniele na farmę Grindle'ów.

Morderstwo w Harper's Green

Odkąd zaczęłam pracować w majątku St. Aubyn's, niewiele czasu mogłam poświęcić kółku krawieckiemu i innym wspólnym pracom. Nawet panna Hetherington to rozumiała i pochwalała moje nowe zajęcie, gdyż uważała, że kobiety powinny odgrywać bardziej znaczącą rolę w gospodarce i sprawach publicznych.

Ciocia Zosia była oczywiście zachwycona.

– Właśnie tego potrzebowałam – powiedziała. – Nie znajduję dość wyrazów wdzięczności dla Kryspina St. Aubyn, że zaproponował ci taką pracę.

Z przyjemnością słuchała mych szczegółowych relacji o dzierżawcach. Lubiła Jakuba Perrina i kilka razy zaprosiła go do nas na podwieczorek. Niektórzy nawet wymieniali znaczące spojrzenia, gdy widzieli mnie razem z Jakubem i nie miałam wątpliwości, o co chodzi. To było trochę krępujące.

Od czasu do czasu odwiedzałam Tamaryszkę, lecz nie witała mnie zbyt entuzjastycznie. Domyślałam się, że nie wszystko idzie tak gładko, choć wyraźnie nie miała ochoty rozmawiać o tym ze mną.

Często bywałam na farmie Grindle'ów. Dziecko świetnie się rozwijało, a oboje – Daniel i Rachel – byli nim wprost zauroczeni.

Sobotnie popołudnia w zasadzie miałam wolne, chyba że akurat pojawił się jakiś problem, i któregoś dnia pomyślałam, iż powinnam wybrać się do Flory, ponieważ dawno jej nie odwiedzałam.

Zbliżyłam się do domku od tyłu, w ogrodzie nie było nikogo. Koło drewnianej ławki, na której Flora zwykle siadywała, stał pusty lalczyny wózek. Zauważyłam uchylone drzwi domu. Podeszłam i zawołałam:

– Czy jest tam kto?

Wkrótce pojawiła się Flora z lalką w ramionach, a obok niej, ku memu zdumieniu, siedł Gaston Marchmont.

– Dzień dobry – odezwała się Flora. – Dawno cię nie było.

– Widzę, że ma pani gościa. Gaston Marchmont skłonił się lekko.

– Przechodziłem tędy – wyjaśnił. – Rozmawiałem z panną Lane i pokazała mi pokój dziecienny, gdzie opiekuje się swym ukochanym dzidziusiem.

Flora z uśmiechem opuściła wzrok na lalkę.

Moje zdumienie miało oczywiste przyczyny. Wydawało mi się dziwne, iż ta kobieta pozostaje z Gastonem w przyjacielskich stosunkach do takiego stopnia, że zaprosiła go do domu. Ja na ów przywilej zasłużyłam dopiero po kilku spotkaniach.

Położyła lalkę do wózka i usiadła pośrodku ławki. Ja i Gaston ulokowaliśmy się po obu stronach Flory.

– Nie spodziewała się pani mnie tu zobaczyć? – spytał.

– Rzeczywiście, nie.

– Interesuję się tą posiadłością i wszystkimi, którzy ją zamieszkują. Ostatecznie teraz jestem członkiem rodziny. – Wypowiedział te słowa z pewną nutą buty. – Lubię wiedzieć, co się dzieje – ciągnął dalej.

– Dawno cię nie było – powtórzyła Flora.

– Teraz kiedy pracuję, nie mam zbyt wiele czasu – wyjaśniłam.

Panna Hammond jest niezwykłą młodą damą – wtrącił się Gaston. – To pionierka. Stara się udowodnić coś, co powinniśmy byli odkryć już dawno temu. Kobiety są tak samo dobre jak mężczyźni – tylko lepsze. Flora patrzyła pustym wzrokiem.

– Wciąż jest trochę przeziębiony, nadal się tego nie pozbył. Wzięłam go na górę i dałam porcję lekarstwa, tego ziołowego. To ci dobrze zrobi, prawda, maleńki?

Gaston uniósł brwi i spojrzał na mnie z taką miną, jakby go to bawiło. Dostatecznie dużo o nim wiedziałam i teraz poczułam, jak wzbiera we mnie pogarda dla tego człowieka.

– Panna Lane urządziła na górze bardzo przyjemny pokój dziecienny – powiedział.

Pomyślałam, że być może nie po raz pierwszy ją odwiedził. Przypuszczałam, że zajrzał tu tak jak ja, i podczas rozmowy z nim Flora uznała, że dziecko nie czuje się dobrze i trzeba mu dać lekarstwo. Poszła na górę, a Gaston udał się za nią.

– To miło ze strony panny Lane, że pokazała mi pokój dziecienny – ciągnął. – I dzięki Bogu, ten mały, jak mu tam, poczuł się lepiej. Czy zwróciła pani, panno Hammond, uwagę na te nieprzyjemne ptaki na ścianie?

Dostrzegłam w jego oczach wyraz niezdrowej ciekawości i aż zrobiło mi się zimno.

Owe ptaki wywarły na mnie kiedyś duże wrażenie, gdyż dzięki nim przypomniałam sobie stary wierszyk o sekrecie, który nigdy nie może być wyjawiony. Marchmont również skojarzył ten obrazek z wierszem.

– To sroki – powiedziała Flora. – Lucy oprawiła je dla mnie w ramkę. One zakazują wyjawienia sekretu.

– A pani zna ów sekret? – spytał Gaston.

W odpowiedzi spojrzała na niego z przerażeniem.

– Ależ tak, pani go zna – stwierdził z triumfem w głosie. – Może by pani nam go zdradziła. Byłaby dobra zabawa, no nie? Nikomu nie powtórzylibyśmy, bez obawy.

Flora zaczęła się trząść.

– Pan ją denerwuje – szepnęłam do niego.

– Przepraszam – mruknął. – Mamy dzisiaj piękny dzień. Taki czas najmilej spędza się w ogrodzie.

Widziałam, że wyprowadził Florę z równowagi i trudno było dalej rozmawiać, jak gdyby nic się nie stało.

– Sądzę, że powinniśmy już iść – powiedziałam. – Wpadłam tylko, żeby zobaczyć, jak się pani czuje – zwróciłam się do Flory. – Przypuszczam, że pani siostra zaraz wróci.

Gaston przyglądał mi się bacznie. Powtórzyłam stanowczo:

– Naprawdę uważam, że powinniśmy już iść.

Flora pokiwała głową. Spojrzała na lalkę i zaczęła przesuwając wózek raz do przodu, raz do tyłu. Po paru chwilach wstała i ruszyła z nim w stronę domu.

– Do widzenia! – rzuciłam w jej kierunku.

Nie odwróciła się, ale słyszałam, jak cicho odpowiedziała:

– Do widzenia.

Marchmont skierował się za mną do furtki.

– Phi! – sapnął, gdy uszliśmy kawałek drogi. – To kompletna wariatka.

– Zupełnie się rozstroiła. Nie powinien być pan przy niej wspominać o tych ptakach.

– Sama o nich mówiła. Zaprowadziła mnie na górę i pokazała mi obrazek. Nie robiła wrażenia, jakby ją miały przygnębiać.

– Z ludźmi w takim stanie trzeba postępować ostrożnie.

– Ona naprawdę... jest zupełnie pomyłona. Uważać, że lalka to dziecko! I do tego jeszcze ma to być Kryspin! Najgłupsze ze wszystkiego. On tu się panoszy, wielki pan i władca, a ona myśli, że Kryspin jest porcelanową lalką!

– Była jego niańką. I nadal jest... bo żyje minionymi latami.

– Szkoda mi jej biednej siostry.

- Obie są do siebie ogromnie przywiązane, a Kryspin jest dla nich bardzo dobry.
- Pewnie ma pani do mnie pretensję o wywołanie napięcia.
- No, doszło do niego, bo mówił pan o sekretach i tak dalej.
- Sądziłem, że gdyby się przed kimś otworzyła... Uderzyło mnie, że jej właśnie ciąży jakieś tajemnice... albo to, czego nie dopowiedziano.
- Chyba lepiej zostawić ją w spokoju... nie sprzeczać się z nią, udawać tak jak ona, że lalka jest dzieckiem. Tak postępuje jej siostra, a także sam Kryspin. Oni znają ją najlepiej. Siostra była przy niej wtedy, gdy postradała zmysły, a Kryspin... zna ją już bardzo długo.
- Jako swą ukochaną nianię, jak rozumiem.
- Flora nią nie była. Miał zaledwie parę miesięcy, kiedy musiała zrezygnować z tej pracy i potem Lucy się nim opiekowała.
- Zadziwiająca historia, prawda? W każdym razie bardzo ciekawa. Chciałem jedynie trochę rozweselić biedną kobiecinę, ale teraz zainteresowało mnie wszystko, co tu się dzieje.
- Czy to znaczy, że zamierza pan tutaj pozostać?
- To, moja miła panno Fryderyko, jest w rękach bogów. Z ogromną ulgą pożegnałam go, gdy dotarliśmy do domku cioci Zosi i Gaston zawrócił w stronę St. Aubyn's.

Pewnego dnia przy śniadaniu ciocia oznajmiła:

- Gerry Westlake zawitał do domu.
 - A kto to jest? – spytałam. Nazwisko wydawało mi się znajome.
 - Znasz Westlake'ów. Zajmują jeden z tych domów przy Crains Lane.
 - A Gerry?
 - To ich syn. Wyjechał stąd dwadzieścia lat temu. Dwadzieścia? Nie, nawet więcej, raczej dwadzieścia sześć. Był wtedy chłopakiem na schwał, miał chyba siedemnaście lat. Dość nagle udał się do Australii. Uznał, że chce wyemigrować. Nie, to nie była Australia. Do Nowej Zelandii. Wedle tego, co mówili ludzie, miał tam przyjaciela.
 - Ciekawe, jak się wiedzie w Australii Merretom.
 - Na pewno napiszą do kogoś wcześniej czy później i wiadomości zaraz się rozniosą. Przypuszczam, że wszystko będzie dobrze, bo oboje są ogromnie pracowici.
- Kiedy przyszłam do biura, pierwszą wiadomością, którą powitał mnie Jakub, była informacja o przyjeździe syna Westlake'ów.

– Ciocia Zosia mi o nim wspominała. Ma na imię Gerry, tak? Znałeś go?

– Dobry Boże, nie. Chyba jeszcze nie było mnie na świecie, gdy wyjechał. Ale wielu ludzi z Harper's Green pamięta Gerry'ego i teraz oczywiście wszyscy rozmawiają o jego powrocie. Muszę się wybrać w tamtą stronę, aby dopatrzeć pewnych napraw i pomyślałem, że wpadnę do Westlake'ów, żeby go poznać. Może pojechałabyś ze mną?

Zawahałam się, gdyż wiedziałam, że i tak ludzie o nas plotkują, widząc, jak dużo czasu spędzamy razem. Bardzo lubiłam Jakuba, ale nie miałam wielkiej ochoty na to, by wiązano mnie z jego osobą. Zastanawiałam się, czy wiedział o owych plotkach i czy także wprawiały go w zakłopotanie.

– Czy zostałyby to dobrze odebrane? – spytałam.

– Ależ oczywiście. Miałabyś okazję poznać panią Westlake. Jej mąż jest jednym z budowniczych, których zatrudniamy, teraz, kiedy się trochę posunął w latach, już tylko na zlecenie. Coś zawsze się dla niego znajdzie do roboty w majątku. Gerry pewnie ma wiele ciekawych rzeczy do opowiedzenia.

Wyruszyłam więc razem z Jakubem.

Westlake'owie mieszkali w dobrze utrzymanym, małym domku z zadbanym ogrodem. Spędziliśmy tam miłe przedpołudnie.

Pani Westlake podała wino z czarnego bzu i poznaliśmy jej syna, a także jego żonę oraz córkę, mniej więcej w moim wieku. Wyjaśniły mi, że jest to ich pierwsza wizyta w Anglii, a Gerry opowiadał o dorywczych pracach, jakie kiedyś wykonywał w majątku. Jak tylko skończył siedemnaście lat, zdecydował się wyjechać do Nowej Zelandii. To była trudna decyzja, lecz czuł, że w nowym kraju czekają go większe możliwości. Miał przyjaciela, który już tam był, pisywali do siebie i to zadecydowało.

Opowiadał o przeszłości w kraju bez entuzjazmu.

– Więc ten pomysł okazał się chyba słuszny? – spytałam.

– O, tak, choć początkowo nie było łatwo. Ale potrzebowali tam młodych ludzi i imigranci mieli duże ułatwienia. Płynęliśmy statkiem, czwartą klasą oczywiście, w warunkach raczej prymitywnych, lecz kto by, mając siedemnaście lat, przejmował się takimi sprawami! Przeżyłem ekscytującą przygodę, a przyjaciel już na mnie czekał. Był dziesięć lat starszy niż ja, ale dobrze się między nami układało.

Starsza pani Westlake uśmiechnęła się do syna.

– Wtedy bardzo ci się podobała jedna z tutejszych dziewcząt – powiedziała. – I dobrze się stało, że wyjechałeś.

– Tak – dodał jej mąż. – Biedna dziewczyna. Po twoim wyjeździe zrobiła się jakaś dziwna.

– Mamo, przecież to się nie stało z mego powodu!

– Chyba coś niedobrego wydarzyło się jeszcze przedtem. Ale, synu, byłeś bardzo przystojnym chłopcem.

Gerry miał dość zakłopotaną minę.

– To wszystko wydarzyło się tak dawno temu – stwierdził. – Jak się czuje... pan Kryspin St. Aubyn?

– Myślę, że bardzo dobrze – odparłam.

– Cieszy się dobrym zdrowiem?

– Nic mi nie wiadomo o jakichkolwiek jego dolegliwościach, a tobie, Jakubie? – zapytałam.

– Nigdy o niczym takim nie słyszałem – odpowiedział.

– Okaz zdrowia, tak?

– Tak bym go właśnie określił – zgodził się Jakub. – A ty? – zwrócił się do mnie.

– Ja też.

– Wysoki, dobrze zbudowany, bez żadnych dolegliwości – mówił Gerry jakby do siebie.

– Oczywiście.

Młodszy Westlake roześmiał się i wyglądał na bardzo zadowolonego. Jego matka podała do wina jakieś ciasteczka.

– Robi się prawdziwa uroczystość – zauważył Jakub.

– Cóż, panie Perrin – odezwał się ojciec Gerry'ego – syn z Nowej Zelandii nie przyjeżdża do nas codziennie z wizytą.

To było bardzo interesujące przedpołudnie.

Wybrałam się w odwiedziny do Flory, a gdy się zbliżałam do jej domu, spotkałam Gastona Marchmonta, co mnie ogromnie zdenerwowało.

– Dzień dobry! – zawołał wesoło. – Chyba zgadnę, dokąd pani idzie. Wie pani, pomyślałem, że też tam wpadnę.

– Widzę – odrzekłam obojętnie.

– Ona raczej lubi gości. Zawsze sprawia takie wrażenie. Naprawdę żal mi tej biedaczki.

– Za to jej siostra raczej nie przepada za gośćmi.

– Dlatego pani przychodzi pod jej nieobecność? „Gdy kota nie ma w domu...” i tak dalej?

Ogarnęła mnie złość i właśnie w tym momencie zobaczyłam Gerry'ego Westlake'a wychodzącego z bramy. On też złożył wizytę w tym domu. Było to bardzo dziwne.

– Witam – odezwał się pierwszy.

Powitałam go i zwracając się do Gastona Marchmonta, powiedziałam:

– To jest pan Gerry Westlake.

– Wiem – odparł Gaston. – Musi być bardzo miło wrócić do starego kraju i zobaczyć się z rodziną.

– Istotnie – potwierdził Gerry.

– I niedługo znowu pan wyjeżdża? – spytałam.

– Jutro. Niestety wszystko, co dobre, szybko się kończy.

– Ale pewno niebawem znowu pan tu zawita – pocieszył go Marchmont.

– To długa podróż. Oszczędzaliśmy na nią przez lata.

– No to życzę wszystkiego najlepszego – pożegnał go Gaston.

– I szczęśliwej powrotnej drogi – dodałam.

Odszedł.

Jak tylko zobaczyłam Florę, wiedziałam, że wydarzyło się coś złego. Miała dzikie oczy i usta wykrzywione w dziwnym grymasie.

– Floro! – zawołałam. – Co się stało?

Patrzyła na mnie pustym spojrzeniem i kiwała głową na boki.

– Proszę mi powiedzieć, pani Floro, o co chodzi? Wbiła wzrok w lalkę, którą trzymała w ramionach.

– To nie jest... to nie jest... to tylko lalka – wyszeptała. Nagle odrzuciła od siebie lalkę, która upadła do wózka i leżała tam nieruchoma z uśmiechem przyklejonym do porcelanowych warg.

Nie mogłam w to uwierzyć. Ta kobieta wracała do rzeczywistości. Świat jakby zamarł wokół nas – poza umęczoną twarzą Flory i błyszczącymi niezdrową ciekawością oczami Gastona.

– Jak to się stało? – zapytał ją. – Skąd ta zmiana?

Położyłam mu rękę na ramieniu, żeby go powstrzymać od zadawania pytań. I wtedy zobaczyłam wchodzącą do ogrodu Lucy. Zaczęła krzyczeć:

– Co tu się dzieje? Co tu się dzieje?

– To tylko lalka – odezwała się Flora żalnym głosem. Oczy Lucy napęły się łzami. Poruszała wargami jakby w modlitwie. Objęła siostrę ramieniem.

– Chodź ze mną, kochana – przemówiła do niej czule. – Wszystko w porządku, nic się nie zmieniło.

– To lalka – wyszeptała Flora.

– Coś ci się przyśniło – uspokajała ją Lucy.

– To był tylko sen? – spytała Flora. – Tylko mi się śniło?

Lucy obejrzała się i popatrzyła na nas.

– Zabiorę ją do domu – powiedziała spokojnie. – Tam się uspokoi. Zdarzają się jej takie ataki.

Poszła z Florą do domu, zostawiając mnie z Gastonem. Odprowadziłam je wzrokiem.

– Nie ma sensu zostawać tu dłużej – odezwałam się. – Chodźmy już.

Wyszliśmy przez bramę na drogę.

– I co pani o tym sądzi? – zapytał.

– Pewnie miewa takie przebłyśki świadomości.

– Siostrzyczka Lucy raczej nie była akurat z tego zadowolona.

– Bardzo niepokoi się o Florę. Jaka to musi być ogromna odpowiedzialność.

– Tuż przed nami Flora miała gościa – zastanawiał się Gaston. – Widocznie wyszły na jaw jakieś rewelacje. Ciekawe, co też nasz pionier osadnictwa miał jej do powiedzenia.

Nie mogłam przestać myśleć o Florze i parę dni później znowu się do niej wybrałam. Tym razem Lucy była w domu.

– To ładnie, że pani przyszła – powitała mnie.

Jej siostra siedziała na ławce w ogrodzie z lalką w wózku.

– Czuje się już dobrze. Nieprawdaż, kochanie? – zwróciła się do chorej Lucy.

Flora pokiwała głową. Kołysała wózkiem do przodu i do tyłu.

– Takie wożenie szybciej go usypia – powiedziała. Wydawało się, że wszystko jest jak dawniej. Lucy odprowadziła mnie do bramy.

– Wróciła do normalnego stanu – stwierdziła.

Pomyślałam, że „stan normalny” raczej nie wydaje się tu właściwym określeniem. Flora przez moment znalazła się w terażniejszości. Czy to nie mogłoby jej pomóc?

– To już jej się zdarzało przedtem – tłumaczyła Lucy. – Taka zmiana niedobrze na nią wpływa, później się źle czuje, staje się nadmiernie pobudliwa, miewa senne koszmary. Mam dla niej uspokajające lekarstwo przepisane przez lekarza.

– Przez chwilę robiła wrażenie, jakby widziała rzeczywistość taką, jaka jest.

– Nie, niezupełnie. Lepiej jej, kiedy jest jak teraz, spokojna i zadowolona, naprawdę.

– Coś ją musiało sprowokować do takiego ataku – zasugerowałam.

Bezradnie wzruszyła ramionami.

– Zastanawiam się – mówiłam dalej – czy to nie miało czegoś wspólnego z Gerrym Westlakiem.

Lucy obrzuciła mnie przerażonym spojrzeniem.

– Jakim cudem?

– Tylko się zastanawiam, ponieważ był u niej. Widziałam, jak wychodził.

– Och, nie. On wyjechał daleko stąd ze dwadzieścia siedem lat temu albo i więcej.

– Mam szczerą nadzieję, że nic jej nie będzie.

– Dziękuję. Dopilnuję tego.

Wracałam do domu bardzo przygnębiona.

Kiedy następnym razem zobaczyłam się z Tamaryszką, zorientowałam się, że jeszcze nigdy nie widziałam jej w tak złym nastroju. Po rozmowie z Kryspinem domyślałam się, że nie wszystko układa się dobrze i usiłowałam nakłonić ją do zwierzeń. Moja niechęć do Gastona Marchmonta wzrastała. Co więcej, niepokoiło mnie jego zainteresowanie Florą. Robił wrażenie, jakby jej choroba go bawiła; martwiłam się, że tak często ją odwiedza.

Tym razem Tamaryszką nie udzielała mi wymijających odpowiedzi. Widać było, że płakała. Musiała sobie zdać sprawę, że nie ma sensu dalsze udawanie, jakoby niczego jej nie brakowało do szczęścia.

– Tamaryszko – odezwałam się – dlaczego nie powiesz mi, co cię trapi. To czasem pomaga.

– Tu nic nie pomoże.

– Chodzi o Gastona? Pokiwała głową.

– Pokłóciliście się? Zaśmiała się smutno.

– Stale się kłócimy. Właściwie jemu już na mnie wcale nie zależy.

– Co poszło nie tak jak trzeba?

– Wszystko. Powiedział, że jest idiotą, bo wołał Rachelę. Stwierdził, że ona jest bezdennie naiwna i zdaje sobie z tego sprawę. Ja też taka jestem, tylko sobie tego nie uświadamiam. To jedyna różnica między nami. Kryspin go nie cierpi i wzajemnie. Myślę, że Gaston mnie też nienawidzi. Ma gwałtowny charakter, a ja uważałam go za takiego uroczego...

– Biedna Tamaryszka.

– Nie wiem, co robić. Kryspin uważa, że najlepszy byłby rozwód.

– Na jakiej podstawie? Ludzie nie rozwodzą się tylko dlatego, że nagle okaże się, iż nie lubią się tak, jak im się zdawało.

– Z powodu cudzołóstwa.

– Masz jakieś dowody?

– Jestem pewna, że można by je znaleźć. Przyznał mi się, że przed naszym ślubem był kochankiem Racheli. Powiedział, że wołałby ją. Teraz wiem, dlaczego się ze mną ożenił: z powodu naszego majątku. Sądził, że jestem bogata. Ja coś tam mam, oczywiście, ale on chciałby zawładnąć wszystkim. Twierdzi, że mój brat nie wie, jak żyć.

– A on zapewne wie... unieszczęśliwiając innych oszustwem... kłamstwem.

Nie przestawałam myśleć o tym, co mi powiedziała o Racheli. Co by było, gdyby tajemnica się wydała? Koniec szczęścia Grindle'ów. A co z małą Danielą, ich największą radością? Nie mogłam znieść myśli, że Gaston miałby to wszystko zniszczyć. Nie może, nie wolno mu, nie robi tego. Sam postawiłby się w fatalnym świetle jako mężczyzna, który uwiódł i porzucił młodą, ufającą mu dziewczynę!

– Kryspin usiłuje znaleźć jakiś sposób, żeby się go pozbyć. Gaston przez cały czas nas oszukiwał. Nawet jego nazwisko nie jest prawdziwe. Nie ma też żadnych posiadłości ziemskich. To niebieski ptak bez grosza przy duszy. Och, Fred, tak bardzo mi wstyd.

– Cóż, sądzę, że nie ty jedna mu uwierzyłaś. Potrafi być przekonujący.

– Za dużo pije, a wtedy wiele wychodzi na jaw. Dużo mówi o Racheli. Twierdzi, że gdyby tylko chciał, zostawiłaby wszystko i wyjechałaby z nim.

– To bzdura!

– Wiem. Ale to, co między nimi zaszło, jest prawdą. Ona się w nim podkochiwała.

– Rachela jest bardzo szczęśliwa w małżeństwie – odparłam. – Ma dziecko. Nie brałaby w ogóle pod uwagę jego ewentualnych umizgów, nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości.

– Okazałaby się z pewnością dobrą żoną, ale jest dziecko. W tym samym czasie musiała być też bardzo blisko z Danielem.

Należało przerwać ten temat. Spytałam pospiesznie:

– A co ty zamierzasz zrobić, Tamaryszko?

– Nie wiem. Kryspin twierdzi, że znajdziemy jakiś sposób. Jest bardzo mądry i rozważa wszystko. Wątpię, czy nadal będzie znosił Gastona w swoim domu. Gaston ciągle zabiega o względy mamy, prawi jej komplementy, że jest tak piękna, jak młoda dziewczyna. Ona stoi po jego stronie, ale to mu nie pomoże. Jestem pewna, że Kryspin wkrótce coś przedsięwzięmie.

Pomyślałam o Kryspinie. Czy powinnam mu powiedzieć, z czego zwierzyła mi się Tamaryszka?

Kiedy przyszedł do biura, nadarzyła się okazja, że mogłam o tym wspomnieć.

– Dobrze się stało – odrzekł. – Czy moglibyśmy się spotkać na lunchu tam, gdzie poprzednio, o pierwszej?

Odpowiedziałam, że przyjadę.

Zdałam mu dokładną relację z tego, co usłyszałam od Tamaryszki.

– Co pan zamierza teraz zrobić? – spytałam.

Najlepiej byłoby się go pozbyć, ale to niemożliwe. Gaston nie ma zamiaru uwolnić nas od swej obecności i dobrowolnie wyjechać. Pozostaje jedyne radykalne rozwiązanie – rozwód. Nie całkiem satysfakcjonujące, lecz innego nie widzę.

– A jaki byłby powód?

– Według mnie cudzołóstwo. Na podstawie tego, co o nim wiemy, wnioskuję, że mojej siostrze z pewnością udałoby się uzyskać dowód.

Byleby tylko nie w związku z Rachelą, to byłoby straszne. Jednak chodziłoby tu o fakty sprzed małżeństwa, a te się nie liczyły. Lecz gdyby zaczęto drażnić całą sprawę, mogłyby się pojawić pewne wątpliwości. Nie wolno dopuścić do tego, by dla rozwodu Tamaryszki poświęcić szczęście Racheli.

– Jest pan zupełnie pewny, że szwagier dopuścił się zdrady małżeńskiej?

– Całkowicie. Szczerze mówiąc, kazałem go śledzić. Gaston nie ma o tym pojęcia, ale gdyby nabrał podejrzeń... zostałby ostrzeżony.

– Uważa pan, że w ten sposób można będzie czegoś więcej się o nim dowiedzieć?

– To człowiek lekkomyślny i chociaż jest przebiegły oraz kieruje się wyłącznie własnym interesem, w pewnych sytuacjach potrafi się głupio zachowywać. Ożenił się z Tamaryszką, gdyż sądził, że zapewni mu wygodne życie, co się chwilowo istotnie stało, lecz wysiłek związany z nieustannym udawaniem kochającego męża to już dla niego za wiele. To oszust, łobuz, pobłażający sobie poszukiwacz przygód. Jest bystry, ale niewystarczająco. Fryderyko, muszę usunąć go z domu. Cieszę się, że Tamaryszka zaczęła się pani zwierzać. Ze mną rzadko rozmawia i zawsze z dużymi oporami. Będzie mogła pani dokładnie mi relacjonować, jaki jest stan jej uczuć. Musimy się często spotykać. – Uśmiechnął się do mnie ciepło, a ja poczułam radość, jak zwykle, kiedy wykazywał zainteresowanie moją osobą. – Nadal dobrze się pani współpracuje z Perrinem? – spytał.

– O tak. Jest bardzo miły i pomocny.

– Pani wie, Fryderyko, że jest pani obiektem mego szczególnego zainteresowania?

– Po incydencie w Barrow Wood. Tak, to zrozumiałe. – Nie mogłam się oprzeć i dodałam: – Choć poprzednio prawie mnie pan nie zauważał.

– O, zauważyłem już wtedy, gdy przyszła pani po raz pierwszy na lekcje do St. Aubyn's.

– Nigdy nie zapomnę chwili, kiedy pana po raz pierwszy ujrzałam.

– Naprawdę? – zapytał.

– To było na schodach. Schodziłyśmy razem z Tamaryszką i Rachelą, a pan wchodził na górę. Tylko kiwnął pan głową, a gdy oddaliłyśmy się na parę kroków, wyraźnie usłyszałyśmy pana głos: „Kim jest to niezbyt urodziwe dziecko?”. Mnie pan miał na myśli.

– Nie!

– Ależ tak, tak było.

– Zabolało?

– Bardzo. Ciocia Zosia musiała poświęcić mnóstwo czasu, żeby ukoić ból mej zranionej próżności.

– Przepraszam, ale wprost trudno mi w to uwierzyć. Niewątpliwie chciałem powiedzieć: „Kim jest to intrygujące dziecko?”.

– Jak się ma trzynastoletnie dziecko przynosi ujmę, nie mówiąc już o aluzji do braku urody, bo to po prostu afront.

– Nigdy mi pani tego nie zapomni.

– Cóż, pewnie nie byłam zbyt urodziwa.

– Pamiętam, że wyglądała pani poważnie, uczesana w dwa warkocze, i że miała pani przenikliwe spojrzenie.

– A pan przenikliwy głos.

– Ubolewam nad tym, proszę mi wierzyć. Zachowałem się głupio... jak nierozgarnięty prostak. Powinienem był dostrzec, że jest pani atrakcyjną, młodą damą. Niewyróżniające się urodą dziewczynki przemieniają się z czasem w prawdziwe piękności, no, wie pani, brzydkie kaczątko staje się łabędziem.

– Nie musi pan się usprawiedliwiać, byłam pospolita. Ale po tym incydencie zaczęłam przykładać więcej uwagi do swego wyglądu. Więc sam pan widzi, w końcu wyszło mi to na dobre.

Mocno uścisnął moją dłoń.

– Pani dobro zawsze będzie moim celem. Zawsze.

Wydawało mi się, że chce jeszcze coś powiedzieć, lecz po chwili wahania najwidoczniej zmienił zdanie.

– A zatem zawieramy układ – oświadczył. – Musimy się często spotykać. Pani będzie mi przekazywać, co odkryła, i postaramy się wspólnie znaleźć jakieś wyjście.

Potem gawędziliśmy jeszcze o sprawach dotyczących majątku, temacie, na który mogłam się już kompetentnie wypowiadać. Kryspin był wyraźnie z tego zadowolony i prowadził rozmowę z dużym ożywieniem. Kiedy się rozstawaliśmy, powiedział:

– Boję się o Tamaryszkę, ale znajdziemy jakieś rozwiązanie, a w każdym razie na pewno miło ze sobą spędzimy czas.

Często odwiedzałam farmę Grindle'ów. Daniela była uroczym dzieckiem i jej osóбка szczególnie mnie zajmowała. Rachela wyglądała na bardzo szczęśliwą. Chyba udało się jej oderwać od wspomnień przeszłości, co głównie zawdzięczała dziecku.

Niestety, ów błogi stan został zakłócony.

Niedługo po mojej rozmowie z Kryspinem w gospodzie odwiedziłam Rachelę i od razu wiedziałam, że stało się coś niedobrego.

– Freddie – przywitała mnie u drzwi – on tutaj był. Gaston tu przyszedł.

– A po co, u licha?

– Uznał, że znowu powinniśmy być przyjaciółmi.

– Co za bezczelność!

– Och, Freddie, to było straszne. Tak się bałam.

– Co się stało?

– Zapytał: „Kiedyś mnie kochałaś, pamiętasz?”. Powiedziałam, żeby sobie poszedł, że nie chcę go więcej widzieć na oczy. Zachował się okropnie, usiłował mnie objąć. Umierałam ze strachu.

– Jak się tu dostał?

– Po prostu przyszedł. Jedna ze służących wprowadziła go do bawialni, gdzie właśnie coś robiłam. Myślałam, że nigdy nie wyjdzie.

– Powiedziałaś Danielowi?

– Tak. Bardzo się zdenerwował. Chyba mógłby zabić Gastona, gdyby go tu zobaczył. Daniel rzadko wpada w złość, ale tym razem był wściekły. Och, mam nadzieję, że Gaston nigdy już tu więcej nie przyjdzie. Jeśliby się pojawił...

– Nie może ci zrobić krzywdy.

– Myślę o Danielu.

– Czy on się domyśla?

– Tak. Wtedy mu powiedziałam, że spodziewam się dziecka i zrozumiałam, że wcale go to nie obchodzi... chyba tylko o tyle, o ile mogło zagrozić jego planom poślubienia Tamaryszki.

– Teraz nie może ci zrobić żadnej krzywdy.

– Może rozpowiadać, że Daniela jest jego dzieckiem. Mógłby wywołać straszliwy skandal. Pomyśl, co by to dla niej znaczyło. Ludzie nie przestaliby mówić o tym przez wiele lat. Och, Freddie, w jakie kłopoty sama się wpędziłam!

– Wszystko będzie dobrze. Nic nie może ci zrobić. Przytuliła się do mnie i wyszeptała:

– Tak się boję. Tak strasznie się boję.

Nie powiedziałam jej o tym, lecz i ja się bałam.

Jakże nie znosiłam tego człowieka! Gdziekolwiek się pojawiał, sprowadzał nieszczęście. Sądziłam, że wszystko już dobrze się ułożyło, skoro Daniel przyjął i pokochał dziecko, lecz teraz było jasne, jaką krzywdę mógł im wyrządzić Gaston. Zaczęłam znowu w duchu wyrzekać na niego. Gdyby tylko wyjechał! Ale na to się nie zanosilo! Cenił sobie luksus i w St. Aubyn's było mu aż nadto dobrze. Zaplanował, że poślubi Tamaryszkę i osiadzie tutaj – i nie miał najmniejszego zamiaru się wynosić. Gotów byłby nawet walczyć o to, by dalej móc prowadzić wygodne życie, bez względu na dobro innych.

Tymczasem w Harper's Green nowe wydarzenia poruszyły całą okolicę. Harry Gentry odkrył, że Gaston Marchmont zaleca się do jego córki, Celi. Dziewczyna miała zaledwie szesnaście lat. Przyłapał ich razem w drewni w ogrodzie.

Dla Harry'ego było jasne, jakie ma zamiary wobec jego córki Marchmont, i wpadł w szal. Oświadczył, że zabije tego człowieka. Gaston usiłował się tłumaczyć, ale Harry poszedł do domu i wrócił ze strzelbą, z którą polował na króliki.

Gaston uciekł, a Harry wypalił w powietrze dla ostrzeżenia. Sąsiedzi usłyszeli strzały i przybiegli, żeby zobaczyć, co się stało.

Zaczęto mówić również o kłopotach we dworze St. Aubyn's. Ucieczka i potajemny ślub to bardzo romantyczne, ale patrzcie, co się teraz dzieje. Pan Kryspin musi się zastanowić, jak się pozbyć tego typu.

Rachelę coraz bardziej ogarniał strach. Nie mogła znieść myśli o skandalu, który miałby dotknąć jej rodzinę. Gastona Marchmonta to by nie obchodziło. Sprowadziłby na wszystkich kłopoty, gdyby widział w tym korzyść dla siebie.

Pewnego dnia do biura przyszedł Kryspin. Wybrał popołudniową porę, gdyż wiedział, że wtedy nie będzie Jakuba Perrina.

– Jest coraz gorzej – stwierdził. – Naprawdę musimy się pozbyć tego człowieka.

– Ma pan jakiś pomysł? – spytałam.

Potrząsnął przecząco głową, ale zaraz dodał:

– Wdaje się w różne flirty i może nie będzie trudno znaleźć coś przeciw niemu.

Drżałam o Rachelę. Pragnęłam, aby Kryspin zrozumiał, jak ważne jest, by nie włączać mojej przyjaciółki w tę sprawę, ale nie mogłam mu nic wyjaśnić bez jej pozwolenia, a wiedziałam, że nigdy by się nie zgodziła.

Kryspin siedział na brzegu biurka, kołysząc nerwowo nogą, z posępną twarzą, zapatrzony gdzieś w przestrzeń. Sprawiał wrażenie człowieka doprowadzonego do ostateczności własną bezradnością. Doskonale go rozumiałam, gdyż czułam się tak samo.

– Mówił pan, że Gaston jest śledzony – odezwałam się cicho.

– Tak, ale ta mała sensacja z Celią niewiele tu pomoże. Rozległo się pukanie do drzwi.

– Proszę! – zawołał Kryspin.

Wszedł jeden z robotników rolnych, pracujących w majątku.

– Właśnie byłem koło domu panny Lucy, zauważyła mnie i powiedziała... – zająknął się – ...powiedziała, żebym poszedł do pana, sir, i to zaraz, i prosiła, czy nie mógłby pan tam przyjść. Coś się stało.

– Już jadę – odrzekł Kryspin. Wybiegł i wskoczył na konia.

– Pojadę za panem – zaproponowałam. – Może przyda się moja pomoc.

Kiedy tam dotarłam, wbiegłam do domu. Flora była z Lucy i Kryspinem w kuchni. Wyglądała jak osoba doprowadzona do szaleństwa, Lucy zaś powtarzała:

– Już wszystko dobrze, Floro. Już wszystko dobrze.

Kryspin także usiłował ją uspokoić, lecz na próżno.

– On zabrał mi dziecko – łkała. – Wziął je. Chciał zrobić mi krzywdę. Powiedział, że nie robi, jeżeli ja... jeżeli ja...

– Nie płacz – mówił łagodnym głosem Kryspin. – Już po wszystkim.

Potrząsnęła głową.

– Nie, nie. On nalegał: „Powiedz... powiedz... to zwrócę ci dziecko”.

– I ty mu powiedziałaś – odezwała się Lucy bezbarwnym głosem.

– To już nie jest sekret. Miał nigdy nie zostać wyjawiony... ale chodziło o dziecko... on chciał skrzywdzić dziecko!

Domyślałam się, o kim mówi. Oczywiście o Marchmoncie. Czyż nie spotkałam go tutaj kilka razy? Interesował się Florą. Był zaintrygowany... zdecydowany odkryć, jaki sekret miał pozostać nigdy nie ujawniony. I znalazł sposób, żeby się tego dowiedzieć. Och, biedna Flora! Pokazała Gastonowi obrazek ze srokami tak jak mnie, a ten łotr chciał zmusić ją do wyjawienia tajemnicy.

Zastanawiałam się, dlaczego tak się interesował chorobą Flory, dlaczego, skoro zajmowało go jedynie to, co mogło mu przynieść korzyść?

Lucy zaprowadziła Florę do jej pokoju, Kryspin został do pomocy, a ja wróciłam do domu.

Cały dzień myślałam o tym, co się stało, a w nocy miałam przerażający sen. Byłam w Barrow Wood, leżałam bezradna na ziemi i zbliżał się pan Dorian. Wołałam o pomoc. Usłyszałam szmer między drzewami. To nie pan Dorian szedł ku mnie. Zobaczyłam siedem srok, które usadowiły się na drzewie i patrzyły złym wzrokiem. Ogarnęło mnie przerażenie nie mniejsze, niż gdyby to naprawdę był tamten człowiek.

Obudziłam się w panice. To tylko sen, usiłowałam sobie tłumaczyć, głupi sen. Jak mogło mnie tak przestraszyć kilka ptaków?

Minął dzień. Chciałam zobaczyć Florę, lecz obawiałam się, że nie byłabym tam mile widziana. Spodziewałam się, iż Kryspin wpadnie do biura, lecz nie przyszedł. Na szczęście Jakub nie zauważył mego zatroskania.

Następnego ranka, gdy siedziałyśmy przy śniadaniu, przyszedł listonosz. Jeśli starczało mu czasu na filiżankę herbaty, Lily przyjmowała go w kuchni. Tym razem przyprowadziła Toma do nas. Oczy miała szeroko rozwarłe z przerażenia, nowiny musiały być straszne.

– Tom mi właśnie powiedział – rzekła – że w zaroślach na terenie St. Aubyn’s znaleziono zastrzelonego Gastona Marchmonta.

Zrobiło mi się słabo.

– Tak – potwierdził listonosz. – Znaleziono go dziś rano, na tyłach domu. Jeden z ogrodników natknął się na ciało. Musiało leżeć przez całą noc.

– A to ładna historia – powiedziała Lily. Usłyszałam własny łamiący się głos:

– Jak? Kto?

– Tego właśnie – odrzekł Tom – będą musieli się dowiedzieć.

A więc stało się. Zagroził paru osobom i mogły chcieć się go pozbyć. Byłam przerażona, gdyż obawiałam się, że winnym morderstwa okazać się może ktoś, kogo znam.

Najpierw przyszedł mi na myśl Daniel. Nie umiałam sobie wyobrazić, że ten łagodny człowiek mógłby popełnić morderstwo. To by oznaczało koniec szczęścia Racheli.

Harry Gentry? Groził Gastonowi bronią i nawet z niej strzelał.

Tamaryszka? Zaczynała go nienawidzić. Oszukał ją i upokorzył. Miała taką naturę, że nikt nie mógł przewidzieć, jak się zachowa. Była lekkomyślna, nade wszystko jednak nie potrafiłaby znieść upokorzenia.

Kryspin nienawidził szwagra i nieraz mówił, że chciałby się go pozbyć. Gaston stał się dla wszystkich zagrożeniem. Nawet biednej Florze zburzył spokój. Robił przykrości wszędzie, gdzie się dało.

Byłe tylko nie Kryspin, powtarzałam sobie w duchu. To przekraczało granice mej wytrzymałości.

Po raz pierwszy zmuszona byłam odpowiedzieć sama sobie na pytanie, jakie naprawdę żywię do niego uczucia. Pociągał mnie od chwili, gdy go zobaczyłam. I kiedy wypowiedział ową niefortunną uwagę, zabolęła tym bardziej, że pochodziła od niego. Barrow Wood? Cóż, to, co tam się stało, pozostawiło niezatarty ślad w nas obojgu. Co do mnie, nigdy nie mogłam zapomnieć gniewu Kryspina, kiedy rzucił na ziemię pana Doriana, a jednocześnie czułości, z jaką zwrócił się do mnie. Nasze spotkania w gospodzie sprawiały mi radość. Usiłowałam ukryć sama przed sobą, jak bardzo czekam na jego pojawienie się w biurze.

Jednak między nami stała jakaś bariera, coś, czego nie potrafiłam zrozumieć. Czasami zauważałam jego żywą sympatię do mnie i wyobrażałam sobie, że mu na mnie zależy. Kiedy indziej okazywał dziwną rezerwę. Być może byłam w nim nawet zakochana, lecz niekiedy

czułam, że nie znam go do końca. Rezerwę okazywał nie tylko wobec mnie, to dotyczyło wszystkich. Był fanatycznie oddany sprawom swej posiadłości. Właściwie można to zrozumieć, ciążyła na nim wielka odpowiedzialność. Robił wrażenie, jakby towarzyszyło temu jakieś wewnętrzne napięcie... jakiś sekret.

Sekrety! Wszędzie doszukiwałam się tajemnic. Wiązało to się z moimi wizytami u sióstr Lane i prześladowającym mnie obrazkiem srok. One nawet mi się śniły.

Ciocia Zosia nie mówiła prawie o niczym innym, tylko o śmierci Gastona, ale wtedy w Harper's Green wszyscy o tym rozmawiali.

Kto zabił Gastona Marchmonta? To pytanie znalazło się na ustach dosłownie każdego tutejszego mieszkańca. Panowała atmosfera oczekiwania. Sądziłyśmy, że niebawem poznamy odpowiedź.

Lily była pewna, że to Harry Gentry.

– Miał z nim na pieńku – powiedziała – odkąd przyłapał go z Celią. Ona była chętna, za to ręczę. Jakby się mnie kto pytał, to i tak bez znaczenia. W każdym razie dostał za swoje za te schadzki, a dla niej będzie to dobrą nauką.

Mam nadzieję, że stary, poczciwy Harry nie jest w to zamieszany. Jakkolwiek by było, zostało popełnione morderstwo – rzekła ciocia Zosia. – Wiem, że ma porywczy charakter, ale wątpię, czy czatowałby na Gastona z zimną krwią, jest na to zbyt rozsądny. Nie, ja sędzę, że to ktoś, kto go znał w przeszłości, a ta mogła pozostawiać wiele do życzenia.

Słowa cioci były kojące. Domyślała się, że martwię się o Kryspina. Być może rozumiała moje uczucia lepiej niż ja sama. Świetnie wiedziała, że Kryspin nienawidził swego szwagra i miał ochotę pozbyć się go z St. Aubyn's. Uczepiłam się myśli, że Gastona Marchmonta zamordował ktoś z jego dawnych znajomych.

W ciągu następnych kilku dni policjanci byli stałymi gośćmi w Harper's Green. Wieść o groźbach Harry'ego Gentry'ego jakoś do nich dotarła i kilkakrotnie go przesłuchiowano. Wyglądało na to, że ma alibi. Owego wieczoru, kiedy Gaston został zastrzelony, malował dom sąsiada aż do dziewiątej, a potem ów sąsiad poszedł razem z nim do domu Gentrych. Wypili piwo, zjedli kanapki przyrządzone przez Celię i do północy grali w pokera.

Ustalono, że śmiertelny strzał został oddany pomiędzy godziną wpół do jedenastej a wpół do dwunastej w nocy. Zatem Harry Gentry, jak to się mówi, był czysty.

Poszłam odwiedzić Rachelę. Cieszyłam się, że nikt nie wiedział o jej powiązaniach z Gastonem. Wtajemniczeni byliśmy tylko Tamaryszka, Daniel i ja.

Musiała bardzo oczekiwać mojej wizyty, gdyż powiedziała:

– Spodziewałam się, że jednak kiedyś przyjdiesz.

– Chciałam się wybrać do ciebie wcześniej... ale nie byłam pewna...

– Freddie, ty uważasz, że to Daniel?

Nie odpowiedziałam.

– To nieprawda! – zaprzeczyła gwałtownie. – Wrócił do domu późnym popołudniem i do rana nigdzie nie wychodził. Jan był z nami, może to potwierdzić.

– Och, Rachelo, tak się martwiłam.

– Ja też, a właściwie martwiłabym się, gdybym nie wiedziała, że Daniel przez cały czas był w domu. To się stało wieczorem, między dziesiątą a jedenastą, prawda? On tam leżał... martwy... przez cały ten czas...

– Dlaczego Daniel miałby być w to zamieszany? – spytałam. – Dlaczego ktoś miałby łączyć Gastona z twoją osobą? Nikt nie wie, że mógłby być taki motyw.

– Nie mogą się dowiedzieć, Freddie. Och, nie mogą się dowiedzieć.

– O tobie i Gastonie nie wie nikt oprócz nas... i Tamaryszki.

Spojrzała na mnie z przerażeniem.

– On jej powiedział – wyjaśniłam i dodałam szybko: – Nikomu by tego nie zdradziła. Nie chciałyby ujawniać, że w czasie gdy zalecał się do niej, miał z tobą romans. Wszystko w porządku. Nie ma czym się martwić. Ciocia Zosia sądzi, że to mógł być ktoś, kto go kiedyś znał. Tego typu człowiek jak Gaston zapewne pozostawił za sobą podejrzaną przeszłość. Musiał narobić sobie wrogów. Tu był tak krótko, a przecież już miał wielu.

– Och, Freddie, wiem, że nie powinnam tak mówić, ale się cieszę, że go już nie ma. Nigdy nie zaznałabym spokoju. Cieszę się, cieszę.

– Rozumiem, co czujesz. Naprawdę nie widzę powodu, dlaczego ktoś miałby łączyć cię z Gastonem Marchmontem.

Objęła mnie ramionami i przytuliła się mocno.

– Freddie, dobrze, że jesteś. Wspaniale jest mieć kogoś takiego przy sobie. Daniel często mówi, jaką cudowną przyjaciółką okazałaś się dla nas. Kiedy pomyślę...

– Nie myśl o niczym, tylko zapomnij. Teraz to nie ma znaczenia, uwolniłaś się od niego. Chciałam się tylko upewnić, czy Daniel nie...

– Nie. Przysięgam, że przez cały czas znajdował się w domu.

Tak bardzo chciałam jej wierzyć. Dopóki z nią rozmawiałam, to mi się udawało, lecz po wyjściu od niej pomyślałam, jak bardzo Daniel musiał go nienawidzić jako niedawnego kochanka Racheli. Dziecko, które kochał, nie było jego. A Gaston powrócił i stał się zagrożeniem.

Daniel jest niewinny, Rachela przysięgała, że jest niewinny. Jednak jakiś słaby, wewnętrzny głos mi podszeptował: „No cóż, musi tak mówić, a jak inaczej miałyby się zachować?”.

Poszłam z wizytą do Tamaryszki. Usłyszałam, że jest w swoim pokoju i nikogo nie przyjmuje.

– Proszę powiedzieć pani, że przyszłam – poleciłam służącej. – Jeżeli będzie sobie życzyła, mogę przyjść kiedy indziej.

Poczekalam, aż pójdzie na górę. Już miałam się wycofać, gdy w pośpiechu zeszła do mnie.

– Pani Marchmont prosi panią do siebie, panno Hammond. – Spojrzała na mnie i pokręciła głową. – Biedna nasza pani. Znowu niepokoiła ją policja. Pani źle to znosi.

– Wyobrażam sobie – odpowiedziałam. – Nie zostanę długo, chyba że na jej wyraźne życzenie.

Tamaryszka leżała na łóżku. Była ubrana, ale nieuczesa, włosy miała rozpuszczone na ramiona. Wyglądała bardzo blado.

– Więc przyszłaś, Fred.

– Chciałam wpaść wcześniej, ale nie byłam pewna, czy masz ochotę kogoś widzieć. Dzisiaj też o mało nie zawróciłam.

– Z większością ludzi nie mam ochoty się widywać, ale z tobą chętnie porozmawiam.

Usiadłam koło łóżka.

– Czy to nie straszne? – spytała.

Pokiwałam głową.

– Trudno mi uwierzyć, że już nigdy go nie zobaczę. Nie mogę uwierzyć, że on nie żyje. Policja tu była, ciągle zadają mnóstwo pytań. Przesłuchiwali Kryspina... mamę... i kilkoro służących. Mama jest ogromnie zmartwiona, bardzo go lubiła.

– Tamaryszko, a co ty czujesz?

Zapatrzyła się w przestrzeń i spostrzegłam, jak nagle opadły jej kąciki ust.

– Wiem, że nie powinnam tak mówić... i zachowaj to tylko dla siebie. Cieszę się. Taka jest prawda. Nienawidziłam go.

To wyznanie mnie zaskoczyło, a ona dodała z ironicznym uśmiechem:

– Oczywiście nie powiedziałam tego policjantom. Mogliby mnie uznać za jedną z podejrzanych. Ale wierz mi, bywały chwile, kiedy miałam ochotę popełnić taki czyn.

– Tamaryszko, nie mów w ten sposób!

– To nierozsądne, prawda? Ale w istocie oni prawie mnie podejrzewają... chociaż nie powiedzieli tego wyraźnie. Byłam okropną idiotką, Fred. Ty mnie zawsze tak oceniałaś, czyż nie? Wierzyłam we wszystko, co mi mówił. A kiedy mi mówił, że nie mógłby spojrzeć na żadną inną, miał jednocześnie romans z Rachelą.

– Tamaryszko, proszę, nie opowiadaj o tym. Pomyśl, jakie by to miało konsekwencje dla niej i Daniela, a jest jeszcze dziecko.

– Ale to prawda – odparła.

– Posłuchaj mnie. On miał dużo uroku, lecz teraz już nie żyje i niech na tym się skończy.

– Skończy? A co ze śledztwem?

– Jest nieuniknione. To sprawa o morderstwo.

– Podejrzewają Harry’ego Gentry’ego. Najwidoczniej Gaston polował na młodą Celię. Ależ nieostrożny głupiec! Wcale bym się Harry’emu nie dziwiła.

– A co ci mówili policjanci?

– O, byli niezwykle uprzejmi. Jeden bardzo łagodnym tonem zadawał mi pytania, a drugi notował wszystko w swoim notesie. Musiałam im opowiedzieć o naszym małżeństwie i o tym, w jakim stopniu poznałam Gastona w tak krótkim czasie. Wiedzieli, że przybył tu pod fałszywym nazwiskiem. Czegoś już się o nim dowiedzieli. Najwidoczniej miał kłopoty... pod tym poprzednim nazwiskiem. To strasznie upokarzające być tak oszukaną.

– Nie dręcz się tym. Wielu ludziom to się zdarzyło, a ty byłaś taka niedoświadczona.

– Wszystko opiszą w gazetach. Zachodzę w głowę, kto to zrobił. Mówią, że Harry Gentry siedział w domu z sąsiadem w czasie, gdy zastrzelono Gastona. Ja przez cały czas byłam tutaj. Podobnie Kryspin. Początkowo zastanawiałam się, czy przypadkiem Kryspin...

– Ależ on z pewnością tego nie zrobił! Jest zbyt rozsądnym człowiekiem.

– Pewnie tak, ale go nienawdził. W każdym razie był w domu. Chyba się pewnego dnia dowiemy. Policja znajdzie mordercę, prawda?

– Zapewne tak. Przeważnie im się udaje.

– Cieszę się, że przyszłaś, Fred. Lubię z tobą rozmawiać. Nic nie trwa wiecznie, prawda? Kiedyś to się skończy, a ja wreszcie stanę się wolna.

– Tamaryszko, mam nadzieję, że wszystko będzie dobrze.

– Tak, wiem. Chcesz mnie podnieść na duchu. Pewnie chętnie posłużyłabyś się swymi ulubionymi, starymi mądrościami w rodzaju: „Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło” czy: „Po burzy wychodzi słońce”. Zacznę wszystko od początku. Będę musiała zapomnieć i tylko jedno sobie powtarzam – jestem wolna.

Tak, pomyślałam, masz szczęście, że się od niego uwolniłaś. Niewątpliwie znajdą się jeszcze inni, którzy podzielą twą radość.

Następnego dnia listonosz przybył z nową porcją najświeższych wiadomości.

Lily przyprowadziła go do nas, kiedy jadłyśmy śniadanie.

– Coś się dzieje w St. Aubyn’s – oznajmił. – Rozkopują ziemię między krzewami.

– Po co? – spytała ciocia Zosia.

– Nie wiem, panno Cardingham. Ale na miejscu jest policja.

– Co to ma znaczyć? – zastanawiała się ciocia. – Czego mogą tam szukać?

– Pewnie się wkrótce dowiemy.

Gdy wyszedł, nadal omawialiśmy tę sprawę, a pierwszymi słowami Jakuba Perrina, jakimi mnie w biurze przywitał, były: „Już słyszałaś? Śledztwo toczy się dalej”.

– Rozkopują ziemię w pobliżu dworu. Listonosz dziś rano nam powiedział.

– Niepokojąca sprawa.

– Ma chyba coś wspólnego z morderstwem.

– Nie wiadomo, jak to się skończy. Tyle plotek krąży, nawet obcy z okolicy się zjeżdżają, żeby obejrzyć miejsce zbrodni. Żałuję, że ten człowiek w ogóle się u nas pojawił.

– Myślę, że nie tylko ty jeden. To dziwne. Przez lata nic się tu nie działo i teraz taka zmiana. Śmierć nieszczęsnego pana Dorian, ucieczka tej pary i potajemny ślub, osiedlenie się tutaj tego człowieka i wreszcie morderstwo.

Zastanawiałam się, co by pomyślał Jakub, gdybym mu opowiedziała o wydarzeniu w Barrow Wood.

– Mam nadzieję, że Kryspin nie ma kłopotów.

– Jakich kłopotów? – spytałam przestraszona.

Nie odpowiedział, ale twarz mu się zachmurzyła. Jakub go podejrzewa, pomyślałam. Wrócił do mnie obraz Kryspina w Barrow Wood – spojrzenie jego oczu, kiedy podrywał

z ziemi pana Doriana. Powiedziałam mu później: „Mógł go pan zabić”, a on odparł, że to byłaby niewielka strata. Czy w ten sam sposób myślał o Gastonie?

Tego dnia pragnęłam jak najprędzej znaleźć się w domu. Ciocia Zosia czekała już na mnie, gdyż miała mi coś ważnego do zakomunikowania. Zanim otworzyła usta, przemknęła mi przez głowę myśl: „Co oni znaleźli tam, w tych zaroślach?”. Ale ciocia oznajmiła:

– Był tu Kryspin. Chce się z tobą zobaczyć w jakiejś ważnej sprawie.

– Kiedy? – spytałam skwapliwie.

– Przyjdzie wkrótce. Wie, o której wracasz z pracy. Powiedział, że o tej porze znowu nas odwiedzi. Będiesz z nim mogła porozmawiać w bawialni.

– A co z tymi poszukiwaniami w pobliżu dworu? – spytałam.

– Nie wiem.

– Ciągłe tam kopią?

– Nie, chyba już skończyli. No, niedługo nadejdzie. Mówił, że chce z tobą porozmawiać na osobności.

Umyłam się, uczesałam i czekałam na zapowiedzianą wizytę. W pewnej chwili usłyszałam odgłos końskich kopyt na drodze i wkrótce potem ciocia Zosia wprowadziła Kryspina do bawialni.

– Może napije się pan wina? – zapytała.

– Nie, dziękuję – odrzekł Kryspin.

– Będę w pobliżu, gdybyście czegoś potrzebowali.

Kiedy zostawiła nas samych, podszedł do mnie i ujął me dłonie w swoje ręce.

– Proszę powiedzieć... co się stało? – spytałam.

Uwolnił moje dłonie i usiedliśmy. Odezwał się bardzo spokojnym głosem:

– Znaleźli strzelbę. Była zakopana między krzewami, niedaleko miejsca, gdzie leżało ciało. Tę, z której strzelano. Nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości.

– Co ich skłoniło do poszukiwań?

– Zauważyli, że ziemia była tam świeżo poruszona.

– Czy to będzie dla nich jakąś wskazówką?

– Strzelba pochodzi z pomieszczenia, w którym trzyma się broń w St. Aubyn's.

Spojrzałam na niego z przerażeniem.

– A co to oznacza?

– Że ktoś wziął broń z dworu, użył jej i zamiast odnieść na miejsce, zakopał.

– Po co?

Wzruszył bezradnie ramionami.

– Czy policja uważa, że to był ktoś z dworu? – spytałam.

– To chyba jedyny nasuwający się wniosek.

– Ale dlaczego ktoś z dworu miałby wziąć broń i nie odnieść jej z powrotem?

– To właśnie zagadka.

– A co sądzi policja?

– Nie wiem. Dopóki nie odnajdą sprawcy, podejrzewają wszystkich. W każdym razie teraz jest oczywiste, iż ten ktoś miał dostęp do naszego domu.

– Zatem przypuszczenie, że zabójcą Gastona mógł być ktoś obcy, kto w przeszłości stał się jego wrogiem, raczej upada.

– Wróg z przeszłości?

– Och, coś takiego sugerowała ciocia Zosia. Uważa, że taki człowiek jak Gaston Marchmont potrafił wszędzie przysporzyć sobie wrogów i niewykluczone, iż jeden z nich mógł go dopaść.

– Ciekawa teoria. Szkoda, że nieprawdziwa.

– Co się teraz będzie działo? Pokręcił głową i rozłożył ręce.

– Martwi się pan?

– Owszem. To przybliży sprawę do dworu. Ale jak ktoś wziął stamtąd strzelbę i po co ją potem zakopał... do tego raczej byle jak. Bardzo dziwne postępowanie. – Obrócił ku mnie twarz. – Już od dłuższego czasu chciałem z panią porozmawiać. Być może chwila nie jest najwłaściwsza, lecz czuję, że dłużej nie mogę czekać.

– Co pan chciał mi powiedzieć?

– Musiała się pani zorientować od pewnego czasu, że jestem nią bardzo zainteresowany...

– Po tamtym okropnym wydarzeniu...?

– To także. Ale też przedtem. Od samego początku.

– Kiedy pan zobaczył niezbyt urodziwe dziecko?

– To zostało wybaczone i zapomniane. Fryderyko, kocham cię. Chcę, żebyś mnie poślubiła.

W zdumieniu opadłam na krzesło.

– Zdaję sobie sprawę, że czas nie jest stosowny. Lecz nie mogę już ukrywać dłużej moich uczuć. Wiele razy omal się z tym nie wyrwałem. Mam wrażenie, że zmarnowałem tyle czasu.

– Patrzył mi badawczo w oczy. – Chcesz, żebym mówił dalej?

– Tak – rzuciłam pospiesznie – chcę.

– Czy to znaczy...?

– Że pragnę to od ciebie usłyszeć.

Podniósł mnie z krzesła i wziął mocno w ramiona, a ja – wbrew wszelkim obawom i podejrzeniom – poczułam się szczęśliwa.

Pocałował mnie gorąco, wręcz namiętnie.

Zabrakło mi tchu z wrażenia. Pomyślałam, że to chyba sen. Niedawne wydarzenia były wystarczająco dziwne, ale to ostatnie absolutnie nieoczekiwane.

– Bałem się ujawnić moje uczucia – tłumaczył. – To, co się stało w przeszłości, nie mogło pozostać bez wpływu, prawda? Myślałaś, że wszystko jest skażone. Ale teraz...

– Usiądźmy i porozmawiajmy – poprosiłam.

– Najpierw mi powiedz, czy ci na mnie zależy.

– Oczywiście, że zależy.

– Wobec tego jestem szczęśliwy. Bez względu na to wszystko... czuję się szczęśliwy. Będziemy razem. Cokolwiek się stanie, stawimy temu czoło.

– Trochę mnie to oszołomiło.

– Ale wiesz, co czuję!

– Przedtem nie byłam tego całkiem pewna. Kiedy mówiłam o wyjeździe... zatrzymałeś mnie tutaj.

– Przecież nie mogłem pozwolić ci się oddalić.

– Mnie zaś trudno było pogodzić się z myślą o opuszczeniu domu.

– A jednak miałaś taki zamiar.

– Wydawało mi się, że tak będzie najlepiej.

– Zachowywałem się dość arogancko, prawda?

– Z rezerwą i powściągliwie.

– To był rodzaj obrony. – Zaśmiał się nagle. – A teraz... kiedy miały miejsce te wydarzenia...

– Być może – odrzekłam – właśnie z powodu tych wydarzeń...

– Musiałem ujawnić swe uczucia. Nie potrafiłem ich dłużej skrywać, Fryderyko. Jakże masz dostojne imię.

– Rzeczywiście, mnie też się takie wydawało. Mama mi je wybrała, gdyż była bardzo dumna ze swej rodziny. Wielu naszych przodków je nosiło i byli to ludzie zasłużeni – generałowie, politycy. Wolałaby, żebym urodziła się chłopcem i stałam się jeszcze jednym Fryderykiem.

Dlaczego rozmawiamy o sprawach, które właściwie nie mają żadnego znaczenia, jak gdybyśmy chcieli odsunąć od siebie coś, czego się lękamy? Nadal pamiętałam jego wściekłość, wręcz furję, z jaką napadł na pana Doriana, oraz to, jak się wyrażał o Gastonie, którego pragnął się pozbyć. Żeby mi się oświadczyć, wybrał właśnie ten moment, w punkcie kulminacyjnym napięcia związanego z morderstwem i w dodatku wtedy, gdy odkryto strzelbę w pobliżu jego domu.

Miałam ochotę zapytać, dlaczego tak postąpił.

– Już od dawna jestem w tobie zakochany – wyznał. – Ponad wszystko pragnę, żebyś i ty mnie kochała, choć trudno mi w to uwierzyć. Nie jestem takim czarodziejem jak...

Twarz mu pociemniała, a mnie znowu ogarnął lęk.

– Kryspinie – odpowiedziałam – ja cię kocham. Chcę za ciebie wyjść za mąż i pragnę, by nasz związek był idealny pod każdym względem, teraz i zawsze. Chcę wszystko o tobie wiedzieć. Między nami nie powinno być żadnych sekretów.

Wyczułam ślad rezerwy, chwilę zastanowienia, zanim się odezwał:

– Oczywiście, ja także tego pragnę.

Istniało coś, co ukrywał. Modliłam się w duchu, aby nie był zamieszany w ową potworną aferę. W przeciwnym razie nie miałabym sił do zniesienia takiego ciosu. Wydawało mi się, jakby podjął wątek naszej miłości po to, żebym odsunęła na bok wszystko inne poza świadomością, że kochamy się nawzajem. Odezwał się niemal usprawiedliwiającym tonem:

– Doprawdy cudownie, że ci na mnie zależy. I że dbasz także o sprawy naszych dóbr. – Zmarszczył brwi i zrobił nieokreślony ruch dłonią. – To wszystko... te kłopoty... wkrótce się skończą. Dowiedzą się, kto zabił i zamkną śledztwo. Musimy o tym zapomnieć. Będziemy razem i to jest cudowne. Wiesz, kochana, zmieniłaś mnie. Mam teraz inne spojrzenie na świat.

Byłem ponurym człowiekiem, nie wierzyłem w dobro. Pragnę, żebyś poznała historię...
mojego pierwszego małżeństwa.

– To było tak dawno...

– Ale miało wielki wpływ na to, jaki się stałem. Zacząłem się z tego wyzwalać dopiero pod wpływem miłości do ciebie. Będziesz musiała mnie zrozumieć. Nie zaznam spokoju, póki tak się nie stanie. – Przytrzymał mnie mocno w mocnym uścisku i mówił dalej: – Byłem bardzo młody, nie miałem jeszcze dziewiętnastu lat. Uczęszczałem na uniwersytet i któregoś dnia zawitała do miasta trupa aktorów teatralnych. Wśród nich znajdowała się i ona. Wtedy musiała mieć już około dwudziestu pięciu lat. Przyznawała się do dwudziestu jeden. Poszedłem na przedstawienie... grali jakąś komedię muzyczną... śpiewali i tańczyli. Występowała w chórze, w pierwszym rzędzie. Wydała mi się bardzo piękna. Byłem na przedstawieniu premierowym... i następnego wieczoru... Wysłałem jej kwiaty. Wynagrodziła moje starania spotkaniem. Namiętność całkiem mnie zaślepiła.

– To już się zdarzało wielu młodym ludziom.

– Ale nie usprawiedliwia mego szaleństwa.

– Nie, lecz jest pewną pociechą, że nie tylko tobie to się przydarzyło.

– Czy zawsze będziesz szukała dla mnie usprawiedliwienia tak jak teraz?

– Chyba tak zachowują się wszyscy, którzy kochają.

Przyciągnął mnie do siebie i pocałował.

– Tak się cieszę, że ci wyznałem swe uczucia! Wprost nie mogę uwierzyć, że mnie pokochałaś. Odtąd już zawsze będziesz mnie wspierać.

– Jesteś silnym mężczyzną. To ty powinieneś wspierać mnie.

– Będę, ze wszystkich sił... a w moich słabościach ty pozostaniesz u mego boku.

– Jeżeli tylko będziesz mnie potrzebował – przyrzekłam.

Na kilka chwil zapadło milczenie, a on tylko tulił mnie mocno i całował we włosy.

– Zacząłeś opowiadać swoją historię – przypomniałam.

Natychmiast się opanował.

– Bardzo się tego wszystkiego wstydzę, lecz musisz mnie poznać na tyle... – zawahał się, a ja na nowo przez chwilę poczułam lęk.

– Kryspinie, chciałabym wiedzieć wszystko – oświadczyłam stanowczo. – Proszę, niczego nie ukrywaj. Wszystko zrozumiem... cokolwiek by to było.

Ponownie zwróciłam uwagę na jego lekkie wahanie.

– No więc – mówił dalej – wbrew radom moich przyjaciół, ożeniłem się z nią. Zrezygnowałem ze studiów – ostatecznie miałem posiadłość ziemską, a sprawy związane z majątkiem zawsze bardzo mnie interesowały. Pomyślałem, że osiadę tutaj. Katarzyna – mówiłem do niej Kate, ale wątpię, czy to było jej prawdziwe imię – nie była szczerą. Przeciwnie, można by ją nazwać uosobieniem fałszu. Nie chciała mieszkać na wsi. Byłem rozczarowany i szybko zdałem sobie sprawę z tego, jaki popełniłem błąd. Wyjść na głupca, to dla młodego, dziewiętnastoletniego mężczyzny bardzo upokarzające doświadczenie. To może okaleczyć człowieka... czasami na całe życie. Czuję się tak aż do chwili, gdy pojawiłaś się na mej drodze. Zacząłem się zmieniać, przynajmniej żywię taką nadzieję.

– Bardzo mnie to cieszy, Kryspinie.

– Nie zamierzam się usprawiedliwiać, ale tak naprawdę nigdy nikomu na mnie nie zależało, poza Lucy Lane. Dlatego tak łatwo dałem się Kate wyprowadzić w pole. Świetnie potrafiła udawać. Rodzice nigdy właściwie nie interesowali się ani Tamaryszką, ani mną. Za bardzo pochłaniało ich własne życie, do którego nie należeliśmy, a Lucy zawsze zachowywała się wobec mnie wspaniale.

– A ty wobec niej.

– Robiłem tylko to, co wydawało mi się oczywiste.

– Uważam, że opiekowałeś się nią nadzwyczajnie... nią i jej siostrą.

– W tej sytuacji z ulgą przyjąłem wyjazd Kate. Nawet nie potrafię wyrazić, co czułem.

– Dobrze cię rozumiem.

– Słyszałaś o tej katastrofie kolejowej. Zostałem wezwany, żeby zidentyfikować Kate. Obrażenia ciała były straszne. Na szczęście miała pierścionek, który jej ofiarowałem jeszcze przed ślubem. Pochodził z biżuterii pozostającej w naszej rodzinie od lat, był ozdobiony bardzo delikatnie wyrzeźbionym herbem – mam ten klejnot nadal. To wystarczyło. Pokazano mi jeszcze futrzaną etolę z jej inicjałami na podszewce. Tak zakończył się ów epizod mego życia.

– Musisz o nim zapomnieć.

– Teraz będę w stanie. Twoja miłość przywróciła mi wiarę w siebie.

Zaśmiałam się lekko.

– Wydawało mi się zawsze, że to ostatnia rzecz, jakiej ci brakuje. Tak naprawdę...

– Zachowywałem się arogancko, co do tego jesteśmy zgodni.

– No, powiedzmy...

– Nie musisz tak ostrożnie dobierać słów w stosunku do mnie, najdroższa. Ja oczekuję od ciebie tylko prawdy.

– Tak jak ja od ciebie – odparłam, znowu świadoma, że mym słowom towarzyszy cię niepokoju.

– Odziedziczyłem ten majątek – mówił dalej Kryspin – i całkowicie mu się poświęciłem. Nie masz pojęcia, jak praca tutaj pomogła mi przetrzymać ów niedobry czas.

– Doskonale rozumiem.

– Będzie wspaniale. Pobierzemy się... jak tylko ta afera zostanie wyjaśniona.

Mam nadzieję, że to się wkrótce skończy. Jakub powiedział mi, że już się tu kręcą jacyś obcy, którzy chcieliby obejrzeć miejsce zbrodni.

– O, Jakub – Kryspin spojrzał na mnie bacznie – to dobry chłop.

– Wiem.

– Ma dla ciebie wiele sympatii. Mogę ci się przyznać, że byłem nawet swego czasu o niego zazdrosny.

– Całkiem niepotrzebnie.

– Wiele kobiet uznałoby go za świetny materiał na męża.

– Z pewnością będzie kiedyś czyimś wspaniałym mężem.

– Darzysz go szczególną sympatią?

– Po prostu go lubię.

– Sympatia może czasami przerodzić się w silniejsze uczucie. Ale takie niebezpieczeństwo zostało obecnie zażegnane. Zapewnij mnie o tym, potrzebna mi nieustanna świadomość twego uczucia.

– Zawsze będziesz je miał.

Poderwał się gwałtownie, porwał mnie w ramiona i tak mocno przycisnął do siebie, że nie mogłam widzieć jego twarzy.

– A więc stało się – rzekł. – Wszystko zostało wyjaśnione. Poznałaś moją przeszłość i nadal pragniesz mnie poślubić. Miałbym ochotę tańczyć z radości, ale znasz me umiejętności w tej dziedzinie i nie masz o nich najlepszej opinii.

– Z pewnością nie wyszłabym za ciebie za mąż ze względu na twój kunszt taneczny – powiedziałam lekko.

Teraz już miałam przed sobą jego twarz i pragnęłam jedynie wyzbyć się dręczących mnie obaw. Gdyby to się udało, byłabym bezgranicznie szczęśliwa.

– Ciocia Zosia pewnie już umiera z ciekawości. Może poprosimy ją tu i o wszystkim jej powiemy?

– Oczywiście. Chciałbym to ogłosić całemu światu.

Moja opiekunka weszła do bawialni.

– Mamy dla ciebie nowinę, ciociu – zwróciłam się do niej. – Kryspin i ja zaręczyliśmy się właśnie.

Wprawdzie widziałam, że jest zaskoczona, lecz było to z pewnością radosne zaskoczenie.

Najpierw ucałowała mnie, potem Kryspina.

– Niech was oboje Bóg błogosławi – powiedziała. – Wiedziałam... po prostu wiedziałam. Najwyższy czas!

Po wyjściu Kryspina zostaliśmy w bawialni, żeby jeszcze na ten temat porozmawiać.

Nasze zaręczyny prawdziwie ciocię uszczęśliwiły.

– Zawsze uważałam, że Kryspin jest bardzo dobrym człowiekiem – rzekła. – I kiedy widziałam was razem, coś mi mówiło, że to się tak skończy. Wynałazł tę pracę dla ciebie. To był czytelny znak, aż śmiać mi się chciało. Oczywiście ma już za sobą jedno małżeństwo. Raczej smutna sprawa. Był wtedy taki młody, a najgorszą rzeczą w życiu jest to, iż młodzi sądzą, że pozjadali wszystkie rozumy, i dopiero gdy się człowiek starzeje, uzmysławia sobie, jak mało wie. Ale to wszystko składa się na życiowe doświadczenie i jeżeli raz zdarzy się nam fatalne potknięcie, wiemy później, jak postępować, żeby podobne już się nie przytrafiło. Jestem ogromnie szczęśliwa. Freddie, przede wszystkim ze względu na ciebie, ale i na siebie. Zostaniesz tuż obok, o żabi skok. Najlepsza rzecz, jaka mogła się wydarzyć. Zawsze strasznie się bałam, że któregoś dnia gdzieś wyjedziesz.

Powiedziałam o odnalezieniu strzelby. Ciocia wyraźnie się zasepiła, zmąciłam jej radość.

– Broń z dworu St. Aubyn's! – zawołała. – A cóż to może oznaczać?

– Nie wiadomo.

– Można by wyciągnąć wniosek, że któryś z jego mieszkańców oddał ten strzał.

– Ktoś mógł dostać się do domu i zabrać strzelbę.

– Musiałby bardzo dobrze go znać. Takich osób jest wiele.

– Dlaczego ją zakopał? Czemu nie odniósł na miejsce?

– To jest właśnie zagadka. Och, czekam tylko, żeby ta nieszczęsna sprawa już się zakończyła.

– Nie nastąpi to wcześniej, aż znajdą mordercę.

Patrzyła na mnie oczami pełnymi niepokoju.

Miałam ochotę wykrzyknąć: „To nie Kryspin! On przez cały czas był w domu. Nie zabija się własnego szwagra tylko dlatego, że nie darzy się go sympatią”.

Czułam, że cioci nie opuszcza jedna myśl: „Dlaczego wybrał ten szczególny moment na oświadczenia?”.

Nadszedł dzień, w którym rozpoczęła się rozprawa przed koronerem. Kryspin i ja nie ogłosiliśmy oficjalnie naszych zaręczyn, uznając, że nie jest ku temu właściwy czas. Ciocia Zosia poparła tę decyzję.

Nad Harper's Green zawisła atmosfera podejrzeń. O odkryciu broni na terenie St. Aubyn's przypominały nagłówki w gazetach i wszędzie o tym rozprawiano. W tych warunkach należało się spodziewać różnych dziwacznych wniosków. Wszyscy byli pełni niepokoju.

Kiedy następnego dnia rano zjawiłam się w biurze, zastałam Jakuba pogrążonego w zadumie.

– Co za potworna historia! – rzekł. – Już nie mogę znieść kręcących się tu gapiów. Każdy z nich stara się choć rzucić okiem na miejsce zbrodni. Żeby już wreszcie znaleźli mordercę i skończyli z tym wszystkim.

– Wtedy będzie jeszcze większy szum, gdyż rozpocznie się proces – przypomniałam mu.

– Mam nadzieję, że nikt stąd nie jest w to zamieszany – powiedział niepewnie. – Biedna pani Marchmont! To musi być dla niej ciężkie doświadczenie.

– W ogóle nie wychodzi z domu – zauważyłam. – Jest na pewno ogromnie zdenerwowana.

– Oczywiście będzie musiała stawić się na rozprawie i biedny Harry także. Poza tym służący, w każdym razie niektórzy. Ciekawe, jaki to wywrze wpływ na całą posiadłość.

– A jaki mogłoby wywrzeć wpływ?

Tak sobie myślę, że jeżeli nie znajdą mordercy, to tutaj nigdy nie będzie spokoju. Często się zastanawiam, czyby nie pójść już na swoje. Na początek kupiłbym kawałek ziemi, miałbym własną farmę... miejsce, gdzie mógłbym gospodarować, jak chcę i być swym własnym panem – nie ma nic lepszego.

– Chyba masz rację.

– Najpierw ewentualnie można by coś wydzierzawić, a dopiero potem odkupić. – Spojrzał na mnie wyczekująco.

– Ale teraz – zauważyłam – dobrze ci się tutaj powodzi. Och, jestem ogromnie ciekawa, co się dzieje na rozprawie.

– Najgorsze, że broń została zakopana niedaleko dworu.

– Mam nadzieję, że to nikt, kogo znamy – powiedziałam.

– Raczej ktoś z jego przeszłości...

– ...która musiała być raczej podejrzana. Tak, to by było najlepsze rozwiązanie.

– Nie wiem, jak przetrzymam ten dzień. Wracam do domu tak szybko, jak tylko będzie można.

Ciocia Zosia oczekiwała na werdykt z taką samą niecierpliwością jak ja. Byłam pewna, że Kryspin, świadomy mego niepokoju, natychmiast przyjedzie do „Jarzębin”, co też uczynił.

– Zgodnie z werdyktem – zawiadomił nas – popełnione zostało morderstwo przez osobę lub osoby nieznane.

– A czego więcej można było oczekiwać – zauważyła ciocia.

– I co dalej? – spytałam.

– Policja nadal będzie prowadziła śledztwo – powiedział.

– Dla wszystkich przesłuchiwanym świadków było to ciężkie przeżycie. Biedna Tamaryszka najbardziej się zdenerwowała. Harry Gentry trzymał się dzielnie. Oczywiście, że groził Marchmontowi i nawet wystrzelił, ale w powietrze, miał na to kilku świadków. A ów fatalny strzał nie pochodził z jego strzelby, tu nie ma wątpliwości. Wyszło na jaw, że Marchmont był odrażającym typem, co jednak nie dawało nikomu prawa do jego zamordowania. To jeszcze nie ostatnie przesłuchanie. Sprawa strzelby wywołała wielkie poruszenie, gdyż zdaje się wskazywać na kogoś z naszego otoczenia. Zadawano mi wiele pytań na temat tej broni i miejsca jej przechowywania. Obecnie bardzo rzadko ktoś z nas tam zachodzi. Swego czasu w naszych dobrach często urządzano polowania, ale teraz już nie. Najdziwniejsze jest, że ktoś zabrał strzelbę, a potem ją zakopał. Jeżeli ta osoba miała dostęp do domu, to wydaje się, że najprościej byłoby odłożyć broń z powrotem na miejsce.

– To by raczej wskazywało na kogoś, kto mógł się dostać do domu, ale tam nie mieszka – wyraziłam to przypuszczenie z pewną ulgą.

Kryspin uśmiechnął się do mnie. Najwyraźniej zrozumiał moją intencję.

– Chyba i oni odnieśli takie wrażenie – rzekł. – Tak czy owak, nie ma wątpliwości, że dalszy ciąg tej nieszczęsnej sprawy nastąpi, ale przynajmniej rozprawa przed koronerem została zamknięta.

Duch z przeszłości

Zbliżał się już koniec września i we dworze St. Aubyn's szykowano przyjęcie, na którym Kryspin i ja mieliśmy ogłosić nasze zaręczyny.

– Mamie na tym bardzo zależy – powiedział mi Kryspin. – W naszej rodzinie zawsze starano się przestrzegać form towarzyskich.

Ludzie nadal rozprawiali o morderstwie. Zamiast wyciszyć zainteresowanie tym niezdrowym tematem, rozprawa jeszcze je wzmogła. „Osoba lub osoby nieznane”. Coś złowieszczonego tkwiło już w samym sformułowaniu. I w pracy, i w domu wszyscy zadawali sobie jedno pytanie: „Kto zabił Gastona Marchmonta?”.

Podejrzenia kierowały się na niewielką grupę osób. Należał do nich Kryspin, lecz także Tamaryszka oraz Harry Gentry, z tym że wielu ludzi żywiło przekonanie, iż musiał to być ktoś, kto znał Gastona w przeszłości. Bo właściwie dlaczego ten, który dostał się do domu i zabrał strzelbę, nie miał możliwości odłożenia jej na miejsce? Owa teoria miała zatem pewną dozę prawdopodobieństwa.

Tymczasem we dworze wydano kolację, po której kolejna nowina miała zaskoczyć naszą małą społeczność.

Kolację zaszczycała swą obecnością pani St. Aubyn. Od chwili pojawienia się Gastona jej zdrowie na tyle się poprawiło, że przestała udawać chorą, jak poprzednio. Tak bezczelnie ją komplementował, zapewniając, że wygląda jak młoda dziewczyna, iż uwierzyła i zaczęła się zachowywać, jakby była nią nadal. Zasiadała z rodziną do stołu przy posiłkach, a gdy Gastona zabrakło, nie mogła zbyt szybko ponownie zacząć symulować choroby. Jednak zrobił coś dobrego, pomyślałam sobie. Pani St. Aubyn jest chyba jedyną osobą, która go naprawdę żałuje. Widziało się, że ta śmierć prawdziwie ją zasmuciła.

Na kolację zaproszono Hetheringtonów i przyjaciół z sąsiedztwa, w tym doktora z żoną oraz adwokata z Devizes, doradcę prawnego rodziny. Obecna była oczywiście także ciocia Zosia.

Kryspin siedział u szczytu stołu, a ja po jego prawej stronie. Pani St. Aubyn zasiadła przy drugim końcu i choć robiła wrażenie bardzo zasmuczonej, nie przypominała już owej chorej, której zanoszono posiłki do pokoju. W kolacji uczestniczyła również Tamaryszka. Bardzo się zmieniła. Nic nie zostało z jej dawnego beztroskiego zachowania, nie była już tą dawną, niefrasobliwą dziewczyną.

Wydawało się, że unosi się nad nami duch Gastona Marchmonta, gdyż chociaż wszyscy dokładali starań, aby nawet nie napomknąć o ostatnich wydarzeniach i udawać, że nic się nie stało, okazało się to niemożliwe.

Po kolacji Kryspin wstał i ująwszy mą dłoń, powiedział krótko:

– Pragnąłbym wszystkich zawiadomić, że Fryderyka – panna Hammond – i ja, postanowiliśmy się pobrać.

Zebrani złożyli nam gratulacje i wypiliśmy szampana przyniesionego przez lokaja z dworskiej piwnicy.

Gdyby nie krążący nad nami duch Gastona, byłabym bardzo szczęśliwa. Zastanawiałam się, czy ów upiór zostawi nas kiedykolwiek w spokoju.

Później, w salonie, podeszła do mnie Tamaryszka.

– Niepotrzebne mi to oficjalne oświadczenie – powiedziała. – Nie miałam wątpliwości, co wisi w powietrzu.

– To było aż tak oczywiste?

– Wystarczająco. Zwłaszcza kiedy zaczęłaś pracować. On to wszystko ułożył z myślą o tobie.

– Spełnił dobry uczynek.

– Dobry! Myślał o sobie – stwierdziła.

– Tamaryszko, a jak ty się czujesz?

– Sama nie wiem. Czasami jestem nieszczęśliwa, czasami mi wstyd, a potem się boję. Ale także bywam zadowolona... zadowolona, że odszedł na zawsze... choć w jakimś sensie on jest tu nadal i zawsze będzie, dopóki nie odkryją, kto go zabił. Och, jak żałuję, że w ogóle go poznałam!

Położyłam rękę na jej dłoni.

– Właściwie teraz jesteśmy prawie siostrami – odezwała się. – To mi dodaje otuchy.

– Cieszę się.

– Rachela, ty i ja. My trzy. Zawsze trzymałyśmy się razem, prawda? Chyba tobie lepiej się udało niż nam. Ty i Kryspin. Kto by uwierzył, że Kryspin się zakocha i to w tobie?

– Rachela jest bardzo szczęśliwa w małżeństwie.

– Biedna Rachela.

– Nic jej nie jest. Nie ma powodów do żałowania. A ty, Tamaryszko?

– Odżyję, jak to wszystko się skończy. Żeby tylko winnym okazał się ktoś, kogo nie znamy, wtedy łatwiej można by zapomnieć. Będą tak długo drażnić, aż się dowiedzą. Mam na myśli policję. Nie skończy się na rozprawie przed koronerem.

– Musimy się tak zachowywać, jakby nic się nie stało.

– Niektórzy uważają, że ja to zrobiłam i zawsze będą tak sądzić. Dlatego mówiłam, że jego duch nigdy mnie nie opuści.

– Ależ skąd. Policja rozwiąże tę zagadkę.

– A jeżeli nie będzie nam odpowiadało rozwiązanie?

– Co przez to rozumiesz?

– Dobrze wiesz, co. Usiłujemy się nie przejmować albo nadrabiać miną i przez pewien czas może nam się nawet udawać, ale ta sprawa będzie w nas tkwić i dopadnie nas bez ostrzeżenia. Oni muszą się dowiedzieć, kto zabił. W przeciwnym razie nigdy się od tego nie uwolnimy.

Przyłączyła się do nas ciocia Zosia, radośnie uśmiechnięta. Wiedziała, że się cieszy, lecz czułam, że za jej uśmiechem kryje się pewna obawa.

Tak, istotnie, duch Gastona Marchmonta był wśród nas tego wieczoru.

Ze zdumieniem uświadomiłam sobie, jakie zainteresowanie wzbudziła zapowiedź naszego małżeństwa – i nie tylko pośród mieszkańców Harper's Green, bo to było oczywiście całkiem zrozumiałe.

Kilka dni po kolacji zaręczynowej, gdy zeszłam na śniadanie, zastałam ciocię Zosię już przy stole. Czytała poranną gazetę i gdy podniosła na mnie wzrok, od razu dostrzegłam na jej twarzy wyraz zakłopotania.

– Dzień dobry, ciociu. – Podeszłam i ucałowałam ją. – Czy coś się stało?

Wzruszyła ramionami.

– Chyba nic wielkiego.

– Wyglądasz na zaniepokojoną.

– Zobacz.

Gdy usiadłam koło niej, podsunęła mi gazetę. Na pierwszej stronie widniało zdjęcie Kryspina.

– Cóż to takiego! – wykrzyknęłam.

– Musiało być wykonane w czasie śledztwa. Prasa gdzieś się przyczaiła. Widzisz? Jest z nim inspektor Burrows. Ten sam, który był tutaj, pamiętasz?

Zaczęłam czytać:

– „Zapowiedź ślubu. Zostały ogłoszone zaręczyny między panem Kryspinem St. Aubyn i panną Fryderyką Hammond, która od paru lat mieszka w sąsiedztwie posiadłości St. Aubyn's. Pan St. Aubyn jest właścicielem majątku ziemskiego, na którego terenie znaleziono niedawno zwłoki Gastona Marchmonta. Strzelba, z której padł fatalny strzał, pochodziła z dworskiego magazynu. Będzie to drugie małżeństwo pana St. Aubyn. Jego pierwsza żona, Kate Carvel, aktorka, zginęła w katastrofie kolejowej niedługo po ślubie”.

– Dlaczego oni poruszają ten temat?

– Pewnie uważają, że ludzi to zainteresuje – odrzekła ciocia Zosia.

– Ale ta wzmianka o pierwszym małżeństwie...

– Chyba dodaje jeszcze więcej dramatyzmu.

– Dlaczego w ogóle ludzie mieliby się tym interesować?

– Sprawa nabrała rozgłosu na cały kraj.

Tak, pomyślałam, to nie była lokalna gazeta, lecz rozprowadzana w całej Anglii; przeczytają ją tysiące. Kiedyś wszystko to ulegnie zapomnieniu, lecz niektórzy nadal będą pamiętać. Od tego nie ma ucieczki.

Kryspin nie przejął się specjalnie notatką w gazecie.

– Dopóki sprawa nie zostanie rozwiązana – tłumaczył mi – wszystkie oczy będą na nas zwrócone. Nie możemy się tym przejmować. Pomyślmy o rzeczach przyjemnych. Nie widzę powodu do dalszej zwłoki, pobierzmy się szybko. Mama już się szykuje. Twierdzi, że ślub musi się odbyć zgodnie z rodzinną tradycją. Nie wolno mi zapominać, że jestem głową rodziny i tak dalej. Osobiście zależy mi tylko na tym, żebyśmy wzięli go jak najszybciej. Po prostu pragnę być z tobą... mieć pewność, że już jesteśmy razem... na zawsze.

– Ja też tego pragnę – odparłam. – Tyle tylko, że ślub ściągnie na nas jeszcze większą uwagę prasy.

– Niestety, z tym musimy się pogodzić.

– A może powinniśmy troszkę poczekać... nie za długo, na wypadek gdyby sprawa przybrała nowy obrót.

Kryspin zrobił zdumioną minę.

– Gdyby coś wykryto – dodałam. – Coś bardzo istotnego.

– O nie! – wykrzyknął porywczo. Zasepił się, więc objęłam go ramieniem, a on przytulił mnie i przycisnął do siebie tak, jakby szukał u mnie ochrony. – Nie zostawiaj mnie samego, nie mów o żadnej zwłoce.

Poczułam głębokie wzruszenie. Jednocześnie zaś miałam wrażenie, że choć bardzo pragnę dotrzeć do niego głębiej, coś stoi temu na przeszkodzie. Byłam przekonana, że przedziela nas jakaś bariera, więc powiedziałam:

– Kryspinie, jest jednak coś...

– Co masz na myśli?

Czy mi się tylko wydawało, czy usłyszałam nutę lęku w jego głosie? Pod wpływem nagłego impulsu dodałam:

– Między nami nie powinno być żadnych sekretów.

Cofnął się. Znowu był sobą, mężczyzną panującym nad każdą sytuacją.

– Co masz na myśli, Fryderyko? – powtórzył.

– Myślałam, że może jest coś ważnego, o czym nie wiem. Roześmiał się i pocałował mnie.

– To jest ważne... dla mnie najważniejsze w świecie. Kiedy się pobierzemy?

– Najpierw powinniśmy porozmawiać z twoją matką i ciocią Zosią.

– Spodziewam się, że ciocia Zosia będzie skłonna mnie poprzeć.

– Ona, oczywiście, zgodzi się z każdą decyzją, jaką podejmiemy, ale mówiła, że ze względu... na to wszystko... nie powinniśmy urządzać wielkiej uroczystości ślubnej, o jakiej myśli twoja matka. Zbyt mało czasu upłynęło od tych przykrych wydarzeń.

Milczał.

– Ciocia ma rację – upierałam się. – Twój szwagier nie żyje. To śmierć w rodzinie, w takich przypadkach zwykle czeka się rok.

– To niemożliwe! Nikt nie jest pogrążony w żałobie.

– Ale zostało popełnione morderstwo. Okazalibyśmy brak wrażliwości, gdybyśmy niedługo potem urządzili radosną zabawę. Co by ludzie powiedzieli?

– Czy nas to obchodzi?

– Musimy pamiętać, że sytuacja jest delikatna. Nie możemy zapominać, że zanim sprawa zostanie rozwiązana, niektórym ludziom mogą przychodzić do głowy różne podejrzenia.

Kryspin się zamyślił.

– Chyba nie sądzisz, że mielibyśmy czekać cały rok?

– Nie, tak długo na pewno nie. Ale czy nie powinniśmy zobaczyć, jak się to wszystko potoczy?

– Marzę o tym, żeby stąd wyjechać. Gdzieś daleko. Kochana, dokąd się wybierzemy?

– Dokądkolwiek.

– Byle dalej stąd... od tych domysłów... i tych wspomnień. Chcę, żebyśmy myśleli tylko o sobie, o niczym więcej.

– Byłoby cudownie.

Znowu odniosłam wrażenie, że Kryspin próbuje mi się zwierzyć, powiedzieć, co mu leży na sercu. Przejął mnie potworny strach. Zadawałam sobie pytanie: jaką odegrał rolę w tym morderstwie? Dlaczego nie mówi, co go gryzie. Czyżby nie miał odwagi? Wystarczająco go znałam i kochałam, aby mieć pewność, że między nami stoi jakaś tajemnica.

Czułabym taką radość, gdybyśmy byli razem i nic nie stałoby między nami a naszym szczęściem, gdybym mogła patrzeć w przyszłość z nadzieją i ufnością. Ale nie potrafiłam ustrzec swej wyobraźni przed obrazem ciała leżącego w zaroślach i strzelby zabranej z St. Aubyn's.

Kryspin mówił dalej o naszym miodowym miesiącu. Włochy były zawsze jego ulubionym krajem. Czyż to nie jedno z najpiękniejszych miejsc pod słońcem? Tyle tam zabytków przeszłości, zachowanych do dzisiaj. Florencja, Wenecja, Rzym. Austria też jest interesująca. Moglibyśmy pojechać do Salzburga, gdzie urodził się Mozart. Francja? Zamki nad Loarą. Poza tym zawsze chciał zwiedzić Chateau Gaillard, tak związany z Ryszardem Lwie Serce.

Lecz podczas tej rozmowy nie przestawałam myśleć: jest coś, o czym nie wiem. On tego nie potrafi ukryć do końca: widzę to w jego oczach.

Dlaczego mi nie powie? Nie mogę zapytać, bo zaprzeczy. Lecz na tyle znałam i kochałam Kryspina, że byłam pewna istnienia jakiejś tajemnicy.

Lily nie tała, jak bardzo jest ze mnie dumna.

– Takie wielkie dworzyszczce, co? Zostać panią tego wszystkiego. Słowo daję, będzie nasza panienka za ważna, żeby odwiedzać nas w domku „Pod Jarzębinami”.

Śmiałyśmy się z niej.

– Wiem, Lily, że wcale tak nie myślisz – odrzekłam.

– Pewnie, że nie. Freddie zawsze będzie naszą małą panienką, prawda, panno Zofio?

– Oczywiście, nawet wtedy, gdy my staniemy się już zgrzybiałymi staruszkami, a ona dojrzałą matroną, zawsze pozostanie naszą małą panienką Freddie.

Ciocia Zosia często opowiadała o przeszłości.

– Pamiętam Kryspina jeszcze jako chłopca – mówiła. – Zuch był z niego i tak się opiekował tymi siostrami Lane... trzeba mu to przyznać. Widywałam go od czasu do czasu. Jego rodzice prawie tu nie mieszkali, zawsze albo wyjeżdżali do Londynu, albo szwendali się po Europie, a majątek podupadał. Łaska boska, że mieli dobrego zarządcę. A gdy Kryspin zaczął sam tu gospodarzyć, już lepiej nie mogło się stać. To stało się po jego ślubie: zrezygnował z uniwersytetu i przeniósł się tutaj. W samą porę. Dziwne, ale nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Dzięki swemu małżeństwu wrócił do domu i majątek zaczął prosperować.

– Musiałaś często widywać jego żonę.

– Owszem, widywałam ją. Mój Boże! To była wręcz katastrofa od samego początku. Zastanawiałam się, jak on mógł zrobić coś takiego. To się nazywa szaleństwo młodości. Wyglądała na wiele starszą od niego... bardziej, niż się przyznawała.

– Czy była piękna?

– Nie w moim typie. Sam róż i puder, a włosy zbyt złociste jak na naturalne. Jak tylko ją zobaczyłam, wiedziałam, że to nie potrwa długo.

– Opowiedz mi o tym coś więcej, ciociu, chyba powinnam wiedzieć.

Nie masz się czym martwić, kochanie. Czasami w kolejnym małżeństwie druga żona chce się upodobnić do pierwszej. Myśli, że mąż tęskni za przeszłością. Tobie zostało to oszczędzone. Wyglądał na bardzo zadowolonego, gdy już się jej pozbył, nikt nie miał co do tego wątpliwości.

– A jak było we dworze, kiedy ona tam mieszkała?

– Chciała ciągle wydawać przyjęcia i stale się bawić.

– Jak rodzice Kryspina.

– To nie to samo. Rodzice Kryspina przebywali głównie za granicą, ale obracali się w eleganckim towarzystwie. Jej znajomi byli hałaśliwi, prostaccy, przeważnie z teatrów rewijowych. Biedny Kryspin. Szybko zdał sobie sprawę, w co się wpakował. Wkrótce zaczęło ją to wszystko nudzić, więc spakowała manatki i wyjechała. Niedługo potem wydarzyła się katastrofa kolejowa, w której pani St. Aubyn zginęła. Dla Kryspina to było, jak mawiają, szczęśliwe wyzwolenie.

– Chyba to wszystko wywarło na niego duży wpływ.

– Na pewno. Zamknął się w sobie i nic go nie obchodziło poza sprawami majątku. Jedna lub dwie panie miały na niego oko.

– Masz na myśli lady Fionę.

– Nie tylko, były też inne, ale żadnej nie chciał. Dopiero w tobie się zakochał. Och, Freddie, wierzę, że wszystko ułoży ci się wspaniale. On się bardzo zmienił. Przestał już robić wrażenie człowieka wyniosłego czy zuchwałego. To była jego obrona przed złym losem.

Pewnie doszedł do wniosku, że dał się nabrać jak głupiec. Pogardzał za to sobą i krył się przed światem osłonięty udawaną pewnością siebie jak tarczą.

– Tak – zgodziłam się. – Na pewno masz rację, lecz mimo wszystko czuję, jakby coś stało między nami, coś, co nie pozwala mi zbliżyć się do niego tak, jakbym chciała.

– A więc o to chodzi, kochanie! Upłynie jeszcze pewien czas, zanim Kryspin całkowicie upora się z przeszłością, ale jest na dobrej drodze i to mnie napawa otuchą. Ciebie też powinno, a wiesz, że twoje szczęście jest dla mnie najważniejsze na świecie.

– Moja najdroższa ciociu Zosiu, w ogóle nie wiem, jak mam ci dziękować za wszystko, co dla mnie robisz. Od kiedy tu przyjechałam, jesteś dla mnie po prostu cudowna. Łzy zabłyśły w jej oczach.

– Ukochane dziecko, jesteś moją jedyną siostrzenicą i...

– I córką mego ojca? Powiedz, pisujesz do niego?

– Zawiadomiłam go o twoich zaręczynach.

– Czy ta sprawa w ogóle go obchodzi? Przecież nic nie wie o Kryspinie, a i mnie właściwie nie zna.

– Zna cię bardzo dobrze z moich listów. Zawsze czeka niecierpliwie na wiadomości o tobie. Właśnie wyjechał ostatnio na jakąś wyspę, na drugi koniec świata.

– Myślałam, że jest w Egipcie.

– Opuścił go jakiś czas temu. Ta wyspa znajduje się z dala od cywilizacji. Chyba została odkryta przed laty przez człowieka nazwiskiem Casker, stąd nazwa Wyspa Caskera. Niewielu w ogóle o niej słyszało. Bez skutku szukałam tej nazwy na mapie, w końcu znalazłam ją w jednym atlasie. Taka kropczeka na oceanie, która znaczy zbyt mało, aby umieścić ją we wszystkich.

– Co on tam robi?

– Mieszka u jakiejś kobiety, która ma na imię Karla, chyba to Polinezyjka. Od czasu do czasu o niej wspomina. Nie wiem, dlaczego opuścił Egipt. Przypuszczam, że miał swoje powody, ale mi o nich nie pisał.

– To wspaniale, że pozostajesz z nim w kontakcie przez te wszystkie lata.

– Byliśmy serdecznymi przyjaciółmi. Nadal jesteśmy i mniemam, że zawsze nimi będziemy – odpowiedziała.

Teraz prawie każdy dzień spędzałam z Kryspinem. Obwoził mnie po całym majątku i wszędzie, gdzie się pojawiliśmy, składano nam gratulacje. Bardzo mu zależało, żebym jak najwięcej się nauczyła. W czasie spędzonym w biurze sporo już się dowiedziałam i z wieloma

sprawami byłam dobrze zaznajomiona. To było jego życie, a on pragnął dzielić je ze mną. O niczym bardziej nie mogłam marzyć.

W tym czasie czuliśmy się bardzo szczęśliwi. Zauważyłam w Kryspinie pewną zmianę, może nie dla wszystkich widoczną. Odkryłam nowe cechy jego charakteru, co mnie ucieszyło. Miał w sobie bowiem wielką radość życia, którą poprzednio tłumił. Świat wydawał się teraz pełny zabawnych rzeczy, ciągle się zaśmiewaliśmy i był to śmiech szczęścia.

Teraz wszystko będzie dobrze, myślałam.

Odwiedziliśmy farmę Grindle'ów. Rachel, uradowana z naszej wizyty, przyprowadziła Daniele, żeby się nią pochwalić i rzeczywiście, dziewczuszka okazała się zachwycająca. Miałam okazję porozmawiać parę chwil z Rachelą sam na sam; powiedziała, że bardzo się cieszy z mego szczęścia.

– A ty już przestałaś się martwić? – spytałam.

– Jedynie od czasu do czasu wszystko wraca, lecz to chyba jest nieuniknione. Żeby tylko się dowiedzieli, kto zabił Gastona i skończyli z tym wszystkim raz na zawsze. Boję się, że dopóki to nie nastąpi, nie pozbędziemy się niepokoju. A zdaje się, że policja przestała się już tą sprawą zajmować.

– Nazwą ów wypadek niewyjaśnionym. Z pewnością jest takich sporo.

– Właśnie. Zatrze się w ludzkiej pamięci, choć wzbudzał tyle zainteresowania. Tak zapewne będzie, ale ja bardzo bym chciała, żeby cała sprawa została wyjaśniona.

– My także.

Wsiedliśmy z Kryspinem na konie i ruszyliśmy w drogę powrotną.

Dni płynęły szczęśliwie, aż do chwili gdy zauważyłam w nim pewną zmianę. Znałam Kryspina bardzo dobrze i trudno mu było mnie oszukać. Miałam wrażenie, że wyczuwam jakąś fałszywą nutę w jego śmiechu i zdarzało mi się uchwycić pełne niepokoju spojrzenie. Absorbował go jakiś problem, choć dokładał starań, by udawać, że wszystko jest dobrze.

– Czy coś się stało? – spytałam.

– Nie, nic. Co miałyby się stać?

Tak bardzo pragnęłam, żeby mi się zwierzył. Znowu wróciło do mnie owo niejasne uczucie niepokoju, a myślałam, że pozbyłam się go na zawsze.

Chciałam mu powiedzieć: „Musimy mieć do siebie całkowite zaufanie. Wyjaśnij mi, co cię dręczy. Podziel się tym ze mną”.

Bywało też, że nie wyglądał na zaniepokojonego. Wtedy zastanawiałam się, czy nie ponosi mnie wyobraźnia.

Kilka dni później oświadczył, że wybiera się do Salisbury w interesach i że nie będzie go przez cały dzień. Spytałam, czy nie zabralby mnie ze sobą, lecz odparł, że jest umówiony z wieloma osobami i nie mógłby mi dotrzymać towarzystwa.

– To przecież tylko jeden dzień – dodał.

Lecz kiedy żegnał się ze mną wieczorem, tulił mnie mocno do siebie, jakby niechętnie się ze mną rozstawał.

– Zobaczmy się pojutrze – powiedziałam.

– Tak – odrzekł, nie wypuszczając mnie z objęć.

– Wygląda na to, że nie chcesz, żebym zostawiła cię samego – zauważyłam lekkim tonem.

– Nigdy nie pozwolę, żebyś mnie zostawiła samego – odparł żarliwie.

Następnego rana ciocia Zosia oznajmiła:

– Po południu wybieram się na zakupy do Devizes. Może byś ze mną pojechała?

– Chyba dzisiaj powinnam zajrzeć do biura – zawahałam się trochę.

Skinęła głową.

– Nic nie szkodzi, nie przejmuj się. Wezmę dwukólkę. Muszę przywieźć jedną czy dwie rzeczy. Wrócę przed wieczorem.

Poszłam do biura, gdzie zastałam Jakuba Perrina. Od czasu ogłoszenia mych zaręczyn z Kryspinem jego stosunek do mnie się zmienił. Mniej mówił, zachowywał się z lekką rezerwą. Przedtem czułam, że jako człowiek trzeźwo myślący, na swój sposób rozważał małżeństwo ze mną. Z mojej strony byłoby to nie do pomyślenia, nawet gdyby nie chodziło o Kryspina, chociaż bardzo Jakuba lubiłam.

Zaczął mówić o dzierżawcach i zajmującym go obecnie problemie wychodzących na północ ścian niektórych domów.

– Myślę, że trzeba im się dokładnie przyjrzeć – rzekł. Właśnie wychodził, aby to zrobić, i byłam zadowolona, że nie zaproponował, bym mu towarzyszyła. Zapytałam go o to gospodarstwo, które zamierzał wydzierżawić.

– Rezygnuję z niego – odparł. – Z czasem znajdzie się coś innego, bo to jest już zajęte.

Z ulgą powitałam moment powrotu do domu. Na nowo uświadomiłam sobie, jakie puste są dni bez Kryspina.

Kiedy wróciłam do domu, cioci Zosi jeszcze nie było. Powiedziała, że przyjedzie przed wieczorem, lecz pewnie coś ją zatrzymało. Już zaczynałam się o nią martwić, ale przed siódmą się zjawiała. Wyglądała na zmęczoną i zdenerwowaną.

– Ciociu, dobrze się czujesz? – spytałam zaniepokojona.

– Jestem całkiem wyczerpana. To długa podróż. Idę prosto do swego pokoju.

– Czy mam poprosić Lily, żeby ci przyniosła jakieś jedzenie?

– Nie. Zupełnie nie mam apetytu, zjadłam coś w Devizes. Naprawdę jestem wykończona.

– Co się stało?

– Nic... nic. Kiedy indziej ci powiem. Teraz marzę tylko o łóżku. Już jestem za stara na takie wyprawy.

– Może ci w czymś pomóc?

– Nie... nie. Lepiej będzie, jak się zaraz położę.

– Na pewno nie chcesz niczego od Lily? Może chociaż wypijesz gorące mleko.

– Nie, nie.

Twarz miała zachmurzoną, a to nie było do niej podobne. Udała się do swego pokoju, ja zaś poszłam do kuchni.

– A więc wróciła – powiedziała Lily. – Przygotuję jej kolację.

– Nie chce niczego do jedzenia, poszła prosto do łóżka.

– Musiała coś zjeść w Devizes.

– Wyglądała na strasznie zmęczoną i chciała tylko się położyć.

– Niczego nie chce, też coś! Zaniosem jej szklanekę mleka.

– Stanowczo odmówiła, także mleka. Marzy tylko o łóżku i śnie.

To był ponury wieczór. Zaczął padać deszcz, rozległy się grzmoty. Oczekiwałam, że ciocia Zosia zejdzie jednak na dół i ze zwykłą, gawędziarską swadą opowie mi o swej wyprawie do Devizes. Zachowywała się dziwnie, martwiłam się o nią. Nie mogłam się powstrzymać i poszłam do jej pokoju. Leżała w łóżku z półprzymkniętymi oczami, ale i teraz robiła wrażenie bardzo zmienionej. Przeleżałam się, że może jest chora.

Zeszłam do Lily i powiedziałam:

– Mam nadzieję, że nic jej nie dolega. Tylko do niej zajrzałam.

– Ja też – odrzekła Lily. – Jest po prostu wyczerpana. Będzie miała nauczkę. Zawsze za dużo bierze na siebie.

Musiałam się więc zadowolić takim wyjaśnieniem i poszłam do swego pokoju. Było prawie wpół do dziewiątej. Wszystko wyglądało inaczej bez cioci Zosi. Nie zniósłabym, gdyby jej się coś stało.

Usiadłam przy oknie i patrzyłam w przestrzeń. Niebo nadal było pochmurne. Zwróciłam wzrok ku Barrow Wood. W tym świetle las wyglądał szczególnie groźnie... ale on zawsze robił na mnie takie wrażenie... nawet w promieniach słońca. Z oddali doszedł mnie odgłos grzmotu. To nie był dobry dzień. Ciągle sobie powtarzałam, że należało pojechać z ciocią do Devizes.

Rozebrałam się i położyłam do łóżka. Nie mogłam zasnąć. Nagle wydało mi się, że słyszę kroki. Nie, pomyślałam, dom „Pod Jarzębinami” był stary i posadzki czasem trzeszczały. Często słyszało się to właśnie w ciszy nocy. Ale ten odgłos otwieranych ostrożnie drzwi?

Włożyłam szlafrok, ranne pantofle, podeszłam do drzwi i nasłuchiwałam. Tak, ktoś był na dole. Czyżby Lily? Mówiła, że wcześniej położy się spać, ale może potrzebowała czegoś z kuchni. Postanowiłam zejść na dół i sprawdzić. Udałam się do kuchni i cicho otworzyłam drzwi. Przy stole, w świetle świecy, siedziała ciocia Zosia.

Wyglądała jak uosobienie nieszczęścia. Zgarbiona, z twarzą opartą na dłoniach, patrzyła w przestrzeń.

– Ciociu Zosiu – odezwałam się cicho. Spojrzała na mnie przestraszona.

– Co się stało? – zapytałam.

– Och, nie mogłam zasnąć. Pomyślałam, że zrobię sobie filiżankę herbaty. Zazwyczaj to pomaga.

– Coś się dzieje niedobrego, prawda? Nie odpowiedziała.

– Musisz mi powiedzieć, o co chodzi. Nadal milczała.

– Tak dalej być nie może – nalegałam. – Wiem, że stało się coś bardzo złego. Musisz mi powiedzieć.

– Nie wiem, jak to zrobić – odezwała się w końcu. – Pewnie miałam przywidzenie. Nie, raczej nie. A może?

– Jakie przywidzenie? Co masz na myśli? Co zobaczyłaś? Czy coś w Devizes?

Pokiwała głową. Obróciła się ku mnie i wzięła w swe ręce moje dłonie. Wiedziałam, że zdecydowała się mówić.

– Widziałam ich – oświadczyła. – Wychodzili razem z hotelu.

– Kogo, ciociu Zosiu?

– Wmawiałam sobie, że to niemożliwe. Ale wiem, że tak było.

– Musisz mi wszystko wytłumaczyć.

– Chodzi o Kryspina. Był z Kate Carvel.

– Swoją żoną? Ona nie żyje.

– Doznałam strasznego wstrząsu. Pomyślałam, że chyba majaczę, ale to była ona. Tego typu kobiet się nie zapomina. Nie mam żadnych wątpliwości.

– Ciociu, nie mogłaś jej widzieć, ona nie żyje, zginęła w katastrofie kolejowej wiele lat temu.

Ciocia Zosia patrzyła na mnie poważnym wzrokiem.

– Zastanawiałam się, czy mam ci to powiedzieć, czy nie. Nie mogłam się zdecydować. Nie miałam odwagi przyjść do ciebie, musiałam sama się z tym uporać.

– Na pewno się pomyliłaś.

– Nie, nie było żadnej pomyłki. Ma te same złociste włosy. Wcale się nie zmieniła. Gdy razem wychodzili z hotelu, wyglądała tak samo jak kiedyś... Stali tam, a potem wsiedli do dorożki.

– To po prostu nie może być prawda.

– Cóż, widziałam ich. Co o tym sądzić?

– To musiał być ktoś inny.

– Takich dwóch jak ta kobieta nie ma na świecie. Freddie, to była Kate Carvel, co oznacza... że ona żyje.

– Nie wierzę.

– Jest jego żoną. On ją poślubił. Och, Freddie, jak więc teraz może poślubić ciebie?

Usiadłam przy stole, prawie omdlała z przerażenia, usiłując objąć myślą wszystkie wynikające z tego konsekwencje. Mogłam jedynie powtarzać sobie w duchu: to nieprawda.

Głośny huk pioruna tak mnie przestraszył, że aż podskoczyłam. Znajdowałam się w stanie jakiegoś oszołomienia, niepewności. Cała noc przede mną. Zegar na gzymsie kominka wskazywał dopiero wpół do jedenastej. Jutro się z nim zobaczę, lecz jak mam przeżyć noc? Muszę się spotkać z Kryspinem, muszę usłyszeć z jego własnych ust, że ciocia Zosia straszliwie się pomyliła.

Wstałam i oświadczyłam:

– Idę z nim się zobaczyć.

– Teraz, wieczorem?

– Ciociu, jak mam przetrwać tę noc, nie znając całej prawdy? Muszę się dowiedzieć i to zaraz, czy się nie pomyliłaś.

– Nie powinnam była ci mówić. Wiedziałam, że nie powinnam.

– Wręcz przeciwnie. Lepiej będzie dla mnie, jak się dowiem. Już wychodzę.

– Pójdę z tobą.

– Nie, nie. Muszę iść sama. Muszę się z nim zobaczyć. Muszę wiedzieć.

Wróciłam do pokoju, włożyłam buty i płaszcz, po czym pobiegłam w deszczową noc do St. Aubyn's. Pociągnęłam za dzwonek. Mimo późnej pory, służący otworzył drzwi.

– Chcę się widzieć z panem St. Aubyn – oznajmiłam.

Spojrzał na mnie zdziwiony.

– Proszę wejść, panno Hammond – powiedział i w tym momencie Kryspin pojawił się w holu.

– Fryderyko! – wykrzyknął.

– Musiałam przyjść. Musiałam się z tobą zobaczyć.

– W porządku, Groves – rzucił służącemu, po czym zwrócił się do mnie: – Chodź tutaj.

Zaprowadził mnie do małego pokoju sąsiadującego z holem i próbował zdjąć ze mnie płaszcz, lecz mu nie pozwoliłam. Nie miałam czasu na rozbieranie się.

– Musiałam przyjść! – wybuchłam. – Musiałam się dowiedzieć, czy to prawda. Nie mogłam czekać.

Patrzył na mnie przerażony.

– Powiedz, o co ci chodzi? – spytał.

– Ciocia Zosia była dzisiaj w Devizes. Jest bardzo zdenerwowana. Twierdzi, że widziała tam ciebie z Kate Carvel.

Zbladł i w tym momencie już wiedziałam, że ciocia się nie myliła.

– A więc to prawda? – spytałam.

Robił wrażenie, jakby walczył ze sobą.

– Kryspinie, proszę – ciągnęłam dalej – muszę znać prawdę.

– Wszystko jest w porządku – powiedział. – I będzie w porządku. Pobierzemy się. Zapewniam cię, wszystko będzie dobrze.

Wiedziałałam, że nie mówi prawdy. On tylko chce, żebym w to uwierzyła, pomyślałam. Ogarnął mnie potworny strach.

– Wszystko jest ustalone – ciągnął dalej. – Wszystko uporządkowałem. Ślub odbędzie się tak, jak zaplanowaliśmy.

– Powiedziałeś, że wybierasz się do Salisbury – przypomniałam mu. – Ciocia Zosia widziała cię w Devizes.

Milczał, a ja wiedziałam, że pojechał do Devizes spotkać się z Kate Carvel i teraz nie miałam już najmniejszych wątpliwości, że ciocia ich widziała i że byli razem.

Położył czule dłonie na moich ramionach i rzekł:

– Posłuchaj mnie. Nie musisz się niczym martwić, ja to wszystko ułożę. Ty i ja będziemy postępować tak, jak zaplanowaliśmy. Gdyby miało się stać inaczej, nie zniósłbym tego. I nie chcę. Nie odstąpię od naszej decyzji.

– Kryspinie, jeżeli chcesz mieć przede mną sekrety, jeżeli mi nie powiesz, co cię tak bardzo poruszyło, a to przecież widzę, nie będzie między nami prawdziwej bliskości. Muszę znać prawdę. Ciocia Zosia widziała ciebie wychodzącego z hotelu z kobietą, którą kiedyś poślubiłeś. Ona rzekomo nie żyje. Jak to możliwe, skoro była z tobą w Devizes?

Objął mnie i mocno przytulił.

– Opowiem ci, co się stało – rzekł – ale to nie ma żadnego znaczenia. Zamknąłem jej usta. Byłem w stanie to zrobić i zrobiłem.

– Zamknąłeś jej usta! – wykrzyknęłam z przerażeniem.

– Widzę, że muszę ci wszystko opowiedzieć. Kilka dni temu dostałem od niej list.

– Wiedziałałam, że coś się stało! – zawołałam. – Och, Kryspinie... dlaczego mi nie powiedziałeś?

– Nie mogłem. Bałem się konsekwencji. Zrobię wszystko, co w mej mocy, żeby cię nie utracić. Fryderyko, nie możesz mnie opuścić. Ona chce pieniędzy, zawsze ich chciała. Dlatego tak łatwo było znaleźć rozwiązanie, uciszyć ją... zamknąć jej usta... ochronić nas przed nią...

– Ale ona jest tutaj. To twoja żona.

Przeczytała zawiadomienie o naszych zaręczynach. Od tego się zaczęło. Gdyby nie prasa, nigdy by się nie dowiedziała. Trwałbym w przekonaniu, że Kate nie żyje i do niczego by nie doszło. Kiedy otrzymałem jej list, nie miałem pojęcia, co robić.

– Dlaczego nic mi nie mówiłeś? Chcę wszystko wiedzieć.

– Nie mogłem tego zrobić. Musiałem się upewnić, czy nadal będziemy mogli realizować nasze plany. Spotkanie z Kate w Devizes, tak blisko Harper's Green, było błędem. Nie pomyślałem był o tym, umówiłem się z nią na spotkanie w hotelu. To było straszliwe przeżycie. Nienawidzę jej i nienawidzę siebie za to, że miałem z nią do czynienia. Doznałem takiej ulgi, kiedy mnie opuściła. Gdy dostałem wiadomość, że zginęła w katastrofie, stało się dla mnie oczywiste, iż już nigdy w życiu jej nie zobaczę. To był koniec koszmaru, w który się wplątałem na skutek najbardziej idiotycznego błędu, jaki popełniłem w życiu.

– Ale ona żyje.

– Tak. Wyjaśniła mi to.

– Przecież zidentyfikowałeś ją po wypadku.

– Rozpoznałem pierścionek i etolę Kate, które jej podarowałem. Pokazana mi dziewczyna miała zmasakrowaną twarz. Nie mogłem powiedzieć, że to naprawdę Kate, ale wydawało się, że pierścionek i etola są rozstrzygające. Policja uznała rzeczy za wystarczające do identyfikacji.

– Kryspinie, czy dlatego chciałeś się upewnić?

– Byłem całkiem pewien. Pierścionek i etola... to wystarczyło. Powiedziała mi, że sprzedała pierścionek i etolę koleżance, aktorce. Dziewczynie, która rok przedtem uciekła z domu, żeby szukać szczęścia w teatrze. Pewnie albo nie miała rodziny, albo nie utrzymywała z nią kontaktu. Jej śmierć przeszła niezauważona. Kate przeczytała relację o śmierci mej żony w gazecie i nie zamierzała tego prostować. Niewątpliwie pomyślała, że będzie mogła ów fakt wykorzystać w przyszłości. To jej zwykły sposób działania. Więc gdy zobaczyła w gazecie zawiadomienie o naszych zaręczynach, postanowiła wykorzystać sytuację.

– I co ty na to, Kryspinie?

– Jednego jestem całkiem pewien. Nie dopuszczę, żeby znowu zniszczyła mi życie. Umówiłem się z nią na spotkanie w hotelu w Devizes. Przyszła. Boże, jak ja jej nienawidzę! Śmiała się z mego przerażenia. Kiedy ona się śmieje w ten charakterystyczny dla siebie sposób, mam ochotę ją zabić. Sądziła, że złapała mnie w pułapkę. Oświadczyła, że nigdy się nie zgodzi na rozwód i jeśli będę próbował rozwiązać nasze małżeństwo, to ze wszystkich sił zacznie walczyć przeciwko mnie. Uznałem, iż jest na nią tylko jeden sposób. Dam jej pieniądze, żeby wyjechała i już nigdy się nie pojawiła.

– I wierzysz, że tak by zrobiła?

– Powiedziałem jej, że jeśli kiedykolwiek wróci, wezwę policję i oskarżę ją o szantaż.

– Czy naprawdę sądzisz, że tym ją powstrzymasz?

– To całkiem możliwe.

– Lecz jeżeli raz ulegniesz szantażowi, dlaczego nie miałbyś się poddać po raz drugi?

– Wiem, jak sobie z nią poradzić.

– Kryspinie, czy nie widzisz, że to się nie uda?

– Co jeszcze mogę zrobić?

– Przyjąć do wiadomości prawdę.

– Wiesz, co to oznacza?

– Owszem, lecz inaczej być nie może. Nie ma sensu udawać, że rzeczywistość nie istnieje. Twoja żona żyje. Właśnie się z nią spotkałeś.

– Ona wyjeżdża. Zapewniła mnie, że jedzie do Australii. Obiecała, że nigdy o niej już nie usłyszę.

– I ty w to wierzysz!

– Chcę wierzyć.

– Ale nie możesz wierzyć tylko dlatego, że chcesz. Ona jest szantażystką, a ty stwarzasz jej możliwość działania. Czy nie rozumiesz, że jeżeli nawet formalnie weźmiemy ślub, nie będziemy prawdziwym małżeństwem i ona będzie to wiedziała. Wróci... mając jeszcze lepszą podstawę do szantażu.

– Jeżeli tak zrobi, poradzę z nią sobie. Znajdę sposób, musi być jakieś wyjście. Mam ciebie i po raz pierwszy w życiu jestem szczęśliwy. Wiem, czego chcę na resztę mego życia. Kocham cię, Fryderyko, i zrobię wszystko – dosłownie wszystko – żeby cię przy sobie zatrzymać.

Byłam wstrząśnięta gwałtownością uczuć Kryspina, jednak te słowa wprawiły mnie w zakłopotanie. Siła jego miłości sprawiła mi radość, lecz wyraźniej niż kiedykolwiek czułam, że go nie znam. Miałam wrażenie, tak jak już to bywało wcześniej, że nie mówi mi wszystkiego.

– I bez względu na to chcesz załatwić formalności związane ze ślubem?

– Tak.

– Ale nie zamierzałeś mi powiedzieć? O Kate?

– Nie mogłem ryzykować. Nie miałem pewności, jak się zachowasz. Kocham cię. Pragnę cię i nic więcej mnie nie obchodzi. Będiesz moją najprawdziwszą żoną... bez względu na rodzaj obrzędu – to tylko słowa. Moje uczucia do ciebie są głębsze niż jakieś tam słowa.

Zdobyłam się jedynie na tę odpowiedź:

– Chciałeś to ukryć przede mną.

– Tylko dlatego że bałem się, iż nie wyrazisz zgody.

– To chyba właśnie – zaczęłam powoli – wstrząsnęło mną bardziej niż wszystko inne. Mam nieodparte wrażenie, że jeszcze nie odkryłeś przede mną wszystkich sekretów.

– Sekretów? – zapytał z trwogą w głosie.

Poczułam, jak serce zabiło mi mocniej ze strachu.

– Kryspinie, dlaczego nie wyznasz reszty, tak jak powiedziałeś mi o Kate?

– Nie mam nic więcej do opowiedzenia – odparł.

Nic nie odrzekłam, tylko pomyślałam: wyjawileś mi to, gdyż nie miałeś wyboru, bo ciocia Zosia cię widziała. Gdyby tak się nie stało, nigdy bym się nie dowiedziała o Kate. Wzięłabym z tobą ślub, który byłby nieważny. Dopuszczyłbyś do tego i już na tym etapie byś mnie oszukał.

– Fryderyko – mówił dalej – moja ukochana, kocham cię. Wiesz, jak bardzo. Słowa nie potrafią tego wyrazić. Pragnę cię dniem i nocą... na zawsze. Nic, nic na ziemi nie jest w stanie mnie zranić, jeżeli będę miał cię.

– Mnie to wszystko wprost ogłuszyło – wyszeptalam.

– To wstrząs, ale nie ma powodu do zmartwienia. Wszystkim się zajmę. Nikomu o tym nie powiemy, Kate wyjedzie, a jak wróci, potrafię sobie z nią poradzić.

On ukrywa jakieś sekrety, pomyślałam. Nie zamierza ich odkryć przede mną. Jak w takiej sytuacji możemy być sobie bliscy? Nie wiedziałam, jak zareagować. Muszę iść do domu, muszę pomyśleć. Wszystko było inaczej, niż sobie wyobrażałam.

Jedna myśl nie dawała mi spokoju: poślubiłby mnie, nie mówiąc nic... o tym. To byłby kolejny sekret w naszym życiu.

Kolejny? A jaki był poprzedni?

Wyobrażnia podsunęła mi Gastona Marchmonta, leżącego martwego w zaroślach, zabitego z broni wziętej z St. Aubyn's.

Kryspin mówił mi o miłości. To miłość sprawiła, że tak się zachował. Pragnęłam tej miłości. Siła jego uczucia uszczęśliwiła mnie. Pragnęłam wierzyć, że tak będzie zawsze, ale się bałam. Musiałam postawić sobie jeszcze wiele pytań.

– Kryspinie – usiłowałam zachować spokojny ton głosu – muszę wszystko przemyśleć. To był prawdziwy szok. Wracam do domu.

– Oczywiście, kochana – odrzekł. – O nic się nie martw, zdaj się na mnie. – Objął mnie mocno i czule ucałował. – Odwiozę cię.

– Nie, nie... wrócę sama.

– Jest późno, więc pojedę z tobą. Każę przygotować powóz. Pada deszcz, odwiozę cię.

Nie zaprotestowałam. Obserwowałam go z ganku i gdy tylko zniknął mi z oczu, wybiegłam.

Miał rację: deszcz lał jak z cebra, biły pioruny, błyskawice przecinały niebo, a ja biegłam. Włosy, jak mokra chmura, opadły mi na twarz, byłam całkiem przemoczona. Wychodząc z domu tak się spieszyłam, że nie włożyłam pod płaszcz nic cieplejszego. Świadoma byłam tylko jednego, że wyłącznie dzięki przypadkowi wyszedł na jaw fakt, o którym miałam nie wiedzieć, choć tak bardzo mnie dotyczył.

On by mi nie powiedział, powtarzałam sobie.

Dotarłam do domu, gdzie czekała na mnie ciocia Zosia. Bardzo się przestraszyła na mój widok.

– Przemokłaś do nitki! – zawołała. – Wejdz szybko do środka. Nie powinnaś była wychodzić.

Pospiesznie zaprowadziła mnie do pokoju, zdjęła ze mnie mokre ubrania, wybiegła i zaraz wróciła z ręcznikami i kocami. Obudziła Lily.

– Napal w kominku – poleciła.

– Niech Bóg ma nas w swojej opiece! – przestraszyła się służąca. – A po co?

– Ona całkiem przemokła po drodze.

– Panie, zmiłuj się nad nami! – jęknęła Lily.

Miałam dreszcze. I wcale nie byłam pewna, czy z zimna. Jeszcze nigdy w życiu nie przeżyłam podobnego wstrząsu. Ogień na kominku już płonął. Przyniosły mi do łóżka butelki z gorącą wodą. Okryły mnie stosem koców, a Lily próbowała siłą wlać mi do gardła gorące mleko. Stanowczo odsunęłam szklankę. Mogłam jedynie tak leżeć i dygotać.

Siedziały koło mego łóżka przez całą noc, doglądając mnie, a rano wezwały lekarza.

Byłam naprawdę chora. Stwierdził, że jestem ciężko przeziębiona. Ostrzegł, iż musimy bardzo uważać, aby nie wywiązało się zapalenie płuc.

Moja choroba przyniosła mi w pewnej mierze także korzyści. Miałam zamęt w głowie i często majaczyłam. Wydawało mi się, że wyszłam za mąż za Kryspina, ale nie byłam szczęśliwa. Widziałam stale cień owej kobiety, której przecież nigdy nie poznałam, lecz nie miałam wątpliwości, że to ona. Nieustannie krążyła gdzieś w tle. Byłam jakby poślubiona Kryspinowi, lecz jednocześnie nie czułam się jego żoną. Jego żoną pozostała ona, ta stale zagrażająca mi zjawa z przeszłości. Pragnęłam być z nim, pragnęłam mu powiedzieć, tak jak on: „Zapomnijmy o niej, ona nie wróci”. Gdyby ciocia Zosia nie znalazła się tego dnia w Devizes, nic nie zakłóciłoby mego szczęścia, o niczym bym nie wiedziała.

Czasami z kolei pragnęłam tylko leżeć w łóżku, zbyt słaba, aby nawet myśleć o czymkolwiek. Okazało się to w pewnym sensie wygodne. Unosiłam się w jakiejś otchłani i nie mogłam niczego przedsięwziąć. Byłam zbyt chora, żeby cokolwiek robić.

Ciocia Zosia czuwała nade mną nieustannie, Lily również. W pokoju stały kwiaty. Domyślałam się, kto je przysłał. Chociaż wiedziałam, że odwiedził mnie raz czy dwa i słyszałam jego głos, nie widziałam go.

Któregoś dnia wydawało mi się, że słyszę, jak ciocia Zosia mówi: „Lepiej nie. To by ją mogło zdenerwować”. I potem jego słowa wypowiedane błagalnym tonem.

Zastanawiałam się, czy Kryspin przyjdzie do mnie wbrew woli cioci, ale się nie pokazał. Musiał nadal mieć w pamięci ową scenę, jaka się rozegrała, zanim wybiegłam od niego w czasie burzy.

Po jakimś czasie poczułam się lepiej. Ciocia i Lily usiłowały zmusić mnie do jedzenia, bo jak twierdziła Lily, bardzo schudłam. Nie mogło być inaczej, lecz jeśli w ogóle ktoś potrafił mnie skusić jakąś potrawą, to właśnie ona.

Przynosiła mi do łóżka różne smakołyki.

– Niech teraz panienka to wcina, bo inaczej wpędzi pannę Zofię do grobu.

Więc jadłam.

W miarę poprawy samopoczucia stale zadawałam sobie pytanie, jak powinnam postąpić. Targały mną wątpliwości. Nie mogłam wyobrazić sobie życia bez Kryspina. Czasami skłonna byłam zgodzić się z nim, pozwolić, aby wziął sprawy w swoje ręce. Ale kiedy pomyślałam, co zamierzał zrobić, ukrywając ów sekret przede mną, mówiłam sobie: mam wrażenie, jakbym tak naprawdę nie znała tego człowieka. On zachowuje pewne rzeczy wyłącznie dla siebie. To jest jak parawan ustawiony między nami. I nie tylko chodziło o sekrety obecnie ujawnione. Było coś jeszcze. Ciocia Zosia siedziała przy moim łóżku.

– Już jesteś znacznie zdrowsza – powiedziała. – Ależ nas wystraszyłaś.

– Przepraszam.

– Kochanie, gdybym tylko mogła dźwigać to za ciebie. Wiedziałam, że nie myśli wyłącznie o mej chorobie.

– Ciociu Zosiu, co ja mam robić? – spytałam.

– Tylko ty możesz zdecydować. Albo zgodzisz się na jego propozycję, albo...

– Nie byłabym naprawdę jego żoną.

– Właśnie.

– Gdyby przyszły na świat dzieci... Nigdy nie mielibyśmy pewności, czy ona nie wróci.

– W tym sedno.

– A jednak bez niego nigdy nie będę szczęśliwa.

– Życie nie stoi w miejscu. Jeżeli masz wątpliwości, musisz się poważnie zastanowić. Dlatego pomyślałam, że powinnaś stąd wyjechać na jakiś czas. Z bliska pewnych rzeczy nie widzi się jasno, a z taką decyzją nie należy się spieszyć. Potrzebujesz czasu. To cudowne, co potrafi zdziałać.

– Jestem taka umęczona – powiedziałam. – Ciociu, pragnęłabym go posłuchać. Nikt się nie dowie. Potrafilibyśmy dać sobie z tym radę.

– Ale to byłoby nielegalne. Nie można by cię winić, gdybyś nie wiedziała, że jego żona żyje, ale w tej sytuacji poszłabyś do ołtarza ze świadomością, że jest żonaty.

– Tego mi zrobić nie wolno.

– Musisz wyjechać i wszystko rozważyć. Na razie jeszcze jesteś na to za słaba. Nieraz będziemy wracać do tego tematu. Wiem, jak trudno byłoby ci utracić Kryspina. Dobrze rozumiem, co czujesz, kochanie. Może znajdziemy właściwe rozwiązanie.

Kilka dni później nadszedł list.

Ciocia Zosia siadła, trzymając go w ręku, przy moim łóżku i powiedziała:

– Od twego ojca.

Poderwałam się i popatrzyłam na nią zdumiona. W jej oczach zobaczyłam nadzieję.

– Napisałam do niego zaraz, jak tylko wybuchła ta sprawa. Wzięłam pod uwagę, ile czasu zabierze, zanim list do niego dotrze, nie mówiąc już o odpowiedzi. Musiał z miejsca zasiąść do pisania i natychmiast wysłać list. Chce, żebyś do niego przyjechała.

– Do niego? Dokąd?

– Przeczytam ci, co pisze:

– „To miejsce jest odrębnym kawałkiem ziemi. Reszta świata znajduje się gdzieś daleko. W blasku tutejszego słońca wszystko wydaje się inne. Tu żyje się zupełnie inaczej i nikt nie potrafiłby sobie tego nawet wyśnić. Fryderyka mogłaby tutaj porozmyślać i być może zdecydować, jaką drogę wybrać. Nadszedł czas, żebym poznał mą córkę. Nie widziałem jej prawie dwadzieścia lat. Jestem pewny, że pobyt tutaj wyjdzie jej na dobre. Przekonaj ją, Zofio...”

Oślupiałam ze zdumienia. Tak bardzo chciałam zobaczyć ojca, a on teraz proponuje, żebym przyjechała doń na położoną na krańcach świata wyspę.

Ciocia położyła list na kolana i spojrzała na mnie poważnym wzrokiem.

– Musisz jechać – oświadczyła.

- Jak bym się tam miała dostać?
 - Statkiem z Tilbury albo z Southampton, albo jeszcze skądś tam, po prostu popłyniesz.
 - Gdzie jest ta wyspa?
 - Wyspa Caskera? Na drugim końcu świata.
 - To jakiś niedorzeczny pomysł.
 - Ale możliwy do zrealizowania, Freddie. Masz wiele do przemyślenia. I to jest odpowiedź. Powinnaś poznać swego ojca.
 - Jeśli chciał się ze mną spotkać, mógł już to zrobić wcześniej.
 - Za życia twojej mamy było to niemożliwe, a potem... no cóż, wyjechał. A teraz ty potrzebujesz pomocy i on może ci jej udzielić.
 - Ale zostałam zbyt nagle postawiona wobec takiej propozycji...
 - Tego ci właśnie trzeba. Musisz się jakoś odgradzić od całej tej dręczącej niepewności. Musisz podjąć decyzję, a to ci się najlepiej uda, jak będziesz z dala od wszystkiego tutaj.
 - Ale aż tak?
 - Im dalej, tym lepiej.
 - Ciociu... przypuśćmy, że bym się na to zdecydowała... czy pojechałabyś ze mną?
- W pierwszej chwili jakby się zawahała, po czym odparła stanowczo:
- Nie. Mam tu wystarczająco dużo roboty. On nawet nie sugerował, żebym przyjechała.
 - Więc uważasz, że powinnam jechać sama? Myślałam, że lubiłaś mego ojca.
 - Lubiałam i lubię. Ale wiesz, że to nie jest stosowny czas na spotkanie. – Ciocia odwróciła głowę, jakby nie chciała, żebym mogła wyczytać coś z jej oczu.

Jeżeli chodzi o mnie, byłam całkiem oszołomiona. Ta propozycja spadła na mnie tak nagle. Pomysł, żeby opuścić Anglię, wyjechać na jakąś wyspę, nie wiadomo gdzie, jak powiedziała ciocia Zosia, na drugi koniec świata, w tych pierwszych chwilach wydał mi się zbyt szalony, żeby brać go poważnie.

Wyspa Caskera. Gdzie to jest? To tylko nic nie mówiąca nazwa. I odwiedziny u ojca, którego nie mogłam pamiętać, a który przez całe lata utrzymywał zapewne raczej dorywczy, korespondencyjny kontakt z ciocią Zosią, przekazującą mu jakieś nowiny o jego córce!

W przeszłości byli dobrymi przyjaciółmi i ta więź nie została całkowicie zerwana. Ciocia twierdziła zawsze, że on się mną interesuje, ale przecież nawet nie próbował się ze mną zobaczyć. Czy było to wynikiem wzajemnej urazy, jaką żywili do siebie on i moja mama?

A teraz mama nie żyła, ojciec zaś mieszkał gdzieś daleko. Nigdy nie myślałam, że go kiedykolwiek zobaczę. Obecnie proponował mi podróż na swoją wyspę, gdzie miałabym podjąć ważną życiową decyzję.

Ciocia Zosia przyniosła mi do łóżka mapę.

– Masz – powiedziała. – Tu jest Australia. Widzisz ten punkcik na oceanie? To właśnie jest Wyspa Caskera. Niewiele znacząca i za mała, żeby ją umieścić w innych atlasach. Patrz, tam jest kilka małych kropek. To pewnie inne wyspy. Wyobraź sobie tylko: będziesz w takim miejscu, pośród wielkiego oceanu!

– Doprawdy niezwykle doświadczenie.

– Właśnie tego obecnie ci potrzeba. Powinnaś jak najszybciej znaleźć się w zupełnie nowym otoczeniu.

– Sama?

– Będziesz z ojcem.

– Muszę to przemyśleć. To tak daleko.

– Wszystko da się załatwić. A morskie powietrze czyni cuda.

– Ten wyjazd budzi tyle wątpliwości...

– Na pewno należy je rozważyć. Freddie, ojciec tak bardzo pragnie, żebyś przyjechała.

– Po tylu latach? Jak to możliwe?

– To się dawało odczuć z jego listów. Bardzo długo czekał. Pojedź tam, wiem, co dla ciebie najlepsze.

– Jeżeli wybierzesz się ze mną...

– Ciągle bym ci przypominała coś, od czego powinnaś się oderwać. Potrzebna ci całkowita zmiana i wygląda na to, że zaczynamy wreszcie poważnie o tym rozmawiać.

Przyszedł Kryspin. Wyciągnęłam do niego rękę, które ujął i gorąco ucałował. I właśnie wtedy się zdecydowałam. Gdybym została, poddałabym się jego woli. Wyobraziłam sobie nasze wspólne życie, stale w zagrożeniu. Myślelibyśmy tylko o tym, kiedy owa kobieta wróci i upomni się o pieniądze. Kiedy – bo to, że tak robi, było według mnie oczywiste. Nigdy nie uwolnimy się od gróźb i strachu, a to pogrzebie nasze szanse na szczęście. Całym sercem pragnęłam mieć dzieci, nie wątpiłam, że Kryspin także. I co z nimi? A jednak czy mogłam go opuścić? Był taki smutny, taki zatrwożony. Jego błagalny wzrok odbierał mi odwagę.

– Bardzo się martwiłem – rzekł.

– Wiem.

- Wybiegłaś w taki deszcz. Zostawiłaś mnie. A potem nie pozwolono mi cię odwiedzać.
- Już o wiele lepiej się czuję, Kryspinie. I wyjeżdżam. Ta wiadomość go poraziła.
- Wyjeżdżasz?
- Wiele myślałam i uznałam, że tak będzie najlepiej. Muszę się na jakiś czas oderwać od tego wszystkiego. Mam sporo do przemyślenia.
- O nie – powiedział – nie możesz wyjechać.
- Kryspinie, muszę. W obecnym stanie ducha nie wiem, jak mam postąpić.
- Jeżeli mnie kochasz...
- Kocham. Muszę się jednakże zastanowić, wybrać najlepsze rozwiązanie.
- Ale wrócisz.
- Wybieram się do ojca. Zrobił zdumioną minę.
- On mieszka gdzieś bardzo daleko stąd, prawda?
- Tak. Tam będę mogła wszystko rozważyć.
- Nie jedź. Co pocznę bez ciebie, pomyśl o mnie.
- Myślę o nas obojgu. I o przyszłości.

Nie chciałam przeciągać tej sceny. To było zbyt bolesne, nawet teraz. Kryspin mnie błagał i omal się nie ugięłam, lecz zwyciężyło niezłomne przekonanie, że powinnam jechać.

Ciocia Zosia napisała do mego ojca, a ja także dołączyłam list. Pragnęłam się z nim spotkać. Po tylu latach stawał się dla mnie kimś realnym, a nie – jak dotąd – jedynie wytworem wyobraźni.

Ciocia Zosia zaangażowała się całym sercem w przygotowania, choć wiedziałam, że mój wyjazd napawa ją smutkiem. Widziałam czasem, jak ociera łzy, a zdarzało się, iż obie płakałyśmy. Jednak nadal uparcie twierdziła, że podjęłam słuszną decyzję.

Tamaryszka przyszła do mnie z wizytą.

- Więc zdecydowałaś się wyjechać? – zapytała. – Tak.
- Na koniec świata?
- Dosłownie.

– Wiem, że między tobą a Kryspinem coś zaszło. Pewnie z tego powodu chcesz wyjechać. – Milczałam, a ona mówiła dalej: – To oczywiste. Miałaś wyjść za niego za męża, a teraz wyjeżdżasz. Nie da się tego inaczej wytłumaczyć. A może nie masz ochoty o tym rozmawiać?

– Istotnie – odparłam. – Nie mam ochoty.

Wzruszyła ramionami.

– I wybierasz się w taką długą podróż sama! Czy to nie nazbyt odważny krok?

– Tamaryszko, i ty to mówisz? Uśmiechnęła się słabo.

– Fred, chciałabym pojechać z tobą. Spojrzałam na nią zdumiona.

– Nie mów, że to niemożliwe. Nie ma rzeczy niemożliwych. Zdecydowałam, że coś zrobisz, i realizujesz swój zamiar. Pamiętasz pannę Black ze szkoły? „Dziewczęta... jeżeli uznaliście, że coś ma wam się udać, stanie się tak tylko wtedy, kiedy wytrwale będziecie dążyć do celu”. Fred, ja muszę z tobą jechać.

– Ale skąd...

– Wiem. Chcesz zapytać, skąd mi to tak nagle przyszło do głowy. Otóż wcale nie nagle. Już od dawna chciałam gdzieś wyjechać i teraz mam właśnie taką okazję, na jaką czekałam. Ja tu nie mogę zostać, Fred, nie mogę tu wytrzymać. Każdego dnia przytłaczają mnie wspomnienia. Pragnęłabym zapomnieć o wszystkim, co mnie otacza. Nie potrafię od tego uciec... będąc tutaj. Ile razy spojrzę na te zarośla... To straszne. Jeżeli się dowiedzą, kto to zrobił, sytuacja się zmieni. A tymczasem można podejrzewać, że morderczynią jest żona. Wiadomo, że Gaston mnie zdradzał, był oszustem i kłamcą. Kto na tym ucierpiał najbardziej? Ja, jego żona. Dlaczego więc nie miałabym wziąć strzelby i go zamordować?

– Tamaryszko, przestań, zaczynasz histeryzować.

– Muszę stąd wyjechać. Nie zostanę tu ani chwili dłużej. Jadę z tobą. Nie możesz wyruszyć w taką podróż samotnie, potrzebujesz kogoś. Zawsze byliśmy przyjaciółkami. Napisz do ojca, że nie możesz podróżować samotnie, a masz przyjaciółkę, która rozpaczliwie pragnie się stąd wyrwać.

Milczałam, usiłując przeanalizować znaczenie jej słów. Rozumiałam, dlaczego pragnie wyjechać. Sprawa była prosta, Tamaryszka znajdowała się w samym centrum tragedii. Musiała z tym żyć, podobnie jak Kryspin. Rozumiałam ją i zaczęłam się zastanawiać, czy istotnie nie byłoby dobrze mieć towarzyszkę podróży.

Czytała w moich myślach.

– To da się łatwo zorganizować, Fred. Będzie nam dobrze razem. Och, już się czuję o wiele lepiej. Moje życie stało się nie do zniesienia... odkąd uświadomiłam sobie ów błąd... i potem, kiedy Gaston został zabity... Proszę, weź mnie ze sobą.

– Jeszcze się nad tym zastanów.

– Nie ma nad czym. Bardzo chcę stąd wyjechać, zwłaszcza gdy się dowiedziałam o twoich planach. Wydało mi się to wręcz zrzędzeniem niebios. Och, Fred, daj mi szansę wydostać się z tego wszystkiego... żebym mogła zacząć od nowa. Błagam, Fred, błagam!

– Rozważmy to z ciocią Zosią.

Mina jej zrzędała.

– Jest bardzo mądrą kobietą – powiedziałam. – Na pewno cię zrozumie i będzie chciała pomóc.

– Dobrze.

Poprosiłam do nas ciocię. Kiedy przyszła, zachęciłam Tamaryszkę:

– Ty mów.

Przedstawiła bardzo obrazowo sytuację i odwołując się wyraźnie do wrażliwości cioci, opisała swe nieszczęsne położenie w St. Aubyn's, gdzie wszystko przywodziło jej na myśl straszliwą tajemnicę, w którą była wplątana.

Ciocia Zosia wysłuchała jej z powagą, po czym rzekła:

– Wiesz, Tamaryszko, osobiście sędzę, że powinnyście razem wyjechać. Dobrze rozumiem twą potrzebę wyrwania się stąd. A poza tym martwiłam się, że Freddie będzie musiała odbyć taką długą podróż sama. Myślę, że obie będziecie się wzajemnie wspierać.

Tamaryszka zachowała się typowo – impulsywnie podbiegła do cioci i rzuciła się jej na szyję.

– Jest pani naprawdę kochana – powiedziała. – No, a teraz, od czego mam zacząć? Chyba będę musiała niezwłocznie zarezerwować sobie miejsce na statku, prawda?

– Najpierw trzeba napisać do ojca Freddie i zawiadomić go, że przyjedziecie we dwie. Nie będzie czasu, by czekać na odpowiedź, ale jestem przekonana, że on nie zgłosi żadnych obiekcji, gdyż nawet wspominał w listach, iż byłoby dobrze, gdyby Freddie ktoś towarzyszył w podróży. Ale może ty, Tamaryszko, potrzebujesz jeszcze trochę czasu na podjęcie decyzji?

– Zastanawiałam się dostatecznie długo, by wiedzieć, że właśnie tego pragnę.

– Tak więc trzeba szybko kupić wam obu bilety na statek.

– Coś wspaniałego! Już czuję się odmieniona. – Tamaryszka ucałowała nas obie. – No, biegnę do domu. Tyle rzeczy trzeba będzie przygotować. Uwielbiam was, jesteście najlepszymi przyjaciółkami, jakie miałam w życiu. Nie znajduję słów, żeby wam podziękować. Kiedy wypływamy?

– Trzeba będzie to ustalić – odrzekła ciocia Zosia. – Jedno jest uzgodnione: wyjeżdżacie razem. – Kiedy zaś Tamaryszka wyszła, powiedziała jeszcze: – Sądziłam, że te przeżycia ją zmienią, ale w gruncie rzeczy jest taka sama. Miło było widzieć, jak odzyskuje trochę

dawnego wigoru. Biedna dziewczyna, niemało przeszła. Może to coś, co zwań chrztem bojowym. Zbyt łapczywie rzuciła się na życie. Chwyciła je obiema rękami, zanim jeszcze była gotowa, i została okrutnie zraniona. Cieszę się, że jedzie z tobą. Już nie będziesz sama. Ciężar spadł mi z serca.

Tak więc wszystko zostało ustalone. Miałyśmy opuścić Anglię za miesiąc. Tamaryszka nie chciała słyszeć o dalszej zwłoce. Teraz stale bywała u nas, gdyż miałyśmy mnóstwo spraw do omówienia.

Bardzo się zmieniła, wyzwoliła ze smutku, tak obcego jej naturze. Wywierała też na mnie dobry wpływ, gdyż okazywała tyle entuzjazmu, że nie mogłam mu nie ulec.

Nadszedł styczeń, czas naszego wyjazdu.

Kryspin był zupełnie przybity. Bał się, że jeżeli wyjadę, to już nie wrócę. Usiłowałam mu wytłumaczyć, że potrzebny mi czas na dokładne przemyślenie wszystkiego i uważam to za konieczne. Tyle okoliczności należało wziąć pod uwagę. Często myślałam, jak by to było, gdybyśmy się jednak pobrali, i bardzo kusiło mnie, żeby zostać. Ale zawsze przychodziły mi wtedy na myśl dzieci, których oboje pragnęliśmy. Nawet Kryspin musiał to zrozumieć.

Było to bardzo smutne rozstanie.

– Kryspinie – powiedziałam – mam przeczucie, że niedługo wrócę i wtedy będziemy wiedzieli, jak postąpić.

Ani jemu, ani mnie nie wydawało się to wszakże wielką pociechą.

Ciocia Zosia i Jakub Perrin mieli nas odwieźć do portu. Kryspin postanowił nie jechać. Zdawaliśmy sobie sprawę, że byłoby to zbyt bolesne i dla niego, i dla mnie.

Kochana ciocia Zosia też była smutna, choć starała się tego nie okazywać, Jakub Perrin zaś zachował się ogromnie sympatycznie. Nie miałam wątpliwości, że mu na mnie zależy i zapewne pomyślał sobie, że jeżeli nie ułoży się między mną a Kryspinem, to być może zwrócę się ku niemu. Ta myśl wydała mi się nawet w jakimś sensie wzruszająca i pocieszająca.

Spędziliśmy jedną noc w Londynie i następnego dnia wyruszyliśmy do Southampton. Tam, na nabrzeżu, pożegnałyśmy się z ciocią Zosią i Jakubem.

Ciocia była bliska łez, podobnie jak ja. Odjeżdżałam od wszystkiego, co darzyłam miłością, i porzucałam przyszłość, która tak niedawno się przede mną otwierała. Lecz pełen otuchy uśmiech cioci upewniał mnie, że postępuję słusznie. Na tej odległej wyspie u mego ojca ujrzę drogę, którą powinnam kroczyć.

– Już musimy wchodzić na pokład – przynaglała Tamaryszka z nutą zniecierpliwienia w głosie.

Nastąpiły jeszcze ostatnie pożegnania – czułe objęcia cioci Zosi i wymiana mocnego uścisku dłoni z Jakubem, który w nagłym odruchu pochylił się i mnie pocałował.

– Dziękuję ci, Jakubie – powiedziałam.

– Wrócisz – rzekł mi na pożegnanie. – Jestem tego pewny. Jeszcze raz przytuliliśmy się z ciocią Zosią do siebie.

– Ciociu, czy kiedykolwiek potrafię ci się odwdziaczyć za wszystko, co dla mnie zrobiłaś? – zapytałam.

Potrząsnęła głową z uśmiechem.

– Bądź po prostu szczęśliwa, moja ukochana. Pewnego dnia wrócisz do domu, wiem to na pewno.

Tak więc pożegnałyśmy się i weszłyśmy obie na pokład statku „Królowa Południa”, który miał nas zawieźć na drugi kraniec świata.

Podróż morską

Znalazłyśmy naszą kabinę, która mieściła się na pokładzie szalupowym. Była mała, ale niczego innego nie oczekiwaliśmy. Po obu stronach przy ścianach stały łóżka, więc leżąc, mogłyśmy siebie widzieć i było między nami trochę wolnej przestrzeni. Wnętrze oświetlał jeden iluminator. Znajdowała się tam także toaleta, umywalka i szafa. Wyglądało na to, że nasze rzeczy będą dość stłoczone, zwłaszcza że Tamaryszka wzięła ze sobą sporo ubrań. Jeszcze nie dostarczono nam bagażu, po lustracji kabiny wyszliśmy obejrzeć pokład. Panował tam ożywiony ruch, cała masa ludzi spieszenie podążała we wszystkich kierunkach. W foyer pokładów złożono stosy waliz, które miały być zaniezione do kabin. Weszłyśmy na wyższy pokład i zwiedziłyśmy wspólne pomieszczenia dla pasażerów – palarnię, czytelnię, salonik muzyczny, a także inne, przeznaczone do tańca lub różnych rozrywek. Byłyśmy pod dużym wrażeniem.

Kiedy wróciłyśmy na nasz pokład, zobaczyłyśmy stewarda roznoszącego bagaże.

– Może są też i nasze – powiedziała Tamaryszka, przyglądając się walizkom. – Na nalepkach jest napisane, gdzie kto jedzie – zauważyła. – Spójrz na tę: „J. Barlow, pasażer do Melbourne”. Ciekawe, jaki jest ten J. Barlow. „Pani Craddock, pasażerka do Bombaju”. Naszych bagaży nie widzę. A może są już w kabinie? Och, popatrz na tę walizkę! „Łukasz Armour, pasażer do Sydney i na Wyspę Caskera”.

– Obróciła się do mnie bardzo ożywiona. – Tylko pomyśl, on jedzie na naszą wyspę! Chyba nie ma na statku wielu ludzi, którzy by się tam wybierali.

– To miło, że jeden taki się znalazł.

– Łukasz Armour. Ciekawa jestem, jak wygląda.

– Jest bardzo prawdopodobne, że w czasie podróży to się okaże.

Wróciłyśmy do kabiny i rzeczywiście nasze bagaże już tam były. Po ich rozpakowaniu umyłyśmy się i poszłyśmy na obiad. Usiadłyśmy przy długim stole wraz z kilkoma innymi osobami. Rozmowa się rwała, gdyż po wyczerpującym dniu wszyscy – łącznie z nami – byli zbyt zmęczeni na dłuższe pogawędki. Szybko zatem znalazłyśmy się z powrotem w kabinie.

Doszedł nas warkot pracujących maszyn, gdy statek wypływał w morze. Leżąc w łóżkach, rozmawiałyśmy jeszcze trochę, dopóki coraz bardziej zaspany głos Tamaryszki całkiem nie zamilkł.

Ja tymczasem nie mogłam zasnąć. Myślałam o biednej cioci Zosi, żegnającej mnie ze łzami w oczach, i o Jakubie Perrinie, który nie miał wątpliwości, że niedługo wrócę do domu.

Lecz przede wszystkim miałam przed oczami Kryspina, z twarzą wyrażającą rozpaczliwą tęsknotę i błagalnie wpatrzonymi we mnie oczami. Wiedziałam, że ten obraz zabiorę ze sobą na zawsze.

Kiedy wspominam pierwsze dni naszej podróży, widzę wszystko jakby we mgle. Trzeba było przede wszystkim dobrze poznać statek, na którym stale się gubiłyśmy. Tyle pomieszczeń należało zwiedzić, tyle osób poznać, a wszystko to było dla nas całkiem nowe.

Dobrze natomiast pamiętam, jak pierwszej nocy wypłynęliśmy na bardzo wzburzone morze. Leżałyśmy obie w łózkach i momentami wydawało się nam, że z nich wypadniemy. Zastanawiałyśmy się nawet, czy mądrze było wybierać się w taką podróż.

Ale najgorsze minęło i znowu mogłyśmy wstać, gotowe do dalszej penetracji otoczenia. Byłam ogromnie zadowolona, że mam w Tamaryszce towarzyszkę podróży i bez wątpienia ona także cieszyła się z mej obecności.

Bardzo dbająca o nas stewardesa, Jane, zapewniała, że pocujemy się o wiele lepiej, kiedy pogoda się zmieni. Zatoka Biskajska była znana z kaprysów, lecz zdarzało się, że przypominała gładkie jezioro.

– Zależy, z której strony wiatr wieje. W każdym razie niedługo ją miniemy i szanowne panie będą mogły naprawdę cieszyć się podróżą.

Oczywiście miała rację. Sztormowa pogoda ustąpiła i zaczęła się nasza przygoda. Wkrótce uświadomiłam sobie, że wprawdzie nadal tęsknię za Kryspinem, ale obecne całkiem nowe i niezwykle doświadczenie pozwoli mi w pełni zdystansować się od niedawnych problemów i może nawet jaśniej widzieć pewne sprawy. Z zadowoleniem obserwowałam również, jak nasza wyprawa dobrze wpływa na Tamaryszkę.

Codziennie zasiadałyśmy do obiadu przy długim stole w towarzystwie innych pasażerów i w niedługim czasie wszyscy prowadzili rozmowy w przyjaznym tonie. Najchętniej opowiadali o wcześniejszych podróżach na innych statkach oraz o tym, dokąd się obecnie wybierają. Spora część naszych współtowarzyszy zeszła ze statku z Bombaju. Byli to na ogół albo urzędnicy administracji, albo oficerowie armii, którzy wracali do Indii po urlopach, w większości doświadczeni podróżnicy.

Niektórzy z kolei odwiedzali krewnych w Australii lub byli Australijczykami, wracającymi do kraju po pobycie w Anglii, gdzie odwiedzali rodziny czy przyjaciół. Jednak nie poznałyśmy nikogo, kto jechałby na Wyspę Caskera – Łukasz Armour pozostawał dla nas chwilowo jedynie nazwiskiem na nalepce przyklejonej do walizki.

Kapitan okazał się bardzo towarzyskim człowiekiem i miał zwyczaj wdawać się z pasażerami w pogawędki, kiedy tylko miał sposobność.

Wypytywał każdego o cel podróży, i gdy usłyszał, że wybieramy się na Wyspę Caskera, zrobił bardzo zdziwioną minę. Powiedziałam mu, że zamierzamy odwiedzić mego ojca.

– Ach, tak? Niewielu naszych pasażerów tam się udaje – stwierdził. – Zakładam, że panie zawczasu wszystko ustaliły. Oczywiście zejdą panie ze statku w Sydney. Tego samego dnia odpływa stamtąd statek na Cato, a dalej już płynie się promem na Wyspę Caskera. Niezła podróż!

– Tak słyszałyśmy.

– Mało kto wybiera się na tę wyspę. Obawiam się, że prom niezbyt regularnie wypływa z Cato. Zabiera towary i pasażerów, jeżeli ktoś się znajdzie. Ale pani, jak mówi, udaje się do ojca. Przypuszczam, że on zajmuje się tam interesami, pewnie związanymi z koprą. Orzechy kokosowe to cenny surowiec, ludzie nawet sobie nie uświadamiają, jaki jest użyteczny. Zapewne ich uprawa odbywa się tam na skalę przemysłową.

– Nie umiem powiedzieć. Wiem tylko, że na wyspie mieszka mój ojciec.

– No cóż, zaopiekujemy się paniami aż do Sydney. Zostaniemy tam parę dni, a potem wyruszymy w powrotną drogę do kraju. Jak się paniom podoba na moim statku?

– Bardzo.

– Mam nadzieję, że wszyscy troszczą się o panie?

– Owszem, bardzo, dziękujemy.

– To świetnie.

Po jego odejściu Tamaryszka powiedziała:

– Nasz kapitan chyba uważa, że wybieramy się do miejsca, gdzie diabeł mówi dobranoc.

Pierwszym portem, do którego zawinął nasz statek, był Gibraltar. Do tego czasu zdążyliśmy zawrzeć znajomość z majorem Dunstanem i jego żoną. Wracali do Bombaju, gdzie stacjonował pułk majora. Oboje dużo podróżowali, przeważnie między Indiami i Anglią. Odniosłam wrażenie, że pani Dunstan była nieco zaszokowana, iż dwie niedoświadczone młode kobiety wybrały się same w taką podróż, i postanowiła roztoczyć nad nami opiekę.

Gdy dopłynęliśmy do Gibraltaru, zaproponowała, byśmy dołączyły do niej i jej męża, jeżeli mamy ochotę wyjść na brzeg, w co nie wątpiła. Niewielka grupa pasażerów postanowiła zejść ze statku – można by wynająć przewodnika i trochę pozwiedzać. Pomysł ten przyjęliśmy z entuzjazmem.

Obudziłam się rano i przez iluminator ujrzałam wynurzającą się przed nami Skalę Gibraltarską. Był to imponujący widok.

Pospieszyliśmy na pokład, żeby lepiej widzieć, i ukazała się naszym oczom w całej okazałości, jako obronna twierdza, strzegąca wejścia do basenu Morza Śródziemnego.

Na pokład wyszedł też major Dunstan.

– Wspaniała, nieprawdaż? – powiedział. – Zawsze kiedy na nią patrzę, jestem dumny, że należy do nas. Teraz skierujemy się chyba na zachód. Zaraz się przekonamy. O tak, już zakręcamy.

Obserwowaliśmy manewry statku. Znajdowaliśmy się po zachodniej stronie krańca Półwyspu Pirenejskiego, na którym wznosiła się Skala Gibraltarska. Jej stok podwyższał się

stopniowo, ponad murem obronnym stały rzędy domów. Gdy już wpłynęliśmy do zatoki, naszym oczom ukazały się stocznia i fortyfikacje.

– Mają ważne znaczenie – stwierdził major. – Ale tam w dole ruch, co?

Z ciekawością przyglądałam się łódeczkom, podpływającym na powitanie statku. Na jednej kilku małych chłopców spoglądało na nas wyczekująco.

– Chcą, żeby im rzucić drobne monety. Wskoczyliby do wody i je wyłowili. Nie powinno się na to pozwalać. To niebezpieczne.

Żał mi się zrobiło tych chłopców, tak bardzo pragnących zdobyć trochę pieniędzy. Kilku pasażerów rzuciło im monety, a malcy, śmigając w wodzie jak ryby, wydobywali je i triumfalnie unosili do góry. Teraz ukazało się już miasto. Wyglądało ciekawie i bardzo barwnie. Ani Tamaryszka, ani ja, nigdy przedtem nie widziałyśmy podobnego miejsca.

– Zabiorą nas na brzeg jedną z tych małych łodzi – mówił major. – Nasz statek jest zbyt wielki, żeby podpłynąć bliżej. Z nami będą panie bezpieczne. Trzeba uważać na tych ludzi, gdyż mają skłonność do naciągania turystów.

Zeszliśmy do jednej z łodzi pod opieką naszych przyjaciół Dunstanów wraz z resztą grupy. Było to tak nowe i podniecające przeżycie, że pozwalało chwilowo zapomnieć o wszystkim innym, zarówno mnie, jak i – z całą pewnością – Tamaryszce. Dobrze nam obu zrobiło choć krótkie wytchnienie. Na lądzie od razu znalazłyśmy się w tłumie. Ludzie, którzy zeszli ze statku, mieszały się z tubylcami. Wśród tych ostatnich byli Maurowie w luźnych szatach i fezach lub turbanach, nadawali oni miastu egzotyczną atmosferę. Znajdowali się tam również ludzie innych narodowości – Hiszpanie, Grecy, jak również Anglicy. Wszyscy zachowywali się bardzo hałaśliwie, mijając się, nie mówili do siebie, lecz pokrzykiwali.

Wąskie uliczki zastawione były straganami, na które wyłożono wszelkie możliwe towary: różnego rodzaju ozdoby, pierścionki, bransoletki oraz wyroby ze skóry, jak na przykład pojemne, mięciutkie torby, ozdobione delikatnymi wzorami.

Chleb pieczono na miejscu w pomieszczeniach przypominających jaskinie i oferowano klientom gorące bochenki posypane małymi, czarnymi nasionami.

Nie brakło też fezów, turbanów i słomkowych kapeluszy, butów i sandałów, takich jakie nosili Maurowie – z zakręconymi do góry szpicami na czubkach, jak również zwykłych rannych pantofli z delikatnej skóry.

Tamaryszka zatrzymała się przy jednym ze straganów. Uwagę jej przyciągnął kapelusz. Wykonany ze słomki, miał płaskie denko i przybrany był błękitną wstążką oraz bukietem niezapominajek.

Wzięła go do ręki. Sprzedawca stanął w pogotowiu, a pani Dunstan zaczęła się przyglądać tej scenie z pewną dozą rozbawienia.

– Nie możesz nosić czegoś takiego, kochanie – powiedziała.

Już w przeszłości przekonałam się, że gdy Tamaryszce coś odradzano, właśnie to robiła.

Przymierzyła kapelusz. Sprzedawca obserwował ją swymi czarnymi oczami, w tej chwili wyrażającymi zachwyty. Złożył dłonie i wznosił wzrok ku niebu. Miało to uzewnętrznić przepełniający go podziw dla piękna, które mu się objawiło w postaci Tamaryszki w słomkowym kapeluszu.

Wyglądała w nim bardzo młodo, przypominała mi tamtą dziewczynkę ze szkolnych czasów. Koszmar ostatnich miesięcy pozostawił ją nietkniętą... przynajmniej w tej chwili.

– Jest zabawny – uznała. – Muszę go mieć. Ile kosztuje? – spytała.

Z panią Dunstan u boku rozpoczęła trwające długo pertraktacje cenowe, aż nasza opiekunka dokończyła transakcji, wydzielając odpowiednią według niej sumę z pieniędzy, które Tamaryszka była w stanie wymienić. Tak więc moja przyjaciółka włożyła nowy kapelusz, poprzednio noszony toczek schowała do torby i poszliśmy dalej.

Major zdecydował, że musimy zobaczyć tutejsze małpy – makaki. Uznał to wręcz za obowiązek turystów odwiedzających to miejsce. Musieliśmy się wspiać trochę pod górę, gdyż małpy zamieszkiwały wyższe partie Skały.

– Zobaczycie, jakie są śmieszne – mówił. – Zdomowiły się tutaj przed setkami lat. Cieszymy się, że tak dobrze się czują, gdyż legenda głosi, że dopóki będą tu małpy, Gibraltar pozostanie brytyjski. To oczywiście głupota, ale tego rodzaju przekonania mają wpływ na ludzi, więc przychodzimy tu sprawdzać, jak się im wiedzie.

Były to rzeczywiście zabawne, bardzo żywe stworzenia z czujnymi, badawczymi oczkami, przyzwyczajone do widoku gości, gdyż, jak zaznaczył major, jeśli przybywa się do Gibraltar, należy zobaczyć małpy.

Podeszły ku nam blisko, widać było, że się nie boją i są chętne do psot. Wyglądały tak, jakby widok ludzi bawił je tak samo, jak one nas.

– Uważajcie na wszystko, co macie w ręku – ostrzegła pani Dunstan. – Często wrywają różne rzeczy i uciekają z nimi.

Właśnie w tym momencie jedna podeszła bardzo blisko. Początkowo jej nawet nie zauważyliśmy, gdy nagle rozległ się krzyk Tamaryszki – małpa zerwała jej z głowy kapelusz i pogoniła z nim gdzieś w drugą stronę.

– O, tylko nie to! – jęknęła moja przyjaciółka, my zaś nie mogliśmy powstrzymać śmiechu na widok jej zbolalej miny.

– To kolory musiały przykuć jej uwagę – zauważyła pani Dunstan. – Trudno. Przepadł.

Odeszliśmy zaledwie parę kroków, gdy zobaczyliśmy roześmianego mężczyznę, biegnącego z nowym kapeluszem Tamaryszki w rękach.

– Widziałem, co się stało – powiedział. – Straciła pani swój kapelusz. Małpa podjęła błyskawicznie decyzję. Te stworzenia bardzo przypominają ludzi. Potem przystanęła przy mnie i obejrzała się na panią. Skorzystałem z okazji i odebrałem jej kapelusz.

– Ależ pan jest zręczny! – zawołała Tamaryszka.

Wszyscy się roześmiali. Inni turyści przyłączyli się do nas.

– To najśmieszniejsza scena, jaką widziałam – odezwała się jedna z pań. – Małpa wyglądała na całkowicie zdezorientowaną. Potem jakby wzruszyła ramionami i pobiegła dalej.

– Bardzo twarzowy kapelusz – uśmiechnął się do Tamaryszki jego zdobywca.

Młody człowiek był wysoki, jasnowłosy, przystojny i od pierwszego wejrzenia robił miłe wrażenie.

– Nie wiem, jak mam panu dziękować.

– To nie było nic trudnego. One lubią takie sztuczki i bawią się zdobyczą jedynie parę sekund.

– Cieszę się, że mam go z powrotem.

– Wszystko dobre, co się dobrze kończy – zauważyła pani Dunstan. – Na twoim miejscu, Tamaryszko, nie wkładałabym go ponownie. Tym razem mogłabyś nie mieć pod ręką tak rycerskiego młodzieńca.

Wyglądało jednak na to, że młody człowiek przyłączy się do naszego towarzystwa. Nie miałam wątpliwości, iż jest jednym z podróżnych, którzy zeszli ze statku.

Potwierdziła me przypuszczenia pani Dunstan.

– Pan oczywiście płynie „Królową Południa”.

– Tak – odrzekł. – Chyba większość turystów dzisiaj w Gibraltarze to pasażerowie tego statku.

– Tak jest zawsze, gdy statek tu przy pływa – dodał major.

– Chyba powinniśmy powoli zacząć schodzić – powiedziała pani Dunstan. – Może byśmy po drodze czymś się troszkę pokrzepili? Ewentualnie tam, gdzie byliśmy ostatnim razem, pamiętasz, Geraldzie? – zwróciła się do majora. – Wtedy bardzo smakowały ci podawane tam wypieki.

– Świetnie je pamiętam – odrzekł major. – Jestem pewny, że wszyscy chętnie ich skosztują. Przy okazji będziemy mogli popatrzeć, jak toczy się tu życie.

Zeszliśmy w dół, a nowy znajomy nadal nam towarzyszył. Znaleźliśmy kawiarnię i cała nasza grupka ulokowała się tak, by móc widzieć ulicę. Jasnowłosy młodzieniec usiadł pomiędzy Tamaryszką a mną.

Zamówiliśmy kawę i owe smaczne ciasta, a major, patrząc na młodego człowieka, powiedział:

– To zabawne, można być na statku, który ma raczej ograniczoną przestrzeń, i nie znać swych towarzyszy podróży.

Było to oczywiste zaproszenie skierowane do naszego nowego towarzysza, żeby się przedstawił.

– Jestem Łukasz Armour – powiedział – i jadę do Sydney.

Tamaryszka i ja spojrzaliśmy na siebie uradowane.

– To ciekawe... – Moja przyjaciółka o mało nie parsknęła śmiechem.

Pani Dunstan spojrzała na nią, jakby chciała zapytać: o co chodzi?

Tamaryszka wyjaśniła:

– Pierwszego dnia na statku widziałyśmy nalepkę na pana walizkach. Pana bagaż był ułożony wraz z innymi na stosie. Zauważyłyśmy, że płynie pan na Wyspę Caskera.

– To prawda – odrzekł z miną wskazującą, że spodziewa się dalszych wyjaśnień.

– Rzecz w tym – ciągnęła Tamaryszka – że my również tam się wybieramy.

– Naprawdę?! To niesamowite. Chyba poza mną są panie jedynymi osobami, które tam się udają.

– Mój ojciec mieszka na wyspie – dodałam. – Chcę się z nim zobaczyć.

– Ach, tak.

– Zna pan dobrze to miejsce? – spytałam.

– Nigdy tam nie byłem.

– Wszyscy wydają się zdziwieni, słysząc o celu naszej podróży – powiedziała Tamaryszka.

– Cóż, chyba nikt zbyt wiele o tej wyspie nie wie. Sam starałem się dowiedzieć czegoś więcej, lecz raczej bez skutku. Jedno jest pewne, że odkrył ją człowiek nazwiskiem Casker około trzystu lat temu. Mieszkał tam aż do śmierci, stąd Wyspa Caskera. Mówiła pani, że tam mieszka jej ojciec?

– Tak, jedziemy go odwiedzić.

Patrzył na mnie badawczo, jakby się zastanawiał, dlaczego tak mało wiem o miejscu, gdzie znajduje się mój ojciec. Musiał się domyślić, że moje stosunki z nim nie są typowe, i z grzeczności nie zadawał już dalszych pytań na ten temat.

– Jak pan zamierza się tam dostać? – spytałam.

– Chyba jest tylko jedna droga. Wsiąść w Sydney, stamtąd udać się statkiem na Cato i wreszcie promem na Wyspę Caskera.

– My mamy takie same plany.

– To ciekawe, spotkać kogoś, kto też wybiera się w tak mało znane miejsce.

– I miłe – zauważyła Tamaryszka.

– W pełni się z panią zgadzam – odrzekł z ciepłym uśmiechem.

Obie byłyśmy uradowane, że dowiedziałyśmy się, kto się kryje pod nazwiskiem Łukasz Armour, który w dodatku okazał się tak miłym człowiekiem.

Był bardzo wykształcony i powiedział nam, że gdy gdzieś się wybiera, zawsze chce zebrać jak najwięcej informacji o danym miejscu. Dlatego tak się rozczarował, że tym razem mu się nie udało.

– Cudownie jest zwiedzać świat – mówił. – O wielu miejscach uczymy się na lekcjach w szkole, ale dopiero zobaczenie ich na własne oczy dodaje im kolorów. Na przykład weźmy Tarika ibn Ziyada, który przybył tu, do Gibraltaru, przed wiekami, chyba w roku 711. To prawie tysiąc dwieście lat temu. Proszę tylko pomyśleć! Anglikom nie podobała się zbyt obco brzmiąca nazwa tej skały Dżebel Tarik – Góra Tarika – i zmienili ją na Gibraltar. Teraz znajduje się w rękach Brytyjczyków i jest najmocniejszą fortecą, strzegącą jedynej drogi z Oceanu Atlantyckiego na Morze Śródziemne.

– To prawda – potwierdził major. – Dopóki jest w naszych rękach!

– No, jeżeli już wszyscy skończyli jeść, to chyba czas wracać na statek – oznajmiła pani Dunstan.

Tego wieczoru obie byłyśmy bardzo zmęczone. Leżałyśmy w łózkach i rozpamiętywałyśmy wydarzenia mijającego dnia.

– Cudowny – stwierdziła Tamaryszka. – Najmilszy od czasu...

– Interesujący – przyznałam.

– A najwspanialsze były te chwile, kiedy Łukasz Armour podszedł do nas z kapeluszem, i potem, gdy powiedział, że to właśnie on jedzie na Wyspę Caskera. Czy to nie nadzwyczajne?

– Przecież wiedziałyśmy, że jest gdzieś na statku.

– Ale że to właśnie on wyrwał kapelusz tej wstrętnej małpie! Zdarzenie prawie jak ze sztuki teatralnej. Kiedy powiedział, kim jest, myślałam, że wybuchnę śmiechem. Jest miły, prawda? Ma w sobie coś.

– Jeszcze go nie znasz.

– Och, ale poznam – odrzekła. – Jestem zdecydowana i sędzę, że on też nic nie będzie miał przeciw temu.

Potem widywałyśmy się z nim bardzo często. Nie mówił nam, w jakim celu jedzie na Wyspę Caskera, a my nie pytałyśmy o to. Byłyśmy pewne, że dowiemy się wszystkiego we właściwym czasie.

Wyraźnie skłanialiśmy się ku sobie. Spotykaliśmy się na pokładzie, siadaliśmy i rozmawialiśmy. Dużo wiedział o życiu na wyspach. Spędził kilka lat na Karaibach, mieszkał też na jednej z wysp w pobliżu Borneo, lecz Wyspa Caskera była bardziej odosobniona niż tamte.

Zanim dopłynęliśmy do kolejnego portu, którym był Neapol, nasze stosunki stały się naprawdę przyjacielskie, stąd jako oczywistą przyjęłyśmy jego propozycję, żeby wspólnie zwiedzić ruiny Pompei. Pani Dunstan, która także podtrzymywała znajomość z Łukaszem Armourem, uznała, że jest to jak najbardziej stosowne.

Spędziłyśmy zatem interesujący dzień, a nasz nowy przyjaciel okazał się kompetentnym przewodnikiem. Jak już kiedyś wspominał, starał się dowiedzieć jak najwięcej o zwiedzanych miejscach, więc tak żywo mówił o tych ruinach, że przynajmniej mnie wydawało się, iż wróciłam do owego tragicznego dnia roku 79 po Chrystusie, gdy wybuch Wezuwiusza obrócił w perzynę to kwitnące miasto, a ponadto Herkulanum i Stabie. Miałam wrażenie, że zachowane relikty przeszłości ożyły na nowo, prawie widziałam ludzi, którzy biegli w panice, nie wiedząc, gdzie się mają schronić przed katastrofą. Kiedy wróciliśmy na statek, Tamaryszka zauważyła:

– Ależ ten nasz Łukasz Armour jest poważny! Tak strasznie się przejmuje starożytnymi ruinami i ludźmi, którzy tam kiedyś żyli.

– A nie sądzisz, że to ogromnie ciekawe?

– Owszem, lecz jego nic nie jest w stanie oderwać od tych zabytków. A to przecież zamierzchna przeszłość, czyż nie?

– Po prostu sprawia wrażenie myślącego poważnie człowieka. Mnie to się w nim podoba.

– Gdy się poznaliśmy, był taki zabawny, a teraz robi wrażenie...

– Z pewnością nie jest lekkomyślny, ale myślałam, że ciebie już życie nauczyło, żeby ostrożnie podchodzić do ludzi roztaczających urok wokół siebie, za to wewnętrznie pustych.

Później było mi przykro, że wypowiedziałam te słowa. Musiały na nią podziałać, gdyż przez następnych kilka godzin straciła nieco ze swego zwykłego wigoru. Jednak już nazajutrz zachowywała się wobec Łukasza Armoura bez zarzutu, a nawet trochę go kokietowała.

Obie z niecierpliwością czekałyśmy na Kanał Sueski i istotnie było na co. Zachwyciły mnie jego złociste brzegi i od czasu do czasu widok pasterza prowadzącego trzodę owiec. Przypominały mi się obrazki z Biblii, którą miałyśmy w „Lawendowej Willi”. Parę razy ujrzałyśmy też wielbłądy dostojnie kroczące po piasku i mężczyźni ubrani w długie suknie i sandały. Były to bardzo malownicze sceny.

Sprawiało mi przyjemność siedzenie na pokładzie i oglądanie przesuwających się powoli krajobrazów.

Łukasz Armour przyszedł na pokład i usiadł przy mnie.

– Widok inspirujący wyobraźnię, prawda? – zauważył.

– Cudowne doświadczenie. Nigdy nie myślałam, że przeżyję coś podobnego.

– Cóż to za osiągnięcie – zbudować taki kanał! I jakie ułatwienie dla żeglugi.

– Rzeczywiście.

– Tak więc posuwamy się w naszej podróży.

– Pan musi być przyzwyczajony do podróżowania, ale proszę sobie wyobrazić, co czują ci, którzy nigdy nie płynęli po morzu.

– Jest zawsze coś wyjątkowego w tym, co się robi po raz pierwszy.

– Istotnie. Ciekawe, jaki będzie ten drugi statek?

– Pewnie nie taki duży i mniej wygodny. „Złoty Świt”, który zabierze nas na Cato, jest podobny do naszego, tylko znacznie mniejszy. Natomiast jeśli chodzi o promy, to znam je dość dobrze i nie mam o nich zbyt pochlebnego zdania.

– Musiał pan wiele podróżować w interesach.

– Tak, zwłaszcza do głuchych i zapadłych miejscowości. Podobnie jak pani ojciec.

Trochę się wahałam, czy mu o tym mówić, ale przecież i tak by się dowiedział, skoro jechał na Wyspę Caskera.

– Nigdy nie widziałam mego ojca – wyjaśniłam. – Kiedy opuścił dom, byłam za mała, żeby go zapamiętać. Moi rodzice bardzo dawno się rozwiedli. Mama jakiś czas temu zmarła, a ja mieszkałam z ciotką. Teraz jadę go odwiedzić.

Skinął głową z powagą i przez chwilę milczeliśmy, po czym powiedział:

– Pewno się pani zastanawia, jakie interesy prowadzę. Otóż jestem misjonarzem.

Zrobiłam zdumioną minę, a mój towarzysz się roześmiał.

– Jest pani nieco zaskoczona?

– Zaskoczona? Dlaczego?

Ludzie czasami tak reagują. Chyba wyglądam jak zwykły mężczyzna, załatwiający zwykłe sprawy. Nie spodziewają się po mnie tego, kim naprawdę jestem.

– Cóż, to chwalebne powołanie.

– Według mnie – moje przeznaczenie.

– Dlatego jeździ pan do takich odległych miejsc.

– Tak, żeby nieść ludziom wiarę chrześcijańską. Na Wyspie Caskera mamy misję. Prowadzi ją tylko dwoje ludzi – brat z siostrą – Jan i Muriel Haversowie. Dopiero niedawno ją założyli i napotkali wiele trudności. Mam im pomóc w uporządkowaniu pewnych spraw, najlepiej, jak potrafię. Kilkakrotnie już wysyłano mnie w takich celach... i teraz znowu spróbuję zrobić to samo.

– Będzie pan miał satysfakcję, jeżeli się uda.

– Tak zawsze się dzieje, gdy odnosimy sukces.

– Lecz w tym wypadku zadowolenie musi być wyjątkowe.

– Usiłujemy pomagać ludziom na różne sposoby. Uczymy ich higieny, wskazujemy, jakie uprawy są najodpowiedniejsze na danym terenie; ogólnie rzecz biorąc, jak rozsądnie i dobrze żyć. Mamy nadzieję, że uda się nam otworzyć tam szkołę.

– A czy tubylcy zachowują się przyjaźnie?

– Zwykle tak, choć czasami z pewną dozą podejrzliwości, co zresztą jest całkiem zrozumiałe. Pragniemy im przekazać zasady życia chrześcijańskiego – jak przebaczać nieprzyjaciółom i miłować się wzajemnie.

Mówił dalej o swych planach i pomysłach. Podobał mi się jego zapal.

– Jestem w bardzo szczęśliwym położeniu – stwierdził w pewnej chwili. – Mogę wykonywać pracę, którą lubię. Ojciec pozostawił mi trochę pieniędzy, sumę niezbyt wielką, jednak wystarczającą, więc w zasadzie czuję się wolny. I taką drogę życia wybrałem.

– Jest pan w szczęśliwym położeniu przede wszystkim właśnie dlatego, iż wie, co począć ze swym życiem – powiedziałam.

– A pani i jej przyjaciółka?

– Miałyśmy w domu kłopoty i uznałyśmy, że ta wyprawa jakoś nam pomoże.

– Wyczuwam otaczającą panie atmosferę smutku, nawet panią Marchmont.

Chyba czekał, że powiem coś więcej, ale nie podałam mu żadnych szczegółów i wkrótce wróciłam do kabiny. Tamaryszka właśnie zbierała się do wyjścia.

– Przed chwilą rozmawiałam z Łukaszem Armourem – oznajmiłam. – Jest misjonarzem.

– Co takiego?

– Misjonarzem, który jedzie na Wyspę Caskera.

– To znaczy, że ma nawracać tubylców?

– Coś w tym rodzaju.

Skrzywiła się lekko.

– Po tej przygodzie z kapeluszem myślałam, że spędzimy wesoło czas w jego towarzystwie.

– Może tak i będzie.

– Nie przyszłoby mi to do głowy – stwierdziła. – Myślałam, że jest całkiem zwyczajnym mężczyzną. Wiem, będę go nazywać „Świętym Łukaszem”.

– To już brzmi nieco bluźnierczo.

– Misjonarz! – mruknęła pod nosem.

Najwyraźniej była rozczarowana.

Mijały dni. Popadliśmy w rutynę, jeden nie różnił się od drugiego, chyba że wpływaliśmy do portu. Wtedy następowało ożywienie, gdyż chłonęliśmy nowe wrażenia, które oferował nam świat tak odległy od Harper's Green.

Moja przyjaźń z Łukaszem się umacniała. Okazał się uroczym i wesołym towarzyszem podróży. Opowiadał zabawne historyjki o miejscach, w których przebywał, natomiast bardzo rzadko, tylko gdy go naciskano, mówił na temat swego powołania. Kiedyś mi się przyznał, że gdy ludzie odkrywają, kim jest, zachowują się w stosunku do niego inaczej – jedni go unikają, inni oczekują, że będzie wygłaszał kazania. Zauważył też zmianę w nastawieniu pani Marchmont wobec niego, od kiedy się o tym dowiedziała.

Wiadomość, że Łukasz jest misjonarzem, istotnie nieco zbiła Tamaryszkę z pantafelów. Taka była zachwycona jego postawą, gdy odzyskał kapelusz porwany przez małpę. Powiedziała mi, że to bardzo dobry początek przyjaźni i rozwój owej znajomości może być równie zabawny, zwłaszcza że Armour także wybiera się na Wyspę Caskera. Trochę się jej dziwiłam, że mimo jeszcze świeżych doświadczeń bierze pod uwagę coś w rodzaju flirtu, gdyż nie ulegało wątpliwości, iż teraz zastanawia się, czy potrafiłaby skokietować mężczyznę, który jest misjonarzem.

Pomyślałam wtedy, że to, co się wydarzyło, w niczym nie zmieniło mojej koleżanki.

Dunstanowie opuścili nas w Bombaju. Pożegnaliśmy się z żalem, jak myślę, obustronnym. Okazali się dobrymi przyjaciółmi, bardzo pomogli nam zadomowić się na statku.

Po ich odjeździe Tamaryszka i ja zeszyliśmy na ląd wraz z grupą znajomych. Uderzyły nas dwie rzeczy – piękno wielu budowli i rzucająca się w oczy nędza. Wszędzie roilo się od żebraków. Chciałyśmy dać im jałmużnę, ale nie sposób było wspomóc wszystkich, którzy nas otaczali. Czułam, że jeszcze długo nie pozbędę się widoku owych błagalnie wpatrzonych w nas czarnych oczu.

Kontrast między bogactwem i biedą wzbudzał żal i przygnębienie.

W Bombaju zdarzyła się nam przygoda, która mogła skończyć się fatalnie. Dunstanowie podkreślali, że mamy wychodzić na ląd zawsze w towarzystwie osób znanych nam ze statku i nie powinnyśmy nigdy zostawać same. Szłyśmy więc w większym towarzystwie wąskimi uliczkami, zastawionymi straganami. Takie miejsca niezmiennie przyciągały uwagę Tamaryszki. Trzeba przyznać, że wystawione na sprzedaż towary mogły zaciekawić. Leżały tam wyroby ze srebra, długie, pięknie zdobione sari, różne świecidełka i wszelkiego rodzaju przedmioty ze skóry.

Moja przyjaciółka zainteresowała się jakimiś srebrnymi bransoletkami. Wzięła je ze straganu, przymierzyła i uznała, że musi je mieć. Powstały pewne kłopoty przy płaceniu związane z walutą i gdy wreszcie doszło do zakupu, stwierdziłyśmy, że w pobliżu nie ma już towarzyszących nam osób.

Ścisnęłam Tamaryszkę za ramię i zawołałam:

– Wszyscy już poszli! Musimy zaraz ich odszukać.

– Po co? – odparła. – Bez trudu znajdziemy sobie jakiś wehikuł, który zawiezie nas na statek.

Ruszyłyśmy dalej ulicami. Przedtem całą naszą grupę prowadziła pani Jennings, która mieszkała kiedyś w Bombaju i dobrze знаła miasto. Teraz, po odłączeniu się od towarzystwa, nie mogłam pozbyć się uczucia lęku.

Wszędzie kłębił się tłum i niełatwo było przepychać się pomiędzy ludźmi. Doszłyśmy do końca ulicy i nadal nie mogłyśmy dostrzec nikogo znajomego. Rozglądałam się zaniepokojona, gdyż w zasięgu wzroku nie widać było żadnego pojazdu, który mógłby nas zabrać z powrotem do portu.

W pewnej chwili wpadł na mnie mały chłopiec, aż się przestraszyłam. Potem przebiegł koło mnie drugi. Kiedy zniknęli, zorientowałam się, że mała torebka, w której trzymałam pieniądze, także ulotniła się z mej ręki.

– Ukradli nam pieniądze! – zawołałam. – Spójrz na zegarek! Statek odpływa mniej więcej za godzinę, a proszono nas, żebyśmy były na pokładzie pół godziny wcześniej.

Teraz obie wpadłyśmy w panikę. Byłyśmy w nieznanym kraju, bez pieniędzy. Znajdowałyśmy się w znacznej odległości od portu i nie miałyśmy pojęcia, jak tam wrócić.

Spytałam jedną czy dwie osoby o drogę. Popatrzyły na mnie tępym wzrokiem, ani słowa nie rozumiejąc. Rozpaczliwie rozglądałam się za jakimś Europejczykiem.

Gorączkowo rozważałam, jakie mamy szanse. Co powinniśmy robić? Znalazłyśmy się w beznadziejnej sytuacji i to wszystko z powodu bransoletek Tamaryszki.

Doszliśmy do następnej ulicy, szerszej od innych.

– Spróbujmy tą – powiedziałam.

– Tędy nie szłyśmy – zauważyła Tamaryszka.

– Ktoś tutaj musi nam powiedzieć, jak się dostać do portu. I właśnie w tej chwili ujrzałam jego.

– Panie Armour! – zawołałam. Łukasz podbiegł do nas.

– Spotkałem panią Jennings – wyjaśnił. – Powiedziała mi, że panie odłączyły się na bazarze, zdecydowałem się więc wyruszyć na poszukiwanie.

– Straciliśmy pieniądze – oświadczyła Tamaryszka, ale już głosem wyrażającym wielką ulgę. – Skradli nam je jacyś wstrętni chłopcy.

– Rozsądniej było trzymać się grupy.

– Och, jak się cieszę, że pana widzę! – zawołała moja przyjaciółka. – A ty, Fred?

– Wprost brak mi słów na wyrażenie radości. Z każdą chwilą bałam się coraz bardziej.

– Że odpłyniemy bez pań? To się oczywiście mogło zdarzyć.

– Jest pan naszym wybawcą, panie Armour – powiedziała Tamaryszka i wzięła go z uśmiechem pod rękę. – Wiem, że pan nas doprowadzi na statek.

– Musimy przejść pieszo jeszcze kawałek, a potem ktoś nas czymś podwiezie, bo tutaj niczego takiego nie ma. Ale nie jesteśmy daleko od portu.

Co to była za niewypowiedziana ulga. Przerazała nas perspektywa, że zostaniemy same w obcym mieście, a tu nagle zjawia się wybawca, który specjalnie wyszedł nas poszukać.

– Jakim cudem znalazł nas pan tak szybko? – spytała Tamaryszka.

– Pani Jennings powiedziała, że zgubiła panie na bazarze. Znam ten teren i domyśliłem się na podstawie jej wskazówek, jaką drogą będą panie wracały. Pomyślałem, że będzie najlepiej, jak się tu pokręcę przez parę minut. I jak widać – udało się!

Już drugi raz przychodzi mi pan z pomocą – zauważyła Tamaryszka. – Najpierw ten kapelusz, a teraz to. Mam nadzieję, że będzie pan pod ręką, gdy zagrozi nam kolejne niebezpieczeństwo.

– A ja mam nadzieję, że zawsze uda mi się przyjść z pomocą, gdy będzie pani mnie potrzebowała – odrzekł z galanterią.

Byłam niemal szczęśliwa, gdy po trapie wspinałyśmy się na pokład. Nasze ocalenie graniczyło z cudem i ciągle drżałam na myśl, co by się mogło z nami stać, gdyby nie Łukasz Armour. Poza tym cieszyłam się, że właśnie Łukasz nas uratował. Czułam do niego coraz większą sympatię, zresztą podobnie jak Tamaryszka, choć nadal nazywała go „Świętym Łukaszem”.

Nastawienie Tamaryszki do Łukasza zdecydowanie się zmieniło. Parę razy znalazłam ich siedzących razem na pokładzie. Zwykle przyłączałam się do obojga moich przyjaciół i wspólnie miło spędzaliśmy czas.

Zbliżał się koniec podróży tym statkiem. Tamaryszka nie kryła zadowolenia z faktu, że dalej nie będziemy podróżowały same, lecz w towarzystwie „Świętego Łukasza”. Można było na nim polegać i liczyć na jego pomoc.

Przyznała, że rozmawiał z nią nawet o celu swej wyprawy na wyspę. Nie miał pojęcia, jak się tam sprawy mają, ale był przekonany, że owo miejsce różni się od tych, gdzie dotychczas był. Organizacja misji była dopiero w ząbku, a pierwszy etap zawsze jest najtrudniejszy. Trzeba przekonać ludzi, że tę działalność prowadzi się dla ich dobra i nie chodzi o mieszanie się w ich sprawy.

– On jest niezwykłym człowiekiem – powiedziała mi kiedyś Tamaryszka. – Nigdy nie znałam nikogo podobnego, takiego szczerego i uczciwego. Opowiedziałam mu o sobie, jak Gaston zawrócił mi w głowie. Mówiłam o moim małżeństwie... i o wszystkim... a nawet o tym, jak znaleziono ciało Gastona. Bardzo uważnie mnie słuchał.

– Przypuszczam – odrzekłam – że ta historia zainteresowałaby większość ludzi.

On chyba rozumie, co czuję – tę obawę, bo nic nie wiadomo i wszyscy na ten temat spekulują... bo ja sama jestem przecież podejrzana. Łukasz uważa, że policja na pewno mnie nie podejrzewa, gdyż w przeciwnym wypadku nie pozwolono by mi opuścić kraju. Mówiłam mu, że chyba wszyscy zostaliśmy oczyszczeni z owego zarzutu – ja, mój brat, ojciec uwiedzionej dziewczyny, słowem, wszyscy. I właśnie dlatego jest to dla nas takie trudne, gdyż nie znamy prawdy. Wspomniałam, że być może chodzi o kogoś, kto znał Gastona w przeszłości i miał do niego jakąś urazę. Obiecał się za mnie pomodlić, na co powiedziałam, że sama już to zrobiłam, choć bez większego efektu, lecz być może on będzie szybciej wysłuchany niż ja, gdyż jest w lepszych stosunkach z tymi na górze. Później jakoś nie był skory do dalszej rozmowy.

– Nie powinnaś była mu tego mówić.

– Też tak sobie pomyślałam, ale przecież mówiłam szczerze, co myślę. Rzeczywiście uważam, że ze względu na wrodzoną dobroć Łukasza jego modlitwy będą skuteczniejsze niż kogoś takiego jak ja, jeżeli istnieje jakaś sprawiedliwość. To typ człowieka, którego modlitwy powinny być wysłuchane, a sądzę, że on modli się za innych tak samo jak za siebie. Naprawdę bardzo go lubię.

Płynęliśmy wzdłuż wybrzeży Australii – najpierw było Freemantle, potem Adelajda i Melbourne i w ten sposób zbliżała się chwila, kiedy przyjdzie nam opuścić „Królową Południa”.

W końcu dobiliśmy do wspaniałej przystani, którą kapitan Cook, podróżnik i odkrywca, określił jako jedną z najpiękniejszych na świecie.

Istotnie był to imponujący widok, kiedy przepływając pomiędzy Przylądkiem Północnym a Południowym, ujrzelśmy rozciągające się przed nami Sydney – miasto, które nie tak dawno jeszcze wyglądało zaledwie jak osada.

Zbyt mało mieliśmy czasu, żeby coś więcej zobaczyć, gdyż zapanowała ogólna krzątanina, jak zawsze przed zejściem ze statku. Trzeba było pożegnać się ze znajomymi, z którymi podróżowałyśmy przez wiele tygodni i razem spożywałyśmy posiłki trzy razy dziennie. Zwracając się do Tamaryszki, zauważyłam, że w kraju nie spotykałyśmy się ze swymi bliskimi przyjaciółmi tak często, jak z obecnymi towarzyszami podróży, którzy teraz odchodzą na zawsze z naszego życia i większość z nich stanie się jedynie wspomnieniem.

Łukasz Armour okazał się również bardzo praktycznym człowiekiem. Pilnował, by wszystkie nasze bagaże zostały ulokowane na „Złotym Świcie” i zorganizował wspólne przenosiny na nowy statek.

Wielka szkoda, że tak mało udało się nam zobaczyć w Sydney, doprawdy pięknym mieście, jak zdołałyśmy dostrzec. Jednak najważniejszą dla nas sprawą było kontynuowanie dalszej podróży bez zakłóceń.

– Ale ten nasz święty jest zaradny – zauważyła Tamaryszka. Mówiła zawsze o Łukaszu z nutą kpiny w głosie. Lubiła go, tylko nie bardzo umiała widzieć mężczyznę w człowieku, który poświęcił się takiemu powołaniu.

Wreszcie znaleźliśmy się na pokładzie „Złotego Świt” i wyruszyliśmy w dalszą drogę. Statek był przeznaczony przede wszystkim do przewozu towarów i jedynie przy okazji zabierał pasażerów. Zanim dotarliśmy do Wellington, przebyliśmy wzburzone Morze Tasmana. Podczas tej przeprawy większość czasu spędziliśmy w łózkach. Postój w porcie był krótki, jedynie na czas potrzebny do wyładowania i załadowania towarów. Stamtąd skierowaliśmy się już prosto na Cato.

Następny dzień spędziliśmy na błogim lenistwie. Pogoda była bezwietrzna i ciepła. Z prawdziwą przyjemnością siedzieliśmy na pokładzie, obserwując spokojne i przezroczyste morze, w którym tu i ówdzie widzieliśmy latające ryby, wyskakujące z wdziękiem ponad powierzchnię, lub stado igrających delfinów.

Łukasz opowiedział nam o swym dzieciństwie spędzonym w Londynie. Jego ojciec, dobrze prosperujący przedsiębiorca, był znaną osobistością w kręgach finansjery. Pragnął, by Łukasz i jego starszy brat pracowali razem z nim, lecz Łukasz miał inne plany. Po śmierci ojca odziedziczył wystarczająco dużo pieniędzy, żeby zrealizować swe pomysły, a przedsiębiorstwo przejął starszy brat.

Łukaszowi nie podobały się interesy, które prowadził ojciec, ale musiał przyznać, że dzięki nim właśnie mógł teraz robić to, co chciał. Skoro brat wypełnił wolę ojca, uznał, że on może z czystym sumieniem iść własną drogą.

– Tak więc – powiedziała Tamaryszka trochę złośliwym tonem, jakim zwykle zwracała się do Łukasza – nie podobały się panu interesy ojca, lecz musi pan przyznać, że tylko zyski z owych przedsięwzięć dały mu możliwość zrealizowania własnych zamierzeń. Czy to nie kłóci się z pana sumieniem?

– Rozumiem, co ma pani na myśli – odrzekł z uśmiechem. – Ale według mnie w życiu należy stosować prostą logikę. Pieniądze, pozwalające mi na urzeczywistnienie życiowych planów, pochodzą z zysków przedsiębiorstwa, w którym nie miałem ochoty pracować. Jednak czy to oznacza, że istnieją jakieś logiczne powody, dla których nie miałbym ich użyć na wspieranie sprawy, w którą wierzę?

– Chyba nie – zgodziła się niechętnie. – Muszę przyznać, że brzmi to sensownie.

– Mam nadzieję, że nigdy nie powie mi pani niczego, o czym nie będzie w pełni przekonana.

I tak płynęły dni. Tamaryszka po przyjacielsku stale przekomarzała się z Łukaszem i miała wrażenie, że bawiło to ich oboje.

W końcu dopłynęliśmy do Cato, gdzie opuściliśmy „Złoty Świt”. Teraz musieliśmy czekać na prom, który miał nas zabrać na Wyspę Caskera.

Cato była małą wyspą, lecz gdy na nią przyплыliśmy, zapanowało tam ogromne ożywienie. Już zawinięciu „Złotego Świtu” do przystani towarzyszyły powitalne okrzyki. Na spotkanie statku wypłynęły małe łodzie, które zabrały na ląd pasażerów, zanim zaczęto wyładowywać towary.

Zostaliśmy otoczeni przez krzyczących i gestykujących ludzi. Byli bardzo podekscytowani naszym przybyciem i nie mogli się doczekać, kiedy pokażą, co mają na sprzedaż. Oferowali nam ananasy, orzechy kokosowe, a także wyrzeźbione w drewnie lub kamieniu posążki, wyobrażające tajemnicze i raczej mało pociągające postacie jakichś bożków czy wojowników. Znajdowało się tam mnóstwo wysokich palm i inna przebogata roślinność.

Łukasz uznał, że przede wszystkim musimy znaleźć hotel, gdzie moglibyśmy się zatrzymać do czasu przybycia promu; jak tylko się tam ulokujemy, wyjdzie, żeby się wypytać, kiedy będziemy mogli wyruszyć dalej.

Jeden z mężczyzn ochoczo zgłosił się na naszego przewodnika. Mówił trochę po angielsku, ale w znacznej mierze pomagał sobie gestykulacją.

– Hotel? – zapytał. – O, tak. Ja pokazać. Ładny hotel... szanowny pan... i szanowne panie... ładny hotel. Prom tu przyjechać. Nie ten dzień. – Pokręcił żywo głową. – Nie ten dzień.

Pokazał taczki, złożył na nich bagaże i zaczął przepychać się przez otaczający nas tłum. Dał znak, abyśmy za nim podążali. Kilkoro dzieci, których brązowych ciałek nie okrywał nawet skrawek materiału, patrzyło w zadziwieniu, jak ruszyliśmy za naszym przewodnikiem, odwracającym co chwila głowę dla upewnienia się, czy za nim idziemy. „Iść za mną!” – wołał.

Po przebyciu niecałego kilometra od wybrzeża doszliśmy do budynku z białego kamienia, do którego nasz przewodnik już wtaczał taczki.

– Piękny hotel. Bardzo dobry. Najlepszy w Cato. Wy iść. Wam się podobać.

Znaleźliśmy się w pokoju, gdzie temperatura była niższa o kilka stopni niż na zewnątrz. Zastaliśmy w nim tęgą kobietę o bardzo ciemnej skórze i błyszczących czarnych oczach. Uśmiechnęła się do nas, ukazując olśniewająco białe zęby.

– Ja przyprowadzić, ja przyprowadzić – rzekł przewodnik. – Szanowni panowie, szanowne panie... – po czym zaczął coś mówić jak nakręcona katarynka w tubylczym języku. Kobieta nadal spoglądała na nas z uśmiechem.

– Państwo chcą zostać? – spytała.

– Tak – odrzekł Łukasz. – Pragniemy się zatrzymać do czasu przybycia promu, który ma nas zabrać na Wyspę Caskera.

– Wyspa Caskera! – Kobieta wydeła pogardliwie wargi. – O nie. Lepiej tutaj. Ja mam dwa... – Uniosła dwa palce. – Dwa pokoje?

– Tak – odrzekł Łukasz – dwa nam całkiem wystarczą i zwracając się do mnie, zapytał: – Mogą panie mieszkać razem?

– Na statku miałyśmy przecież wspólną kabinę – odezwała się Tamaryszka. – Chodźmy zobaczyć, jak one wyglądają.

Szybko się rozlokowaliśmy, a z braku wyboru z wdzięcznością przyjęliśmy to, *co* było. Pulchna gospodyni wyglądała na bardzo zadowoloną z naszego przybycia i ubolewała jedynie, że zostaniemy tylko do przybycia promu.

Pokoje okazały się małe i dość prymitywne, ale w każdym stały dwa łóżka, a nasz pobyt tutaj i tak nie miał trwać długo. Nad łóżkami zawieszono moskitiery, z których nasza gruba gospodyni była bardzo dumna, co wyraźnie dało się zauważyć, gdy je pokazywała.

W końcu przewodnik zostawił nas samych i wyszedł z hotelu z miną człowieka zadowolonego z dobrze spełnionego obowiązku. Okazało się, że prom ma przybyć w piątek, a skoro była środa, szczęśliwie nie zanosilo się na dłuższy pobyt.

Po wyczerpującej podróży morskiej dziwnie się czuliśmy na lądzie. Wszystko tu było dla nas nowe i mieliśmy ochotę pozwiedzać trochę wyspę, gdyż domyślaliśmy się, że pewnie niewiele różni się od Wyspy Caskera, skoro leżała dość blisko niej. Wypakowaliśmy z naszych bagaży trochę rzeczy, potrzebnych podczas krótkiego pobytu na Cato.

Tamaryszka uznała, że nasza przygoda jest ogromnie ekscytująca.

– Podoba mi się ta grubiotka gospodyni – stwierdziła. – Tak się cieszyła, że się tutaj zatrzymaliśmy, i już się martwi, że zostaniemy zbyt krótko. Czy mogliśmy się spodziewać miłszego powitania?

Prom łączący Cato i Wyspę Caskera kursował dość regularnie. Przywoził na obie towary z Sydney, a ponadto dostarczał pocztę.

Zainstalowaliśmy się w nowej siedzibie i pozostało tylko czekać. Panował potworny upał, ale przynajmniej w pokojach było chłodniej. Podróż bardzo nas zmęczyła, więc po zjedzeniu kolacji, na którą podano jakąś nieznaną rybę i owoce, postanowiliśmy wcześniej iść spać. Zrobiło się zresztą dość późno, a na ewentualne zwiedzanie wyspy należało przeznaczyć godziny poranne i wieczorne, gdyż w ciągu dnia byłoby za gorąco.

Tamaryszka zaraz usnęła, a ja leżałam wsłuchana w szum fal i melodię graną na jakimś instrumencie nieopodal naszego hotelu.

Zastanawiałam się, *co* w tej chwili robią Kryspin i ciocia Zosia. Ciocia zapewne z kolei myślała, co się ze mną dzieje. Niedługo zobaczę się z ojcem. Zawsze tego pragnęłam. Ale teraz z rozkoszą znalazłabym się z powrotem w Anglii!

– Gdyby tylko nie ta kobieta – powtarzałam sobie. – Gdyby nie to, że zjawiła się w jego życiu, gdyby nie to, że wróciła.

Lecz stało się inaczej. Musiałam spojrzeć na to wszystko z dystansu i przemyśleć, w którą stronę zmierzam, i co powinnam zrobić ze swym życiem.

Jedna rzecz była pewna. Nigdy nie zapomnę Kryspina.

Spojrzałam na Tamaryszkę. W świetle księżyca, z włosami rozsypanymi na poduszce, wyglądała pięknie. Pod moskitierą jej skóra robiła wrażenie niemal przezroczystej. Ona była w łatwiejszej sytuacji. Pragnęła tylko jednego – wyjechać jak najdalej, uciec, zapomnieć. Trochę się zmieniła, lecz często dawała znać o sobie jej dawna natura. Tamaryszce potrzebna była taka podróż, udało jej się już rozluźnić więzy łączące ją z przeszłością.

Pomyślałam, że mnie się to nigdy nie uda.

Następnego dnia rano zwiedzaliśmy wyspę. Nasze pojawienie się wywołało zaciekawienie wśród tubylców, choć Europejczycy nie byli tu całkiem nieznanymi.

Wielką uwagę zwracały złociste włosy Tamaryszki. Jedna z kobiet podeszła i dotknęła jej głowy. Nikt nie usiłował ukrywać ciekawości, ludzie otwarcie się przyglądali, śmiali się i chichotali, jakby nasz widok wydawał się im bardzo zabawny.

Robiło się coraz upalniej, więc po lunchu zostaliśmy w hotelu. Siedzieliśmy i tylko przez okno przyglądaliśmy się dla zabicia czasu otoczeniu.

– Już niedługo – odezwała się Tamaryszka. – Wkrótce znajdziemy się u celu. Mam tylko nadzieję, że tam nie będzie takiego skwaru jak tutaj.

– Raczej nie należy się spodziewać wielkiej różnicy – odrzekł Łukasz. – Przywykniesz do upału jak wszyscy.

– Ty będziesz miał swoją pracę... ważne zadanie do spełnienia. A co ze mną?

– Mogłabyś mi pomagać. Nie wątpię, że znalazłbym ci coś do roboty.

Skrzywiła się z niesmakiem.

– Chyba nie za bardzo się do tego nadaję, nie sądzisz?

– Jestem przekonany, że potrafiłabyś stać się przydatna. Uśmiechnęli się do siebie, a Tamaryszka zwróciła się jeszcze do mnie:

– Wyobrażasz sobie mnie, wykonującą takie umoralniające zajęcia?

– Sądzę, że jeśli naprawdę będziesz chciała, wszystko potrafisz robić – odpowiedziałam całkiem poważnie.

– No i widzisz, Święty Łukasz. Jest jeszcze dla mnie nadzieja.

Wyspa Caskera

Wreszcie w piątek, ku naszej uldze, ujrzelśmy zbliżający się prom. Ludzie pospieszyli w stronę wybrzeża. Ten sam przewodnik przyszedł po nas ze swymi taczkami, abyśmy już byli na miejscu, gdy prom zacumuje. Nie było tu niczego podobnego do kabin. Powiedziano nam, że odpłyniemy późnym popołudniem i dotrzemy na wyspę następnego dnia wieczorem, o ile nie wyniknie nic nieprzewidzianego.

Przed odbiciem promu na wybrzeżu trwała hałaśliwa krzątanina. Nastąpiła pewna zwłoka, gdyż wszystko zależało od czasu ładowania towarów, a byliśmy jedynymi pasażerami, wybierającymi się na Wyspę Caskera.

Zdażyłam się już zorientować, jakim wielkim wydarzeniem dla mieszkańców wyspy było, kiedy statek przybywał i odbijał; to rozpraszało monotonię dnia, zwłaszcza że nigdy nie wiedzieli, jacy przybysze zawitają na wyspę. Tacy jak my, zupełnie niepodobni do tubylców, dostarczali im rozrywki.

Wreszcie prom ruszył w drogę. Tego wieczoru usiedliśmy w trójkę na pokładzie z nadzieją, że może choć trochę przyśniemy. Morze było spokojne, gładkie i tylko fale pluskały cicho przy burcie promu. Oddychaliśmy z przyjemnością balsamicznym powietrzem. Tu i ówdzie mogliśmy zauważyć w morskich głębinach fosforyzujące migotanie – odbłask przepływającej ławicy ryb.

Wszystko, na czym mi najbardziej zależało, pozostało po drugiej stronie świata. Czasami mówiłam sobie, że zachowałam się głupio. Powinłam była wykazać więcej odwagi. Utraciłam Kryspina, gdyż bałam się z nim zostać. I co teraz? Nigdy go nie zapomnę. Musiałam być bardzo niemądra, sądząc, że mi się to uda.

Tamci dwoje drzemali, ja zaś wpatrywałam się w spokojną toń wody i gdzie tylko spójrzałam, wydawało mi się, że widzę twarz Kryspina.

Następnego dnia, gdy wczesnym popołudniem siedziałam na pokładzie, usłyszałam krzyk jednego z przewoźników. Machał rękami i wskazywał wylaniający się na horyzoncie ląd.

– Wyspa Caskera! – wołał.

I oto wreszcie była ta wyspa w kolorach brązu i zieleni – garb na gładkim błękitnie morza.

Kilku marynarzy wyszło na pokład, żeby przygotować prom do zacumowania. Razem z Tamarą i Łukaszem stanęliśmy obok nich. Ogarnęło mnie silne wzruszenie. Po tych wszystkich latach miałam zobaczyć ojca.

Łukasz wyczuł, co przeżywam, i położył mi rękę na ramieniu.

– To ważny dzień dla ciebie – powiedział. Skinęłam głową.

– Dobrze, że wreszcie będziecie ze sobą.

– Ta wyspa bardzo przypomina Cato – zauważyła Tamaryszką.

Rzeczywiście, w miarę jak się zbliżaliśmy, stawała się coraz bardziej podobna do tamtej. Liczna grupa ciemnoskórych ludzi zebrała się przy brzegu. Mieli na sobie suknie w jaskrawych kolorach oraz ozdoby z paciorków na szyi i kostkach nóg. Doszła do nas melodia grana na jakimś instrumencie – dźwięki podobne do tych, jakie słyszałam na Cato. Małe dzieci, całkiem nagie, wbiegały do morza i wracały na brzeg z okrzykami radości. Przy samej wodzie czekały kobiety, niektóre z niemowlętami na plecach; inne trzymały swe maleństwa po prostu na rękach. Te kobiety także wznosiły radosne okrzyki na widok promu.

– Musimy przypilnować naszych bagaży – odezwał się Łukasz.

– Czy to nie szczęście, że mamy ze sobą świętego, który się nami opiekuje? – zażartowała Tamaryszka.

– Niewątpliwie – zgodziłam się z nią.

Bagaż wystawiono i gdy już byliśmy gotowi do zejścia na ląd, zobaczyliśmy zdążającego pospiesznie ku promowi potężnie zbudowanego mężczyznę. Ubrany w białe bawełniane spodnie i niebieską koszulę, robił wrażenie jakiegoś oficjalnego wysłannika.

– Pani Hammond! Pani Hammond! – wołał ze śpiewnym akcentem.

– Tak, tak! – wykrzyknęłam. – Jestem tutaj!

Jego szeroka, ciemna twarz rozpromieniła się w uśmiechu. Złożył dłonie i lekko skłonił głowę.

– Pani Karla. Ona mówić przyjąć. Ja wziąć.

– Och, dziękuję. Wspaniale! – odkrzyknęłam. – Tu są bagaże, a ci państwo to dwoje moich przyjaciół.

Z uśmiechem pokiwał głową

– Zostawić Macali. On wszystko zrobić.

– Przypuszczam, że to ojciec musiał go wysłać na spotkanie z nami – zwróciłam się do Tamaryszki i Łukasza.

Spodziewałam się, że przyjdzie tu sam. Domyślałam się jednak, że skoro tak się nie stało, widocznie miał po temu jakieś powody i dlatego przysłał tego człowieka.

– Karla? – spytała Tamaryszka. – Kto to jest Karla? Ciemny mężczyzna pstryknął palcami z władczą miną.

– Mandel! – zawołał. – Mandel!

Podbiegł do nas chłopiec, mniej więcej dziesięcioletni. Macała powiedział coś w ich języku, a chłopiec słuchał uważnie, kiwając głową. Następnie Macała odezwał się do nas:

– Wy iść za mną. – Poprowadził nas do wozu zaprzęzonego w dwa osły. – Ja zabrać – rzekł.

– Do pana Hammonda? – spytałam.

Skinał głową.

– Ja zabrać. – Wskazał gestem, że mamy wsiadać na wóz.

– Nie możemy odjechać bez bagażu – zaprotestowała Tamaryszka.

W tej samej chwili zjawił się chłopiec z jedną z naszych walizek i wskazał ręką za siebie. Macała skinął głową i przesłał nam uspokajający uśmiech.

– Ja wziąć – oświadczył.

– Może mógłbym pomóc? – zapytał Łukasz.

– Jeżeli z nim pójdziesz, zostaniemy same – powiedziała. – To wszystko wydaje się dość dziwne, ale przecież jesteśmy ważniejsze od bagażu. Wiesz, Fred, myślałam, że twój ojciec tu będzie. Chyba nie mieszka daleko stąd?

Nie odpowiedziałam na to pytanie.

Obawy o bagaż były niepotrzebne. Po krótkim czasie wrócił Macała z chłopcem oraz jakimś wysokim mężczyzną. Nieśli wszystkie nasze pakunki.

Mieliśmy jeszcze trochę tamtejszych pieniędzy, którymi płaciliśmy na Cato, więc wręczyliśmy je temu mężczyźnie i chłopcu, którzy nie posiadali się z radości.

W końcu ruszyliśmy. Wóz toczył się pomiędzy bujną roślinnością i nie minęło dziesięć minut, gdy naszym oczom ukazał się dom. Parterowy, wznosił się na palach około pół metra nad ziemią. Był niski i szeroki, zbudowany z jakiegoś białego drewna. Otaczała go gęstwina krzewów, mieniających się jaskrawymi kolorami kwiatów.

Kiedy tam dojechaliśmy, drzwi na ganek otworzyły się i na próg wyszła uderzająco piękna, wysoka kobieta, o posągowej figurze. Czarne włosy miała luźno rozpuszczone na ramiona, a cerę jaśniejszą niż większość tubylców widzianych przez nas na wyspie i niezwykle gładką. Spoglądała na nas ogromnymi, błyszczącymi oczami, a powitalny uśmiech, ukazujący wspaniałe, białe zęby, był bardzo serdeczny.

– Ty jesteś Fryderyka – odezwała się, patrząc nie na mnie, lecz na Tamaryszkę.

– Nie – odpowiedziałam. – To ja.

Mówiła po angielsku z nieznacznym, miło brzmiącym zaśpiewem.

– Wreszcie przyjechałaś. Ronald wprost nie mógł się ciebie doczekać.

Wymawiała imię ojca, przeciągając pierwszą sylabę. Zastanawiałam się, kim jest ta kobieta.

- To moja przyjaciółka, pani Marchmont, która ze mną podróżuje.
- Pani Marchmont – zwróciła się do Tamaryszki – bardzo mi miło, że pani przyjechała.
- A to pan Armour, okazał nam wiele pomocy w czasie drogi. Udaje się do misji.

Nieznajoma ściągnęła brwi na moment, jakby się nad czymś zastanawiała, po czym oznajmiła z uśmiechem:

- A ja jestem Karla.
- Dowiedzieliśmy się, że ten człowiek, Macała, został wysłany przez ciebie.
- Tak.
- Czy mój ojciec jest tutaj?
- Jest bardzo szczęśliwy, że przyjechałaś. Rozejrzałam się wokół z nadzieją, że go gdzieś zobaczę, a Karla powiedziała tylko:
 - Ale proszę do środka. Nie ma co tak stać.

Wprowadziła nas do pokoju, gdzie było znacznie chłodniej niż na zewnątrz. W kilku otwartych oknach znajdowała się siatka, pewnie dla zabezpieczenia przed owadami. Stały tam meble wykonane z jasnego drewna, wyglądającego jak bambus.

- Najpierw musisz zobaczyć się z ojcem – zaproponowała Karla.

Spojrzała na Tamaryszkę i Łukasza jak gdyby z zakłopotaniem; miała tak wyrazistą twarz, ujawniającą uczucia, że niemal mogłam czytać w jej myślach. W tym wypadku było pewne, iż według niej powinnam iść do ojca sama.

Nasz przyjaciel oznajmił z typowym dla siebie wyczuciem:

- Chyba tu poczekamy. On przecież właśnie ciebie chce zobaczyć. Może będziemy mogli poznać go później.

Pomyślałam, że jest to nieco tajemnicze, ale wszystko z pewnością się wyjaśni.

Miałam wrażenie, że Karla przyjęła z ulgą oświadczenie Łukasza, gdyż uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością. Tamaryszka usiadła na jednym z bambusowych krzesel, Karla zaś zwróciła się do mnie:

- Chodź.

Poprowadziła mnie korytarzem, po czym stanęła przed drzwiami i zanim je otworzyła, rzekła cichym, bardzo łagodnym głosem:

– On jest tutaj.

Siedział na krześle przed oknem. Nawet nie odwrócił głowy, co wydało mi się dziwne.

Weszłam za Karłą do pokoju i stanęłam koło jego krzesła. Choć nie wstał, było oczywiste, że to bardzo wysoki mężczyzna. W jego siwych włosach pozostał jeszcze złotawy odcień. Rysy miał regularne, wręcz klasyczne. Musiał być kiedyś – i nadal był – niezwykle przystojny. Odezwał się tak melodyjnym głosem, jakiego jeszcze nigdy nie słyszałam:

– Fryderyko, moja córko, więc przybyłaś, żeby się ze mną spotkać. Nareszcie tu jesteś. – Wyciągnął rękę i wyjaśnił: – Nie mogę cię zobaczyć, moja droga. Jestem niewidomy.

Kiedy zaczął mówić dalej, już trzęsły mi się usta.

– Podejdź bliżej. – Wstał i sam się do mnie zbliżył. Najpierw położył mi dłonie na ramionach, a następnie uniósł je ku mojej twarzy. Badał ją palcami i w końcu czule pocałował mnie w czoło. – Moje kochane dziecko – powiedział. – Tak długo czekałem na to spotkanie.

Po tym wzbudzającym ogromne emocje powitaniu odzyskał równowagę szybciej niż ja i oświadczył, że pragnie poznać Tamaryszkę i owego młodego człowieka, który okazał się tak pomocny w podróży. Poszłam do nich i oznajmiłam, że ojciec pragnie ich poznać. Wyjaśniłam, że jest niewidomy. Ta wiadomość nimi wstrząsnęła. Gdy jednak już mu ich przedstawiłam, robił wrażenie całkiem wesołego i ożywionego – takiego, jakiego oczekiwałam na podstawie opisów cioci Zosi.

Przywitał gorąco Tamaryszkę. Powiedział jej, jak bardzo się ucieszył, kiedy usłyszał, że ma mi towarzyszyć w podróży, Łukaszowi zaś w ciepłych słowach podziękował za jego troskę, okazywaną nam w czasie drogi.

Wszyscy usiedliśmy i zaczęliśmy rozmawiać, a Karła przyniosła napój z jakichś owoców. Usiadła z nami i zauważyłam, jak czujnie pilnuje mego ojca, jak się upewnia, czy ma on pod ręką szklankę. Wiele się jeszcze musiałam dowiedzieć o sytuacji panującej w tym domu, a nie wątpiłam, że i Tamaryszkę rozpira ciekawość.

W końcu Łukasz oznajmił, że powinien udać się do misji, gdzie go oczekują.

– Macała pana zawiezie, jeśli zechce pan pojechać tym starym wozem – zaproponowała Karla. – Ale to najlepszy pojazd, jaki mamy. Biedne, poczciwe osły są już wiekowe, lecz muszą nam wystarczyć, dopóki nie zastąpimy ich innymi. Dobrze nam służyły.

– Dom misji znajduje się niecały kilometr stąd – powiedział ojciec – więc będziemy bliskimi sąsiadami. Jak to się stało, że zdecydował się pan tu przyjechać?

– Dostałem taką propozycję i ją przyjąłem – odrzekł Łukasz.

Ojciec pokiwał głową.

– Jeżeli będzie pan chciał coś smacznego przekąsić, powitamy go tu z radością, bez względu na porę, prawda, Karlo?

– Oczywiście.

Kiedy Łukasz już nas opuścił, ojciec powiedział:

– Skromny młodzieniec, ale robi wrażenie szczerze przejętego swym zadaniem. Miejmy nadzieję, że sprawy nie potoczą się wbrew jego oczekiwaniom.

– Jak rozumiem, nie masz najlepszego mniemania o tutejszej misji – zauważyłam.

– Takie placówki są potrzebne. Nawracanie pogan to zajęcie wymagające wielkiego wysiłku... chyba że poganie pragną być nawróceni.

– A tutejsi nie chcą?

Wzruszył ramionami.

– Powiedziałbym, że nie chcą zmian. Zwłaszcza jeżeli duchy okazują im przychylność, a przecież zawsze można zjednać je sobie jakimiś niewielkimi ofiarami. Ci ludzie nie rozumieją zasad w rodzaju: „Kochaj bliźniego jak siebie samego”. Koncentrują się przede wszystkim na sobie i nie mogą zbyt wiele czasu poświęcać bliźnim.

– Łukasz jest bardzo dobrym człowiekiem – powiedziałam.

– Nazywamy go „Świętym Łukaszem” – dodała Tamaryszka.

Ojciec uśmiechnął się lekko.

– Tak – rzekł. – Emanuje z niego łagodność. Mam nadzieję, że zrobi tu wiele dobrego.

Karla pokazała nam pokoje. Mieściły się obok siebie. Wszystko tu zostało wykonane z jasnego drewna. Na drewnianych podłogach leżały chodniki, okna zasłonięto siatkami. W każdym pokoju znajdowały się miednice i dzbany do wody, którą – jak później odkryłam – czerpano z pobliskiej studni. Nie było tu bardziej prymitywnie niż na Cato. W dwóch domostwach przypominających szałas mieszkały dwie rodziny, których członkowie pracowali u ojca jako służący. Można powiedzieć, że w tych okolicznościach wszystko zostało tak urządzone, aby żyło się tu jak najwygodniej.

Najbardziej pragnęłam porozmawiać z ojcem sam na sam. Tamaryszka chyba to zrozumiała, ponieważ po posiłku, podanym pod nadzorem Karli, oznajmiła, że jest zmęczona i chciałyby iść do siebie. To właśnie była sposobność, na którą czekałam.

Ojciec zabrał mnie do pokoju, gdzie po raz pierwszy go zobaczyłam.

– To mój azyl – oświadczył. – Tu najczęściej przebywam. Karla uważa, że jesteś trochę zdezorientowana i że powinienem ci wszystko wyjaśnić.

– Kim właściwie jest Karla?

– Właścicielką tego domu. Jej ojciec był Anglikiem, a matka pochodziła stąd. Ojciec przyjechał na tę wyspę i założył tu wielką plantację orzechów kokosowych. Nie ożenił się z jej matką, lecz bardzo dbał o Karłę. To niezwykle inteligentna kobieta... i atrakcyjna. W ogóle jest wspaniała. Wiem, że od razu poczułyście do siebie sympatię. Donald Marling, ojciec Karli, zostawił jej w spadku dom i plantację. Ona ma mocną pozycję w tutejszej społeczności.

– A ty mieszkasz tu razem z nią?

Uśmiechnął się lekko.

– Od dawna bardzo się przyjaźnimy. Przywiozła mnie tutaj – dotknął swych oczu – gdy to mi się przytrafiło.

– Ciocia Zosia wiele mi o tobie opowiadała, ale nie wspominała, że jesteś niewidomy.

– Bo tego nie wie. Nie pisałem jej o tym.

– Ale przecież z nią korespondowałeś. Zanim pojawiła się kwestia przyjazdu tutaj, myślałam, że jesteś w Egipcie.

– Byłem tam. Swego czasu służyłem w wojsku, jak wiesz. A potem... wycofałem się z armii. Zajmowałem się interesami różnego rodzaju... tam i w innych miejscach. To przeszłość. Nie ma sensu rozwodzić się nad niewłaściwie wykorzystanym czasem młodości.

– Zatem wyrzucasz to sobie?

– Jakże bym mógł, skoro dobrze się bawiłem. To było spostrzeżenie raczej natury ogólnej, niż odnoszące się szczególnie do mnie.

– Chciałabym się dowiedzieć jak najwięcej o tobie. Przez te wszystkie lata wiedziałam, że mam ojca, ale nigdy nie widziałam go na oczy. W ogóle bardzo mało o tobie wiedziałam, dopóki ciocia Zosia nie zaczęła mi opowiadać.

– Pod tym względem nie powinnaś całkiem bezkrytycznie jej ufać. Mogła być dla mnie za bardzo wyrozumiała.

– Zawsze mówiła o tobie z ogromną sympatią i bardzo cię lubiła.

– Ja też ją lubiłem. Stale otrzymywałem od niej wiadomości o tobie. Ucieszyłem się, kiedy z nią zamieszkałaś.

– Tak, to było wspaniałe.

– Z przyjemnością myślałem o tym, że jesteście razem i wzajemnie podnosicie się na duchu. Zofia to mistrzyni w podnoszeniu na duchu... odkąd ją pamiętam.

Wyczułam głęboki żal w jego głosie i chciałam zadać więcej pytań na temat ich stosunków. Wiedziałam, że ciocia go kochała, a wyobrażałam sobie, że i on ją kochał. O tylu

sprawach jeszcze nie wiedziałam. Nie mogłam jednak oczekiwać, że wszystkiego dowiem się od razu.

– A czy mógłbyś mi powiedzieć coś więcej o Karli? – spytałam. – Rozumiem, że to jej dom, a my jesteśmy u niej gośćmi.

– Ja także tu mieszkam.

– Jako jej gość?

– Niezupełnie. – Nastąpiła krótka chwila milczenia, po czym ojciec zaczął mówić dalej: – Słyszałaś zapewne o moim raczej dość burzliwym życiu. Rozwiedliśmy się – twoja matka i ja. Wiesz, dlaczego.

– Nie byliście dobraną parą.

– Dobrze, że się mnie pozbyła. Nigdy nie bylibyśmy ze sobą szczęśliwi. W żadnym razie nie można by mnie nazwać świętym... nie miałem nic z waszego Łukasza. Niestety, jestem zupełnie innym człowiekiem i dla takiego człowieka jak ja istotna jest... intymna zażyłość.

– Więc ty i Karla... – nie dokończyłam pytania. Skinął głową.

– Jesteśmy ze sobą.

– Mogłeś się ożenić... a może nie?

– Cóż, mogłem. Teraz jestem wolny. Ona już raz była zamężna, przypuszczam, że chodziło o jej pieniądze. Może nie wyłącznie, ale sądzę, że taki był główny powód. Niewykluczone, że ów człowiek zamierzał ją ograbić, co mu się jednak nie udało, gdyż Karla to wybitna kobieta interesu.

Teraz jest już wdową. Tak, mogliśmy się pobrać, ale tutaj... nie jest tak jak w angielskim miasteczku, gdzie nieustannie obserwują cię sąsiedzi i osądzają, czy przypadkiem nie naruszyłaś powszechnie obowiązujących zasad. Karla nie myśli o małżeństwie, ja też nie. I to nam w najmniejszym stopniu nie przeszkadza cieszyć się wzajemnie swym towarzystwem. Zaszokowałem cię, córeczko, co?

– Raczej nie. Domyślałam się tego. Jest ogromnie miłą kobietą.

– I bardzo interesującą – ma w sobie zarówno krew tubylców, jak i anglosaską, co tworzy ciekawe połączenie. Poznałem ją w Egipcie. Trochę podróżowała. Podobała mi się jej świeżość, szczerłość i pogodne usposobienie. Żyć chwilą – to jej dewiza i chyba także moja. Zaprzyjaźniliśmy się w Egipcie, a kiedy moje schorzenie zaczęło się pogłębiać, po prostu się mną opiekowała. Byłem w marnym stanie. Bałem się ślepoty, moja kochana Fryderyko, jak nigdy niczego w życiu. Doszło nawet do tego, że uciekałem się do modlitwy. Dobry Boże, prosilem, weź mi wszystko, tylko zostaw mi oczy. I wprawdzie Bóg mnie nie wysłuchał, lecz to On zesłał mi Karłę. – Ucisnął mi mocno dłoń i opowiadał dalej: – Jest cudowna. To typ odwiecznej matki. Dlaczego taka kobieta nie ma dzieci? Trwała przy mnie w chwilach rozpacz i jest bardzo ważną osobą w moim życiu. Przywiozła mnie tutaj, do domu, który zostawił jej kochający ojciec. Jak na warunki tej wyspy jest bogata, należy do niej plantacja

bardzo wydajnych palm kokosowych, ma ich tysiące. To kobieta interesu, zarządza plantacją tak samo, jakby to mógł robić mężczyzna, i opiekuje się mną jak matka. Zasłużyła sobie na moją dozgonną wdzięczność. Naprawdę, Fryderyko, bez niej nie potrafiłbym znieść ślepoty.

– Ciocia Zosia zajęłaby się tobą.

Ojciec potrząsnął przecząco głową.

– Nie. Wiem, że byłaby mi oddana, ale nie mógłbym do niej wrócić. Kiedyś o tym myślałem... jeszcze zanim groziła mi utrata wzroku. Bo widzisz... początkowo...

– Wiem. Mówiła mi. Myślała, że z nią się ożenisz, a ty wybrałeś mamę.

– Więc rozumiesz...

– I ona by zrozumiała...

– To by się nie udało. Wierz mi, nie jestem wart Zofii. Nigdy bym nie sprostał jej oczekiwaniom.

– Ale ona pragnęła ciebie takim, jaki jesteś.

– Ma za to moją córkę, zrobiła o wiele lepszy interes.

– I teraz Karla opiekuje się tobą. Dzielisz z nią jej dom... jej życie.

– Ona właśnie tego chce.

– A ty jesteś tu szczęśliwy?

Milczał przez parę chwil.

– Cóż – odpowiedział w końcu – żyje mi się dobrze. Teraz już pogodziłem się z losem. Zawsze istnieje jakaś rekompensata. Nie posiadamy się z radości, kiedy potrafimy rozpoznać czyjeś kroki. Mówię sobie: „O, idzie Mascala” albo „To młody Mandel”. Kroki Karli rozpoznamy bezbłędnie. Poza tym jestem wyczulony na modulację ludzkich głosów. I tak płyną mi dni. Nieraz myślę o tym, co miłego zdarzyło mi się w przeszłości, a było tego sporo. Nieprzyjemne sprawy staram się wymazać z pamięci. Często mi się to udaje. A wiesz, że to sztuka. Czasami mówię sobie: „Jesteś niewidomy. Być może odebrane ci zostało to, co najcenniejsze, ale zostałeś szczerze wynagrodzony”. I myślę o tym, że mam miłość Karli i że moja córeczka przejechała pół świata, żeby się ze mną spotkać.

Minął tydzień, a mnie się zdawało, że jestem na tej wyspie już bardzo długo.

W nocy, gdy sen nie nadchodził, leżałam i rozmyślałam o Kryspinie i cioci Zosi, zadając sobie pytanie, czy słusznie postąpiłam, przyjeżdżając tutaj. Spotkanie z ojcem było wspaniałym doświadczeniem, gdyż od razu nawiązałam z nim bliski kontakt i wydawało mi

się, że znam go całe życie. Stało się tak dzięki cioci Zosi. Zrozumiałam, w jaki sposób ojciec zdobywał uczucia ludzi, tak jak zdobył moje.

Wiele z nim rozmawiałam. Siadywał pod drzewami, wsłuchany w łagodny szum fal, i opowiadał o swym życiu. Najwyraźniej był szczęśliwy, że ma mnie przy sobie.

Dopiero w nocy nachodziła mnie ogromna tęsknota za domem; nie potrafiłam pozbyć się wspomnienia twarzy Kryspina, kiedy błagał, żebym nie wyjeżdżała. Wprost słyszałam jego głos: „Znajdę sposób. Musi być jakieś wyjście”. Na próżno też usiłowałam wymazać z pamięci leżącego w zaroślach zamordowanego Gastona Marchmonta.

Wyspa była pięknym miejscem, lecz przypuszczałam, że takim samym jak inne, położone w tropikalnym klimacie – rozkołysane wiatrem drzewa palmowe, bujna roślinność, gwałtowne ulewy i piekące słońce, ludzie beztroscy, leniwi, nie oczekujący niczego więcej od życia.

Wydawało mi się zabawne, że Tamaryszkę tak zainteresowało otoczenie. Pewnie w głównej mierze dlatego, że bardzo pragnęła znaleźć się jak najdalej od domu. Nie wierzyłam, iż mogła być winna morderstwa męża, ale – jak sama mówiła – w takich przypadkach zawsze podejrzewa się żonę.

Zaśmiewała się z tego, co wyczyniały rozbrykane dzieci, a nie było wątpliwości, że wzbudzała w nich szczególne zainteresowanie. Gdziekolwiek szła, zawsze towarzyszyło jej jedno lub dwoje. Niektóre, bardziej odważne, podchodziły do niej i dotykały jej białej dłoni lub nawet złocistych włosów, które zwykle nosiła rozpuszczone na ramiona.

Z natury lubiła zwracać na siebie uwagę, więc dawała do zrozumienia, że jej się to podoba, i wkrótce stała się ich prawdziwą ulubienicą.

Zwiedzałyśmy wyspę. Zatrzymywałyśmy się zwykle koło garncarza siedzącego po turecku przy brzegu morza i patrzyłyśmy, jak wyrabia z gliny dzbany, talerze i naczynia do picia. Kiedyś, ku jego zachwytowi, kupiłyśmy parę takich przedmiotów. Grupa dzieci – wielbicieli Tamaryszki – obserwowała rozradowana tę transakcję.

Byli tam jeszcze inni sprzedawcy siedzący na matach wykonanych z kokosowego włókna, czekali w pogotowiu na ewentualnych pasażerów promu, którzy mogli się okazać dobrymi klientami. Oferowali głównie rzeźbione figurki, noże do papieru i koraliki.

Ostrzegano nas przed wężami i nie wolno nam było chodzić po zarośniętych obszarach bez przewodnika.

Odwiedziłyśmy oczywiście misję. Miejsce wyglądało niezbyt ciekawie – budynek przypominał oborę, tyle że pokrycie dachu wykonano z liści palmowych. Nic tam właściwie nie zachęcało do składania wizyt. Ściany wewnątrz były puste, jedyną ozdobę stanowił krucyfik.

– Cóż za ponure pomieszczenia – zwróciła się Tamaryszka do Łukasza, który oprowadzał nas po pokojach.

W jednym zobaczyliśmy stojący przy ścianie kredens kuchenny i tablicę na drewnianym stojaku.

– To ma być szkolna klasa – rzekł Łukasz.

– A gdzie uczniowie? – spytała.

– Jeszcze się nie zjawili.

Łukasz przedstawił nas Janowi Haversowi i jego siostrze Muriel. Byli na Wyspie Caskera już od dwóch lat i przyznawali, że osiągnęli niewiele, a turyści przeważnie w ogóle nie zwracali na nich uwagi.

– W poprzedniej misji, którą prowadziliśmy, było zupełnie inaczej – powiedział Jan Havers. – Mieliśmy znacznie większy budynek i nie na takim uboczu. Tutaj trzeba wszystko zaczynać od początku, a ludzie robią wrażenie dość obojętnych.

– Właśnie dlatego przyjechał pan Armour – dodała Muriel.

– A państwo dotąd nie mają żadnego ucznia – zauważyłam.

– Kilkoro dzieci się pojawiło, lecz nie wytrzymały długo. Jeśli przychodziły rano, zwykle o jedenastej dawałam im ciastka. Usiłowałam je uczyć, ale nie miałam wątpliwości, że czekają jedynie na poczęstunek. Zjadały, uśmiechały się i już ich nie było.

– Przekupstwo – skomentowała Tamaryszka lekko.

– Niestety, chyba tylko to się liczyło – westchnęła Muriel Havers.

Posiłki u Karli spożywaliśmy zawsze w wesołej atmosferze, co wydawało się oczywiste, zważywszy na pogodne usposobienie zarówno jej, jak i ojca. Zwykle było wiele dań, obsługiwali nas liczni służący, którzy bezszelestnie wnosili potrawy i wynosili naczynia, jako że chodzili na bosaka.

I Karla, i ojciec opowiadali nam o życiu, jakie wiedli w Egipcie, niezmiennie ubarwiając owe opowieści zabawnymi anegdotami, więc siedzieliśmy razem jeszcze długo po zakończonym posiłku.

– Biedny Łukasz – stwierdziła Tamaryszka pewnego dnia. – Pomyślcie tylko, tam, u Haversów w misji panuje zupełnie inna atmosfera.

– To dobrzy ludzie – odezwała się Karla – ale czasami zbyt pryncypialni, co przeszkadza im brać życie na wesoło. Traktują je za poważnie. Żal mi ich.

– Czy nie moglibyśmy zaprosić ich na kolację? – spytała Tamaryszka.

– Ojej! – zawołała Karla. – Tak mi przykro, że też sama o tym nie pomyślałam!

– Prawdę mówiąc – dodał ojciec – zaraz po waszym przyjeździe myślałem o zaproszeniu Łukasza, przecież tak wam pomagał w czasie podróży.

– Oczywiście, musimy to zrobić – potwierdziła Karla. – Zaproszę też Toma Hollowaya.

– Tom Holloway – wyjaśnił ojciec – zarządza plantacją. To porządny gość, czy nie mam racji, Karlo?

– Tak, bardzo porządny. Zdarza mu się jednak popadać w przygnębienie, a tego trzeba w życiu unikać.

– Powinnyśmy go poznać, prawda, Tamaryszko? – spytałam.

– Niewątpliwie.

– Jutro więc wydamy przyjęcie – oznajmiła Karla.

– Czy będą mogli przyjść, skoro dowiadują się niemal w ostatniej chwili? – wyraziłam wątpliwość.

Karla wybuchnęła serdecznym śmiechem, co jej się często zdarzało.

– Zareczam ci, że nie otrzymują wielu zaproszeń na kolację. Przyjdą.

– Życie towarzyskie na wyspie jest nieco ograniczone – potwierdził ojciec. – Przyjdą.

Zanim się zjawili, opowiedział mi trochę o Tomie Hollowayu.

– Mieszkał w Anglii i sprowadzał tam maty wyrabiane z jednego z surowców, uzyskiwanych z orzechów. Ile pożytku można mieć z takiego orzecha kokosowego! No właśnie, przede wszystkim włókno, służące do wyrobu mat, chodników, lin i tym podobnych rzeczy. Tom Holloway sprzedawał je w całej Anglii. Tymczasem jego żona zmarła przy porodzie, dziecko zresztą także. Nie mógł przeboleć tej straty. Karla spotykała go przy różnych okazjach w związku z prowadzonymi interesami i była przerażona zmianą, jaką w nim zaszła. Już wiesz, jaką ona ma naturę. Gdy widzi, że ktoś jest w kłopotcie, musi mu pomóc. Tak więc wpadła na pomysł, że Tom powinien całkowicie zerwać z przeszłością, i zaproponowała mu objęcie funkcji zarządcy plantacji. Ku jej zdumieniu przyjął ofertę.

– I to mu pomogło?

– Chyba trochę. Mieszka tu już od dwóch lat albo coś około tego i jest bardzo oddany swej pracy. Do tej pory zdołał się otrząsnąć i pracuje na plantacji z zapałem. Nauczył się kierować ludźmi. To zajęcie daje mu zadowolenie. Karla chciałaby, żeby się usamodzielniał, ale tutaj to nie takie proste.

– Jaką wspaniałą kobietą jest Karla.

Ojciec pokiwał głową, wyraźnie zadowolony.

Kolacja okazała się sukcesem, choć – jak zauważyłam – Łukasz wyglądał na nieco zatroskanego. Żywiołowy optymizm, który cechował go na statku, jakby nieco przygasł.

Jan i Muriel Haversowie z powagą rozprawiali o sprawach misji, a jednak nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że nie za bardzo rozumieją ludzi, wśród których żyją.

Rozmawiałam później na ten temat z ojcem i zauważyłam, że oni chyba traktują tutejszych mieszkańców raczej jak dzikusów niż zwykłych, prostych ludzi, którzy mogą nie życzyć sobie, aby inni narzucali im swoje zasady. Podejrzewałam też, że Muriel nie pochwała związku łączącego mego ojca z Karłą.

Tamaryszka dobrze się bawiła i po wyjściu gości przyszła do mnie porozmawiać o minionym wieczorze.

– No i jak było twoim zdaniem? – spytała.

– Bardzo dobrze. Łukasz niewątpliwie docenił te wszystkie smaczne potrawy.

– Biedaczysko – rzuciła Tamaryszka lekkim tonem. – Obawiam się, że jest rozczarowany. I wcale się nie dziwię, to nic przyjemnego żyć w tak bliskim kontakcie z tą ponurą parą.

– Nie można ich nazwać ponurakami. Ta praca jest chyba dla nich za trudna.

– Za trudna? Przecież są misjonarzami, czyż nie? Powinni wiedzieć, co mają robić. Wyspa na końcu świata i ludzie potrzebujący nawrócenia! Biedny Łukasz. Będziemy musiały częściej się z nim widywać i dodawać mu otuchy.

– Masz rację.

– Ciekawe, co twój ojciec o tym myśli.

– Na pewno się dowiemy. A ty, Tamaryszko, jak się tu czujesz?

– Przynajmniej już nie myślę przez cały czas o tamtej sprawie.

– To dobrze. – A ty?

– Nadal sporo rozmyślałam.

– Ty nie musiałaś tak daleko wyjeżdżać.

– Ojciec chciał się ze mną zobaczyć.

– Dopiero co zareczyłaś się z Kryspinem. Och, wiem, nie chcesz o tym mówić. Ja natomiast musiałam wyjechać. Gaston był moim mężem i został zamordowany.

– Dobrze cię rozumiem. Jednak ja też musiałam wyjechać.

– Dlatego że to się stało? Ale nic konkretnego nie wiesz o sprawie Gastona, prawda?

– Nie, nie. Nie z tego powodu.

– Wymijająca odpowiedź – zauważyła.

Nie podjęłam dalej tego tematu. I pomyślałam sobie, że o ile nasza wyprawa dała coś Tamaryszce, to mnie pomogła niewiele.

Następnego rana wybrałyśmy się we dwie na spacer. Nie odeszłyśmy jeszcze zbyt daleko, gdy zobaczyłyśmy troje czy czworo dzieci, które, przykucnąwszy na ziemi, w coś się bawiły. Kiedy się do nich zbliżyłyśmy, podniosły się i zaczęły ku nam biec. Wpatrzone były wyłącznie w Tamaryszkę i wprost nie mogły powstrzymać chichotu.

– Cieszę się – powiedziała – że was tak rozśmieszyłam.

Chichot tylko się wzmógł. Wpatrywały się w nią, jakby w oczekiwaniu, że jeszcze coś powie. Poszłyśmy dalej, a dzieciaki za nami. Skierowałyśmy się w stronę wybrzeża i szłyśmy koło mężczyzn siedzących na matach, na których mieli porozkładane swe towary. Zatrzymałyśmy się przed garncarzem. Na jego macie zobaczyłyśmy dwa wysokie wazony, bardzo proste w kształcie, ale na swój sposób piękne. Tamaryszka zaczęła je podziwiać, a sprzedawca obserwował nas rozbawiony. Co ich tak śmieszy, zastanawiałam się. Nasz wygląd, mowa, zachowanie – to wszystko jest dla nich tak odmienne?

Tamaryszka podniosła z ziemi wazony, a dzieci obserwowały ją podniecone. Wyciągnęła wazony w kierunku sprzedawcy z pytającą miną, a on podał cenę.

– Wezmę ten – powiedziała.

– A do czego ci potrzebny? – spytałam.

– Zobaczysz. Ten drugi też kupię.

Zakupy mojej przyjaciółki wzbudziły ogromne ożywienie. Podeszło do nas parę kobiet i jeszcze kilkoro dzieci, pragnących być świadkami transakcji. Mężczyzna na sąsiedniej macie, sprzedający rzeźbione figurki, spoglądał z zazdrością i nadzieją, że on też zrobi interes.

– Fred, nieś jeden – powiedziała moja przyjaciółka – a ja wezmę drugi. Potrzebna mi jest para.

– Naprawdę nie wiem, co chcesz z nimi zrobić.

– Ale ja wiem – odparła tajemniczo.

Jedno z dzieci aż podskoczyło z radości. Inne skupiły się wokół nas jeszcze bliżej, gdyż nadszedł moment zapłaty.

– Chodź – zwróciła się do mnie Tamaryszka. – Tędy.

Dzieci postępowały za nami jak w procesji. Przyłączyło się do nich jeszcze więcej, gdy Tamaryszka skierowała się w stronę domu misyjnego. Pchnęła drzwi i weszłyśmy do holu.

– Tu! – oznajmiła triumfująco. – Właśnie tutaj mają być. Napelnimy je wodą ze strumienia, jeden postawimy przy drzwiach, a drugi... – Rozejrzała się po pomieszczeniu. – Tak, między dwoma oknami. A teraz potrzebne są piękne kwiaty. Czerwone. Czerwień to śliczny kolor, ciepły i nastrojający przyjaźnie. Chodź, nalejemy wody.

Dzieci poszły z nami do strumienia, a właściwie podskakiwały wokół nas w ogromnym podnieceniu.

– Teraz kwiaty. – Tamaryszka zwróciła się do dzieci: – Chodźcie. Zamiast się ze mnie wyśmiewać, możecie mi pomóc. Będziemy zrywać kwiaty. Czerwone... takie jak ten... i lila, do drugiego wazonu. Jest ich tu mnóstwo.

Tak rzeczywiście było. Kwiaty rosły obficie. Zerwała kilka i pokazała dzieciom, że mają robić to samo. Podzieliła je na grupy – jedna miała zrywać czerwone, druga liliowe. Potem wróciłyśmy do domu misyjnego, Tamaryszka uklękła przed wazonem i zaczęła wkładać do niego czerwone kwiaty. Dzieci przypatrywały się jej ze zdumieniem i donosiły wciąż nowe.

– Ślicznie! – zawołała. – O, ten jest dobry. – Wzięła kwiat z rąk małej dziewczynki, która dla zwrócenia na siebie uwagi trąciła ją w ramię. Mała zaśmiała się radośnie, gdy Tamaryszka włożyła jej kwiat do wazonu. W końcu moja przyjaciółka podniosła się i zawołała: – Jaki piękny bukiet! – Zaczęła klaskać, a dzieci razem z nią. – No, dalej – powiedziała. – Teraz zabieramy się do tych lila.

Dzieci były zachwycone. Pchały się jedno przez drugie, żeby podawać jej kwiaty, które zręcznie układała w wazonie. Wyglądały rzeczywiście pięknie, ale nie mniej wspaniały okazał się widok owych roześmianych, szczęśliwych dzieci.

Kiedy skończyła, dzieci same zaczęły klaskać i wtedy do holu weszła Muriel Havers.

– A co tu się... – zaczęła, rozglądając się wokół.

Wątpię, czy kiedykolwiek widziała tak dużo dzieci w tym pomieszczeniu. Spojrzały na nią z uśmiechem, lecz nie mogły na dłużej oderwać oczu od Tamaryszki.

– Pomyślałam, że kwiaty ożywią trochę to wnętrze – wyjaśniła moja przyjaciółka.

– Na pewno, na pewno – powiedziała Muriel. – Ale skąd te dzieci?

– Po prostu przyszły mi pomagać – wyjaśniła Tamaryszka.

W jej głosie dało się słyszeć nutę triumfu. Ona się zmieniła, pomyślałam. Stało się coś, co ją zmieniło.

Od naszego przybycia na wyspę minęły trzy tygodnie. Dni niby się dłużyły, lecz jednocześnie czas szybko mijał. Często zadawałam sobie pytanie: co ja tu robię? Powinnam wracać. Ciągle rozmyślałam, co by się stało, gdyby tamtego dnia ciocia Zosia nie zobaczyła w Devizes Kate Carvel. Jak zupełnie inaczej wyglądałoby moje życie. Żyłabym z Kryspinem w błogiej nieświadomości. Nie, to by się nie udało. Żyłabym w strachu, zagrożona szantażem,

w zakłamaniu. Jak echo wracały do mnie słowa Kryspina: „Coś da się zrobić”. On chciałby zachować to wszystko w sekrecie przede mną. Był człowiekiem, którego otaczały tajemnice, czy nie miałam zawsze takiego wrażenia? Ale go kochałam, kochałam całym sercem, a mimo to zdarzało mi się myśleć: nie znasz go do końca. On wiele przed tobą ukrywa.

Potem mówiłam sobie: Muszę wracać. Nie mogę znieść tego oddalenia.

Wydawało mi się, że Tamaryszka o wiele łatwiej przystosowała się do nowych warunków niż ja. Ale ona uciekła i nie zostawiła za sobą niczego takiego, od czego zależałoby jej szczęście. Matka ją zaniedbywała i nie było między nimi wielkiej miłości. Czuli się dumna z Kryspina i na pewno darzyła go siostrzanym uczuciem, ale to wszystko. Żadne mocne więzi nie ciągnęły jej z powrotem do kraju. Zapewne po jakimś czasie mogłaby poczuć się znudzona i tą wyspą, i jej mieszkańcami... tymczasem jednak bawiła się nowymi wrażeniami i było jej to potrzebne.

Początkowo nawet zainteresowała się trochę Tomem Hollowayem, ale okazał się zbyt poważny, żeby miało to trwać dłużej. Nadal ciężko przeżywał śmierć żony i to Tamaryszkę od niego odstręczało. Bawiło ją towarzystwo Łukasza, „tej poczciwej duszy” – jak często o nim mawiała z nutą drwiny. Miałam wrażenie, że przejawia wobec niego nieco opiekuńcze skłonności, o co bym jej nigdy nie podejrzewała. Przedtem raczej ona szukała w mężczyźnie oparcia.

W każdym razie często odwiedzała misję. Jak tylko tam się pojawiała, zaraz zbierały się wokół niej dzieci i coraz bardziej przywiązywały się do niej. Wręcz walczyły między sobą, żeby znaleźć się jak najbliżej Tamaryszki, a każdy jej gest i słowo wywoływały ich radosne chichoty.

– Jakby tylko czekały, że będę je zabawiać – mówiła. – Trzeba przyznać, iż łatwo je zadowolić. Łukasza to bawi... a Haversowie twierdzą, że dobrze jest przyciągać dzieci do misji, nieważne w jaki sposób.

Kupiła u garncarza jeszcze więcej naczyń.

– Wita mnie za każdym razem jak jakąś królową, a dzieci stale znoszą mi kwiaty – mówiła. – Pewnego dnia opowiedziałam im bajkę. Nie rozumiały ani słowa, ale słuchały, jakby to była najbardziej zapierająca dech w piersiach historia. Żebyś mogła je zobaczyć! Opowiadałam im o Czerwonym Kapturku. Przeważnie na migi. Trzeba było widzieć to podniecenie, kiedy pojawiał się wilk. Zaśmiewały się, pokrzykiwały, głaskały mnie i ciągnęły za włosy. Wierz mi, odniosłam sukces, choć narobiły harmideru co niemiara. Muriel uważa, że odpowiedniejsze byłyby opowiadki z Biblii. Cóż, mogłabym spróbować, ale chwilowo w repertuarze jest Czerwony Kapturek i niczego innego nie chcą słuchać. Wiedzą, kiedy pojawia się wilk i udają, że strasznie się boją. Kręcą się w kółko i wołają: „Wilk! Wilk! Duży, zły wilk!...” nie tylko po angielsku, ale i we własnym języku. Mówię ci, to wspaniała zabawa.

Przyjemnie było widzieć ją tak w coś zaangażowaną. Wiedziałam, że Łukasz też jest z tego ogromnie zadowolony.

Na wyspę przyplłynął statek, o wiele większy niż prom, co oczywiście wywołało wielkie podniecenie. Poszłam wraz z Tamaryszką na wybrzeże. Wszędzie panował hałas i trwała ożywiona bieganina. Małe łódki krążyły między brzegiem a statkiem, a kilku pasażerów

zeszło na ląd. Podeszli do nas, żeby porozmawiać. Powiedzieli, że wypłynęli z Sydney na wycieczkę po wyspach. Byli już na Cato, a także na innych, i stwierdzili, że wszystkie są takie same. Zdumieli się, słysząc, iż wybrałyśmy się tu na dłuższy pobyt.

W czasie tej rozmowy oczywiście nie odstępowały nas dzieci.

Garncarz sprzedał tego popołudnia więcej garnuszków i talerzy niż przez cały miesiąc. Turyści kupili również figurki, maty i koszyki.

Wyspiarze z widocznym żalem odprowadzali wzrokiem odpływający statek.

Przy tej okazji nadeszła także poczta. Dostałam listy od Kryspina i cioci Zosi. Poszłam do swego pokoju, gdyż czułam, że powinnam je przeczytać w samotności.

Najpierw otworzyłam list od Kryspina.

Moja najdroższa, Jak ja za Tobą tęsknię! Czy wrócisz do domu? Rzuć wszystko i zaraz przyjeżdżaj. Wiem, że tę sprawę rozwiążę tak czy inaczej. Postaram się o jej zgodę na rozwód. Mam podstawy, by go żądać, porzuciła mnie i uciekła z kochankiem. Dysponuję wszystkimi niezbędnymi dowodami. Oddaję je adwokatowi.

Nie potrafię nawet wyrazić, jak tu jest strasznie bez Ciebie. Wszystko wydaje się zupełnie bezsensowne. Pragnę tylko jednego – wsiadaj na pierwszy statek płynący do kraju, bo weź jeszcze pod uwagę, ile czasu zajmie Ci podróż. Ale chciałbym chociaż mieć tę świadomość, że już jesteś w drodze.

Wierz mi, wszystko będzie dobrze, znajdę sposób wydobywania się z tego bałaganu. Gdyby tylko ona pozostała gdzieś daleko od nas... na zawsze. Zaufaj mi – znajdę na to sposób. A wtedy, jeżeli nie wrócisz, pojedę po Ciebie.

Wiem, że jesteś tak samo nieszczęśliwa jak ja. W pewnym sensie jestem z tego zadowolony. Nie potrafiłbym znieść myśli, że przestałem Cię obchodzić. Ty wiesz, że ja Cię nigdy nie opuszczę bez względu na to, co się stanie. Błagam, wracaj szybko do domu.

Ciotka bardzo za Tobą tęskni. Jest przygnębiona. Chyba zgadza się z moją opinią, że w ogóle nie powinnaś była wyjeżdżać.

Zawsze Twój Kryspin

Istotnie, z listu cioci Zosi wynikało, że i ona ma wątpliwości, czy mądrze postąpiłam, decydując się na wyjazd.

Bardzo za Tobą tęsknimy – pisała między innymi. – Biedny Kryspin jest całkiem załamany. Freddie, on Cię naprawdę kocha. Rozłąka z Tobą rozrywa mu serce, ja to widzę. Nie jest typem mężczyzny, który lekko traktuje miłość. Jeżeli kocha, to całym sercem. Sądzę, że ma mi trochę za złe, bo Ci powiedziałam, że widziałam go z Kate Carvel. Biedak, kogoś musi winić. Twierdzi, iż znajdzie sposób, aby jakoś się jej pozbyć. Mówi to z takim przekonaniem,

że mu wierzę. Mimo wszystko to przecież ona go porzuciła. Nie orientuję się, jakie są możliwości w tej sprawie, ale modłę się o pomyślne rozwiązanie.

Freddie, on Ciebie potrzebuje. Może myślisz, że panuje nad wszystkim i sam daje sobie radę. Pozornie tak, lecz wiem, jak cierpi. To okrutne i niesprawiedliwe, żeby jeden nieprzemyślany czyn, popełniony w młodości, miał zniszczyć komuś całe życie. Ale Kryspin do tego nie dopuści, gdyż według mnie jest człowiekiem, który potrafi postawić na swoim.

Najdroższe dziecko, ufam, że jesteście szczęśliwi ze sobą – Ty i Twój ojciec. Znając tak dobrze Was oboje, nie mam co do tego wątpliwości. Czarujący człowiek, prawda?

Freddie, powinnaś pomyśleć o powrocie. Twemu ojcu tak zależało na spotkaniu z Tobą. Czy przypadkiem nie jest chory? Bardzo chciałabym to wiedzieć, niczego przede mną nie ukrywaj. Wyczuwam, że nie wszystko jest w porządku. To jedna z przyczyn, dla których namawiałam Cię do wyjazdu, niezależnie od tego, że było dla Ciebie lepiej, abyś pozostała z dala od Kryspina, póki nie uporządkuje swych spraw.

Teraz jednak powinnaś myśleć o powrocie. Gdybyś mogła przynajmniej napisać, kiedy wyruszysz do kraju, bardzo pocieszyłabyś Kryspina.

Uważaj na siebie, moja kochana.

Niech Bóg Cię ma w swojej opiece, Pozostaję z miłością

C.Z.

Przeczytałam ten list kilka razy. Pomyślałam o dzielących nas tysiącach mil i o moim powrocie, z którym nie powinnam zwlekać.

Tego dnia ojciec zapytał mnie:

– Dostałaś jakieś wieści z kraju?

– Tak.

– Posmutniałaś. Tęsknisz za domem, prawda?

– Chyba tak.

Położył swą dłoń na mojej i trzymał przez chwilę.

– Czy nie powinnaś mi się zwierzyć?

Więc się zwierzyłam. Ze wszystkiego. Opowiedziałam o pierwszym spotkaniu z Kryspinem, kiedy rzucił ową niefortunną uwagę, o wydarzeniu w Barrow Wood, o swojej pracy w biurze i o dojrzewającej w nas miłości. A potem o powrocie żony Kryspina

i zniweczeniu naszych planów. Nie zataiłam faktu, że Kryspin chciał przejść nad tym do porządku dziennego i nie miał zamiaru mi nic wyjawiać.

– Tak, to musiał być dla ciebie wstrząs – rzekł ojciec. – W tym tkwi przyczyna niepewności. Bardzo go kochasz, prawda?

– Tak, bardzo.

– A jednocześnie nie jesteś go całkiem pewna.

– Nie mam wątpliwości, że mnie kocha, ale...

– Ale co...? – zachęcał, żebym mówiła dalej.

– Jest coś dziwnego. Nie potrafię tego wyjaśnić. Coś wyczuwam. Nawet jeszcze przedtem... coś było.

– Jakiś sekret?

– Chyba tak. Czasami odnoszę wrażenie, że coś dzieli nas jak bariera. Uświadamiam to sobie właśnie dlatego, że jesteśmy ze sobą tak blisko i dobrze go znam. Ale nieraz nie potrafię pozbyć się tego dziwnego, niewyraźnego odczucia.

– Dlaczego go nie spytałaś?

– Może się to wydawać niezrozumiałe, lecz mam wrażenie, jakbyśmy wzajemnie starali się to przemilczeć. Jest coś, co go martwi, ale nie chce, żebym się o tym dowiedziała. A po tej sprawie z pierwszą żoną sam przyznał, że poślubiłby mnie, nie mówiąc, iż istnieje taka zasadnicza przeszkoda. Wtedy tamto moje wrażenie stało się jeszcze silniejsze, bardziej realne.

– Rozumiem – odpowiedział. – Kochasz go, lecz nie ufasz mu całkowicie. Tak właśnie jest?

– Czuję, że coś przede mną ukrywa, coś bardzo ważnego.

– Czy to dotyczy jego poprzedniego małżeństwa?

– Nie. Uważał, tak jak wszyscy, że jego żona nie żyje. Dlatego jej pojawienie się było takim szokiem... tak samo dla niego, jak dla mnie i cioci Zosi.

– Zatem chodzi o coś, co wydarzyło się dużo wcześniej. O jakąś mroczną i wstydliwą tajemnicę. Podejrzewasz to, a jednak go kochasz?

– Właśnie.

– Widzisz, miłość jest ważniejsza niż wszystko inne na świecie. „Tak więc trwają wiara, nadzieja i miłość, te trzy: z nich największa jest miłość”. To wielka prawda. Jeżeli masz miłość, niewiele więcej potrzeba.

– Jednak pragnęłabym wiedzieć, o co chodzi.

– Ale choć czułaś, że nie znasz całej prawdy, zgodziłaś się go poślubić. Mimo wszystko byłaś szczęśliwa i myślałaś o spędzeniu z nim reszty życia.

– Tak. Kiedy z nim jestem, zapominam o tych obawach. Wydają mi się całkiem nierealne, a nawet urojone i głupie.

– Niektórzy ludzie boją się szczęścia i podchodzą do niego podejrzliwie. To zbyt wspaniałe, żeby było prawdziwe, myślą sobie, i szukają dziury w całym. Może i ty tak robisz, nie uważasz?

– Być może. Ale chyba nie. Jest coś, co go dręczy.

– Kryspin sam ci powie, co to jest, kiedy się już pobierzecie i nie będzie się bał, że cię straci. Na pewno powie.

– Czemu miałby się bać zrobić to teraz?

– Z tego samego powodu, dla którego nie powiedział ci o powrocie żony. Ponad wszystko lękał się, że mógłby cię utracić.

– To nieuczciwe.

Ojciec uśmiechnął się wyrozumiale i powiedział:

– Taka jest miłość. A czy nie zgodziliśmy się, że nie ma nic bardziej cudownego na świecie niż prawdziwa miłość?

Napisałam i do Kryspina, i do cioci Zosi. Nie zawiadomiłam jej, że ojciec jest niewidomy. Uznałam, że sam by to zrobił, gdyby chciał, żeby wiedziała. Listy zabierze najbliższy statek czy prom, który dotrze na wyspę, i zawiezie do Sydney, skąd popłyną do Anglii. Wiele czasu minie, zanim dotrą do miejsca przeznaczenia.

Nabrałam przekonania, że muszę wracać do domu. Oboje mnie o to prosili i bez względu na skutki, powinnam tam być.

Tom Holloway często składał nam wizyty. Karla bardzo lubiła przyjmować gości i teraz odwiedzali nas również Łukasz i Haversowie. Karla była pewna, że tam, w misji, nie jedzą nic porządnego. Zatrudniali tylko dwóch służących i podejrzewała, że Muriel za bardzo przejmuję się sprawami duszy, by zadbać o potrzeby ciała. Łukaszowi odwiedziny u nas sprawiały dużo radości. Jego optymizm, tak widoczny na statku, znacznie przygasł. Pragnął wprowadzić wiele zmian w misji, ale okazało się to trudne, gdyż nie chciał okazywać własnej wyższości Haversom, którzy wprawdzie nie odnosili sukcesów na swym polu, jednakże mieli niewzruszone zasady.

Tamaryszce udało się już ściągnąć dzieci do misji i wiele z nich zaczęło pojawiać się tam regularnie, ale przychodziły tylko po to, żeby się z nią widywać. Usiłowała opowiadać im o Dobrym Samarytaninie, lecz stale domagały się bajki o Czerwonym Kapturku i wilku.

Biedny Łukasz! Był tak oddany swemu powołaniu, tak pragnął przeprowadzić to, co uznawał za potrzebne.

Pewnego dnia po południu Tom zabrał Łukasza, Tamaryszkę i mnie na plantację. Przechadzając się pomiędzy wysokimi drzewami, mogliśmy zobaczyć dojrzewające w słońcu orzechy. Poszliśmy do szopy, gdzie wyrabiano włókno na maty, surowiec mający wielkie znaczenie handlowe. Wstąpiliśmy również do biura i tam przedstawił nas swemu zastępcy. Na końcu obejrzelśmy jego mieszkanie, dość przestronne i ładnie umeblowane. Domyślałam się, że urządziła je Karla.

Tom zatrudnił jednego służącego, który przyniósł nam soki owocowe na werandę, gdzie siedzieliśmy, mając przed sobą widok na plantację.

Tom zapytał Łukasza o misję, ten zaś odrzekł, że boli go brak zainteresowania ze strony miejscowych ludzi, do których trudno dotrzeć.

– Problemem jest język – wyjaśnił Tom. – Mnie jest łatwiej. Po prostu pokazuję, co mają robić. Pracujący u mnie to arystokracja wyspy. Nieźle zarabiają, lecz nie wszystkim na tym zależy, niektórzy wolą wylegiwać się na słońcu. Panujący tutaj upał ukształtował charakter tubylców. To ludzie niefrasobliwi, dbający o własną wygodę, chyba że się ich sprowokuje do gniewu. Wtedy mogą stać się niebezpieczni.

– Tak, to się zgadza – powiedział Łukasz. – Wczoraj dwóch się pokłóciło. Chodziło o całkiem błahą sprawę – kawałek ziemi. Jeden mówił, że to jego, drugi także zgłaszał do niej prawo. Obrzucali się obelgami, w ruch poszły noże. Wyglądało to, jakby walczyli na śmierć i życie, aż ktoś wezwał wodza plemienia.

– Wiem, o kim pan mówi – odrzekł Tom. – To Olam, mały człowieczek o dzikich oczach. Bardzo dziwne są te jego oczy – ma źrenice obwiedzione białymi kółkami. Prawdopodobnie to skutek jakiejś choroby, ale dzięki nim ma taką władzę.

– Przeciwnicy od razu się pogodzili – ciągnął Łukasz. – Byłem zdumiony, jaki wpływ miał na nich ów człowiek.

– To czarownik. Mam co do niego mieszane odczucia. W sprawie, o której pan mówi, jego opinia najwyraźniej doprowadziła do rozwiązania sporu. Nie zawsze jednak tak się dzieje. Olam potrafi nawet... wzbudzać strach. Uważa się, że posiada szczególną moc. Jeżeli powie, iż jakiś człowiek umrze, to z reguły tak się stanie.

– Słyszałem o tym – potwierdził Łukasz. – To może być niebezpieczne.

Muszę być ostrożny i utrzymywać z nim dobre stosunki. Od czasu do czasu wysyłam mu drobne prezenty. Z tego powodu mieni się mym dobrym przyjacielem.

– Ileż trzeba się dowiedzieć o tych ludziach – zauważyła Tamaryszka. – Szkoda, że oni wszyscy nie są tacy jak ich dzieci. Bo są urocze.

– Tamaryszka świetnie sobie z nimi radzi – stwierdził Łukasz.

– Przyciąga je do mnie mój kolor włosów. Zupełnie inny niż ich.

– Większość z nich pragnie po prostu przyjemnie spędzić życie – mówił dalej Tom. – Popracują trochę, ale nie można oczekiwać od nich zbyt wiele. Praca tutaj ich bawi, nawet są w pewien sposób z tego dumni. Olam się nie sprzeciwia, gdyż okazuję mu szacunek, więc chwilowo wszystko jest dobrze. Zbliża się specjalny czas w roku, bardzo dla nich ważny. Zeszłego lata wszystko poszło gładko. Ten okres wkrótce się zacznie. Jestem na to przygotowany, ale pierwszego lata znalazłem się w trudnej sytuacji.

– A co się działo? – spytała Tamaryszka.

– Kiedy nadchodzą owe dni, tubylcy nie przychodzą do pracy. Początkowo o tym nie wiedziałem, bo nikt mnie nie uprzedził. Odprawiają wtedy różnego rodzaju obrzędy, dniami i nocami śpiewają i tańczą z długimi dzidami. Nie wiem, gdzie ci ludzie je trzymają, na co dzień tej broni się nie widuje. Stary Olam bardzo się udziela podczas owych uroczystości. Właściwie on wszystko organizuje. Tańczą wkoło, przytupują, wyglądają groźnie. Już miałem iść na ich poszukiwanie, ale przyszła Karla i wyjaśniła mi, że w ciągu dwóch dni, kiedy to wszystko się dzieje, lepiej trzymać się z daleka. Ale i tak przez całą noc słyhać było śpiewy, które nie dawały nam zasnąć. Kiedy uroczystości się skończyły, ludzie uspokoili się i wszystko wróciło do normy.

– A jakie znaczenie mają te obrzędy?

To rodzaj przygotowania do bitwy. Pewnie chodzi o to, żeby przez takie ćwiczenia utrzymywali się w dobrej formie, na wypadek gdyby zostali zaatakowani przez mieszkańców innej wyspy.

– To raczej nieprawdopodobne – stwierdził Łukasz.

– Rzeczywiście, teraz już nie, jako że wszystkie większe wyspy należą do Anglii albo Francji i statki utrzymują między nimi stałą komunikację. Ale to jest pewien rytuał. W ten sposób ludzie przywołują duchy przodków, które mają przybyć, by za nich walczyć. Oczywiście stary, mądry Olam pamięta owe zwyczaje i pielęgnuje tradycję.

– Czy to nie fascynujące? – odezwała się Tamaryszka. – Czy pan, panie Holloway nie boi się tych ludzi, skoro pan mieszka wśród nich?

– Wszyscy mieszkamy wśród nich – odparł Tom.

– Ale pan jakby bardziej. Jest pan przez nich otoczony.

Tom wzruszył ramionami.

– Nie, nie boję się. Są łagodni. Mogą być niebezpieczni tylko wtedy, kiedy się ich sprowokuje, a mnie to nie grozi.

– My chcemy im pokazać inny sposób życia – odezwał się Łukasz. – Uczyć ich, że muszą kochać swych bliźnich. Mam nadzieję, że nam się to uda z pomocą boską.

– Jestem tego pewna – powiedziałam.

Tom dalej wypytywał o misję. Słyszał, że niektóre dzieci chodzą tam co rano.

– Żeby słuchać bajki o Czerwonym Kapturku i ciągnąć mnie za włosy – zaśmiała się Tamaryszka.

– Bardzo dobry początek – uznał Łukasz, patrząc na nią z czułym uśmiechem.

– I dobra zabawa – odrzekła. – Chciałabym poznać tego – jak mu tam – starego Olama, tak?

– Może być pani pewna, że zostanie poinformowany o waszej obecności tutaj – zapewnił ją Tom.

– To wspaniale, że dzieci ciebie tak sobie upodobały – powiedziałam.

– Mówiłam ci, dla nich ważny jest Czerwony Kapturek, a może jeszcze bardziej wilk.

– Nie sędzę. Już przedtem cię lubiły.

Roześmiana Tamaryszka przeniosła roziskrzone spojrzenie z Łukasza na Toma.

– Trzeba panom wiedzieć, że zazwyczaj mam powodzenie.

Właśnie w tym momencie jeden z tubylców przybiegł na werandę.

– Co się stało? – zawołał Tom, wstając.

– Panie, on spaść. Jaco... on spaść z drzewa. On leżeć. Mężczyzna uniósł w górę ramiona i zaczął raz po raz kiwać głową ze smutkiem.

– Zaprowadź mnie tam – polecił Tom i wszyscy poszliśmy za nim w głąb plantacji.

Na ziemi leżał chłopiec, mniej więcej dwunastoletni, i krzyczał z bólu. Jedną nogę trzymał nienaturalnie podwiniętą pod sobą.

Tomowi aż zaparło dech ze zdenerwowania.

– Chyba złamał sobie nogę – stwierdził Łukasz. Ukląkł przy chłopcu. – Biedaczek – powiedział. – Boli, co?

Wątpię, by chłopiec zrozumiał jego słowa, ale współczujący głos naszego przyjaciela nieco go uspokoił. Podniósł na niego okrągłe ze strachu oczy.

– Wszystko będzie dobrze – mówił dalej Łukasz. – Zajmę się tym. Potrzebny jest sztywny patyk i bandaże.

– Przyniosę coś z domu – zaproponował Tom. – Zostańcie przy nim.

Armour zwrócił się do chłopca.

– Spróbuję ją nastawić. To będzie bolało. Ale wszystko wróci na swoje miejsce. Tamaryszko, przytrzymaj go za ramiona. O, tak, dobrze.

Stałam, przypatrując się temu. Wokół nas zgromadziło się kilku mężczyzn. Coś między sobą szeptali.

Łukasz ułożył chłopca płasko na plecach i teraz już nie ulegało wątpliwości, że kość jest złamana.

– Gdybym tylko mógł dać mu jakieś lekarstwo – powiedział. – Gdzie Tom?

– Na pewno zaraz wróci – odrzekłam. – O, już idzie. Ma ze sobą wszystko, co ci potrzebne.

Patrzyłam, jak nasz przyjaciel zręcznie nastawia nogę. Pamiętałam, jak mówił, że swego czasu uczono go udzielać pierwszej pomocy i potrafi przynajmniej coś zrobić w nagłym wypadku.

Chłopiec wyraźnie odczuwał teraz mniejszy ból. Wpatrywał się w Łukasza ze wzruszającą wdzięcznością.

– A teraz trzeba go zabrać do misji – polecił Armour.

– Zawieziemy go jednym z naszych wozów – powiedział Tom.

Zawołał coś do stojących koło nas mężczyzn w ich języku. Kilku z nich zaraz pobiegło i wkrótce wrócili z wozem.

– Musimy bardzo uważać, żeby uniknąć wstrząsów – mówił Łukasz. – Potrzebne jest coś do podparcia głowy i podłożenia pod ciało. Musimy go dowieźć bezpiecznie do misji. Muriel zna się trochę na pielęgnowaniu chorych, więc będzie wiedziała, jak się nim zająć.

– To wspaniale! – zawołała Tamaryszka. – Mam nadzieję, że wszystko będzie dobrze.

– Tak, jeżeli noga została właściwie nastawiona – odrzekł Łukasz.

Chłopca ostrożnie przeniesiono na wóz i ułożono, Tamaryszka usiadła przy jego głowie, ja przy stopach. Jaco patrzył na nią, jakby była jakimś cudownym zjawiskiem. Istotnie, widoczne na jej twarzy współczucie czyniło ją bardzo piękną.

Tom prowadził za uzdę osła, starając się wybierać najrówniejszą drogę. Gdy dotarliśmy do misji, z pomocą przyszli nam Muriel i Jan.

Muriel zdecydowała, że chłopiec powinien być umieszczony w jej pokoju, a sama przeniesie się gdzie indziej. Dobrze wiedziała, jak się zająć chorym i przejęła nad nim opiekę. Stwierdziła, że mały ma złamaną kość strzałkową. Złamanie nie wydawało się skomplikowane, Jaco jest młody i kość szybko się zrośnie.

Robiła wrażenie bardzo zadowolonej, że ma coś do roboty i może wykazać się umiejętnościami, o które do tej pory jej nie podejrzewałam.

Gdy w końcu wróciłyśmy do domu, opowiedziałam ojcu i Karli, co się stało.

– I sądzisz, że po jakimś czasie to złamanie nie zostawi śladu? – spytała.

– Nie powinno być żadnych komplikacji – zapewniłam ją – To cudownie – odrzekła, a jej oczy zajaśniały radością. – Bo był tu taki jeden, który w podobny sposób upadł i został kaleką na całe życie.

I właśnie tego wieczoru odezwały się bębny. Początkowo słyhać je było słabo, lecz wkrótce zaczęły nas dochodzić coraz głośniejsze dźwięki. Powietrze wypełniła również melodia wygrywana na jakimś instrumencie.

Przy obiedzie Karla wyjaśniła:

– Tak będzie przez całą noc, jutrzejszy dzień i następną noc.

– Opowiadał nam o tym Tom – powiedziałam. – Wydaje się, że trochę go to niepokoi.

– To jeden z tutejszych bardzo starych zwyczajów, prawda, Karlo? – spytał ojciec.

– Tak. Ale sprowadza się głównie do okrzyków bojowych, przygotowania do ataku.

– Kogo oni zamierzają atakować? – spytałam.

– Nikogo... obecnie. Lecz swego czasu toczyło się sporo walk międzyplemiennych. Teraz sytuacja jest inna, wyspy żyją ze sobą w pokoju. Dostały się pod obcą władzę, która wprowadziła w jakimś sensie porządek, ale w przeszłości zawsze musieli być w pogotowiu. To są właśnie ćwiczenia gotowości... duchy powinny wiedzieć, że są przygotowani do walki, na wszelki wypadek.

– A jaką rolę odgrywa stary Olam? – zapytała Tamaryszka. – Ten człowiek mnie interesuje.

Jest bardzo wiekowy. Pamięta dawne dzieje i wszyscy odnoszą się do niego z wielką czcią. Uważają go za szamana, czarownika i zarazem znachora. Posiada tego rodzaju moc. Tutejsi ludzie boją się go, a każdy musi okazywać mu szacunek.

– Chciałabym go poznać – odezwała się Tamaryszka.

– Wątpię, czy to się pani uda – odrzekła Karla. – Jego chata stoi w samym środku wioski, niedaleko plantacji. Olam rzadko się pokazuje, poza szczególnymi okazjami jak ta. Ludzie radzą się go od czasu do czasu, kiedy mają jakieś trudności, a on daje im wskazówki, którym muszą się podporządkować. Nikt się nie waży mu sprzeciwić.

– Bo też potrafi zapewne wzbudzić swym widokiem przerażenie, gdy występuje w uroczystym stroju, z barwami wojennymi na twarzy – zauważył ojciec.

– Czy ty go kiedyś widziałaś? – zapytałam Karłę.

– O, tak. W czasie ceremonii ma wymalowane na czole dwa niebieskie paski i nosi pióropusz.

– Czy zjawi się na dzisiejszych obrzędach? – Tamaryszka była zaintrygowana.

– Niech pani nawet nie myśli o tym, aby go zobaczyć podczas owych uroczystości – ostrzegła ją Karla szybko. – Gdyby tam panią dostrzeżono, mogłyby wyniknąć duże kłopoty. My żyjemy tutaj i musimy szanować tych ludzi.

Przez całą noc słyszałam muzykę przerywaną biciem w bębny. W tych dźwiękach było coś hipnotycznego.

Rozmyślałam z tęsknotą o domu. Wyjadę stąd, obiecywałam sobie. Rano porozmawiam z ojcem, on mnie zrozumie. Powiedział, że miłość jest wszechpotężna i miał rację. Oczywiście jego życia nie można by nazwać absolutnie moralnym. Ale przecież nie zawsze łatwo jest odróżnić dobro od zła.

Nie mogłam zasnąć. Zapadałam w drzemkę na parę minut, po czym budził mnie szum morza z oddali i dudniący dźwięk bębnów.

Nagle całkiem się rozbudziłam. Coś się działo na zewnątrz domu. Wyrzłam przez okno i zobaczyłam grupę ludzi. Szybko narzuciłam na siebie szlafrok i włożyłam ranne pantofle. W tym momencie do mego pokoju weszła Tamaryszka.

– Co się dzieje? – spytała.

– Nie wiem. Dopiero co się obudziłam.

Poszłyśmy do drzwi wejściowych, przed którymi już stała Karla. Na jej widok ludzie zaczęli krzyczeć. Nie rozumiałam słów, ale coś im odpowiedziała.

Potem zwróciła się do mnie:

– Jakieś kłopoty w misji. Muszę iść.

Tamaryszka wyraźnie się zdenerwowała. Jej zainteresowanie misją powodowało, że czuła się odpowiedzialna za to, co się tam działo.

Karla ruszyła w kierunku domu misyjnego, a my za nią. Przez całą drogę biegłyśmy i wreszcie naszym oczom ukazał się niezwykle widok. Światła pochodni stwarzały wręcz niesamowity nastrój. Przed domem stał tłum mężczyzn, ze starym człowiekiem na czele. Nie miałam wątpliwości, że to Olam.

Robił wrażenie olbrzymia, ale tylko dzięki wysokiemu pióropuszu na głowie, nadającym mu ponadto wygląd jakiegoś dzikiego, drapieżnego ptaka. Jego twarz wyglądała jak zniekształcone oblicze z koszmarnego snu; miał nie tylko owe dwa niebieskie paski na czole, o których wspominała Karla, lecz także po dwa czerwone, wymalowane wzdłuż policzków. Towarzyszyło mu dwóch wysokich mężczyzn, również z pomalowanymi twarzami, choć już nie w sposób mogący wywołać taki lęk. Trzymali dzidy. Poczułam nagle strach, gdyż ich gniew był wyraźnie skierowany przeciw misji.

Łukasz stał na werandzie pomiędzy Janem i Muriel. Kiedy tłum ujrzał Karłę, momentalnie zapadła cisza. Weszła po schodach na werandę, a my za nią. Stała koło Łukasza.

– Co się dzieje? – zapytała.

Chyba ma to coś wspólnego z Jaco – wyjaśnił. – Domyślam się, że chcą go stąd zabrać. On teraz nawet nie może stanąć na chorej nodze. Nie rozumiem, o co im chodzi.

Karla uniosła do góry dłoń. Było zdumiewające, jakim cieszyła się szacunkiem i autorytetem.

Zwróciła się do zgromadzonych zapewne z zapytaniem, czego chcą od misji. Zaczęli krzyczeć, lecz teraz z kolei Olam wznosił rękę i zapadła cisza.

Coś mówił do Karli, potem ona mu odpowiedziała. Zwróciła się do Łukasza i Haversów:

– Oni chcą Jaco. W czasie dzisiejszych obrzędów ma do spełnienia specjalne zadanie. Został do nich przyuczony i musi tam być.

– Nie może stać na złamanej nodze – wyjaśniła Muriel. – Absolutnie mu tego nie wolno. Jak inaczej kość ma się zrosnąć? Nie może się w ogóle poruszać.

– Chcą go stąd zabrać – powtórzyła Karla.

– Ale nie zabiorą – odparł stanowczo Łukasz.

Karla w zamyśleniu ściągnęła na moment brwi.

– Oni tego nie rozumieją – stwierdziła, po czym odezwała się do tłumy. Wiedziałam, że im tłumaczy, iż Jaco ma złamaną nogę, a ludzie z misji go leczą, ale jeszcze nie może chodzić.

Słuchali w ciszy, lecz gdy tylko skończyła, zaczęli mówić w wielkim podnieceniu.

– Nadal chcą go zabrać – powiedziała.

– Chłopiec teraz śpi spokojnie – oznajmiła stanowczym tonem Muriel – i nikt nie może go stąd zabierać. Musi trzymać nogę w jednym położeniu i bez ruchu.

Karla ponownie próbowała porozumieć się z ludźmi. Długo im tłumaczyła, jaka jest sytuacja. Potem zwróciła się do Łukasza:

– Mówią, że pan twierdził, iż go uzdrowi, że posiada pan szczególną moc. Chcą zobaczyć chłopca.

– Nie pozwolimy im go stąd zabrać – odparł. – Jeżeli stanąłby teraz na tej nodze, skutki mogłyby być opłakane. Czy nie potrafi im pani tego wytłumaczyć?

– Oni wierzą w magię. Według mnie nie są pewni, czy pan dysponuje większą mocą niż ich duchy. Kiedy stary Mahe spadł z drzewa, został kaleką na całe życie. A pan powiedział, że uratuje Jaco. Mają wątpliwości. Nie w pełni panu ufają, a jednocześnie wiedzą, że biały człowiek dysponuje możliwościami, jakich sami nie posiadają. Olam się zastanawia, jak powinien postąpić. To ma dla niego ogromne znaczenie. To on przecież posiada specjalną moc, a pan obiecał jego ludziom dokonanie cudu. Musimy postępować z nimi bardzo ostrożnie. Olam mógłby kazać wejść swym ludziom do domu misji i zabrać siłą Jaco.

– Nie pozwolimy na to – odrzekł stanowczo Łukasz.

Karla wzruszyła ramionami.

– Was troje... ja... i te dwie panie? Proszę spojrzeć na tych ludzi uzbrojonych w dzidy. Jak pan myśli, co by się działo? Musimy z nimi pertraktować, ale niewykluczone, że się uprą.

Kolejny raz przemówiła do tłumu. Później wyjaśniła nam, co powiedziała. Zaproponowała układ. Ludzie z misji przyrzekli, że wyleczą Jaco. Zrobią tak, że będzie chodził jak dawniej, ale na to trzeba czasu. Czary podziałają, lecz potrzeba więcej niż jednego czy dwóch dni. Olam i reszta zastanowią się tymczasem, jak mają postąpić. Jeżeli jednak teraz będą się upierać, jeżeli nie zostawią Jaco w rękach białego człowieka, chłopiec może zostać kaleką na całe życie. Znienawidzi tych, którzy mu je zmarnowali, i stosunki między ludźmi na wyspie zakłóci uraza nie do wybaczenia. Teraz powinni stąd odejść. Niech znajdą kogoś, kto w czasie ceremonii zastąpi chłopca. Jaco musi mieć możliwość przekonania się, czy biały człowiek potrafi uzdrawiać.

Przez tłum przeszedł szmer głosów. Karla zwróciła się do Łukasza:

– On chce, żeby pan przysiągł, że uzdrowi Jaco.

– Oczywiście, możemy przysiąc, że zrobimy wszystko, aby go wyleczyć.

– To tylko zwykłe, nieskomplikowane złamanie – dodała Muriel. – Nie widzę żadnych powodów do obaw. Chłopak jest młody, kości ma mocne. Jest niemal pewne, że po złamaniu nie będzie śladu.

– Chcą, żeby pan złożył przysięgę – wyjaśniła Karla, wpatrując się w Łukasza z powagą – przysięgę na swą krew. Wie pan, co to oznacza?

– Co? – spytał.

– Jeśli Jaco nie zostanie całkowicie wyleczony, pan umrze.

– Umrę?

– Przypadkiem przebije się pan własną dzidą, jeśli ją pan ma, albo wejdzie do morza i już nie wróci. Oni żądają przysięgi. Jeżeli bogowie pana zawiodą, tak jak pan ich zawiódł, nie pozwalając chłopcu na wzięcie udziału w świętej uroczystości, nie dotrzyma pan przysięgi. Wtedy jedynym wyjściem jest śmierć.

– Nigdy w życiu nie słyszałam podobnych bzdur – odezwała się Muriel.

– Albo przyjmiecie ich warunek, albo teraz zabiorą Jaco.

– Nie ma mowy o zabranii chłopca – oświadczył stanowczo Łukasz. – W porządku. Proszę im powiedzieć, że przysięgam na mą krew.

Karla powtórzyła przyrzeczenie Łukasza, po czym poprosiła go, żeby podniósł do góry prawą rękę. Uczynił to przy wtórze jakiejś żałobnej pieśni śpiewanej przez tłum. Po zakończeniu śpiewu Olam jeszcze pochylił głowę, a potem odwrócił się i poprowadził swych towarzyszy w kierunku wioski.

Staliśmy na werandzie ciągle jeszcze oszołomieni, ale już z ulgą obserwując, jak tłum z pochodniami znika pośród drzew, a blask migoczących płomieni słabnie w oddali.

Pierwszy odezwał się Łukasz.

– Co za przedstawienie!

– To było straszne – dodała Tamaryszka.

– W każdym razie dane nam było poznać nieco lokalnego kolorytu – zauważył.

– Chyba nie ma żadnych wątpliwości, że chłopiec zostanie wyleczony, prawda? – spytała Tamaryszka.

– W takim stopniu jak dzisiaj można przewidywać, wszystko będzie dobrze – odrzekła Muriel. – Byleby nie wstawał i nie zrobił sobie jakiejś krzywdy.

– Tak bym chciała, żebyśmy już to mieli za sobą – powiedziała z westchnieniem Tamaryszka.

– Czy pani sądzi, że oni tu jeszcze wrócą? – zapytała Karłę Muriel.

– Nie – odparła stanowczo. – Na dzisiaj sprawa jest zakończona, zawarliśmy pewien układ i Olam jest usatysfakcjonowany. Jemu nie zależy na zatargach z misją. Jednocześnie nie może pozwolić na podważanie swego autorytetu. To jest wyzwanie. Jeżeli chłopiec całkowicie wyzdrowieje, przysłużycie się dobrej sprawie. To przyciągnie do misji ludzi o wiele skuteczniej niż coś innego. Mam nadzieję, że chłopiec nie słyszał, co się tu działo.

– Zeszłej nocy skarżył się na bóle, więc dałam mu trochę opium na sen – powiedziała Muriel.

– To dobrze – odrzekła Karla. – Nie powinien wiedzieć, że w jego sprawie zrobiło się takie zamieszanie, to by mu mogło napędzić strachu. – Przeniosła spojrzenie ze mnie na Tamaryszkę i dodała: – Chyba powinnyśmy spróbować jeszcze trochę się przespać.

Tamaryszka ujęła Łukasza za ramię.

– Wszystko w porządku – uspokoił ją. – Pokrzyżuję plany szamanowi.

– Oby tylko noga chłopca prawidłowo się zrosła – powiedziała z troską w głosie.

– Nie ma najmniejszego powodu, żeby miało być inaczej – stwierdziła z przekonaniem Muriel.

– Chodź – zwróciła się do mnie Karla. – Ojciec będzie się niepokoił.

– Na pewno już się dowiedział o tym, co się działo – zauważyłam.

Wróciłyśmy do domu, gdzie ojciec na nas czekał.

– Co się stało? – zapytał.

– Pod misję przyszedł stary Olam.

– W sprawie obrzędów?

– Chciał na nie zabrać młodego Jaco. Ojciec się skrzywił.

– Usiądźmy na chwilę – zaproponował. – Wątpię, czy komuś z nas uda się pospać tej nocy. A co byście powiedziały na odrobinę brandy? Mam wrażenie, że dobrze wam zrobi... i to każdej z was.

– Masz rację – zgodziła się Karla. – Nawet jeśli się położymy do łóżek, to i tak nie zaśniemy.

Poszłyśmy do gabinetu ojca i naląła nam brandy, zdając mu jednocześnie sprawę z nocnych wydarzeń.

– Stary Olam wystąpił w pełnych wojennych barwach. To mi się nie podoba – podsumowała.

– Te dzidy były przerażające – stwierdziła Tamaryszka. – Trzymali je tak, jakby, szykowali się do ataku. Karla zachowała się nadzwyczajnie.

Ojciec zwrócił się do niej z uśmiechem.

– Uspokoiłaś ich, co? Karla upiła brandy.

– Chciałabym zobaczyć tego chłopca znowu na nogach.

– Wyzdrowieje – powiedziała pewnym tonem Tamaryszka.

– Trzeba mieć taką nadzieję – potwierdził ojciec cichym głosem.

– Łukasz dość pochopnie... – zaczęłam.

– A co innego mógł zrobić – przerwała mi Tamaryszka. – To było jedyne wyjście.

– Całe zajście miało dramatyczną, ale i dramaturgiczną wymowę – wtrąciłam. – Ci ludzie wyglądali, jakby grali na scenie... z tymi umalowanymi twarzami, dzidami, pochodniami.

– W pewnym sensie tak było – zgodziła się Karla. – Ale musicie ich zrozumieć. Ten okres roku jest dla nich bardzo ważny. Wracają do przeszłości, stają się owymi dawnymi wielkimi wojownikami, spędzającymi większość czasu na walkach plemiennych. Olam łączy w sobie rolę wodza i świętego. Szanują go i boją się obrazić. Wierzą, że pozostaje w kontakcie z duchami przodków. Jest starym człowiekiem. Oddają mu należną cześć i składają dary z pożywienia i wytwarzanych przez siebie przedmiotów. Żyje w komfortowych warunkach i nie życzyłby sobie zmiany. Może chciałby, żeby noga Jaco się nie zrosła. Sam nie potrafiłby dokonać takiego cudu i dlatego, trzeba to zrozumieć, wolałby, żeby innym też się nie udało.

– Czy pani sądzi, że będzie usiłował temu przeszkodzić? – spytała Tamaryszka.

– Niezawodnie ma władzę nad swoimi ludźmi – odrzekła Karla. – Kiedyś zapowiedział, że pewien człowiek umrze, i tak się stało, tej samej nocy.

– Jak do tego doszło? – zapytała Tamaryszka.

– Nie wiem – Karla wzruszyła ramionami – ale tak było. Może ten człowiek zmarł, gdyż niezachwianie wierzył Olamowi.

– Jednak teraz – włączył się do rozmowy ojciec – ludność tubylcza coraz bardziej odchodzi od dawnych obyczajów. Obecnie przyływają na wyspę statki, promy, wkracza tu nowy świat i przestarzałe poglądy tracą na znaczeniu. Mieszkańcy wyspy ogromnie się zmienili w ciągu ostatnich kilku lat.

– To prawda – przyznała Karla. – Ale nieraz niewiele potrzeba, żeby w tych ludziach odżyła przeszłość. Nie można dopuścić, by Jaco przytrafiło się coś złego. Noga musi być wyleczona... W przeciwnym razie...

– Łukasz znajdzie się w niebezpieczeństwie? To chciała pani powiedzieć?! – zawołała Tamaryszka.

– Nie możemy pozwolić, aby dosięgła go śmierć – odparła. – Lecz oni tego oczekują. Dla nich przysięga jest rzeczą świętą.

Zrobiło mi się słabo z przerażenia.

– Jaco musi być pilnowany dniem i nocą – stwierdziła Tamaryszka.

– Z pewnością będzie – odrzekła Karla.

– Trzeba uważać, czy ktoś nie podejmuje jakichś niebezpiecznych działań – ostrzegł ojciec.

– Nic złego się nie stanie – uspokoiła go. – Jestem tego pewna.

Uniosła kieliszek i wszyscy wychyliliśmy do końca trunek.

Nie było sensu kłaść się do łóżka, więc siedzieliśmy dalej i przez jakiś czas rozmawialiśmy o wszystkim i niczym, ale nie potrafiłam pozbyć się wspomnienia nocnych wydarzeń. Nawet trudno było udawać, że się ich nadal nie przeżywa.

Więc siedzieliśmy tak dalej aż do nadejścia świtu.

Przez cały czas towarzyszył nam głos bębnów.

Następnego dnia rano Karla, Tamaryszka i ja wybrałyśmy się do misji. Podobnie jak my, cała tamtejsza trójka też w ogóle nie kładła się spać. Haversowie wyglądali na nieco zmęczonych, po Łukaszu zaś nie było widać żadnych trudów czy przejść.

– Ale noc! – zawołał do nas. – Ten starzec wymalowany jak wojownik z zamierzchłych czasów! Co za widok! Początkowo myślałem, że na wyspę przybyli starożytni Brytowie, pomalowani indygotyną.

– Chwała Bogu, że sobie poszli – powiedział Jan. – W pewnym momencie myślałem, że wedrą się na siłę do domu i zabiorą Jaco.

– Czy on coś o tym wie? – spytała Karla.

– Nic – odpowiedziała Muriel stanowczo. – Uznaliśmy, że tak będzie lepiej.

– Też tak uważasz, prawda, Karlo? – spytałam. – Mówiliśmy nawet, że według nas nie powinien się z nikim kontaktować, dopóki kość się nie zrośnie.

– To może okazać się trudne – zauważył Jan.

– Chyba że nazwiemy to obowiązującą normą, nieodłączną częścią cudownego leczenia – odezwał się Łukasz.

– Boję się, że Olam mógłby coś przedsięwziąć, aby uniemożliwić chłopcu powrót do zdrowia – powiedziała Karla.

– Po co? – zapytał Jan.

– Gdyż nie chce, żeby komuś udało się coś, czego on nie umie.

– Jeżeli wszystko pójdzie dobrze i pokażemy im, co potrafimy zrobić dla Jaco, misja odniesie wielki sukces! – Łukaszowi aż zabłyśły oczy.

– Tak – przyznała Karla. – To by całkowicie zmieniło sytuację. Okazałoby się, że macie im coś do zaoferowania i zasłużylibyście na szacunek.

– Ale przypuśćmy, że coś się nie powiedzie? – wyszeptała Tamaryszka. Patrzyła na Łukasza przestraszonym wzrokiem.

– Wtedy – oświadczył – pójdę do starego Olama i zapytam, którą dzidę mam wziąć ze sobą do dżungli.

– Nawet tak nie zartuj! – odpowiedziała niemal z gniewem.

– Wszystko będzie dobrze – stwierdziła Muriel z przekonaniem. – Złamanie nie jest skomplikowane, a ja zabronię odwiedzać chłopca do czasu, aż całkiem wydobrzeje.

W ciągu tygodnia codziennie nadchodziły do nas wiadomości z misji. Karla przygotowywała dla Jaco specjalne jedzenie i chłopiec bardzo przyjemnie spędzał czas. Nigdy w życiu nie był tak rozpieszczany. Z pewnością uznał, że złamana noga nie jest wcale taką złą rzeczą. Regularne posiłki w misji i podsyłane mu przez Karłę przysmaki zrobiły swoje. Przybrał na wadze, oczy mu błyszczały, ogólnie był w dobrym stanie, a do tego cieszył się, że wszyscy się nim zajmują.

Poszliśmy do misji, kiedy chłopcu zdejmowano unieruchamiającą kość szynę. Noga okazała się zupełnie zdrowa, po złamaniu nie zostało nawet śladu. Ciało miał trochę zeszywniałe, więc wymagało ćwiczeń, które wykonywał pod kierunkiem Muriel, a poza tym wszystko było tak, jak przed wypadkiem.

Za poradą Karli wykorzystaliśmy tę sytuację, żeby wyleczenie Jaco wyrło się w pamięci mieszkańców wyspy. Wysłaliśmy do Olama uprzejme zaproszenie. Oczekujemy, że wieczorem, o zachodzie słońca, zjawi się w domu misji, kiedy to chłopiec zostanie przekazany jego ludowi.

Co to była za scena! Olam przyszedł z wymalowaną twarzą i w pióropuszu, wraz z grupą towarzyszących mu mężczyzn. Mieli ze sobą dzidy i pochodnie, tak jak poprzednio.

Najpierw – to też była rada naszej przyjaciółki – wręczono Olamowi prezent. Była nim porcelanowa figurka tygrysa, dana nam przez Karłę. Olam łaskawie ją przyjął, sam zaś wręczył Łukaszowi, a właściwie włożył mu naszyjnik z kości z rzeźbionym wisiorem.

Karla, Tamaryszka, ja i Haversowie staliśmy na werandzie, obserwując ceremoniał wymiany prezentów. Potem Łukasz, przystrojony w naszyjnik, udał się do wnętrza domu i wrócił, trzymając za rękę Jaco. Chłopiec stanął przed nimi w o wiele lepszej formie fizycznej niż był wtedy, gdy widzieli go ostatni raz – tryskał zdrowiem i wydawał się zachwycony faktem, że znalazł się w centrum uwagi. Nagle podskoczył do góry, wywinął koziołka w powietrzu, po czym podbiegł do czekających na niego ludzi.

Rozległ się szmer zdumienia. Potem zapadła cisza, a zgromadzeni mężczyźni skłonili nisko głowy i trwali w takiej pozie przez kilka sekund. Gdy podnieśli wzrok na Łukasza, ich oczy były pełne wiary w nowego cudotwórcę. Biedna Muriel, która tak fachowo leczyła nogę

chłopca, nie została przez nich zauważona, ale nie przejęła się tym wcale, bardziej nie podobało jej się to, że Łukasz zawarł układ z kimś, kogo uważała za dzikusa. Najważniejsze, że wszystko przebiegło bez najmniejszych zakłóceń i za to byliśmy jej wdzięczni.

Wróciliśmy do domu, do owego holu, zmienionego teraz nie do poznania, gdyż wazon z kwiatami zdawały się wypełniać każdą wolną przestrzeń. Usiedliśmy przy stole i Łukasz zaczął się śmiać.

– Udało się znakomicie – powiedział. – Wszyscy tak dobrze odegrali swe role, łącznie z młodym Jaco.

– To najlepsza rzecz, jaka mogła się przydarzyć misji – stwierdziłam.

Łukasz popatrzył z uśmiechem na Tamaryszkę i dodał:

– Są jeszcze inne dobre rzeczy.

Potem już wszyscy żartowali i śmiali się, może nawet zbyt głośno. Na początku tej afery przeżyliśmy parę przerażających chwil i był to śmiech szczerej ulgi.

Jednak nic nie mogłam na to poradzić, że wracałam do myśli, co by się stało, gdyby coś poszło źle i Jaco nie zostałby wyleczony. Ta sama myśl musiała nie dawać spokoju Tamaryszce, gdyż odezwała się do Łukasza stanowczym głosem:

– Na przyszłość nie wolno ci pochopnie składać przysięgi ani lekarzom, ani znachorom, bez względu na to, jak oni siebie nazwą.

Owe dramatyczne wydarzenia bardzo nas zaabsorbowały i kiedy było już po wszystkim, dni wydawały się puste. Uświadomiłam sobie, jak długo jestem już poza domem. Gdy przyływał prom, spodziewałam się poczty, ale musiała odbyć tak daleką drogę, że nawet wiadomości podawane w nowych listach okazywały się już nieaktualne.

Bardzo dużo czasu spędzałam z ojcem. Lubiłam siadywać z nim przed domem, skąd mogłam widzieć morze i tubylców z rozłożonymi na matach towarami, wpatrzonych w horyzont w oczekiwaniu na prom.

Ojciec powiedział mi, że kiedy po raz pierwszy przybył na tę wyspę, nie był jeszcze całkiem niewidomy. Dostrzegał jak przez mgłę morze i wybrzeże, więc obecnie łatwo było mu wyobrazić sobie ten obraz.

Pewnego dnia zauważył:

– Nie jesteś tu szczęśliwa, córeczko. – Zawsze nazywał mnie córeczką, jakby delektując się łączącą nas więzią.

– Ty i Karla jesteście dla mnie tacy dobrzy – odrzekłam. – Zrobiliście wszystko...

– Ale to nie wystarcza, a nie jesteśmy w stanie zrobić nic więcej. I nigdy nie będziemy mogli. Twoje serce zostało w Harper's Green. Wiesz o tym tak samo jak ja.

Milczałam.

– Musisz wracać – mówił dalej. – Ucieczka nigdy niczego nie rozwiązuje.

– Wiedziałaś o tym, zanim tu przyjechałam. Ciocia Zosia dużo ci o mnie pisała.

– Tak, to prawda. Ale nigdy mi nie wspominała o wydarzeniu w Barrow Wood. Niewątpliwie uważała, że mogłoby mnie zbyt denerwować. Zofia zawsze miała instynkt opiekuńczy.

– Powinieneś do niej wrócić.

Potrząsnął przecząco głową.

– Nie, nie, ponieważ teraz potrzebuję opieki. Jak mógłbym zrobić coś takiego?

– Nie ma potrzeby szukać uzasadnienia. Na pewno zaopiekowałyby się tobą.

– Wiem, ale nie mógłbym tego zrobić.

– Ona nawet nie wie, że jesteś niewidomy.

– Tak, nie wie.

– Nie masz nic przeciwko temu, żebym jej powiedziała, jak wrócę?

– Musisz jej powiedzieć także i to, że wiodę tutaj dość szczęśliwy żywot. Powiedz, że choć nie mogę widzieć, życie nie straciło dla mnie sensu. Otrzymałem pewną rekompensatę za to straszne kalectwo. Słyszę lepiej niż kiedykolwiek, rozróżniam odgłosy kroków, modulacje głosów. Nawet mnie to bawi. Nie pozwól, żeby się nade mną litowała.

– Oczywiście. Powiem, że choć ociemniały, nie jesteś nieszczęśliwy.

– Właśnie tak to można określić. Nie mógłbym oczekiwać lepszej opieki. Opowiedz jej o Karli, ona zrozumie. Tak dobrze mnie zna, a nawet w głębi serca wie, że nam by się nie udało. Nigdy bym się nie dostosował do nakazów Kościoła. Chyba teraz już się zorientowałaś.

– Chyba tak.

– Zawsze byłem niezależnym włóczęgą. Nigdzie nie zagrzałem miejsca na dłużej, dopóki nie zostałem do tego zmuszony, tak jak obecnie. Zobaczyłaś, jak tu żyję. Nie najgorzej, prawda? Pan wyspy. Nie, jest nim Olam. Lecz jestem panem wszystkiego, co nadzoruję, gdyż nie nadzoruję niczego. Takie jest życie. Karla to dla mnie odpowiednia kobieta. Jesteśmy do siebie podobni. Moralista powiedziałby, że to godne potępienia, ale ja miałem szczęśliwe życie. To niesprawiedliwe, co? Twoja cnotliwa i biedna matka! Taka cnotliwa kobieta i taka nieszczęśliwa.

– Przywiązywała nadmierną wagę do spraw, które nie są w życiu istotne. Nie mogła odżalować utraconej świetności dawnych dni. To ją czyniło nieszczęśliwą, i w końcu ją zabiło.

Myślami wróciłam do owego dnia, kiedy wpadła w wielką złość, że to nie ona będzie ozdabiać kościół kwiatami. I nawet nie chodziło o to, że jej na owych kwiatkach zależało. Pragnęła jedynie, by szanowano ją jako dziedziczkę, którą już nie była.

– A więc widzisz – odrzekł. – Właśnie takie jest życie. Sami wybieramy własną drogę. To, co odpowiednie dla jednego, jest złe dla kogoś innego. Być może zależy to w dużym stopniu od szczęśliwego trafu i mnie on sprzyjał. I jestem tutaj, niewidomy, za mną beztroska młodość, a przecież mam kogoś, komu na mnie zależy. Chyba przyznasz, że szczęściarz ze mnie.

– Owszem, przyznaję, ale może zasłużyłeś na swe szczęście?

Roześmiał się głośno.

– Taka sprawiedliwość wydaje mi się nieco dziwna. Jestem zadowolony, na tyle, na ile to możliwe w tych okolicznościach. Spędzam życie na rozmyślaniach i przeżywaniu świata poprzez tych, którzy mnie otaczają. Może to wcale nie taki zły sposób. No, ale wracajmy do twoich spraw. Jak zamierzasz postąpić?

– Nieustannie się nad tym zastanawiam.

– Wiem.

– Powinam wracać. Skinął głową.

– Musisz. Kochasz tego mężczyznę i jesteś zdolna do prawdziwej miłości – wiernej, takiej na śmierć i życie, najwspanialszej. Istnieją też inne formy – niezobowiązujące, przynoszące radość i zadowolenie, podniecające, lecz naprawdę szczęśliwi są ci, którym udało się znaleźć właśnie prawdziwe uczucie. Wydaje mi się, że tak jest z tobą i Kryspinem. Czy masz pozwolić, żeby to, co posiadasz, wyslizgnęło ci się z rąk? Wiem, że ja bym nie pozwolił. Być może nie jestem dla ciebie najlepszym przykładem, ale kochasz Kryspina i powinnaś być z nim. Niech żadne przeszkody nie staną na drodze prawdziwej miłości.

– Kryspin jest zdecydowany znaleźć jakieś rozwiązanie.

– I znajdzie. Dręczy cię, że on nie daje się poznać do końca. A może to właśnie urzekło cię w nim. Przecież odkrywanie nowych głębi w bliskich nam ludziach jest ekscytujące. To dlatego zawieranie nowych znajomości tak nas frapuje. Może niektórzy czują się znuzeni swym towarzystwem, gdyż niczym już się nie potrafią zaskoczyć. Ciągłe martwisz się tajemniczą śmiercią człowieka znalezionego koło dworu St. Aubynów i sądzisz, że Kryspin coś przed tobą ukrywa. Może go nawet podejrzewasz, ale bez względu na to, co mógłby zrobić, nadal go kochasz, prawda? Przyjechałaś tutaj i okazało się, że cokolwiek by zrobił, bez niego nie potrafisz być szczęśliwa. Moja droga córeczko, tylko to się liczy. Ty go po prostu kochasz.

– Zatem sądzisz... że tylko to się liczy?

– Mówimy o miłości... prawdziwej miłości. Ona musi zwyciężyć. To najważniejsza rzecz na świecie.

– Wobec tego muszę wracać do domu.

– Idź teraz do siebie i napisz listy. Do Kryspina i do Zofii. Zawiadom ich, że wracasz. – Jego twarz trochę posmutniała. – Będę za tobą tęsknił. Z tobą było tutaj o wiele weselej.

Także Karli będzie cię brakowało. Cieszyła się, że jesteś z nami, bo widziała, jaką radość sprawiasz mi swą obecnością, ale też dlatego, że sama bardzo cię polubiła, a także twą emanującą wesołością przyjaciółką Tamaryszkę. Idź i napisz im, że wracasz, że zjawisz się najszybciej, jak to możliwe.

Objęłam ojca, a on przytulił mnie bardzo mocno do siebie.

– Powiedz Zofii, że jestem starym, niewidomym człowiekiem – rzekł. – Pełne przygód życie mam już za sobą. Opowiedz jej o naszej wyspie. Wy tłumacz, że dobrze się tutaj czuję z dala od wszystkich miejsc, gdzie niegdyś przebywałem. Zapewnij ją, że myślę o niej codziennie, gdyż jest najlepszym przyjacielem, jakiego miałem w życiu.

Udałam się do swego pokoju i napisałam listy. Będą gotowe, kiedy przyplynie prom.

Podczas pisania usłyszałam, że Tamaryszka wróciła, więc gdy skończyłam, poszłam do jej pokoju. Wiedziałam, że była w misji.

– Tamaryszko – powiedziałam – wracam do domu. Spojrzała na mnie zdumiona.

– Kiedy?

– Jak tylko da się zorganizować powrotną podróż. Już do nich napisałam i zawiadomiłam o tym.

– Podjęłaś nagle tę decyzję.

– Niezupełnie. Już od dłuższego czasu miałam taki zamiar.

– Dlaczego? Co się stało?

– Po prostu nie chcę tu dłużej zostać. Pragnę być już w domu. Powiedziałam ojcu, a on mnie rozumie.

Popatrzyła na mnie bardzo poważnie.

– Ja nie jadę.

– Czy to znaczy...

– To znaczy, że zostaję. Nie zamierzam wracać do Harper's Green i tych wszystkich ludzi, którzy gapią się na mnie i zastanawiają, czy to nie ja zabiłam Gastona.

– Oni tak nie uważają.

– Czasami wyglądają, jakby tak sądzili. W każdym razie ja nie wracam. Mnie się tutaj podoba.

– Ale, Tamaryszko, to cię chwilowo bawi, bo jest nowe.

– Przestało już być. Tu wszystko jest interesujące – misja, ci ludzie, znachor w pióropuszu.

– Ale jednocześnie tak obce, jakby dalekie od rzeczywistości.

– Dla mnie rzeczywistością jest życie tutaj i w żadnym wypadku nie zamierzam stąd wyjeżdżać. Jeżeli ty jedziesz, to będziesz musiała jechać sama.

– Rozumiem.

– Nie uważasz chyba, że możesz podjąć decyzję, bo tobie tak się podoba, i oznajmić mi: słuchaj, wyjeżdżamy.

– Wcale tak nie myślałam.

– A mnie się wydaje, że właśnie tak. W porządku, jedź. Ja zostaję.

– Tamaryszko, jesteś pewna?

– Całkowicie. – Przez chwilę milczała, po czym mówiła dalej: – To może być trochę trudne. Nie mogę zostać w tym domu, prawda? Jestem tu z tobą... jako gość. Jeżeli ciebie nie będzie, to dlaczego ja miałabym mieszkać tutaj? W misji nie ma za dużo miejsca.

– Według mnie mogłabyś jednak tu zostać.

– Dopóki sobie czegoś nie znajdę.

– Znajdziesz sobie? Gdzie? Tak mówisz, jakbyśmy były w Anglii i mogłabyś wynająć pokój u jakiejś gospodyni!

– Może Karli uda się znaleźć mi jakieś lokum. Będziesz musiała podróżować sama.

– Dam sobie radę.

– To raczej nie bardzo wypada.

– Uważam – odparłam – że zdarzają się takie sytuacje, kiedy trzeba postępować trochę wbrew przyjętym zwyczajom.

Najwyraźniej była nieugięta w swym postanowieniu. Nie zamierzała opuszczać wyspy.

Kiedy opowiedziałam o tym ojcu, uśmiechnął się i rzekł:

– Wcale mnie to nie zdziwiło.

Karla przyjęła nowiny bardzo spokojnie. Ciekawa byłam, czy omawiała moją sytuację z ojcem. Powiedziałam jej, że Tamaryszka się zastanawia, gdzie mogłaby mieszkać po moim wyjeździe. Karla zaproponowała bez zastanowienia:

– Może zostać tutaj. Czemu nie?

– Ona uważa, że jest tu gościem tylko jako osoba, która mi towarzyszy, a jak wyjadę, to powinna sobie znaleźć jakieś inne lokum. Niestety nie wie, gdzie go szukać.

– Lubię gości – powiedziała – a ona jest tu mile widziana.

– Pomyśl sama – dodał ojciec – jak u nas zostanie, to będziemy mieli wieści z misji z pierwszej ręki. Musi tu zostać. Mam dla ciebie pewną wiadomość. Napisałem do przyjaciółki w Sydney – dobrej przyjaciółki, z którą byłem kiedyś bardzo blisko. Ma syna w Londynie, którego odwiedza od czasu do czasu. I tak naprawdę tylko szuka pretekstu, żeby wyruszyć do niego przez ocean. Zasugerowałem jej, że mogłaby zaplanować wspólną podróż z tobą. Zarezerwowałyby bilety i popłynęłybyście razem. Sybilla jest zabawna, spodoba ci się na pewno.

– To cudowny pomysł.

– Spodziewam się, że odpowiedź od niej przyjdzie następnym promem. Wtedy przystąpimy do działania.

Prom przybył. Siedziałam z ojcem przed domem, obserwując jak podpływa.

– Potrafię go sobie wyobrazić – powiedział. – A także to całe podniecenie związane z przybijaniem do brzegu. Z pewnością przyszedł list od Sybilli. Będę się czuł o wiele spokojniejszy, wiedząc, że płyniecie razem. Ona jest doświadczoną podróżniczką i dla mnie byłoby ważne, żeby ci towarzyszyła. Gdyby jednak nie mogła, cóż, moja kochana, nie jesteś pierwszą kobietą, podróżującą do Anglii sama. Będziemy coś wiedzieć pod koniec dnia albo może jutro rano. Sortowanie poczty zajmuje dużo czasu.

Jeden czy dwóch pasażerów zeszło na ląd. Zastanawiałam się, czy zostaną tu tylko na dzień i wrócą promem. Wyobrażałam sobie, jak sprzedawcy zacierają ręce i starają się zjednać sobie duchy w nadziei na dobry interes.

Usłyszałam odgłos kół toczących się coraz bliżej w stronę domu. Wysłam zobaczyć, co się dzieje. Na wozie pośród licznych bagaży siedziała kobieta. Miała na sobie zupełnie tu niestosowną jedwabną, niebieską suknię – jak się okazało ostatni krzyk mody – na głowie zaś słomkowy kapelusz, nad którym górowało coś, co musiało być jakimś baśniowym ptakiem, w każdym razie nie rozpoznałam w nim żadnego ze znanych mi gatunków.

Na mój widok uśmiechnęła się ogromnie ciepło.

– Domyślam się, że ty jesteś Fryderyka. A ja Sybilla Fraser. Mamy być towarzyszkami podróży, więc lepiej, żebyśmy się poznały. – Zaczęła schodzić z wozu. – Prościej było przyjechać tutaj – mówiła dalej. – Możemy odpłynąć następnym promem. Będzie tu za trzy, cztery dni. Dość, żeby się przygotować. Zawsze wolę mieć trochę czasu w zapasie. Nie znoszę, jak się mnie pogania.

Przed dom wyszła Karla, więc przedstawiłam je sobie:

– To jest pani Sybilla Fraser. Przyjechała, żeby mnie zabrać do Anglii.

– A to niespodziewany gość, co? – odezwała się pani Fraser. – Pomyślałam, że łatwiej będzie przyjechać, niż pisać. Załatwiłam nam bilety na „Gwiazdę Mórz”. Wypływa na początku przyszłego miesiąca, więc nie ma wiele czasu do stracenia.

Byłam bardzo wdzięczna Sybilli Fraser, że po mnie przyjechała. Okazała się wesołą osobą, najlepszą towarzyszką, jaka mogła mi się trafić. Jak oznajmiła, podjęła decyzję, że się mną zaopiekuje, skoro jej najlepszy przyjaciel, Ronald Hammond, o to prosił.

– Wszystko zrobiłabym dla Ronniego – oświadczyła – dosłownie wszystko. Co nie oznacza, kochanie, że to dla mnie jakieś uciążliwe zadanie. Nic podobnego. Cieszę się na twoje towarzystwo, a poza tym to świetny pretekst, żeby złożyć wizytę memu Bertiemu.

W krótkim czasie poznałam jej historię, gdyż nieustannie mówiła, głównie o sobie, co – ze względu na mój nastrój – bardzo mi było na rękę.

Kiedyś w Londynie odniosła wielki sukces. „Debiutantka Roku” – taki przyznano jej nieoficjalny tytuł.

– Oczywiście, kochanie, byłam wtedy dużo, dużo młodsza. Oczekiwano, że wyjdę za mąż za księcia albo może za hrabiego, a przynajmniej za baroneta. Ale ja zakochałam się w moim Bertramie Fraserze, diamencie nieoszlifowanym, za to dwudziestoczterokaratowym. Widzisz, kochanie, był strasznie bogaty. Fortunę zawdzięczał kopalniom złota w Australii. Miał ich kilka, a ja mogłam tylko być szczęśliwa, że jadę tam z nim. Rozczarowanie mojej rodziny, która miała nadzieję na szlachecką koronę, w dużej mierze wynagrodziły pieniądze.

– Więc wszystko ułożyło się dobrze.

– Och tak, kochanie, bardzo. Ale z drugiej strony, jak zawsze powiadam, każdy jest kowalem własnego losu. Miałam swego Bertrama i wkrótce na świat przyszedł mały Bertie. Czego więcej mogła chcieć kobieta? Po tym, co przeżyłam w przeszłości, świat stał się piękny. Pochodziłam z dobrej rodziny, ale stale trzeba było oszczędzać, oszczędzać i oszczędzać, a jeszcze do tego zachowywać pozory, że nam się dobrze powodzi i tu nagle, masz! O czym tylko zamarzyłam, już to miałam.

– Wspaniała rekompensata za szlachecki herb – zauważyłam.

– No właśnie. Zwłaszcza że ten, którego mi swatali, był okropny i miał pięćdziesiątkę na karku. Więc żyliśmy szczęśliwie, ja i Bertram. Niestety zginął w wypadku w jednej ze swoich

kopalni. Zszedł na dół, żeby coś sprawdzić, i coś na niego spadło. Zostawił cały majątek Bertiemu i mnie. Byłam zdruzgotana, lecz nie jestem kobietą, która na długo pograżyłaby się w rozpacz. Straciłam Bertrama, ale miałam małego syna.

– I majątek – przypomniałam jej.

– Tak jest, kochanie. Mieszkaliśmy w Melbourne, żeby być blisko kopalni, lecz mieliśmy też dom w Sydney i tam się przeprowadziłam. To miejsce bardziej mi odpowiadało. Trochę podróżowałam. Pojechałam na wycieczkę do Egiptu i tam poznałam twego ojca, jakieś sześć lat po śmierci Bertrama. Staliśmy się przyjaciółmi... bardzo bliskimi przyjaciółmi i tak już zostało. Zawsze z radością się spotykaliśmy przez wiele lat... to tu, to tam. Dobry przyjaciel pozostanie zawsze dobrym przyjacielem. Potem dostałam od niego list. Dowiedziałam się, że stracił wzrok i że Karla się nim opiekuje. Poznał ją w Egipcie. To z natury dobra kobieta. Wszystko dla niego robi, prawda? Nawet pisze za niego listy. Cóż, on zawsze znajdzie kogoś, kto będzie chciał się nim opiekować. Sama bym to robiła.

– Ma szczęście, że posiada takich wspaniałych przyjaciół.

– To jego zasługa. Wiedziałam, że ma córkę. Ja z kolei opowiadałam mu o moim synu. Bertie chodził do szkoły w Anglii, z wieloma osobami się tam zaprzyjaźnił, dużo bywał, poznał swą żonę i już pozostał w kraju. To całkiem naturalne. Nie chciał zajmować się kopalniami złota. Ja także tego nie pragnęłam pamiętając, co się stało z jego ojcem. Więc osiadł w Anglii z żoną i rodziną. Tak, jestem już babcią, tylko nie mów tego nikomu, dobrze? Jeżdżę do nich, kiedy tylko mogę. Tym razem mam dobry pretekst. Po odstawieniu cię do domu pojadę do Bertiego i trochę u nich pobędę.

– To ogromnie miłe, że robi pani to wszystko dla mego ojca.

– Zrobiłabym dla niego o wiele więcej. Jest jednym z najlepszych ludzi na świecie. Musi taki być, skoro wszyscy go kochamy.

– Tak, to prawda.

– Ale robię to także we własnym interesie.

Moje pożegnanie z ojcem było bardzo czułe. Do późnego wieczoru czekaliśmy na przybycie promu, który miał nas zabrać na wyspę Cato.

Ojciec nie ukrywał swych uczuć. Mówił, jak uszczęśliwiła go moja wizyta, jak stale w ciągu tych wszystkich lat o mnie myślał. Zanim opuścił dom, stanął przy moim łóżeczku. „Byłaś przepięknym dzieckiem. Ledwie mogłem znieść rozstanie z tobą. To dzięki Zofii, drogiej Zofii, nie straciłem z tobą styczności przez te wszystkie lata. Bardzo się ucieszyłem, kiedy u niej zamieszkałaś”.

– Uważam, że powinieneś do niej wrócić – powiedziałam.

– Nie. Nie zasługiwałem na Zofię. Tak jest lepiej.

– Może jeszcze kiedyś będę mogła do ciebie przyjechać.

– Ze swym mężem. Ogromnie bym się cieszył. To jest teraz szczyt moich marzeń.

Kiedy prom z nami na pokładzie odbił od brzegu, stał na nabrzeżu. Wiedziałam, że oczyma duszy widzi tę scenę – mnie, stojącą na pokładzie, smutną z powodu naszego rozstania, a jednocześnie spragnioną spotkania z ukochanym.

Towarzyszyła mu Karla. Trzymała go za rękę i ów gest wymownie świadczył o tym, że otoczy go opieką tak długo, jak będzie trzeba. To ona, naśladowując jego pismo, pisała listy do Zofii, kiedy sam już nie mógł tego robić, gdyż rozumiała, że on nie chciał ujawniać mojej ciotce swej ślepoty. Okazywała mu pomoc we wszystkich życiowych sprawach i tak będzie nadal.

Tamaryszka też tam była. Miałam wrażenie, że czuje się trochę urażona – nie chciała, żebym wyjeżdżała.

– Poczekaj jeszcze trochę – namawiała mnie, gdy już podjęłam decyzję. – Nasz pobyt tutaj wcale się zbytnio nie przeciągnął.

Dla mnie jednak był to bardzo długi okres z dala od domu i tak jej powiedziałam.

– Fred, ja nie mogę jeszcze jechać – odparła. – Chyba mnie rozumiesz.

– Rozumiem cię, ale musisz zrozumieć, dlaczego powinnam wracać.

Zrobiła swą typową kwaśną minę, a ja się zastanawiałam, jak długo jeszcze pobyt na wyspie jej się nie znudzi.

Na nabrzeżu zegnali nas też inni. Przyszli Haversowie z Łukaszem i Jaco oraz chyba większość dzieci z wyspy. Oczywiście zjawili się po to, by zobaczyć odpływający prom, lecz wydawało mi się, że tłum był większy niż zwykle w takim dniu.

Gdy wyspa stała się już niewidoczna, ogarnął mnie smutek. Czułam, że jakaś część mojego życia bezpowrotnie minęła i wracałam myślą do tego niezwykłego epizodu, jakby to był sen.

Następnego dnia znalazłyśmy się już na Cato, gdzie spędziłyśmy dwie noce w hotelu, tym samym, w którym zatrzymałam się poprzednio.

Sybilla Fraser była wytrawną podróżniczką. W Sydney ułożyła nam plan pobytu w mieście na dwa dni – czas oczekiwania na przybycie statku „Gwiazda Mórz”.

Powrót do domu

Podróż morska na wyspę była dla mnie i Tamaryszki całkowitą nowością, wielką przygodą, toteż wszystko nieustannie nas interesowało. Teraz już to znałam. Dla Sybilli, która często podróżowała morzem, życie na statku nie miało tajemnic i bez wątpienia sprawiało jej przyjemność. Już przedtem pływała z naszym kapitanem i znała kilku oficerów. Jak mi powiedziała, zawsze stara się poznać otoczenie, bo to bardzo pomaga.

Miałyśmy osobne kabiny, położone obok siebie po prawej burcie, która przez większość czasu będzie w cieniu, jak objaśniła mi Sybilla. Z drugiej, lewej strony zar tropików jest nie do wytrzymania.

Dla mnie była najlepszą towarzyszką, jaką sobie mogłam wymarzyć, i nie pozwalała mi się nudzić. Uczestniczyła we wszystkich rozrywkach, które dla pasażerów przygotowano. Brała udział w zabawach urządzanych na pokładzie, wieczorami grała w wista i tańczyła. W portach zabierała mnie na wycieczki, zapewniając nam eskortę atrakcyjnych panów. Była popularna, na co zresztą zasługiwała, jako osoba mająca zawsze dobry humor, skora do pogaduszek, a nawet do niewinnego flirtu.

W czasie burzliwej pogody pozostawała w kabinie, tak jak ja. Leżałam wtedy na łóżku i myślałam o tym, jak to będzie, kiedy już wrócę do domu. Czy coś tam się wydarzyło w czasie mojej nieobecności? Czy coś się wyjaśniło? Memu nagłemu wyjazdowi z Harper's Green tuż po zaręczynach musiało towarzyszyć wiele domysłów.

Leżałam wsłuchana w uderzenia fal o burty i skrzypienie statku, jakby protestującego jękami przeciw naporowi wody. Po przebyciu sztormów wypłynęliśmy na spokojniejsze wody. I tak mijały dni.

Wreszcie dotarliśmy do Lizbony, ostatniego portu, gdzie się zatrzymywaliśmy. Wysłałam na ląd z Sybillą i kilkoma zaprzyjaźnionymi osobami. Zwiedziliśmy razem miasto. W dzielnicy Belem byliśmy w słynnym klasztorze dos Jeronimos i kościele Santa Maria de Belem. Obejrzeliśmy też obronną twierdzę – wieżę Torre de Sao Vicente.

Później, siedząc przy kawie, obserwowaliśmy przechodniów i w końcu wróciliśmy na statek. Gdy wypłynął z rozlewiska Tagu – Mar da Palha – podziwialiśmy z pokładu wzgórze po obu stronach rzeki.

Anglia była już niedaleko.

Minął następny dzień. Spakowałyśmy się i czekałyśmy w pogotowiu. Nadeszła ostatnia noc. Jutro wcześniej rano wpłyniemy do Southampton.

Jak zwykle nastąpiła pewna zwłoka, zanim pozwolono nam zejść na ląd i wydawało się, że te chwile ciągną się godzinami.

Sybilla postanowiła, że wsiądziemy w pociąg do Londynu i stamtąd razem pojedziemy do Harper's Green. Tłumaczyłam, że nie musi mnie odwozić, ale ona się uparła. Obiecała Ronniemu, że zawiezie mnie do ciotki – i to właśnie zrobi.

Okazało się, że nie ma takiej potrzeby, gdyż na nabrzeżu czekali zarówno Kryspin, jak i ciocia Zosia. Gdy tylko się pojawiłam, uszczęśliwiona ciocia zaczęła wykrzykiwać moje imię, a twarz Kryspina rozjaśniła się nieopisaną radością. Pospieszyłam ku nim, lecz Kryspin dopadł mnie pierwszy, wziął w ramiona i uniósł do góry. Nigdy przedtem nie widziałam go tak wniebowziętego. Zaraz też podeszła do nas ciocia Zosia z serdecznym uśmiechem.

– Nareszcie w domu, nareszcie w domu, moja ty kochana – powtarzała bezładnie, a łzy spływały jej po policzkach. To były łzy radości.

Nie zapomniałam o Sybilli, która rozpromieniona stała obok.

– Pozwólcie, że przedstawię panią Fraser – zwróciłam się do cioci i Kryspina. – To ona przywiozła mnie do kraju. Ojciec ją o to prosił.

– Wiemy – odpowiedziała ciocia. – Właśnie dostaliśmy od niego list. Na wiadomość o twym powrocie przygotowaliśmy już wystawne przyjęcie. Okazało się, że listy podróżują krócej niż ludzie. Och, jak wspaniale znowu cię widzieć!

Kryspin wziął mnie pod ramię i mocno przycisnął do siebie. Ciocia ujęła mnie pod drugie.

– Tak się cieszę – odezwała się Sybilla. – Spodziewam się, że i moja rodzina zgotuje mi podobne powitanie.

Kryspinowi i cioci Zosi udało się z niejakim trudem oderwać uwagę ode mnie i porozmawiać z moją towarzyszką.

– Sybilla była cudowna – powiedziałam. – Jest taką doświadczoną podróżniczką. Wszystko mi ułatwiła. Przyjechała do Anglii odwiedzić syna.

Serdecznie jej dziękowali i spytali, co teraz robi. Odrzekła, że jedzie do Londynu, prosto do syna.

Dopiero w herbaciarni na stacji dowiedziałam się o doniosłych nowinach.

W Paddington musieliśmy czekać godzinę na pociąg, który miał nas zabrać do Wiltshire. Sybilla usadowiła się w dorożce i pożegnała, obiecując kiedyś nas odwiedzić. My zaś postanowiliśmy spędzić czas oczekiwania na rozmowie przy herbacie.

Od owej chwili za każdym razem, gdy jestem na stacji kolejowej, przypominam sobie tamten dzień.

Kryspin usiadł tuż koło mnie. Od czasu do czasu wyciągał rękę i dotykał mojej, jakby chciał się upewnić, że naprawdę jestem tutaj.

Kiedy zamówiliśmy herbatę, ciocia Zosia powiedziała:

– Czyż to nie cudowne? Któż by pomyślał, że tak się to rozwikła. Cały czas...

– O co chodzi? – spytałam. – Wiem, że coś się zdarzyło. Widzę to po waszych minach i w ogóle. Ale co? Powiedzcie mi!

– Napisałem ci – odrzekł Kryspin – jak tylko wyszło na jaw. To była pierwsza rzecz, którą zrobiłem.

– Napisałeś? Ale kiedy?

– Jak tylko się dowiedziałem.

– Nie chcesz chyba powiedzieć – zdziwiła się ciocia Zosia – że nie dostałaś listów?

– Jakich listów? Wiecie przecież, jak długo idą.

– Tych, w których o wszystkim ci napisaliśmy. Kryspin wysłał jeden, ja drugi. A kiedy dowiedzieliśmy się, że wracasz do domu... pomyśleliśmy, że to dlatego. Ale jak się zastanowić, to by było za wcześnie. Nasze listy musiały się minąć w drodze.

– Byliśmy przekonani, że wracasz, ponieważ... – zaczął Kryspin.

– Ponieważ co? – wykrzyknęłam doprowadzona do ostateczności.

– Więc to było tak – wyjaśnił. – Zatrudniłem jedną z agencji detektywistycznych, żeby zajęła się tą sprawą. Kate mówiła, że jedzie do Australii, ale nie uwierzyłem. Musiałem się jej pozbyć raz na zawsze. Czułem, że zamierza stale wyciągać ode mnie pieniądze.

– Oczywiście – przyznałam. – Nie poprzestałaby na jednorazowym szantażu.

– Już po całym zmartwieniu. Nigdy się z nią naprawdę nie ożeniłem, bo wtedy już była mężatką, przez trzy lata, zanim ją poznałem.

– Czy to rzeczywiście prawda?

– Zostało udowodnione bez cienia wątpliwości – potwierdziła ciocia Zosia z triumfem. – Kryspin ma dowód, prawda, Kryspinie? Bo widzisz, istnieją takie rzeczy jak rejestry zawieranych ślubów.

– Istotnie, mamy niepodważalny dowód.

– Nic już nie stoi na przeszkodzie waszemu małżeństwu – dodała ciocia Zosia z przekonaniem. – Jestem taka szczęśliwa. Miałam wyrzuty sumienia, gdyż powiedziałam ci, że ją zobaczyłam wtedy w hotelu. Zadawałam sobie pytanie, po co się z tym wyrwałam.

– Sprawa skończona – oznajmił Kryspin, ujmując moją dłoń. – Najdroższa, już po wszystkim. Teraz nic nas nie powstrzyma.

– Trudno mi w to uwierzyć – zawahałam się. – To zbyt... proste.

– W życiu nie zdarzają się wyłącznie zagmatwane sprawy – odparła ciocia Zosia.

– Jednego nie mogę zrozumieć – powiedział Kryspin. – Dlaczego wróciłaś do domu właśnie teraz?

Spojrzałam na niego poważnie.

– Wróciłam, gdyż nie mogłam już dłużej żyć z dala od ciebie.

– Mimo że...

– Mimo wszystko. Nie potrafiłam żyć bez ciebie. Mój ojciec także zdawał sobie z tego sprawę. Powiedział, że z dala od ciebie nigdy nie będę szczęśliwa, więc wróciłam.

Kryspin mocno uściskał mą dłoń.

– Nigdy tego nie zapomnę – rzekł. – Wróciłaś, zanim dowiedziałaś się prawdy.

Ciocia Zosia patrzyła na nas z ciepłym uśmiechem, a ja nagle uświadomiłam sobie, że przeżywam najszcześniejszy dzień w życiu.

Cóż to był za triumfalny powrót!

Miasteczko Harper's Green wyglądało tak samo, jak je zapamiętałam przed wyjazdem. Wzięliśmy dorożkę do domu „Pod Jarzębinami”, gdzie czekała na nas Lily. Przybiegła i uściskała mnie.

Jej głos był zdławiony ze wzruszenia, gdy stwierdzała niewątpliwy fakt:

– Wróciłaś.

– Tak, Lily, wróciłam.

– Najwyższy czas.

– Tęskniłam za wami wszystkimi.

– A myślisz, że my nie? Tak się wałęsać po świecie! Wchodź do domu. Nie będziemy przecież stać na progu przez całą noc.

Weszliśmy do bawialni.

– Jak cudownie być tutaj z powrotem! – powiedziałam.

– Teraz wreszcie zrealizujemy nasze plany – odezwał się Kryspin. – Nic nas już nie wstrzymuje. Czekaliśmy zbyt długo.

Ciocia Zosia podjęła temat ślubu.

– Pragniemy szybko się pobrać – stwierdził. – Nie potrzeba nam wielkich przygotowań.

– Twoja matka będzie chciała to zrobić po swojemu – zauważyła ciocia.

– Niestety będzie musiała jednak zrobić to po naszymu. A gdzie spędzimy miodowy miesiąc?

– Zastanowimy się jeszcze – odrzekłam. – W tej chwili jestem zbyt szczęśliwa, żeby myśleć o czymś innym niż o tym, że wróciłam do domu i że wszystko się dobrze ułożyło. A przecież dowiedziałam się o tej nowinie dopiero w kolejowej herbaciarni wśród brzęku talerzy, gwaru ludzi i hałasu dochodzącego z peronu.

– Czy ma jakieś znaczenie, gdzie ją usłyszałaś? – powiedziała ciocia. – Usłyszałaś ją... i to jest najwspanialsza nowina na świecie.

Cudownie było znaleźć się z powrotem w domu. Skończył się koszmar, który zapoczątkowało przybycie do Devizes Kate Carvel, gdy ją tam zobaczyła ciocia Zosia. Teraz przed nami roztaczała się wizja szczęścia.

Po wyjściu Kryspina, który przyrzekł, że przyjdzie następnego dnia rano, ciocia Zosia poprosiła mnie, abym opowiedziała jej o ojcu.

Doznała wstrząsu, gdy się dowiedziała, że jest niewidomy.

– Dlaczego mi o tym nie napisał? – spytała.

– Wiedział, że się tym przejmiesz, i nie chciał, abyś się o niego martwiła. Ojciec właśnie taki jest, wrażliwy i myślący.

– Ale jak sobie daje radę w tym stanie? I co robi na tej położonej na końcu świata wyspie?

Po pewnym wahaniu wyjawiałam jej całą prawdę o Karli.

– Och – westchnęła. – Kobieta... Zawsze jest jakaś kobieta!

– Jej matka pochodziła z wyspy, a ojciec był Anglikiem. Karla to bardzo miła i życzliwa ludziom osoba. Polubiłabyś ją, ciociu. Ogromnie się o niego troszczy i wszystko dla niego robi. To ona pisała listy do ciebie, dyktowane przez ojca.

Ciocia pokiwała głową.

– Widziałam, że charakter pisma mu się zmienił. Niewiele, ale nie był całkiem taki sam jak kiedyś.

– Nie chciał, żebyś się dowiedziała. Karla jest też bardzo mądrą kobietą i wpływową, tam, na wyspie. Ma własną plantację.

– Przez co on musiał przejść! Gdyby mnie zawiadomił...

– Wiem. Próbowalabyś go namawiać na powrót do kraju. Ma dla ciebie wiele sympatii, ale nie chce cię wykorzystywać. Ciociu, jesteś jego najserdeczniejszą przyjaciółką – tak mi powiedział. Żywi do ciebie głębokie uczucie, lecz nie mógłby teraz wykorzystywać twojej dobroci, kiedy jest całkiem niezaradny. Ja go rozumiem. Bardzo dobrze go poznałam.

– Jest wspaniałym człowiekiem.

– On by takie określenie skwitował śmiechem. Sam uważa się za grzesznika i sędzę, że sporo ludzi podzieliłoby taką opinię. Ale ja go kocham i ty też, ciociu, a także bardzo wiele osób, z którymi zetknął się w życiu.

Ta rozmowa przyćmiła trochę jej dobry nastrój, lecz pragnęła ponad wszystko, by nic nie mąciło mego szczęścia, więc zaczęła mówić o Kryspinie, a konkretnie o tym, jak bardzo się zmienił.

– Robi teraz wrażenie młodego chłopca. Och, Freddie, masz szczęście, że jesteś aż tak kochana.

– Zdaję sobie z tego sprawę.

– I jeszcze to, że wróciłaś, choć wcale nie wiedziałaś... Cieszę się, że tak postąpiłaś. To o czymś świadczy, prawda? Widziałaś jego twarz, gdy to sobie uświadomił?

– Tak. Ciociu, musiałam wrócić. Ojciec mnie rozumiał.

– Nigdy nie przejmował się konwenansami.

– Takie rozwiązanie problemu zakrawa na cud.

– W życiu od czasu do czasu zdarzają się cuda. Och, taka jestem szczęśliwa! Stało się to, czego zawsze najbardziej pragnęłam: widzieć cię szczęśliwą i mieć blisko siebie. To wszystko, o czym kiedykolwiek marzyłam w życiu... prawie wszystko.

Udałam się odwiedzić panią St. Aubyn. Szłam do niej z duszą na ramieniu, gdyż nie wiedziałam, jak odnosi się do naszego małżeństwa. Zapewne wołałaby dla swego syna kogoś z wyższych sfer.

Tymczasem przywitała mnie bardzo ciepło.

– Jak miło, że wróciłaś, moja droga. Pomyśl, to niedługo będzie twój dom, a ty zostaniesz moją synową. Bardzo się cieszę, że wejdiesz do naszej rodziny.

Leżała na sofie i zastanawiałam się, czy ponownie zapadła w ów chorobliwy stan, z którego wyrwała się wraz z pojawieniem się w St. Aubyn's Gastona Marchmonta.

– Kryspin jest teraz ogromnie szczęśliwy – powiedziała. – Bardzo mnie to podniosło na duchu. Dawniej przeżyliśmy tyle przykrości i wszystko to go zmieniło. Z prawdziwą radością przyjmuję jego związek z osobą, którą tak dobrze znam. To szalona ulga.

Uśmiechnęłam się w duchu. Wiedziałam, że nigdy za bardzo nie przejmowała się pomyślnością swych dzieci.

– Potrzebna jest tu pani domu – mówiła dalej – i jestem pewna, że ty się dobrze do tej roli nadajesz. Mnie w tym przeszkadza zły stan zdrowia.

Czułam, że podobnie jak poprzednio, nie będzie się udzielać ze względu na rzekome choroby. Lecz – co uświadomiła mi ciocia Zosia – teściowa, która się nie wtrąca, jest prawdziwym skarbem.

– Droga Fryderyko – poprosiła – czy byłabyś tak dobra i przykryła mi nogi kocem? Żeby nie wiem jak pokój był ogrzany, czuję przeciąg. A teraz opowiedz o mojej córce. Dlaczego nie wróciła z tobą?

Opowiedziałam o zainteresowaniu Tamaryszki misją. Zdałam jej relację z tego, jak ozdobiła kwiatami pusty hol, zauroczyła dzieci swymi złocistymi włosami i dlaczego maluchy tak bardzo ją polubiły.

– Bardzo dziwne – uznała. – A jak sądzisz, kiedy wróci do domu?

– Przypuszczam, że raczej niedługo. Chwilowo to wszystko wydaje się jej nowe i zabawne, ale z pewnością wróci.

– Powinna ponownie wyjść za mąż. – Wyraz twarzy pani St. Aubyn nieco się zmienił. – To była taka tragedia. Musimy wspólnie się zastanowić i znaleźć Tamaryszce odpowiedniego męża.

– Chyba sama będzie chciała go sobie wybrać – odrzekłam.

Pokiwiała ze smutkiem głową.

– Tak jak poprzednio. Szkoda, że tak się stało. Był bardzo uroczym mężczyzną.

Nawet nie chciałam myśleć o Gastonie Marchmoncie.

Poszłam z wizytą na farmę Grindle'ów, gdzie powitała mnie Rachela, uradowana z mego powrotu. Widać było, że dobrze jej się wiedzie. Mała Daniela stała się już bardzo rozzagarniętą dziewczynką. Posługiwała się własnym językiem i bez ustanku biegała, ciekawa wszystkiego.

Daniel ma się dobrze, powiedziała Rachela. Śledztwo w sprawie morderstwa nie doprowadziło do żadnych wyników i wydawało się, że należało już do przeszłości. Prosiła,

abym opowiedziała jej o Tamaryszce. Ze śmiechem słuchała o kwiatach w pokoju i nieoczekiwanym zainteresowaniu naszej przyjaciółki samą misją.

– Ostatnia rzecz, jakiej można by się po niej spodziewać – stwierdziła.

– Cóż, Tamaryszka zawsze była nieprzewidywalna.

– Freddie, jestem taka szczęśliwa z twego powodu. To cudowne, że wróciłaś i wychodzisz za mąż za Kryspina. – Spojrzała na mnie badawczo. – Kiedy tak nagle wyjechałaś, nie mogłam tego zrozumieć.

– Była przyczyna.

– Z pewnością. – Nie zapytała mnie, jaka. Zawsze zachowywała się taktownie. Domyślała się, że coś zaszło między mną a Kryspinem i że to nasza osobista sprawa. – Ale teraz już wróciłaś i wszystko w porządku. Och, Freddie, będziesz bardzo szczęśliwa, jestem tego pewna.

– Skoro ty jesteś pewna, a ja mam zamiar zdecydowanie do tego dążyć, to tak musi się stać – odparłam.

– Biedny Jakub Perrin! – Uśmiechnęła się lekko. – Kiedyś myślałam...

– Że go poślubię?

– Wydawało się, że to odpowiedni mężczyzna. Taki zrównoważony, spokojny i zdolny. Z pewnością byłby dobrym mężem.

– Zawsze można by na nim polegać – dobry i wierny mąż, to oczywiste.

– Chodzą plotki, że interesuje się jakąś młodą kobietą z Devizes, córką adwokata... żona odpowiednia pod każdym względem.

– Cieszę się.

– Mówi się, że jej rodzina wspomogę go finansowo przy zakupie jakiegoś majątku.

– Doskonale! – odparłam z całym przekonaniem.

– To wspaniale, że wszystko tak się dobrze układa, prawda? Kiedyś jeden kłopot gonił drugi, a potem nagle ta zła passa minęła. Tak się w życiu dzieje na przemian, czyż nie? Gdy patrzę wstecz i myślę...

– Rachelo – wpadłam jej w słowo – nie patrz wstecz. Spoglądaj przed siebie.

Uśmiechnęła się serdecznie.

– Dobrze jest wiedzieć, że znowu mam cię blisko.

Spotkałam się z Jakubem Perrinem. Wyglądał na człowieka bardzo zadowolonego z życia. Złożył mi gratulacje w związku ze zbliżającym się ślubem i powiedział, że rozmyśla o zakupie jakiejś posiadłości. Nie ukrywał tego przed panem St. Aubyn, gdyż uznał, że nie byłby w porządku, gdyby nie dał mu czasu na znalezienie kogoś na swoje miejsce i zaznajomienie go z obowiązkami.

Gratulacje były raczej szczere, jednak wyczułam w głosie Jakuba jakby nutę żalu. Lecz jako praktyczny, poważnie myślący człowiek umiał układać sobie życie. Jeśli nawet swego czasu uważał, że mogłabym być dla niego odpowiednią partnerką, to gdy zniweczyłam jego plany, zastąpił mnie kimś innym. Taki rozważny mężczyzna z filozoficznym podejściem do życia nigdy nie podda się rozpaczy, ale też nie osiągnie szczytów uniesienia.

Miałam naturalnie wielką ochotę odwiedzić panny Lane, lecz kiedy się u nich zjawiłam, moja wizyta przebiegła w dość napiętej atmosferze, jak zwykle zresztą.

Wybrałam popołudnie – czas, gdy zwykle do nich chodziłam, gdyż wtedy Flora przesiadywała w ogrodzie. Nie było jej tam. Przeszłam do frontowych drzwi i zapukałam. Otworzyła mi Lucy.

– O, panna Hammond – powiedziała. – Proszę wejść, panno Hammond. Słyszałam, że była pani na tyłach domu.

– Chciałam zobaczyć się z paniami. Jak się miewa panna Flora?

Zaprowadziła mnie do bawialni i wskazała krzesło.

– Flora nie czuje się zbyt dobrze – rzekła. – Odpoczywa.

– Przykro mi.

– Źle się czuje już od pewnego czasu.

– Czy jest bardzo chora?

– Cóż, chyba jest to rodzaj choroby. Nakłoniłam ją, żeby dziś po południu poleżała. Słyszałam, że ma pani poślubić pana St. Aubyna.

– Owszem.

Miała splecione dłonie, które mimo to wyraźnie drżały.

– To dobry człowiek – powiedziała. – Najlepszy.

– Wiem.

– Cóż, na pewno będziecie szczęśliwi.

– Mam taką nadzieję. A czy mogłabym zobaczyć się z panną Florą? Może pomyśleć, że wróciłam i jej nie odwiedziłam.

Zawahała się przez moment, po czym wstała. Skinęła głową, więc wyszłam za nią z pokoju.

– Ona się zmieniła – szepnęła, gdy szliśmy schodami na górę.

– Tak, mówiła mi pani.

Drzwi do dzieciennego pokoju były otwarte. Minęliśmy go i weszliśmy do pokoju Flory. Leżała na łóżku.

– Panna Hammond przyszła cię odwiedzić, Floro – odezwała się Lucy.

Flora uniosła się trochę i powiedziała:

– Wróciłaś.

– Tak i przyszedłam się z panią zobaczyć. Jak się pani czuje?

Położyła się z powrotem i pokręciła głową. Zauważyłam, że lalka leży w małym łóżeczku obok.

– Wszystko przepadło – wyszeptwała. – Nie wiem... gdzie my jesteśmy?

– W twoim pokoju, kochanie – odpowiedziała łagodnie Lucy. – Panna Hammond wróciła z obcych krajów. Wpadła, żeby cię zobaczyć.

Flora skinęła głową.

– Już go nie ma – odezwała się cicho.

– Mówi trochę bez związku – wyjaśniła szeptem Lucy, po czym zwróciła się normalnym głosem do siostry: – To miło ze strony panny Hammond, że do nas przyszła, prawda, Floro?

– Miło, że przyszła – powtórzyła tamta. – On przyszedł tutaj... wiesz... – Patrzyła na mnie. – On wziął... – Ściągnęła wargi.

Lucy położyła dłoń na moim ramieniu.

– To nie jest jeden z jej dobrych dni – rzekła cicho. – Lepiej zostawić ją samą. Dam jej proszek, to ją uspokoi.

Wyczułam, że bardzo chce się mnie pozbyć, więc nie miałam wyboru. Przechodząc koło otwartych drzwi dzieciennego pokoju, rzuciłam tam przelotne spojrzenie i dostrzegłam obrazek z siedmioma srokami. Przy frontowych drzwiach odwróciłam się do Lucy. Widziałam niepokój w jej oczach.

– Rzeczywiście się zmieniła – powiedziałam.

– Ma jeden ze swych gorszych dni, majaczy. Zdarza się jej to od czasu do czasu. Kiedy indziej bywa taka jak przedtem, choć oczywiście już od długiego czasu wydaje się dziwna.

– To pani przysparza trosk.

Wzruszyła ramionami.

– Znam ją... jest moją siostrą. Wiem, jak się nią opiekować.

– To szczęście dla niej, że ma panią.

Nic nie odpowiedziała i otworzyła mi drzwi.

– Cóż, moje gratulacje, cieszę się, że wychodzi pani za męża za pana Kryspina. Jest bardzo w pani zakochany i sam zasługuje na szczęście.

– Dziękuję.

– Tak – dodała. – To miło, naprawdę miło.

Wysłałam stamtąd z uśmiechem, choć czułam jakiś dziwny niepokój, ale przecież takie uczucie zawsze mi towarzyszyło w czasie wizyt w „Domu Siedmiu Srok”.

Pobraliśmy się w sześć tygodni po moim powrocie. Kryspin i tak się irytował, że czas oczekiwania jest za długi.

Ślub był cichy, zgodnie z naszym wspólnym życzeniem. Pani St. Aubyn trochę protestowała, lecz dość słabo. Chodziło przede wszystkim o to, że uroczystość miała się rozpocząć w domu panny młodej, który był stosunkowo skromny.

Pastor Hetherington odprawił nabożeństwo i chyba większość sąsiadów zjawiła się w kościele. Kiedy wszyscy nas otoczyli, składając życzenia, oboje przyjmowaliśmy je z uczuciem niewymownego szczęścia. Przyszła też Rachel. Żałowałam, że nie ma z nami Tamaryszki. Często o niej myślałam. Byłam pewna, że entuzjazm, z jakim odnosiła się do pobytu na wyspie, jak zawsze w przeszłości, nie potrwa długo. Widziałam w kościele Lucy Lane. Kryspin podszedł do niej, żeby się upewnić, czy niczego jej nie potrzeba. Ciekawa byłam, jak się czuje Flora, lecz, prawdę mówiąc, nie poświęciłam tej sprawie specjalnej uwagi, gdyż byłam pochłonięta własnym ślubem i czekającą mnie przyszłością w małżeństwie.

Wkrótce po tej uroczystości wyjechaliśmy do Włoch, gdzie przeżyliśmy kilka tygodni niczym niezakłóconego szczęścia.

Były to dni wręcz doskonałej harmonii między nami. Odkryłam całkiem nowego Kryspina. Nigdy nie myślałam, że potrafi tak cieszyć się życiem. Pozbył się całkowicie dawnej powściągliwości, był odprężony i bezgranicznie szczęśliwy, a wszystko wokół wzbudzało nasz zachwyt.

Dla większości ludzi Florencja jest miastem magicznym, dla nas okazała się rajem. Na Ponte Vecchio targowaliśmy się z jubilerami i zaśmiewaliśmy, próbując mówić po włosku. Oglądaliśmy zdobione freskami kościoły, zwiedzaliśmy galerie sztuki. Oczarował nas Palazzo

Pitti ze słynnymi ogrodami Boboli. Wynajęliśmy powóz, wyjeżdżaliśmy z miasta i jeździliśmy dolinami pomiędzy falistymi wzgórzami Toskanii. Każda godzina spędzonych tam tygodni była radosna. Nigdy nie marzyłam o takim szczęściu, a dzielenie go z ukochanym mężczyzną wydawało mi się największym dobrodziejstwem, jakiego można doświadczyć.

To musiało oczywiście kiedyś się skończyć, lecz czas tam spędzony miał pozostać w naszej pamięci na zawsze.

Siedem srok

Kiedy minęły te wspaniałe dni, z przyjemnością oczekiwałam powrotu do domu, gdyż bardzo pragnęłam rozpocząć nowe życie jako pani dworu St. Aubyn's.

Wydawało mi się cudem, że w taki prosty sposób zostaliśmy wybawieni z kłopotów. Przecież jeszcze nie tak dawno dzieliła nas od siebie ogromna przeszkoda, a teraz byliśmy całkowicie szczęśliwi. Kryspin był mi nieustannie wdzięczny za to, że wróciłam do niego nie dlatego, iż mógł mi zaproponować prawdziwe małżeństwo, lecz z powodu mej niewzruszonej miłości. Pani St. Aubyn serdecznie mnie przyjęła i wydawało się, że tak jak Fatum – owo bóstwo przeznaczenia – będzie rozdawało cios za ciosem tym, których chce ukarać, tak ześle strumienie łask na swych wybranych.

Czasami wręcz bałam się owej pełni szczęścia.

I wtedy pojawił się pewien niewyraźny cień.

Nie było to właściwie nic konkretnego – tylko niejasne wrażenie. Tego ranka Kryspin objeżdżał dworskie dobra i chciał, żebym po południu pojechała z nim na farmę Healeyów. Mieli jakieś kłopoty z jedną ze stodół, a poza tym nasza wizyta da pani Healey sposobność złożenia nam życzeń.

– Wiesz, jacy są ci ludzie – powiedział. – Pani Healey mówi, że byłaś z wizytą u Whetstone'ów, a pani Whetstone poczęstowała cię jabłecznikiem, który bardzo ci smakował. Więc chyba dobrze by było, gdybyś pogawędziła też trochę z panią Healey.

Byłam zachwycona tym pomysłem. Ogromnie lubiłam spotykać się z ludźmi mieszkającymi na terenie majątku, przyjmować od nich gratulacje, słuchać, jakim dobrym dziedzicem jest mój mąż i jak wszystko pomyślnie się rozwija, odkąd przejął pieczę nad majątkiem.

Kryspin spóźnił się jak nigdy dotąd. Miał być o trzeciej i zamierzaliśmy zaraz razem wyjechać. Piętnaście po trzeciej jeszcze go nie było. O wpół do czwartej zaczęłam się denerwować i właśnie wtedy wrócił. Wyglądał, jakby był czymś zaniepokojony, więc spytałam, co się stało.

– Och, nic takiego. Musiałem odrobić pewne zaległości. Chodźmy już, bo będziemy bardzo spóźnieni.

Zwykle mówił mi, co się dzieje. Czekałam na jego wyjaśnienia, ale nic więcej nie powiedział. Pomyślałam, że właściwie nie miał czasu, skoro tak pospiesznie wyjeżdżaliśmy do pani Healey.

Wizyta się udała – spróbowałam wyśmienitego jabłecznika. Było bardzo miło i zapomniałam o spóźnionym powrocie Kryspina do domu.

Następnego dnia wybrałam się do Harper's Green i spotkałam tam Rachelę. Powiedziała, że zostawiła malutką Daniele z opiekunką, a sama wyszła po zakupy.

– Widzę, że wszystko układa się wspaniale – stwierdziła. – Promieniejesz.

– Rachelo, jestem taka szczęśliwa. I ty także.

– Popatrz, jak się wszystko zmieniło! Często wracam myślą do tych dni, kiedy we trzy byliśmy razem... ty i ja chodziłyśmy do St. Aubyn's na lekcje do panny Lloyd.

– Wydaje się, że to było tak dawno.

– Taka zmiana.

Dojrzałam mroczny cień na jej twarzy i zastanawiałam się, czy myśli jeszcze czasem o panu Dorianie, który powiesił się w stajni. Byłoby źle, gdyby takie wspomnienia miały zamącić nastrój bezchmurnego poranka.

Wtedy dodała:

– Natknęłam się wczoraj na Kryspina. Wyglądał na bardzo czymś zatroskanego.

– Oo, a gdzie to było?

– Niedaleko domu panien Lane, wczoraj po południu. Najwyraźniej tam był. Jaki z niego dobry człowiek! Tak się nimi opiekuje, prawda? I zawsze się nimi zajmował. Od dawna go za to podziwiam.

Jeszcze trochę porozmawiałyśmy i dopiero później pomyślałam: a więc dlatego się tak spóźnił. Odwiedził siostry Lane.

Dlaczego mi o tym nie powiedział?

Pewnie uznał, że nie ma potrzeby.

Moja teściowa stwierdziła, że teraz, kiedy w St. Aubyn's jest nowa pani domu, musimy częściej zapraszać gości.

– Tak właśnie u nas kiedyś bywało – powiedziała. – I chyba zawsze w przeszłości – dodała. – Dopiero gdy stałam się taka słaba...

W czasie odwiedzin gości zawsze się trochę ożywiała.

Dla mnie zaś nastaly pracowite dni. Trzeba wiele się nauczyć, gdy się prowadzi tak wielki dom. Ciocia Zosia bardzo mi pomagała.

– Musisz pokazać gospodyni i lokajowi, że ty tu rządzisz. Oni mogą mieć do ciebie inne nastawienie i nawet cię onieśmielać, skoro przysłaś ze stosunkowo skromnych warunków.

Zaśmiałam się beztrzesko.

– Nie podejrzewam ich o coś takiego, ciociu.

– Dobrze dajesz sobie radę. A nie zapominaj, że ten majątek jest przedmiotem dumy Krysypina.

– Wiem, wiem. A poza tym to on tchnął życie w to miejsce.

– Właśnie dlatego musisz przykładać wielką wagę do swych obowiązków. Pani na włościach St. Aubyn's. – Ciocia Zosia się zadumała. – Wierz mi, to ponad moje najśmielsze marzenia. Pragnę dla ciebie wszystkiego, co najlepsze. Wysłałam list do twego ojca, opisałam mu wasz ślub ze wszystkimi szczegółami.

– Ja też do niego napisałam.

Zamknęłam oczy i widziałam wyraźnie tę scenę. Ojciec siedzi w fotelu, a koło niego Karla, która czyta mu list ode mnie. Zastanawiałam się, czy dadzą go do przeczytania Tamaryszce. Ona sama nie pisała do nikogo, ale przecież zawsze miała skłonność do zapominania o ludziach, których przy niej nie było. W każdym razie spodziewałam się otrzymać od niej wiadomość, że wraca do kraju. O tym akurat musiałyby nas zawiadomić.

Ojciec z pewnością był uszczęśliwiony owym cudownym zwrotem wydarzeń, umożliwiającym nam zawarcie małżeństwa. Szczegółowo opisałam mu miodowy miesiąc, spędzony we Florencji. Byłam pewna, że sprawię mu tym przyjemność.

Dni miałam tak wypełnione, że niewiele pozostawało czasu na składanie wizyt. Tylko z Rachelą widywałam się dość często. Pewnego dnia zdecydowałam się odwiedzić Florę.

Zastałam ją w ogrodzie. Siedziała na swym zwykłym miejscu, z lalką w wózku stojącym obok. Zawołałam do niej. Obróciła ku mnie głowę i pokiwała nią, więc otworzyłam furtkę i weszłam do ogrodu.

– Dzień dobry – powiedziałam.

Nagle doznałam szoku. Myślałam, że będzie tak, jak zwykle, lecz kiedy na mnie spojrzała, dojrzałam w jej oczach zupełnie nowy, dziki wyraz. Usiadłam koło niej.

– Jak się pani dzisiaj miewa, panno Floro? – spytałam. Pokręciła tylko głową.

– A... dziecko?

Zaśmiała się krótko i szturchnęła wózek stopą.

– Śpi spokojnie? – zaryzykowałam kolejne pytanie.

– Usnął na zawsze – odparła tajemniczo.

To było raczej dziwne. Oczekiwałam jej zwykłych uwag – jaki z niego diabeł wcielony, gotów do figlów albo że malec ma zatkany nos i ona obawia się, czy dziecko na coś nie zachoruje.

Obróciła ku mnie twarz i znów dostrzegłam dziwny wyraz jej oczu.

– Mówią, że wyszłaś za niego za męża.

– Tak, to prawda – odrzekłam. – Wyszłam za niego za męża. Spędziliśmy wspaniały miesiąc miodowy we Florencji.

Zaczęła się śmiać i nie był to wesoły śmiech.

– Więc teraz mieszkasz w St. Aubyn's. – Tak.

– Sądzisz, że go poślubiłaś, tak?

Serce zaczęło mi bić jak szalone. Natychmiast pomyślałam o Kate Carvel. Czy to możliwe, by Flora coś o niej wiedziała? Ale przecież wszystko było w porządku. Kate już przedtem wzięła ślub. Z jej strony nie groziło nam żadne niebezpieczeństwo.

– Ty go nie poślubiłaś – oznajmiła Flora.

– Co pani ma na myśli? – spytałam ostrożnie.

– Myślisz, że go poślubiłaś? – Ponownie się roześmiała. – Jak mogłaś go poślubić?

– Ależ tak, jestem jego żoną, panno Floro – odrzekłam. Nie powinnam z nią rozmawiać, pomyślałam. Ona uważa, że Kryspin nadal jest dzieckiem i to jej nie daje spokoju.

– Lepiej już pójdę – powiedziałam. – Panna Lucy niedługo wróci.

Mocno chwyciła mnie za ramię i odezwała się ochrypłym głosem:

– Nie poślubiłaś go. Nie mogłaś tego zrobić. Jego tutaj nie ma.

To wszystko stawało się coraz bardziej niesamowite i pragnęłam jedynie jak najszybciej stąd odejść. Podniosłam się z krzesła i powiedziałam:

– Do widzenia, panno Floro. Przyjdę jeszcze do pani któregoś dnia.

Ona też się podniosła, stanęła bardzo blisko mnie i zaczęła mówić szeptem:

– Nie wyszłaś za męża za Kryspina. Oni mówią, że za niego wyszłaś, ale to kłamstwo. Nie mogłaś poślubić Kryspina. Jak byś mogła go poślubić? Ten, za którego wyszłaś, nie jest Kryspinem. – Znowu wybuchnęła jakimś okropnym, dzikim śmiechem. – Kryspina tu nie ma. Oto, gdzie on jest. – Dramatycznym gestem wskazała morwowe krzewy. Zbliżyła się jeszcze bardziej i spojrzała mi w oczy. – Oto, gdzie on jest. Ja to wiem, prawda? Ten mężczyzna, on też wiedział. Zmusił mnie, żebym mu powiedziała. Nie możesz być żoną Kryspina, ponieważ Kryspin jest tam... Tam.

Kompletnie zwariowała, pomyślałam. Miała takie dzikie oczy. Śmiała się i płakała równocześnie. Nagle chwyciła leżącą w wózku lalkę i z całej siły cisnęła ją w morwowe krzewy.

Muszę czym prędzej stąd wyjść. Lucy zapewne poszła do Harper's Green, do sklepu. Muszę ją znaleźć i powiedzieć jej, że coś złego dzieje się z Florą.

Wybiegłam przez furtkę i popędziłam w stronę drogi. Na widok Lucy, idącej w kierunku domu z koszykiem na zakupy, doznałam niezmiernej ulgi. Zaczęłam do niej wołać z daleka:

– Coś się stało Florze! Mówi jakieś niestworzone rzeczy o Kryspinie, rzuciła lalkę w morwowe krzewy!

Lucy zbladła.

– Zaraz się nią zajmę – powiedziała. – Niech pani lepiej już idzie. Proszę zostawić ją mnie, poradzę sobie.

Mogłam tylko być z tego zadowolona. Jednak wygląd Flory wzbudził we mnie złe przeczucia.

Kryspin zauważył, że jestem wstrząśnięta, gdy tylko mnie zobaczył.

– Co się stało? – zapytał.

– Chodzi o Florę Lane – wyjaśniłam. – Poszłam ją odwiedzić po południu.

Wyglądał na bardzo przestraszonego.

– Co mówiła? – spytał.

– To było bardzo dziwne, ogromnie się zmieniła. Mówiła, że dowiedziała się o naszym małżeństwie, ale to nie może być prawda.

– Co takiego?

– Powiedziała: „Ty nie poślubiłaś Kryspina”. A potem, och, to było potworne! Wskazała na morwowe krzewy, tam, w ogrodzie i stwierdziła: „Ty nie mogłaś poślubić Kryspina, ponieważ on jest tam”. Robiła wrażenie, jakby całkiem oszalała.

Wciągnął głęboko powietrze.

– Nie powinnaś była tam chodzić – rzekł.

– Zawsze ją odwiedzałam. Ale ona się zmieniła. Uważam, że naprawdę zwariowała. Poprzednio jakby miała obsesję, teraz jest inaczej.

– Czy Lucy tam była?

– Robiła zakupy w miasteczku. Wybiegłam stamtąd i ją spotkałam.

– Lucy umie zająć się Florą. Bóg jeden widzi, jak się nią opiekowała przez wiele lat. Biedna Lucy.

– Powiedziała, że mam się nie martwić.

Skinął głową.

– Myślę, że przy Lucy ona się uspokoi. Na twoim miejscu nie chodziłbym tam znowu, kochana. Mogłabyś się zdenerwować.

– Mnie się zawsze wydawało, że Flora lubi, gdy ją odwiedzam.

– Nie przejmuj się. Lucy wie najlepiej, jak jej pomóc.

Nie mogłam zapomnieć Flory, a poza tym zauważyłam zmianę w Kryspinie. Miał znowu nieobecne spojrzenie, a owa zasłona, która już opadła, ponownie mnie od niego odgradziła. Zaczęłam nabierać podejrzania, że to, co mnie tak w przeszłości niepokoiło, w jakiś sposób wiąże się z „Domem Siedmiu Srok”.

Przez cały wieczór czułam między nami skrepowanie. Kryspin był jakby trochę roztargniony i błądził gdzieś daleko myślami.

– Kryspinie, czy coś jest nie w porządku? – spytałam.

– Nie w porządku? – powtórzył niemal rozdrażnionym tonem. – Co miałyby być nie w porządku?

– Sądziłam... wyglądasz na zatroskanego.

– Burrows uważa, że część ziemi uprawnej w Greenacres należałoby pozostawić na ugór przez jakiś czas. To by oczywiście zmniejszyło wydajność. Prosił mnie o radę. Poza tym chodzi o te przybudówki w Swarles. Mam wątpliwości, czy to sensowna rzecz.

Ja jednak nie miałam wątpliwości, że jego nastrój nie ma nic wspólnego z polami leżącymi odlegiem czy przybudówkami w gospodarstwie Swarles.

Obudziłam się, gdyż wzdrygnęłam się ze strachu. Było ciemno. Ogarnęło mnie przejmujące uczucie niepokoju. Wyciągnęłam rękę. Kryspina nie było obok.

Całkiem się rozbudziłam i usiadłam na łóżku. W mroku dostrzegłam na tle szyb jego sylwetkę. Siedział przy oknie i widocznie przez nie wyglądał.

– Kryspinie – odezwałam się cicho.

– Wszystko w porządku. Po prostu nie mogłem spać.

– Stało się coś złego – powiedziałam.

– Nie... nie. Wszystko dobrze. Nie martw się, już wracam. Chciałem tylko rozprostować nogi.

Wstałam z łóżka, okryłam się szlafrokiem i podeszłam do Kryspina. Ukłękłam obok niego i objęłam go ramionami.

– Kochany, powiedz mi, o co chodzi – poprosiłam.

– O nic... o nic... Tylko nie mogłem spać.

– A jednak coś się dzieje – oświadczyłam stanowczym tonem. – I nadeszła pora, żebyś mi powiedział co.

– Nic, czym byś ty miała się kłopotać, ani zresztą ja, o ile o to chodzi.

– Jest coś – stwierdziłam stanowczo. – I to żadna nowa sprawa. To się już ciągnie od dawna.

– Co masz na myśli?

– Kryspinie, tak bardzo cię kocham. Ty i ja stanowimy jedno. Ja istnieję w tobie, a ty we mnie. Jeżeli z tobą dzieje się coś złego, to ze mną także.

Milczał. Mówiłam dalej:

– Wiem, że jest coś takiego. Zawsze wiedziałam i to coś stało między nami. Jeżeli tak, to powinnam wiedzieć. Nie powinieneś mieć przede mną tajemnic... ani niczego ukrywać.

– Nie ukrywam – odparł gwałtownie, a ja wpatrywałam się weń błagalnie.

– Kryspinie, powiedz mi. Podziel się tym ze mną. Pogłaskał mnie po włosach.

– Nie ma niczego... niczego do wyjawienia.

– A ja mam pewność, że coś jest – powiedziałam z naciskiem. – To nas rozdziela. Dopóki tak jest, nie uda mi się dotrzeć blisko do ciebie. Przegradza nas bariera, która zawsze stała. Czasami o niej zapominałam, ale teraz jestem jej jak najbardziej świadoma. Kryspinie, nie możesz mnie wyłączać, musisz mnie dopuścić do tej sprawy.

Przez parę chwil milczał, po czym powiedział:

– Bywały momenty, gdy o mało ci się nie zwierzyłem.

– Proszę... proszę, powiedz mi teraz. To bardzo ważne, żebyśmy wszystko przeżywali wspólnie.

Nadal się nie odzywał, a ja dalej błagałam:

– Kryspinie, muszę wiedzieć. To ma ogromne znaczenie.

Zaczął mówić bardzo powoli:

– Tyle od tego zależy. Nawet nie chcę myśleć, co mogłoby się stać.

– Nie będę miała chwili spokoju, dopóki się nie dowiem.

– Widzę teraz, że to zaszło za daleko. Walczyłem sam ze sobą. Wiedziałem, że pewnego dnia będę musiał ci powiedzieć. To sprawa sprzed wielu lat... sięga początków mego życia.

Znowu zamilkł. Z jego umęczonej twarzy można było wyczytać ogromny niepokój. Chciałam go jakoś uspokoić, lecz nie mogłam, skoro nie znałam przyczyny kłopotów.

Kryspin kontynuował swą historię.

– Siostry Lane mieszkały na terenie naszej posiadłości. Ich ojciec, Jan, był jednym z ogrodników. Miał dwie córki – Lucy i Florę. Lucy wyjechała do Londynu pracować jako niańka. Flora była młodsza. Jan Lane zmarł, a w zajmowanym przez nich domu zostały żona i Flora, którą zatrudniono we dworze. Chciała być niańką, jak jej siostra, i kiedy miało przyjść na świat dziecko, uznano, że Flora zostanie jego opiekunką. No i urodził się syn St. Aubynów.

– Ty – stwierdziłam.

– Urodził się Kryspin – powiedział. – Musisz wysłuchać wszystkiego od początku. Matka i ojciec, jak ci wiadomo, specjalnie się dzieckiem nie interesowali. Byli zadowoleni, że mają syna, jak większość ludzi, zwłaszcza z ich pozycją. Pojawił się następca, który będzie nosił rodowe nazwisko, dziedziczył i tak dalej. Bardziej ich bawiło beztrioskie życie, jakie wiedli. Na wsi zjawiali się rzadko. Gdyby byli oddanymi rodzicami, sprawę wykryto by zaraz na samym początku.

Pewnego dnia Lucy wróciła do domu. Znalazła się w poważnych tarapatach. Kilka miesięcy wcześniej porzuciła pracę w Londynie i żyła z niewielkich oszczędności, lecz pieniądze się skończyły. Miała urodzić dziecko. Możesz sobie wyobrazić przerażenie w jej domu. Ojciec już nie żył, pozostały tylko matka i Flora na służbie w St. Aubyn's, która miała opiekować się oczekiwanym tam dzieckiem. – Zamilkł na chwilę i widziałam, jak trudno mu mówić dalej, jednak się przemógł. – Lucy – ciągnął – miała silny charakter. Była uczciwą młodą kobietą, tylko zbyt ufną. Przydarzyło się jej to, co wielu dziewczynom przed nią. Uwierzyła w obietnice, została uwiedziona i porzucona. Położenie, w jakim się znalazła, nie jest szczególnie niezwykle dla dziewczyny, co nie znaczy, że mniej przerażające. Takie dziewczęta były napiętnowane w społeczeństwie, a gdy brakowało im środków do życia, sytuacja stawała się rozpaczliwa. Czy możesz sobie wyobrazić udrękę jej matki? Od lat mieszkały w tym domku pośród niewielkiej społeczności, dumne ze swej niezależności i szacunku, jakim je darzono, a teraz córka, którą mogły się chwalić, bo znalazła świetną posadę w Londynie, przyjechała do domu, ściągając hańbę nie tylko na siebie, ale na nie wszystkie.

– I urodziła to dziecko?

– Tak. Lecz nie mogłyby utrzymać tego faktu w sekrecie przez dłuższy czas. Pomyślały, że chwilowo im się to uda, a potem wymyślą jakiś plan na przyszłość. Pani Lane praktykowała swego czasu jako akuszerka i przyjęcie porodu nie było dla niej problemem. Największy pozostawał przed nimi. Nie mogły w nieskończoność ukrywać dziecka. Pomyślały, że wyjadą do Londynu, gdzie Lucy i Flora znajdą dobrą pracę, a ich matka będzie opiekowała się dzieckiem. Tak zdecydowały. Jedną rzecz była pewna: nie mogły pozostać w Harper's Green i narazić się na taki skandal.

– Co za straszliwa sytuacja!

– Jeszcze się wahały. Momentami pani Lane zastanawiała się, czy nie zwrócić się do pani St. Aubyn o pomoc. Wyobrażała sobie, że dziewczynka i jej mąż będą nieco mniej zgorzeleni niż część mieszkańców Harper's Green. I wtedy stała się rzecz niesłychana. – Przerwał, jakby nie był w stanie dalej mówić. – Kryspin miał wtedy kilka tygodni, Flora się nim opiekowała jako niania. I nagle zdarzyło się coś, co wybawiło je z kłopotów. W sposób w najwyższym stopniu makabryczny... lecz było to rozwiązanie. A pamiętaj, że zostały doprowadzone do rozpacz.

Poznałaś Florę i znasz stan jej rozstrojonego umysłu. Sądzę, że zawsze była trochę nierozgarnięta. Może nigdy nie należało jej powierzać opieki nad niemowlęciem. Ale zawsze uwielbiała dzieci i dlatego wiele matek w miasteczku pozwalało jej zajmować się swoimi. Mówiono, że to urodzona niania i matka. Oczywiście nie wiemy, jaka była wtedy, znamy tylko to biedne, obłąkane stworzenie, jakim się stała. Gerry Westlake, syn jednego z miejscowym farmerów, zaczął się nią interesować.

– Pamiętam go. Przyjechał tu, całkiem niedawno. On wyemigrował, chyba do Nowej Zelandii.

– Tak, wkrótce po tym, co się wydarzyło. Gerry był pełnym życia młodzieńcem, właściwie jeszcze chłopcem. Pasjonowała go piłka nożna. Ćwiczył rzucanie i kopanie, gdzie tylko się dało. To wersja, którą słyszałem. Wykonywał różne prace w St. Aubyn's i tam poznał Florę. Miał taki zwyczaj, że gwizdał na dziewczynę, a ona podchodziła do okna. Wtedy rzucał do niej piłkę, którą mu odrzucała. Potem schodziła do niego i przyglądała się, gdy kopał piłkę. Tłumaczył jej, jak to należy robić.

Wprost trudno uwierzyć w to, co się stało. Pamiętaj, że oboje byli bardzo młodzi. Florze pochlebiało, że Gerry się nią interesuje i okazywała mu – może też: udawała – jak bardzo ta gra z nim w piłkę jej się podoba. Rzucała i łapała, tak jak jej mówił, i oczekiwała od niego pochwały. Skoro więc widzisz, że oboje byli właściwie dziećmi, zrozumiesz, jak to się stało.

Nadszedł ów fatalny dzień. Gerry zagwizdał na nią – możesz go sobie wyobrazić, jak stoi tam na dole i patrzy w górę, w okno. Jest otwarte i Flora się w nim pojawia. Trzyma w ramionach dziecko. Mówi: „Już schodzę”. I woła do chłopaka, tak jak on często wołał do niej: „Łap!”. Jej się zapewne wydawało, że to świetny żart. Ale wtedy musiała Gerry'ego kompletnie zaskoczyć. Rzuciła mu niemowlę przez okno.

Zaparło mi dech w piersi z przerażenia.

– Och, nie, nie! – zawołałam.

Kryspin skinął głową.

– Gerry za późno uświadomił sobie, co zrobiła. Usiłował złapać dziecko, ale nie zdążył. Upadło na kamienną posadzkę tarasu.

– Och... jak ona mogła zrobić coś podobnego!

– Trudno to pojąć. Pragnęła rozbawić Gerry'ego. Uznała, że z łatwością pochwyti dziecko i będą się z tego strasznie śmiać. Nie przyszło jej na myśl, że może mu się nie udać.

Flora pędem zbiegła na taras i podniosła maleństwo. Było owinięte w gruby kocyk i wyglądało, jakby nic mu się nie stało. Musiała odczuć niewypowiedzianą ulgę. Biedna Flora! Ta ulga trwała krótko. Gerry uciekł do domu. On też uznał, że wszystko jest w porządku i nie ma wątpliwości, że chciał być jak najdalej od miejsca, gdzie to się wydarzyło. Flora zabrała Kryspina do dzieciennego pokoju i nikomu nic nie powiedziała. Wyobraź sobie jej przerażenie, gdy uświadomiła sobie, że dziecko ma połamane zębra. Zmarło tej samej nocy.

Była półprzytomna. Nie wiedziała, co robić, więc uczyniła to, co zwykle w chwilach zdenerwowania – poszła do własnego domu.

Jej matka i Lucy wpadły w paniczny strach. Flora zabiła oddane jej pod opiekę niemowlę. Jej siostra ma dziecko nieślubne. Nigdy nie przypuszczały, że może je spotkać taka seria nieszczęść. Stało się coś okropnego, nie potrafiły znaleźć wyjścia z sytuacji.

Rozpaczliwie szukały jakiegoś sposobu – i sam się nasunął. Większość niemowląt jest do siebie podobna, a rodzice Kryspina niewiele się nim interesowali. Rozumiesz już, co zrobili. Pogrzebały Kryspina.

– Pod morwowymi krzewami? – raczej stwierdziłam, niż spytałam.

– A dziecko Lucy znalazło się na jego miejscu w St. Aubyn's.

– To znaczy... że ty jesteś tym dzieckiem? Znowu skinął głową.

– Kiedy się o tym dowiedziałeś?

– W dniu mych osiemnastych urodzin. Powiedziała mi to Lucy – moja matka. Uznała, że mam prawo wiedzieć. Przedtem przez myśl mi nie przeszło, że mógłbym być kimś innym niż Kryspinem St. Aubyn i że ten majątek do mnie nie należy. Kochałem tę posiadłość.

– Wiem. I... to jest ów sekret, który nie miał być nigdy wyjawiony. A siedem srok... obrazek został zawieszony w dzieciennym pokoju po to, żeby zawsze przypominał Florze, że nie wolno jej nigdy nikomu o tym powiedzieć.

– Biedna Flora! To jej pomieszało w głowie. Wkrótce po wypadku stała się taka, jaką ją teraz znamy. Lucy zawsze się nią zajmowała. Wiesz, że Lucy przejęła opiekę nade mną i została moją niańką. Flora wróciła do domu. Już wtedy zachowywała się bardzo dziwnie. Zawsze mnie to martwiło.

– Więc ta posiadłość w istocie nie należy do ciebie. Boisz się, że ktoś mógłby to odkryć?

– Już ktoś kiedyś był tego bliski.

– Gaston Marchmont – wyszeptalam i ogarnęło mnie przerażenie.

– On był oszustem – mówił dalej Kryspin. – Zasługiwał na śmierć. Chciał wymusić na Florze wyjawienie sekretu. Mogłaby do końca swych dni tkwić w przekonaniu, że żyje w czasie, gdy to się jeszcze nie wydarzyło, a dziecku nic nie jest. Tak właśnie myślała, zanim on się pojawił. Widzisz więc, co zrobił jej... i Lucy? Domyślał się jakiejś tajemnicy, jakiegoś powiązania między mną a ich domem i zdecydował się to odkryć. Ożenił się z Tamaryszką dla majątku, a potem zorientował, że może zyskać dużo więcej, niż początkowo sądził. Wykrał lalkę i szantażował biedną, chorą na umyśle Flore. Zauważył ten idiotyczny obrazek. Nie powinny były go tam trzymać. Ale Lucy uznała, iż w ten sposób będzie Florze nieustannie przypominać, że nikomu nie wolno tego powiedzieć. Musisz wybaczyć Lucy. Jest moją matką, chciała dla mnie wszystkiego, co najlepsze. Jej największą radością było widzieć mnie jako dziedzica na włościach.

– Ale one, Kryspinie, nie należą do ciebie. Potrząsnął energicznie głową, jak gdyby mógł w ten sposób przekreślić ów fakt i ciągnął dalej:

– Gaston doprowadził biedną Flore do tego, że mu powiedziała. Zagroził, że zrobi coś złego lalce, jeżeli mu nie powie. Ten wstrząs przywrócił ją do rzeczywistości, a ów łotr poznał sekret. I został zamordowany.

– Kryspinie, czy wiesz, kto to zrobił? – spytałam ze strachem. Obrócił ku mnie twarz i uśmiechnął się łagodnie.

– Wiem, o czym myślisz. Wiem, jak bardzo mnie kochasz. Na pewno jestem grzesznikiem, ale nie zabiłem Gastona Marchmonta. Musisz poznać całą prawdę, teraz to rozumiałem. Te zatajone sekrety nie sprzyjają naszemu małżeństwu. Jeżeli wiesz już tak dużo, powinnaś wiedzieć wszystko. Flora była w stanie straszliwej udreki: wyjawiała sekret i jednocześnie uświadomiła sobie na nowo, co się naprawdę wydarzyło przed laty, choć tak długo łudziła się, że miała tylko zły sen.

Dziecko, którym z takim oddaniem się opiekowała, zabiła w chwili idiotycznej lekkomyślności. Chciała tylko zabawić Gerry'ego. On wkrótce potem wyemigrował do Nowej Zelandii. Bez wątpienia sądził, że niemowlę przeżyło. Oczywiście nie wiedział, co się naprawdę stało. Lecz strach, który go ogarnął w chwili, gdy mały Kryspin leżał na tarasie, mógł mieć jakiś związek z decyzją, aby trzymać się jak najdalej od tego miejsca. Flora była w stanie zaburzenia umysłowego i Lucy uważała, że lalka najlepiej pomoże utwierdzić ją w przekonaniu, iż dziecko nadal żyje. Kiedy Flora uświadomiła sobie, że wyjawiała sekret, a lalka jest tylko zwykłą lalką, uznała, że istnieje tylko jeden pewny sposób utrzymania prawdy w tajemnicy.

Jest zadziwiające, jak jej się udało to zrobić, a jednak to zrobiła. To bardzo dziwne, ale według mnie ludzie tacy jak ona potrafią podejmować samodzielnie decyzje i działać z chłodną precyzją. Poszła do St. Aubyn's. Znała dobrze dom z czasów, gdy tam mieszkała. Udała się do pomieszczenia, gdzie trzymamy broń, wzięła strzelbę i skryła się z nią w zaroślach w oczekiwaniu na Marchmonta. Większość z nas tą ścieżką wraca do dworu, to

najkrótsza droga ze stajen. Gaston przechodził tamtędy i Flora go zastrzeliła. Potem jednak nie dokończyła już owego precyzyjnego planu działania, zostawiła strzelbę na ziemi i pobiegła do domu. Lucy zamartwiała się o nią, nie wiedziała, gdzie siostra może być, a po jej powrocie wyciągnęła z niej, co się stało.

Lucy wiedziała tylko jedno – trzeba utrzymać tajemnicę. Marzyła, żeby to ja posiadał ten majątek. Byłby zadośćuczynieniem za wszystko, co wycierpiała. Pamiętaj, że jestem jej synem. Wróciła do St. Aubyn's tej nocy, znalazła strzelbę i zakopała ją, tyle że, niestety, dość nieudolnie. Fryderyko, to Flora zabiła Gastona Marchmonta. Proszę... proszę, postaraj się zrozumieć. Oto sekret, który nigdy nie miał być wyjawiony.

Milczałam przez jakiś czas, oszołomiona tym, co usłyszałam. Mimo przerażenia, odczułam pewną ulgę. Teraz już nie było między nami tajemnic.

Jeszcze raz rozważyłam sobie to wszystko. Niemal widziałam Florę rzucającą dziecko, jej katusze, kiedy zrozumiała, co zrobiła. Mogłam sobie wyobrazić te trzy zrozpaczone kobiety, szukające wyjścia z sytuacji nie do zniesienia. Rozumiałam uczucia Lucy, która nagle dostrzegła szansę wspaniałej przyszłości dla swego syna. Miałam przed oczami scenę, jak grzebią ciało małego Kryspina. Rozumiałam, dlaczego Flora popadła w obłąkanie. Dobrze pamiętałam obrazek z siedmioma srokami, mający jej zawsze przypominać straszne konsekwencje wyjawienia sekretu. W swym naiwnym mniemaniu uznała, że jest tylko jedno rozwiązanie – zabić Gastona, zanim ten wyjawia tajemnicę, która miała być zachowana na zawsze.

– Kryspinie – powiedziałam – ta posiadłość do ciebie nie należy.

– Ale gdyby nie ja, byłyby teraz w ruinie. To ja ją uczyniłem taką, jaka jest.

– A mimo to nie jest twoja. Nie jesteś dziedzicem tego majątku.

– To prawda. Moją matką jest Lucy, a ojcem ktoś nieznany.

– Lucy musiała go znać – zauważyłam. – W każdym razie fakt jest faktem. Co masz zamiar zrobić?

– Zrobić? Nie rozumiem.

– Kryspinie... nie mogę mówić do ciebie inaczej...

– Nigdy nie miałem innego imienia.

– Choć mi to powiedziałaś, nie pozbędziesz się świadomości, jaka jest prawda. – Ponieważ milczał, mówiłam dalej: – Ten majątek nie należy do ciebie, czyż nie? – Nie chciał tego wyraźnie przyznać... ale przecież wiedział, że mam rację. – Sądzę, że nigdy nie będziesz szczęśliwy, wiedząc, że nie masz prawa do tej posiadłości.

– Jestem szczęśliwy. Ten majątek zawsze należał do mnie, nie wyobrażam sobie, że mogłoby być inaczej.

– Gdyby Gaston Marchmont żył...

– Ale nie żyje.

– Gdyby żył, wyciągnąłby wszystko na światło dzienne. A wtedy...

– Oczywiście, tak by zrobił. Taki miał cel. Musiał coś podejrzewać, Flora z czymś się zdradziła. A poza tym musiał mu się wydać znaczącym fakt, że ona w lalce widzi Kryspina. Zgłosiłby roszczenie do tych dóbr w imieniu Tamaryszki i gdyby mu się to udało, nie zostałyby długo w rodzinie.

– No ale teraz jest Tamaryszka, córka wywodząca się z rodziny, w której nie ma żyjącego syna.

– Ujawnienie tego miałoby katastrofalne skutki. Pomyśl o ludziach, którzy mieszkają w posiadłości i utrzymują się z pracy dla nas. Wszystko by się załamało. Teraz już znasz tę tajemnicę, ale nikt więcej nie musi. Cieszę się, że się dowiedziałaś. Masz rację, nie możemy niczego przed sobą ukrywać i już nigdy tak nie będzie.

– Dobrze, że doszedłeś do takiego przekonania.

– Pozostaje sprawa Flory. Nie wiem, co moglibyśmy dla niej zrobić. Lucy się o nią boi. Wiesz, w jaki sposób ów nędznik ją wykorzystał. To ją całkiem rozstroiło, jej stan się pogorszył.

– Ma teraz na sumieniu nie tylko śmierć dziecka, ale i Gastona.

– Już nie interesuje się lalką. Robi wrażenie, jakby zrozumiała, że Kryspin nie żyje, a lalka jest tylko lalką. Kiedy jeszcze wierzyła, że to dziecko, jej umysł odpoczywał, gdyż odgrodziła się od realnego życia przeszłością, a ten podły człowiek sprawił, że musiała wyznać, co się stało. Przywrócił jej poczucie rzeczywistości, a to coś, z czym ona nie potrafi sobie poradzić.

– Kryspinie – powiedziałam – twym obowiązkiem jest uczynić jedną rzecz, gdyż w przeciwnym razie nigdy nie zaznasz spokoju. Tamaryszka musi się dowiedzieć, że majątek należy do niej. Musi poznać prawdę. Jeżeli jej tego nie powiesz, nigdy nie będziesz całkowicie szczęśliwy.

– A jak stracę wszystko, nad czym pracowałem przez tyle lat?

– Tamaryszka cię kocha i jest z ciebie dumna. Dla niej jesteś bratem. Będzie chciała, żebyś tu pozostał. Zrozumie, że bez ciebie nie uda się utrzymać posiadłości we właściwym stanie.

– Ale wtedy to nie byłaby moja własność, a ja nie potrafiłbym słuchać czyichś rozkazów.

– Ona by ci nie rozkazywała.

– A gdyby wyszła za mąż? Tylko wyobraź sobie, co by się tu działo, gdyby jej mężem nadal był Gaston Marchmont!

– Ale jego już nie ma. Uważam, że Tamaryszka ma prawo wiedzieć i sądzę, że nigdy nie zaznasz prawdziwego spokoju, dopóki jej wszystkiego nie wyznasz.

Oświadczył, że nigdy tego nie zrobi. Mnie powiedział, gdyż uzgodniliśmy, że przed sobą nie będziemy mieli żadnych tajemnic. Jednak teraz, kiedy już znam prawdę, nie trzeba jej rozpowszechniać. Co by wynikło dobrego, gdyby opowiedzieć ludziom tę historię sprzed wielu lat? Co by przyszło dobrego z oskarżenia Flory o morderstwo?

Biedna Flora musiałaby stanąć przed sądem. On nie może na to pozwolić. Cała sprawa wyszłaby na jaw, a Tamaryszka by tego nie chciała. Odżyłby na nowo skandal i powróciłaby kwestia jej nieszczęsnego małżeństwa. Biedna Lucy... i my wszyscy. Nic dobrego nie wynikłoby z tego dla nikogo.

Nic nie da się zrobić. Sprawę morderstwa Gastona Marchmonta należy uznać za niewyjaśnioną. Jeżeli ktoś jeszcze w ogóle myśli o tej zbrodni, to sądzi, że zabójcą był ktoś, kogo Gaston znał w przeszłości, a ta, jak wiadomo, była podejrzana. Tak więc nie ma już nic więcej do zrobienia.

Ja jednak upierałam się, że Tamaryszce należy powiedzieć prawdę i że Kryspin nigdy nie osiągnie prawdziwego zadowolenia z życia, mając świadomość, iż przejął to, do czego nie miał prawa.

Rozmawialiśmy jeszcze długo w nocy i w końcu przekonałam go o konieczności wyjaśnienia sytuacji Tamaryszce.

Napisał do niej list.

Minęło sporo czasu, zanim otrzymaliśmy odpowiedź. Kryspin po wyznaniu mi wszystkiego i wysłaniu listu poczuł się o wiele lepiej.

Przyznał, że ma wrażenie, jakby zdjęto mu z piersi wielki ciężar i tylko czasami dostrzegałam w jego oczach głęboki smutek. Kiedy rozmawiał o posiadłości, w jego słowach brakło dawnego entuzjazmu. Pragnęłam go pocieszyć, lecz sama zastanawiałam się, co będzie, jeżeli zostaniemy zmuszeni do opuszczenia St. Aubyn's.

Jaka będzie reakcja Tamaryszki, gdy się dowie, że to ona jest właścicielką owych wielkich dóbr? Gdyby Gaston Marchmont żył, przejąłby majątek, co byłoby tragedią dla wielu ludzi!

Często rozmyślałam o Florze, która wzięła strzelbę i zabiła człowieka. Wprawdzie ponosiła odpowiedzialność za śmierć dziecka, ale stało się to z powodu jej młodzieńczej głupoty. Zabicie Gastona było zbrodnią popełnioną już rozmyślnie, choć pod wpływem obawy przed wyjawieniem tajemnicy.

Trudno mi było myśleć o czymkolwiek innym niż o tych zdumiewających rewelacjach.

Każdego dnia czekaliśmy na wiadomość od Tamaryszki. Listy, które kiedyś wysłali do mnie Kryspin i ciocia Zosia, zostały zwrócone przez Karłę. Ojciec napisał mi, jak jest uradowany nowym obrotem sprawy, i wyrażał nadzieję, że przywiozę mego męża na wyspę, aby mógł go poznać.

Wreszcie nadszedł długo oczekiwany list od Tamaryszki. Był adresowany do nas obojga i napisany w charakterystycznym dla niej, niefrasobliwym tonie.

Moi Drodzy Nowożeńcy, Jak możecie się domyślać, z niesłychanym zdumieniem czytałam Wasz list. Jakież nieprawdopodobne rzeczy dzieją się w Harper's Green!

Przede wszystkim pragnę Wam przekazać najważniejszą wiadomość. Nie myślcie sobie, że tylko Wy możecie wziąć ślub.

Będziecie zdziwieni, choć być może bystra Fryderyka podejrzewała, co się święci.

Tak, wyszłam za męża. Za Łukasza, oczywiście. Dałam się całkowicie opętać tą misją, czyż nie? Po tej historii z nogą Jaco sprawy zaczęły nabierać rozmachu. Prowadzimy tu teraz niewielką szkołę i wierzcie lub nie, nauczycielkami w niej są dwie panie: ja i poczciwa, droga Muriel! Ona jest od poważnych spraw, zbawiania dusz i tak dalej. Mnie przypadły w udziale występy komediowe. Dzieci przychodzą do mnie, śmieją się, śpiewają, a ja je wszystkie serdecznie kocham. Wierzę, że z wzajemnością. Mój mąż bardzo dobrze sobie radzi i urządził coś w rodzaju... kliniki, jak byśmy to nazwali w kraju. Muriel zna się na tym świetnie, Jan i Łukasz jej pomagają, a nawet od czasu do czasu angażują mnie. Po sukcesie z nastawieniem nogi Jaco sława o nas rozniosła się po całej wyspie. Wszyscy są zadowoleni z działalności misji. Tom Holloway często nas odwiedza.

A teraz, wracając do sprawy, o której mi napisałeś. Kryspinie, po prostu nie mogę wyjść ze zdumienia. Więc tak naprawdę wcale nie jesteś moim bratem! Szczerze mówiąc, często się zastanawiałam, jakie to dziwne, że mam tak wspaniałego brata, zupełnie niepodobnego do mnie. To nie ma żadnego znaczenia. Bardzo kocham i Ciebie, i twoją nowo poślubioną żonę.

Co do zaś Flory i tych dzieci – historia trochę jak z Biblii albo Szekspira... taka zamiana. Nikt by nie pomyślał, że coś podobnego może się zdarzyć ludziom naprawdę... zwłaszcza w Harper's Green. Życie się toczy utartym torem, a tu nagle wybucha dramat.

Więc St. Aubyn's jest moje! A cóż ja miałabym z tym majątkiem robić? Komu przyniosłoby korzyść, gdybym zaczęła tam jeździć i spotykać się z dzierżawcami w sprawach zbiorów, dachów i obór?

Mój drogi były bracie, proszę, nie zawieźdź mnie. Nie uciekaj razem ze swą młodą żoną gdzieś na koniec świata. Zostań tam, gdzie Twoje miejsce, choć zapewniam Cię, że byłoby ogromnie miło, gdybyś odwiedził Wyspę Caskera. Fred, wiem, jak Twój ojciec ucieszyłby się z takiej wizyty, a ja byłabym zachwycona, mogąc Wam pokazać te wszystkie zmiany, jakie wprowadziliśmy w misji. Teraz zamierzamy postawić nowy budynek. Trochę finansowo w tym pomagam, ale drogiemu „Świętemu Łukaszowi” nie bardzo się to podoba. Nie chciałby mieć bogatej żony. I tak uważa, że jestem nazbyt zamożna. Jego te sprawy nie interesują. On tylko pragnie mieć mnie. Postawa bardzo niezyciowa, lecz niewątpliwie urocza. Zresztą, Fred, znasz „Świętego Łukasza”.

A zatem proszę, niech nic się nie zmienia. Posiadłość jest Twoja, Kryspinie. Wszyscy dobrze wiemy, że bez Ciebie majątek popadłby w ruinę.

Łukasz twierdzi, że nam tu nie wolno próbować się wywyższać. Misji w ten sposób się nie buduje. Buduje się je na zaufaniu, wierze i wzajemnym zrozumieniu. Znasz go, Fred, więc dobrze wiesz, co mam na myśli.

Odłożyłam list, a Kryspin rzekł:

– Tego się nie spodziewałem. Tamaryszka odnosi się do całej sprawy nonszalancko, jakby St. Aubyn’s wcale nie było ważne.

– Dla niej jest teraz ważne nowe życie. Ma Łukasza, który jest wspaniałym człowiekiem. Więc wszystko zostaje tak, jak było.

– A w przyszłości? Te dobra nie są moje.

– Kryspinie – odparłam – nigdy nie były.

– A jeśli ona zmieni zdanie? Jak długo, według ciebie, będzie pochłonięta tą misją? Znasz Tamaryszkę. Jej entuzjazm to zwykle słomiany ogień.

Tu musiałabym mu przyznać rację. Mówił dalej:

– Jeśli uświadomi sobie, ile ten majątek jest wart... to kto wie? Przypuśćmy, że wróci i będzie chciała go przejąć.

– Uważasz, że byłaby zdolna stąd cię wyrzucić? Jakby mogła coś takiego zrobić? Nie ma pojęcia, jak zarządza się takim majątkiem.

– Przypuśćmy, że znudzi jej się ten świątobliwy małżonek. Przypuśćmy...

– Oczywiście, wszystko jest możliwe.

– Co wtedy?

– Kryspinie, zawsze będziemy mieć siebie, a to najważniejsze na świecie. Sądzę, że Tamaryszka nauczyła się kochać tak, jak nigdy przedtem nie umiała. Powinieneś zobaczyć, jak się zmieniła. Nie jest tą samą dziewczyną, która dała się zwieść Gastonowi Marchmontowi. Ona już teraz wie, co liczy się w życiu.

– Tak jak ja? – zapytał.

– Właśnie, Kryspinie. Tak jak ty.

Nagle jego twarz rozświetlił uśmiech. Wyglądał, jakby ubyło mu lat. Robił wrażenie człowieka przepelnionego wewnętrznym zadowoleniem i spokojem, jak w czasie naszego miodowego miesiąca, gdy sądził, że sekret nigdy nie będzie wyjawiony. Ale nawet wówczas twarz Kryspina zasnuwał czasem cień lęku. Teraz nie został po nim nawet ślad.

To się zdarzyło tej nocy. Obudziły mnie jakieś dziwne odgłosy i gdy spojrzałam przez okno, zobaczyłam płomienistą lunę na niebie. Wskoczyłam z łóżka, Kryspin za mną.

– Coś się pali! – zawołał.

Ubraliśmy się i wyszliśmy przed dom. Kilkoro służących już tam stało. Kiedy zorientowałam się, z którego kierunku napływa dym, natychmiast pomyślałam o siostrach Lane. Pobiegliśmy w stronę ich domu i wkrótce naszym oczom ukazał się płonący kształt, który kiedyś był „Domem Siedmiu Srok”. Przed tą masą ognia stała Lucy. Podbiegła do Kryspina, który wziął ją w ramiona. Histerycznie płakała.

To było jak senny koszmar – trzaski palącego się drewna, nagłe wybuchy płomieni obejmujących coraz większe połacie ścian, walące się obmurowania.

Lucy łkając, powtarzała bez przerwy imię Flory. Okazało się, że Flora nie żyje. Wskoczyła oknem z dziecinnego pokoju do ogrodu. Jej pogruchotane ciało znaleziono koło morwowych krzewów.

Nigdy nie zapomnę tamtej nocy. W pamięci zostały mi na zawsze jakieś pogmatwane obrazy i krzyki ludzi, usiłujących gasić pożar. Długo jeszcze miało się wspominać tę noc, gdy spłonął dom sióstr Lane.

Dużo rozprawiano na temat przyczyny zaproszenia ognia. Florę Lane zawsze uważano za kobietę niespełna rozumu. Musiała zostawić zapaloną świecę, która pewnie się przewróciła. Ogień szybko się rozprzestrzenił, a wtedy w panice wyskoczyła przez okno, biedaczka, choć mogła uciec schodami. Jej siostrze to się udało. Biedna, zwariowana Flora.

Tak to się musiało stać, mówiono.

Ja jednak w głębi serca nie miałam wątpliwości, że Flora nie była w stanie stawić czoła prawdzie. Dwa razy zabiła i nie potrafiła żyć ze świadomością swych czynów. Według mnie podłożyła ogień w dziecinnym pokoju i chciała, by uważano, że pragnęła się ratować. Zdradziła sekret Gastonowi Marchmontowi i nie ufała już sobie, czy kiedyś znowu go komuś nie wyjawia.

Zabraliśmy Lucy do St. Aubyn’s. Została z nami przez pewien czas, lecz chciała mieć coś własnego i Kryspin przypilnował, żeby tak się stało. Znalazł dla niej domek na terenie majątku, w pobliżu nas. Był pusty, gdyż mieszkająca tam wdowa po jednym z pracowników zmarła przed trzema miesiącami. Kryspin polecił go odremontować i przygotować dla Lucy.

Rozmawiałam z nią. Zmieniła teraz nastawienie do mnie i nie miałam już wrażenia, że usiłuje się trzymać z dala. W stosunkach między nami pojawiło się coś nowego – wzajemna życzliwość. Była matką mego męża. Domyślałam się, co czuje. Przez wiele lat opiekowała się Florą. Przeżyła czas wiecznego niepokoju, który teraz się skończył, lecz w tym początkowym okresie musiała doskwierać jej wielka pustka. Tak też mi tłumaczyła swój stan. Chyba pragnęła usprawiedliwić się z zachowania wobec mnie w przeszłości. Pamiętałam te jej nerwowe uwagi. „To miło” – mawiała zwykle, choć w oczach miała lęk i wyczuwałam, że tylko czeka, żebym sobie poszła, gdyż rzeczywiście dość natrętnie okazywałam swą ciekawość. Lecz teraz zapanowały między nami przyjazne stosunki. Powiedziała mi kiedyś:

- Cieszę się, że będę mieszkała blisko was.
- Kryspin tego pragnął – odrzekłam.
- Zawsze był dla mnie taki dobry. Nawet wtedy, kiedy jeszcze nie znał prawdy.

A innym razem stwierdziła:

- Nie żałuję niczego, dzięki czemu jest moim synem.
- Rozumiem.
- Musimy być przyjaciółkami – mówiła dalej. – Ja go urodziłam, a ty uczyniłaś bardzo szczęśliwym. On jest sensem mego istnienia i był nim od chwili, gdy go ujrzałam. Popelniłam grzeszny czyn, ale wtedy wydawało mi się to jedynym wyjściem i przyniosło mu wiele dobrego.
- Wiem – powiedziałam.

Nadszedł następny list od Tamaryszki. Misja rozwijała się ponad ich najśmielsze marzenia. Moja przyjaciółka bardzo chciała, żebyśmy tam przyjechali i obejrzeliby wszystko.

Lucy odwiedzała grób Flory każdej niedzieli po mszy. Czasami przyłączaliśmy się do niej, a potem odprowadzaliśmy ją do domu, gdzie jeszcze spędzaliśmy wspólnie godzinę czy dwie.

Pewnego dnia przejeżdżaliśmy z Kryspinem konno koło zrujnowanych pozostałości dawnego domu Lucy i Flory. Nie mogłam patrzeć na pogorzelsko. Nawet w słonecznym świetle robiło upiorne wrażenie.

– Nadszedł czas, żeby go odbudować – zauważył trzeźwo mój mąż. – Chodźmy i rzućmy na to okiem. Można by zacząć uprzętać teren już w przyszłym tygodniu. Budowniczości nie mają teraz zbyt dużo do roboty.

Przywiązaliśmy konie do furtki, która ciągle tam stała, i ruszyliśmy przez ogród w stronę wypalonego domu, gdzie zwykle siadywała Flora ze swą lalką, w pobliżu morwowych krzewów.

– Uważaj – ostrzegł mnie Kryspin, kiedy weszliśmy w ruiny.

Wziął mnie pod rękę i mocno przytrzymał, gdy wchodziliśmy do miejsca, które kiedyś było kuchnią. Większość ścian się zawaliła.

– To da się łatwo usunąć – powiedział.

Poszliśmy w kierunku schodów, które zostały nienaruszone.

– Trzymają się – zauważył Kryspin. – To były solidne schody.

Weszliśmy na górę. Brakowało połowy dachu, a powietrze nadal wypełniał gryzący zapach dymu. Przesunęłam wzrokiem po osmalonym drewnie i zbrązowiałych ceglach i zobaczyłam coś na podłodze, coś, co leżało szkłem do góry. Szkło było pokruszone i rozsypało się pod moimi palcami, a spod jego resztek spoglądało na mnie siedem srok. Powierzchnię obrazka pokrywały smoliste smugi. Papier był brązowy i wilgotny.

Wyjęłam obrazek z ramki, która wypadła mi z rąk na podłogę.

– Co to jest? – zapytał Kryspin.

– Obrazek Flory, ten, który Lucy jej oprawiła. „A siedem jest po to, żeby sekret zatajony nigdy nie był wyjawiony”.

Patrzył na mnie tak, jakby czytał w moich myślach, gdy darłam obrazek na małe kawałki. Podrzuciłam je wysoko. Porwał je wiatr wiejący z góry, gdzie kiedyś był dach. I uniósł daleko.